



PENNY JORDAN



Miłość, honor i zdrada

Rozdział 1

Tara leżała na łóżku matki z brodą podpartą na jednej dłoni. Drugą dłonią odgarniała do tyłu długie gęste włosy i beztrudnie wymachiwała uniesionymi do góry nogami. Czekając, aż matka skończy makijaż, przeglądała lokalną gazetę, którą kupiła po drodze w miasteczku.

- "Rada miejska dziękuje naszej znakomitej bizneswoman..." - przeczytała na głos i spojrzała na matkę.

- To o tobie - dodała zupełnie niepotrzebnie, po czym wróciła do tekstu: - „W minioną sobotę w zabytkowych salach dwunastowiecznego ratusza odbyła się uroczysta kolacja z okazji dziesięciolecia działalności lokalnej Fundacji Pomocy. Kolację wydano na cześć założycielki Fundacji i jej prezesa w jednej osobie, pani Claudii Wallace". To miłe, mamó - skomentowała niskim, lekko schrypniętym głosem, tak łudząco podobnym do głosu matki, że dzwoniący do ich domu znajomi często mylili je ze sobą.

- „Dzięki niezmordowanej pracy pani Wallace - czytała dalej Tara - oraz jej zapalowi, Fundacja przez dziesięć lat swojego istnienia zebrała imponujące fundusze i uczyniła wiele dobrego, wspierając potrzebujących. W uznaniu dla godnego podziwu zaangażowania pani prezes rada miejska postanowiła nazwać jej imieniem nasz dom opieki dziennej oraz ośrodek rehabilitacyjny dla osób niepełnosprawnych."

Tara podniosła głowę i spojrzała na odbicie matczynej twarzy w lustrze.

- Mamó?

- Tak?

- Piszą o tobie jak o nieboszczce. A ty nawet nie wyglądasz na czterdzieści pięć lat - stwierdziła rzeczowo. - Myślałaś kiedyś, żeby ponownie wyjść za męża? Od rozwodu z ojcem minęło dziesięć lat...

Claudia odłożyła powoli tusz do rzes i odwróciła się w stronę córki. Dwudziestotrzyletnia Tara mogła w oczach obcych uchodzić za dorosłą kobietę, ale dla niej nadal była małą córeczką, największym darem, jaki otrzymała od życia, darem, który powinna chronić i hołubić.

- Naprawdę, mam, znam z tuzin facetów, którzy natychmiast by się z tobą ożenili, gdybyś tylko dała któremuś cień szansy.

Claudia skrzywiła się na te słowa.

- Przesadzasz, moja droga.

- Wcale nie. Choćby Charles Weatherall, Paul Avery, John Fellows. No i oczywiście Luke.

- Luke jest moim klientem, nikim więcej - odparła Claudia spokojnie, ale odwróciła twarz, lękając się, że jej mina może zdradzić skrywane uczucia. Z całą pewnością wzmianka o Luke'u nie powinna przyprawiać jej o przyspieszone bicie serca. Pomijając wszystko, był od niej o siedem lat młodszy.

- Hm, a więc nie myślisz o ponownym małżeństwie - podsumowała Tara. Starła się mówić bez troski, lecz Claudia od razu spostrzegła, że córka jest niespokojna i spięta.

- Nie - potwierdziła, wiedząc doskonale, jaki będzie dalszy ciąg tej rozmowy.

- Widziałaś ostatnio ojca?

No tak, teraz to ona powinna udać bez troskę i nie zwracać uwagi na niemiły ucisk w żołądku, który natychmiast pojawił się na wspomnienie byłego męża. Od-
ruchowo odwróciła twarz, pozwalając, by jasne włosy przysłoniły policzek.

- Nie, nie widziałam. A dlaczego pytasz?

- Po prostu... Ostatnio ojciec często się spotyka z Rachel Bedlington. To nowa szefowa jednego z działów, zaczęła pracować w firmie zaraz po Bożym Narodzeniu. Ma około trzydziestki. Ojciec zdobył ją przez łowców głów, a wcześniej pracowała dla Faversham Bayliss. Podobno specjalizuje się w kampaniach reklamowych skierowanych do kobiet. Wiesz, o co chodzi - przebojowa dziewczyna za kierownicą, a chłopak z głupawą miną obok.

- Tak, wiem, o co chodzi - przytaknęła Claudia, myśląc nie tylko o reklamach. Z łatwością mogła sobie wyobrazić nową współpracownicę Gartha - elegancka, inteligentna, energiczna, młoda. I oczywiście zauroczona szefem. Która kobieta w jej sytuacji by nie była? Claudia musiała uczciwie przyznać, że jej były mąż, mimo iż zbliżał się do pięćdziesiątki, nadal pozostawał atrakcyjnym mężczyzną. Może nawet lata dodały mu męskości i uczyniły jeszcze bardziej interesującym.

- Nie przypuszczam, żeby to było coś poważnego - dodała Tara pospiesznie, lecz z głosu i miny córki Claudia bez trudu odgadła, że rzecz ma się wręcz przeciwnie.

- No cóż, kochanie, ojciec jest wolny i może się spotykać, z kim chce.

Rozwiedliśmy się dziesięć lat temu.

- Wiem - mruknęła Tara, a Claudii znowu, jak wiele razy wcześniej, przemknęło przez myśl, że nikt, kto by je widział razem, nie powiedziałby z ręką na sercu, że ma przed sobą matkę i córkę.

Po pierwsze - Tara była o dobrych kilkanaście centymetrów wyższa, ale to rzecz normalna w jej pokoleniu. Chyba wszystkie córki przyjaciółek Claudii przerosły swoje matki. Po drugie Claudia miała delikatną, jasną, typowo angielską cerę i miękkie blond włosy, podczas gdy Tara była dziewczyną o ciemnej karnacji i brązowych włosach, opadających gęstymi lokami na ramiona. Wreszcie oczy Tary - ciemnozielone, a nie błękitne - zdecydowanie bardziej przypominały oczy Gartha.

- Ojciec mówi, że masz być nominowana do nagrody Bizneswoman Roku - oznajmiła Tara nieoczekiwanie.

Teraz Claudii nie udało się już ukryć reakcji. Jakim cudem Garth mógł o tym wiedzieć? Ona sama usłyszała o nominacji zaledwie przed kilkoma dniami.

- Jest z ciebie bardzo dumny, mamó - zapewniła Tara. - Obydwoje jesteśmy dumni. Wszyscy uważają, że jesteś wspaniała. Bo jesteś - dodała z przekonaniem.

- O ile dobrze pamiętam, ostatnio tak mi się podlizywałeś, kiedy doszczętnie spaliłeś mój ulubiony garnek.

- A, wtedy! Gotowałam jajka i zupełnie o nich zapomniałam - przytaknęła Tara ze śmiechem, zaraz jednak spoważniała. - Ryland pod koniec miesiąca wraca do Bostonu - oznajmiła ze smutkiem. - Prosił, żebym z nim pojechała.

- Chcesz sobie zrobić wakacje? - zapytała Claudia lekkim tonem, choć jej ciało ogarnęła nagle wzbierająca fala paniki.

- Nie... tylko że od początku... Ryland... Ryland Johnson, Amerykanin, siedem lat starszy od

Tary, był jej chłopakiem. Claudia poznała go, gdy Tara przywiozła go do domu na Święta Bożego Narodzenia, i natychmiast ogromnie go polubiła. Od razu też zorientowała się, że młodzi są w sobie nieprzytomnie zakochani.

- Ryland planował, że będzie tutaj tylko rok - dokończyła Tara. - Teraz chce, żebym poznała jego rodziców i przyjaciół. Chce... - urwała i przygryzła wargę, widząc brak entuzjazmu w oczach matki. - O rany, mamó, wiem, co myślisz - ciągnęła dalej błagalnym niemal tonem. - Nie rób takiej nieszczęśliwej miny, proszę. Ameryka nie jest aż tak daleko. Czy ty wiesz, jak ja go strasznie kocham? - chlipnęła i ze łzami w oczach rzuciła się w ramiona Claudii. - Domyślam się, co czujesz. Żałuję, że nie zakochałam się w kimś stąd. Chciałabym mieszkać blisko ciebie...

Claudia zamknęła oczy. Chciało jej się płakać, a jednocześnie ogarniało ją uczucie niewytłumaczalnego strachu.

- Czy powiedziałaś już ojcu? - zapytała wreszcie ze ściśniętym gardłem.

Tara pokręciła głową.

- Nie, chciałam żebyś ty dowiedziała się pierwsza. Ojciec myśli, że jadę po prostu na wakacje. Oficjalnie tak jest, owszem, ale... W ten sposób będzie mi łatwiej dostać wizę. Nie wiem już, czego bardziej się boję - dodała z niepewnym uśmiechem - maglowania przez tych amerykańskich urzędników w ambasadzie i na lotnisku czy ciotki Rylanda, która jego zdaniem jest gorsza od urzędu imigracyjnego - bardzo bogata, bardzo konserwatywna i bardzo zasadnicza w kwestii tego, kto wejdzie do jej rodziny. A to rodzina z wielkimi tradycjami, mamó, okropne połączenie nowoangielskiej krwi i nowoangielskich, kumulowanych od pokoleń pieniędzy.

- Brzmi groźnie - uśmiechnęła się łagodnie Claudia, a wówczas Tara zachichotała i odsunęła się nieco od matki.

- E, tam. Boję się spotkania z nią, ale bez przesady - oznajmiła niby to obojętnym tonem. - Ry powiada, że będzie mnie wypytywała o pochodzenie do dziesiątego pokolenia wstecz, a tu akurat nie mam się czego wstydzić. W końcu i twoja rodzina, i ojca mogą się pochwalić imponującym drzewem genealogicznym, prawda? O co chodzi, mamó? Nie patrz tak na mnie, proszę. - Głos Tary zadrżał niebezpiecznie, kiedy zobaczyła wyraz twarzy matki.

Claudia natomiast pobladła, jej piękne rysy nagle się wyostrzyły, jakby w jednej chwili postarzała się o całe dwadzieścia lat. Zwykle pełne ciepła i miłości błękitne oczy patrzyły teraz martwo w przestrzeń.

- Mamo, rozumiem, co musisz czuć - powtórzyła Tara zdławionym głosem. - Ale przecież i tak będziemy się odwiedzać, przyjeżdżać do siebie na wakacje. Poza tym kto wie, kiedy już będę w Stanach, Ryland może się rozmyślić i uznać, że wcale nie ma ochoty się ze mną żenić - dokończyła, siląc się na żart.

Claudia nie zareagowała. Na jej twarzy wciąż malowała się nieklamana rozpacz.

- Złożyłaś już wniosek o wizę? - zapytała w końcu, usiłując zwalczyć ból, rozdzierający jej serce.

- Tak, ale nie dostałam jeszcze odpowiedzi - odparła Tara pogodnie. - Podobno nie powinnam mieć kłopotów, skoro prosiłam o wizę turystyczną. Trudności mogą zacząć się dopiero po ślubie, kiedy wystąpię o obywatelstwo. Ryland pokpiwa sobie ze mnie; mówi, że jeśli będę w stanie wykazać się odpowiednim pochodzeniem przed jego ciotką, to nie powinnam mieć żadnych kłopotów z urzędem imigracyjnym, który jest wprawdzie dociekliwy i sprawdza człowieka na wszystkie strony, ale nie tak jak ona... Co się z tobą dzieje, mamo? - zaniepokoiła się, kiedy Claudia, która do tej pory starała się powstrzymać łzy, wydała nagle zdławiony, pojedynczy szloch i zasłoniła usta dłonią.

- Nic - skłamała. - Może zjadłam coś, co mi zaszkodziło. Trochę mnie mdli...

- Jeśli źle się czujesz, to nie powinnaś wychodzić z domu - oznajmiła Tara z matczyną troską w głosie. Ta zmiana ról była tak zabawna, że w innych okolicznościach wywołałaby zapewne uśmiech na twarzy Claudii. Teraz wszakże nie było jej do śmiechu.

- Muszę iść - oznajmiła zgodnie z prawdą. - Mam wystąpienie w Klubie Kobiet, nie mogę sprawić im zawodu.

- Mogłabyś, ale nie chcesz - sprostowała Tara z nutą serdeczności w głosie. - Przepraszam, że zgotowałam ci taki wstrząs. Ja... - schowała głowę w ramionach tym samym obronnym gestem, którym przed chwilą posłużyła się Claudia - ja nie mogłam wcześniej... Ryland poprosił mnie, żebym wróciła z nim do Bostonu już kilka tygodni temu, ale jakoś nie mogłam do ciebie z tym przyjechać, a przez telefon... Wolałam powiedzieć ci osobiście, być z tobą... Bardzo go kocham, mamo. Zawsze pragnęłam spotkać kogoś takiego jak on. Ty też go przecież lubisz, prawda?

- Tak, lubię - przytaknęła Claudia zgodnie z prawdą.

Westchnęła i położyła dłoń na dłoni córki. Tara powiedziała jej: „Wiem, co czujesz”. Czy rzeczywiście wiedziała? Czy mogła wiedzieć? Czy ktokolwiek był w stanie wczuć się w reakcje i odczucia, które były udziałem Claudii?

Być może powinna być przygotowana; powinna była przewidzieć. Kiedy Tara i Ryland przyjechali na święta, od razu spostrzegła, jak bardzo są w sobie zakochani. Założyła jednak - bo chciała tak myśleć - że Ryland zostanie w Anglii i tu ułoży sobie życie. A zresztą, gdyby nawet uświadomiła sobie prawdę wcześniej, co mogłaby zrobić? Jak miałyby zapobiec katastrofie, która teraz na nią spadła?

Nie było sposobu. Nie mogła zapobiec temu, co się stało. Teraz zaś mogła tylko mieć nadzieję, modlić się, błagać Boga lub Los - jakkolwiek nazwiemy tę siłę, która rządzi naszym życiem - że jej pomoże.

- Przyjechałam specjalnie, żeby ci powiedzieć - dobiegły ją ciche słowa córki. - Żałuję, że nie mogę zostać dłużej, ale muszę wracać. Mam rano spotkanie z klientem, potem powiem ojcu o swoich planach. Musi się dowiedzieć, że to nie będzie wakacyjny wyjazd. - Tara podeszła bliżej i mocno uścisnęła matkę. - Proszę, powiedz, że cieszysz się moim szczęściem - szepnęła błagalnie.

- Cieszę się - powtórzyła Claudia posłusznie, modląc się w duchu, by mogła to być prawda i żeby rzeczywiście umiała cieszyć się szczęściem córki zamiast...

- Powinnam chyba pozwolić ci już iść na to spotkanie - powiedziała Tara schrypniętym ze wzruszenia głosem, po czym ścisnęła matkę jeszcze mocniej. - Obiecuję, że odwiedzimy cię przed wyjazdem, mamó. A jak tylko urządzimy się w Bostonie, będziesz musiała koniecznie do nas przyjechać. Chcę się tobą pochwalić przed rodziną Rylanda. Niech wiedzą, jaką mam cudowną matkę. Jesteś niezwykła i cudowna, a ja bardzo, bardzo cię kocham... I jestem szczęśliwa, że to właśnie ty jesteś moją matką, że oboje jesteście moimi rodzicami.

Wystąpienie Claudii w Klubie Kobiet miało w zamierzeniu dotyczyć życia w domu, z którego wyfrunęły już dorastające dzieci. Wiele jej znajomych musiało ostatnio przystosować się do tej nowej sytuacji i rozpocząć zupełnie nowy etap życia małżeńskiego, dlatego też temat ten zdawał się bardzo aktualny.

- Z początku człowiek nie wie, co począć z czasem - uskarżała się jedna z przyjaciółek. - Nigdy nie sądziłam, że okażę się matką, która nie może się doczekać, kiedy jej dzieci będą miały własne dzieci, którym mogłabym babkować, a tymczasem...

- A jednak odczuwamy upływ czasu inaczej niż nasze matki i matki naszych matek - mówiła inna przyjaciółka. - One w naszym wieku były już właściwie starymi kobietami, natomiast dzisiaj pięćdziesiąt lat to jeszcze nic. Rzecz w tym, jak wykorzystać lata, które mamy przed sobą... jak je wypełnić. Już to jest zaskakujące, prawda? Myślisz, jak wypełnić czas, podczas gdy przez całe dorosłe życie nie zastanawiałaś się nad tym, jak go wypełnić, tylko jak wykroić kilka godzin dla siebie.

Po bombie, którą zrzuciła jej na głowę Tara, Claudia nie była w stanie wygłosić zaplanowanego wcześniej wystąpienia - bała się, że nie zapanuje nad targającymi nią emocjami. Nieoczekiwanie więc, ku zaskoczeniu i pewnemu rozbawieniu zebranych, poświęciła swoją przemowę problemom, z jakimi mogą się borykać świeżo upieczeni młodzi ojcowie, kiedy na świat przychodzi ich pierwsze dziecko.

Wysłuchano jej, jak zawsze, z uwagą i szacunkiem. Po spotkaniu natomiast kilka osób chciało z nią porozmawiać, wysłuchała więc zwyczajowych pochwał i komplementów - przypomniano notkę w dzisiejszej gazecie, gratulowano uznania, jakie miasto okazało pani prezes. A jednak cały czas Claudia miała przed oczami leżącą na łóżku Tarę, która czyta na głos notatkę prasową. Obraz ten był zaś tak wyrazisty i bolesny, że ledwie była w stanie odpowiadać na komplementy.

Z ulgą pożegnała znajome panie. Nie przeszkadzało jej to, że wróci do pustego domu. Odwrotnie, w pewnym sensie była nawet zadowolona, że nie zostanie już Tary i nie będzie musiała mieć się przed nią na baczności, nie będzie musiała ukrywać targających nią emocji.

Wstrząsnęła nią intensywność własnej rozpacz, owo przerażenie, poczucie przegranej. Dlaczego niczego się nie domyślała... nic nie widziała... nie przygotowała się na podobną sytuację? Dlaczego trwała w złudnym samozadowoleniu... w przeświadczeniu, że...

- Claudio?

Zatrzymała się, przywołując na usta wymuszony uśmiech. Szła ku niej jedna z bliższych przyjaciółek.

- Widziałam dzisiaj Tarę. Musisz być szczęśliwa, że masz taką córkę i taki świetny z nią kontakt - zaczęła rozmówczyni z nutą zazdrości w głosie. - Nie mówię, że na to nie zasługujesz - poprawiła się szybko. - Obydwu wam się poszczęściło. Moi chłopcy... - przerwała.

- Czy wiesz, że gdybyś nie była taka... taka... do licha, czasami niemal cię nienawidzę - wyznała szczerze i zaraz uśmiechnęła się, by złagodzić znaczenie tych słów.

- Wszystko ci się udaje, Claudio.

- Nie wszystko, Chris. Małżeństwo mi się nie udało. Rozwiodłam się z Garthem dziesięć lat temu - dodała, widząc pytające spojrzenie przyjaciółki.

- Och, tak, wiem, ale nawet twój rozwód był absolutnie wzorowy. Rozstaliście się bez kłótni, żadne z was nie obrzucało drugiego błotem, nie wypowiedziało złego słowa. Cierpieliście, ale pamiętam, jacy byliście zgodni w tym, że należy oszczędzić bólu Tarze. Załatwiliście wszystko tak spokojnie i dyskretnie. Garth wyniósł się z Ivy House, kupił sobie dom w innej części miasta...

Nie chodzi mi zresztą tylko o to, w jaki sposób się rozwiedliście, ale i o to, jak zachowywaliście się wcześniej. Kiedy my wszyscy narzekaliśmy, że nie sposób pogodzić kariery z wychowywaniem dzieci, wy zostawiliście Londyn i przenieśliście się tutaj. Porzuciłaś pracę kuratora, żeby zająć się Tarą. A potem, kiedy rozeszłaś się z Garthem, założyłaś własną firmę i prowadziłaś ją w domu, dopóki nie okrzepla na tyle, że mogłaś wynająć lokal w mieście i założyć normalne biuro.

- Czy to takie niezwykle?

- Jeszcze jak! Wiem, jak ciężko pracowałaś, jak często nie dosypiałaś, a jednak zawsze potrafiłaś znaleźć czas dla przyjaciół i dla twojej fundacji. Z tego, co pamiętam, ani ty, ani Garth nie opuściliście żadnej szkolnej uroczystości Tary. Jesteś ponadto znakomitą kucharką...

- Daj spokój, zaledwie poprawną.

- Jesteś wspaniałą kucharką, Claudio, a przy tym ciągle wyglądasz zachwycająco, o czym nieustannie przypomina mi mój drogi mąż. Wątpię, czy masz

choć jedną przyjaciółkę, której mąż bądź partner nie uległby pokusie porównania jej z tobą tylko po to, by wykazać najdroższej, w czym ta ci nie dostaje.

- Mam nadzieję, że się mylisz.

- Skąd! Mówię prawdę - upierała się Chris. - Najbardziej jednak zazdroścę ci tego, Claudio, że jesteś taką miłą osobą. Wspaniałomyślna, ciepła, mądra... i uczciwa... absolutnie uczciwa we wszystkim, co robisz. Co się dzieje, kochanie? - zaniepokoiła się Chris, widząc łzy w oczach przyjaciółki. - Boże, nie chciałam wprawić cię w zakłopotanie. Ja tylko...

- Wszystko w porządku - zapewniła pospiesznie Claudia. - Jestem po prostu... trochę zmęczona. Niedośpana... Ciągłe zarywam noce - zmyślała na poczekaniu. - Obiecałam sobie, że dzisiaj wcześniej pójde spać.

- Tak, ja też powinnam już iść - przytaknęła Chris, szybko zrozumiałszy aluzję. - Do zobaczenia w czwartek, w tym tygodniu my wydajemy lunch - przypomniała jeszcze.

- Będę - zapewniła Claudia, po czym pospiesznie oddaliła się w swoją stronę.

Kiedy skręciła z drogi i przez sklepioną łukiem bramę w ceglany murze wjechała na podjazd przed Ivy House, było jeszcze jasno. Słońce schowało się już za drzewami, które rzucały teraz długie cienie; niebo czerwieniało od zachodu, przechodząc po drugiej stronie ogrodu, za fasadą domu, w szarogranatową ciemność.

Claudia po raz pierwsza zobaczyła Ivy House w całkiem odmiennej scenerii - był mroźny zimowy dzień, a nagie gałęzie drzew i łądygi bluszczu tworzyły białe lodowe arabeski wokół domu i na jego kamiennych ścianach. Stary budynek od razu im się spodobał - jej i Garthowi.

Zbudowano go w osiemnastym wieku dla pewnej owdowiałej damy z rodu Cupshaw. Rezydencja popadła w ruinę po I wojnie światowej - trzech synów, którzy mogliby ją odziedziczyć, zginęło na froncie, a rozparcelowana posiadłość przeszła w inne ręce. Gdy Claudia i Garth stali się właścicielami Ivy House, postanowili poznać jego historię, tę zaś opowiedziała im ostatnia żyjąca przedstawicielka rodu Cupshaw. Claudia pamiętała jak dziś, gdy stara dama, spoglądając to na nią, to na maleństwo w jej ramionach, oznajmiła:

- Ten dom potrzebuje miłości. Widzę, że go pokochacie, i cieszy mnie to. Potrzebuje też dzieci... dużo dzieci... tak jak potrzebowała ich nasza rodzina.

Claudia nie była w stanie wówczas powiedzieć, że wie już, iż Tara będzie jej jedynym dzieckiem.

Zamiana starego Ivy House w wygodny dom kosztowała ich mnóstwo wysiłku. Udało się jednak - był wygodny, przytulny, stał się dla nich prawdziwym rodzinnym gniazdem. Nawet po rozwodzie Claudia z ciężkim sercem myślała o perspektywie przeprowadzki. I ostatecznie w nim została - zgodnie zresztą z wolą Gartha, który wręcz nalegał, by Claudia nadal tu mieszkała.

- Dla Tary to dom, dom rodzinny - tłumaczył jej spokojnie, kiedy rozgoryczona wykrzykiwała w uniesieniu, że nie chce jego łaskawego wsparcia, że nie chce od niego absolutnie nic. Oczywiście nie była to prawda i obydwójce świetnie o tym wiedzieli, lecz Garth, czy to powodowany współczuciem, czy w poczuciu winy, nie powiedział tego głośno.

Cóż, Garth był inteligentny i - mimo wszystko - czuł. Z pewnością rozumiał jej ból i gotów był na wiele, by choć trochę go uśmierzyć. Widział, czym jest dla niej odkrycie, że on, człowiek, którego kochała, któremu ufała, w którego ślepo wierzyła i któremu oddała wszystko, mógł ją zawieść. Domyślał się, że odkrycie to będzie ponad jej siły.

I tak właśnie było. Claudia nie umiała żyć ze świadomością zdrady. Garth spał z inną, dotykał innej, obejmował i dzielił z inną intymność, która miała być udziałem wyłącznie jej, jego żony. Ta świadomość zdruzgotała ją i definitywnie przekreśliła wszystko. Bo jak też mogło być inaczej?

Chris miała rację co do jednego - po pierwszych awanturach, wcale zresztą nie takich wielkich, Claudia się uspokoiła, a wówczas zawarli swoisty pakt o nieagresji. Przyrzekli sobie, że pomimo dzielących ich różnic, pomimo bólu jaki w sobie nosili, nigdy nie pozwolą, by śmierć ich miłości w jakikolwiek sposób dotknęła Tarę, ukochaną i najdroższą córkę, tym bardziej kochaną, że miała przecież pozostać jedynym ich dzieckiem.

„Jesteś taka szczęśliwa” - mówiła Chris z zazdrością, a Claudia mogła się tylko uśmiechać smutno w duchu. Gdyby Chris wiedziała, gdyby wiedziała...

Wysiadła z samochodu i zaczęła iść powoli w stronę głównego wejścia. Bluszcz jak dawniej osłaniał fasadę domu, ale teraz pięła się po niej także wistaria, którą posadzili z Garthem rok po tym, jak wprowadzili się do Ivy House. Teraz właśnie przekwitała i jej wąsy kołysane łagodnym powiewem wieczornego wiatru szeleściły cicho, gdy Claudia wkładała klucz do zamka.

Upper Charfont było jednym z tych staroświeckich angielskich miasteczek, gdzie jeszcze do niedawna nie zamykano kuchennych drzwi na zamek, a sąsiedzi wiedzieli o sobie wszystko. Claudia zrazu obawiała się tej małomiasteczkowej atmosfery, lecz Garth uspokajał ją na swój łagodny sposób. Tłumaczył, że na wóół wiejskie życie będzie zdrowe dla Tary, a i że ona sama będzie blisko rodziców, którzy na stare lata przenieśli się na wieś, do maleńkiego Costwold, położonego zaledwie godzinę drogi od Upper Charfont.

Ojciec Claudii, Peter Fulshaw, był wojskowym, dowódcą brygady. To przez niego poznała Gartha, młodego oficera, który służył wówczas pod jego komendą. Jako że sama spędziła dzieciństwo w kolejnych garnizonach, przenosząc się z miejsca na miejsce, Claudia chciała zapewnić własnej córce bardziej stabilną egzystencję, niż ta, jaka była jej udziałem, Garth zaś w pełni się z nią zgadzał. W tej kwestii, jak i w wielu innych, byli całkowicie jednomyślni. Ale nawet wtedy...

Usiłując otrząsnąć się z rozmyślań, weszła do domu i energicznie zamknęła za sobą drzwi. Z jakichś jednak powodów dzisiejszego wieczoru wspomnienia jej nie odstępowały. Z każdego zakamarka wyglądały ku niej przedmioty, drobne i całkiem duże, które przypominały jej Gartha i wspólne z nim życie - fotografie, książki meble, zapalone przed chwilą kinkiety w holu, które znaleźli, buszując po antykwariatach nadmorskiego Brighton. Uszczęśliwieni, przywieźli je wówczas do domu, a Garth czyścił je potem i polerował przez wiele dni w swoim warsztacie nad garażem.

Nie służył już wtedy w wojsku. Po odejściu z armii pracował początkowo dla firmy zajmującej się *public relations*, potem zaś założył własny, konkurencyjny biznes. Rodzice byli z niego dumni, ona też...

Rodzice Gartha, podobnie jak jej, żyli jeszcze. Mieszkali na przedmieściach York, w okręgu wyborczym, który ojciec Gartha reprezentował w parlamencie, zanim

nie wycofał się z czynnego życia politycznego. Claudia nadal widywała się z teściami regularnie i bardzo ich kochała. Oni zaś, podobnie jak jej rodzice, świata nie widzieli poza Tarą i rozpieszczali ją ponad wszelką miarę. Nic dziwnego, skoro była dzieckiem dwojga jedynek, jedyną wnuczką swoich dziadków, tak po mieczu, jak po kądzieli.

- Ogromnie żałuję, że nie będzie więcej maluchów, kochanie - usiłowała pocieszyć ją matka, kiedy usłyszała, że Tara pozostanie jedynym dzieckiem Claudii. - Czatami jednak... Czy jesteś pewna?

- Jestem pewna, mamo - potwierdziła Claudia ze ściśniętym gardłem.

- Ciesz się więc tym, że masz Tarę, takie śliczne i zdrowe dziecko. Nikt by nie powiedział, że jest wcześniakiem, prawda? Boże, wciąż to pamiętam... Nie masz pojęcia, jak się przeraziliśmy, kiedy Garth do nas zadzwonił. Natychmiast chciałam wracać do domu, ale nie mogliśmy oczywiście dostać biletów na samolot. W dodatku rodzice Gartha też byli wtedy za granicą... Muszę powiedzieć, że byłam zaskoczona, że tak szybko wypuszczono was ze szpitala.

- Wiedzieli, że zamierzamy się przeprowadzić - wtrąciła Claudia pospiesznie. - W każdym razie najgorsze mamy już za sobą i wołałabym, żebyś nie wracała ciągle do tego. Przepraszam - dodała skruszonym tonem, widząc minę matki. - Po prostu nie lubię, kiedy mi się przypomina...

- W porządku, kochanie. Rozumiem. Wiem, jakie to musiało być dla ciebie straszne, szczególnie po... po pierwszym poronieniu. Strach pomyśleć, że mogłaś też stracić naszą najdroższą Tarę.

- Tak - przytaknęła Claudia. Mimo że od tamtego czasu minęło półtora roku, nadal nie mogła słuchać o swojej pierwszej, niedonoszonej ciąży.

Pracowała wtedy jeszcze, zaś Garth nadal służył w armii. Zdawało się jej, że mimo bolesnych przeżyć nadal powinna pracować. Była niedoświadczona, ale pełna zapału, wierzyła, że kurator ma ważną funkcję do spełnienia. Pamiętała dotąd rozmowę z przełożoną po skończonym stażu.

- Idealizm i troska o innych ludzi to cechy godne pochwały, moja droga, ale w tej pracy musisz się nauczyć podchodzić do spraw z dystansem, inaczej nie będziesz w stanie wykonywać swoich obowiązków w sposób zadowalający - tłumaczyła starsza pani.

W tamtych czasach, dwadzieścia kilka lat wstecz, problemy i zasadzki pracy w różnych sektorach szeroko rozumianych służb społecznych nie były jeszcze tak dobrze rozpoznane, jak dzisiaj. Praca kuratora łączyła się z ogromnym ryzykiem - z jednej strony na widok ogromu ludzkiej nędzy i słabości można było szybko się zniechęcić, ci zaś, którzy wytrwali, oskarżani byli bądź o brak kompetencji, bądź o lekceważenie, wreszcie o niepotrzebne ingerowanie w życie innych ludzi. Tak czy inaczej starsza pani w jednym miała rację - Claudia była zbyt wrażliwa i za bardzo się angażowała w problemy tych, którym szła z pomocą, by działać naprawdę efektywnie w ich imieniu

Była też bardzo wyczulona na milczącą krytykę ze strony kolegów, którzy podejrzliwym okiem patrzyli na zamożną, otoczoną przywilejami dziewczynę z wyższej klasy, która zabrała się za działalność społeczną. Po co jej to? - zdawały się mówić ich spojrzenia. Co ktoś taki może wiedzieć o problemach gnębiących wielkomięską biedotę?

Wszystko to sprawiło, że Claudia poddała się w końcu. Uznała, że mimo zaangażowania, kompetencji, kwalifikacji, dobrych chęci i pasji, być może nie jest w stanie pomóc ludziom, którym postanowiła pomagać.

Westchnęła na wspomnienie dawnych wydarzeń i przeszła do salonu. Było to jedno z jej ulubionych pomieszczeń w Ivy House. Okna wychodziły na południe i wewnątrz zdawało się zawsze skąpane w świetle. Nadal obowiązywała tu ta sama ciepła żółta tonacja, którą Claudia wybrała zaraz po tym, jak zamieszkali tu z Garthem. Dwie sofy stojące po obu stronach kominka były wspólnym prezentem od jej i Gartha rodziców. Teraz, kiedy czas dodał delikatnej patyny ich złocistym obiciom z ciężkiego matowanego adamaszku, lubiła je chyba jeszcze bardziej niż kiedyś. To głównie dzięki nim salon miał tę tak charakterystyczną ciepłą, kojącą atmosferę. Ktokolwiek wchodził tu po raz pierwszy, zachwycał się jego przytulną gościnnością.

Nad kominkiem wisiał portret ojca Claudii w galowym mundurze. Generał otrzymał go w prezencie, gdy odchodził na emeryturę, a matka Claudii, twierdząc, że przez całe życie dość się napatrzyła na męża w mundurze, uparła się, że obraz winien zawisnąć w domu córki i zięcia.

Reszta kolekcji portretów rodzinnych wisiała na schodach - zarówno proste szkice ołówkiem, jak i bardziej „profesjonalne” prace, malowane przy użyciu

akwareli. Wśród nich był również zupełnie nieczytelny „obraz” narysowany przez Tarę w pierwszej klasie szkoły podstawowej i przedstawiający rodziców.

Na ścianie na wprost kominka, nad zabytkowym stołem przyściennym, który matka Gartha odziedziczyła po swoich rodzicach, a potem przekazała Claudii, wisiał portret innego mężczyzny w mundurze galowym. Claudia podeszła do niego wiedzona jakimś impulsem, zapaliła światło nad obrazem i zaczęła mu się przyglądać z zasepioną miną.

Uwieczniony na płótnie Garth miał dwadzieścia siedem lat. Ten upozowany na rzymską modłę wizerunek żołnierza z marsowym spojrzeniem był prezentem ślubnym, jaki jej mąż otrzymał od swego regimentu. Twórca tego dzieła posłużył się przy malowaniu dostarczonymi mu fotografiami, lecz mimo to dobrze oddał podobieństwo - uchwycił wyrazisty zarys podbródka, orli profil nosa, a nawet twardy charakter widoczny w surowym spojrzeniu.

- Ubierz Gartha w strój rzymskiego centuriona, a okaże się ziszczeniem wyobrażeń hollywoodzkich reżyserów o żołnierzach-amantach - powiedziała kiedyś jedna z przyjaciółek Claudii.

Miała rację. Ciemna karnacja i gęste ciemne włosy przydawały mu swoistego południowego uroku i zdawały się wskazywać, że mężczyzna ten ma w swoich żyłach domieszkę romańskiej krwi. Eksperti od historii rodu potwierdzali zresztą, że pochodzący z Walii przodkowie Gartha mogą mieć rzymskie powinowactwa, zaś w mocnej, wyrazistej urodzie Tary dopatrywali się tego samego dziedzictwa. Trudno orzec, co było faktem, co zmyśleniem, w każdym razie pozostawało prawdą, że Garth był niezwykle przystojny i niebywale pociągający. Tak w każdym razie szeptano Claudii na ucho w czasie wesela. O dziwo, to jednak nie powalające zalety fizyczne zwróciły jej uwagę, kiedy zobaczyła po raz pierwszy swojego przyszłego męża.

Być może z racji swojej profesji, która dawała mu wgląd w ciemniejszą stronę męskiej natury, ojciec zawsze był wobec Claudii niezwykle opiekuńczy, w pewnym sensie może nawet nadopiekuńczy. Trzeba było wielu podchodów i perswazji ze strony i Claudii, i jej matki, by pozwolił swojej jedynaczce rozpocząć studia z dala od domu.

Garth, jeden z młodszych podkomendnych ojca, został wyznaczony jako eskorta Claudii w czasie balu garnizonowego. Przyjechał po nią błyszczącym czerwonym morganem, którego dostał od rodziców na dwudzieste pierwsze urodziny. Claudia dotąd pamiętała, że zarówno samochód, jak i jego właściciel wydali się jej zbyt „szpanerscy”, jak by się dzisiaj powiedziało. Zbyt stereotypowi, mówiąc inaczej, i banalni jak na jej gust.

Wieczór był ciepły, czerwcowy, słońce zachodziło już, lecz było jeszcze widno. Droga dojazdowa wiodąca z domu rodziców do szosy była pusta, Garth ruszył więc, jak łatwo można było przewidzieć, pełnym gazem. Jechał szybko, z brawurą i dezynwolturą, przynajmniej tak się jej wtedy wydawało. Kiedy brali zakręt, zobaczyła przechodzącego przez drogę jeża.

Już chciała odruchowo krzyknąć, przewidując nieszczęsny koniec zwierzątka, ale ku jej zaskoczeniu, towarzysz dostrzegł je również i nacisnął gwałtownie na hamulec. Samochodem zarzuciło, zarył nosem w błotnistym rowie, podskoczył i wylądował na żywopłocie.

Zarówno jeź, jak pasażerowie auta wyszli cało z tej kraksy, czego nie można było powiedzieć o samochodzie. Nieskazitelna dotąd karoseria była ubłocona i porysowana po spotkaniu z kolczastymi krzewami. Jednak Garth, zamiast załamywać ręce nad stanem swojej ukochanej zabawki, wyskoczył z wozu i kilkoma susami dopadł miejsca, gdzie widział jeżyka. Podniósł z asfaltu najwyraźniej oszołomione jeszcze zwierzątko, podszedł do pobliskiej bramy prowadzącej na farmę i otworzywszy ją, ulokował malca bezpiecznie na łące.

W tej właśnie chwili Claudia zakochała się w swoim przyszłym mężu. Nie z racji jego porażającej urody, ale dlatego że w sposób zupełnie naturalny i odruchowy potrafił przedłożyć życie jeża nad stan swojego drogiego samochodu. Zrobił to wiedziony impulsem, zareagował bez zastanowienia. W jego zachowaniu nie było krzty fałszu czy chęci wywarcia wrażenia na towarzysze.

Pokochała go za to. Za osobowość, za uczciwość, za troskę i miłość. Tę samą troskę i miłość, którą potem miał zawsze dla Tary.

Na małym stoliku koło kominka stał telefon. Niewiele myśląc, Claudia podeszła do aparatu i wystukała londyński numer byłego męża. Po rozwodzie Garth kupił nie-

wielki dom po drugiej stronie miasta, przyjeżdżał tam jednak tylko na weekendy, bowiem przez resztę tygodnia mieszkał w swoim apartamencie w Londynie, gdzie mieściło się jego biuro.

Po pięciu dzwonekach ktoś podniósł słuchawkę i odezwał się miły kobiecy głos. Obcy głos.

Claudia bez słowa przerwała połączenie. Nie wiedzieć czemu, czuła ucisk w gardle, łzy cisnęły się jej do oczu. Dlaczego, na Boga, zbiera się jej na płacz tylko dlatego, że jakaś kobieta odebrała telefon w mieszkaniu Gartha? Rozstali się przecież wiele lat temu i to w końcu ona nastawała na rozwód. Wiedziała, że od tamtej chwili w życiu Gartha bywały inne kobiety, wiedziała też, że...

Wyprostowawszy się, poprawiła lilie, które tego samego dnia rano starannie ułożyła w ozdobnym wazonie. Tłumaczyła sobie, że to wiek, niebezpieczny wiek, jest odpowiedzialny za jej dziwaczne zachowanie, a nie samotność, z którą nauczyła się wszak już żyć.

W jakim właściwie była wieku? Cóż, najważniejsze, że wyglądała nadal bardzo młodo, ciągle była pociągająca i czuła się młodo. Czy jednak mijające lata nie zmieniają jej w wiecznie rozdrażnioną kobietę, jakich coraz więcej widziała w gronie przyjaciół i znajomych?

Jakże często słyszała od swoich rówieśniczek i nieco starszych kobiet utyskiwania, że nie tylko czują się zbędne swoim dorosłym dzieciom, ale też swoim partnerom w łóżku. „To chyba oczywiste, że ja nadal potrzebuję seksu - zwierzyła się jej niedawno jedna z nich - mam tylko dziwne wrażenie, że on mnie już nie potrzebuje”.

Claudia znakomicie ją rozumiała. Od rozstania z Garthem nie było w jej życiu żadnego mężczyzny. Owszem, zabiegali o nią, umizgiwali się. Ci, których znała w czasie trwania swojego małżeństwa, po rozwodzie próbowali się do niej zbliżyć, próbowali dać do zrozumienia, jakie mają intencje. Byli wśród nich żonaci i wolni. Mogła mieć seks, a może i miłość, gdyby tylko zaakceptowała któregoś z nich. Miała jednak ważniejsze sprawy na głowie. Przede wszystkim była Tara, poza tym firma, praca społeczna, przyjaciółki.

- Nie brakuje ci tego? - dopytywał się ktoś ciekawski niedługo po rozwodzie.

- Niby czego? - spytała, choć doskonale wiedziała o czym mowa.

- No... czy nie brakuje ci seksu? Nie tęsknisz za tym żeby ktoś położył się obok ciebie w łóżku, przytulił cię? Musisz się czuć...

- Sfrustrowana - dokończyła Claudia spokojnie, po czym pokręciła głową. - Nie, prawdę mówiąc, nie... Nie mam czasu.

Była to prawda. Poza tym jej potrzeby seksualne wiązały się z uczuciami, od nich były uzależnione. Miłość była dla niej zawsze znacznie ważniejsza niż fizyczne pożądanie. Nie mogła sobie wyobrazić, że potrafiłaby pragnąć innego mężczyzny, kochać innego tak, jak pragnęła i kochała Gartha. Wiedziała, że już nigdy nie będzie w stanie tak mocno się zaangażować.

Odkrycie, że Garth ją zdradził, było wyniszczającym doświadczeniem. Powiedziała sobie po nim, iż nigdy już nie pozwoli nikomu zbliżyć się do siebie - z lęku, by nie być ponownie zranioną. Miłość umarła w niej na zawsze, została zniszczona, unicestwiona, Garth zabił ją, dopuszczając się zdrady, ale lęk przed bólem pozostał żywy, był cały czas obecny w duszy Claudii.

Owszem, miała przyjaciół wśród mężczyzn, spotykała się z nimi, wychodzili razem wieczorami - ale na tym się kończyło, znajomość nigdy nie wykroczyła poza przyjaźń. W każdym razie do momentu, kiedy Claudia poznała Luke'a Pallisera.

Czyżby fakt, że spodobał się jej młodszy mężczyzna, że czuła do niego fizyczny pociąg, oznaczał, że wchodziła w niebezpieczny okres przekwitania?

Po wyjściu z salonu ruszyła na piętro, zatrzymując się na chwilę przy rysunku Tary, przedstawiającym rodziców. Oczywiście nie sposób było się doszukać choćby śladu podobieństwa, jedynie kolor włosów - jasne Claudii i ciemne Gartha - odpowiadał rzeczywistości.

Tara...

Claudia zagryzła wargę na myśl o ukochanej jedynaczce. Tym razem nie odczuła zwykłej fali wszechogarniającej miłości, lecz lęk i wyrzuty sumienia.

Tak, wyrzuty sumienia.

Rozdział 2

- Zdawało mi się, że dzwonił telefon. - Garth wszedł do salonu swojego londyńskiego mieszkania z dokumentami, które wyjął właśnie z leżącej w sypialni teczki.

- Owszem - przytaknęła Estelle Frensham. Pracowała dla Gartha, czasowo zastępując jego osobistą asystentkę, która była na urlopie wychowawczym. - Nikt się nie odezwał, ale zapisałam numer, z którego dzwoniło. Oto on.

Garth przez chwilę wpatrywał się w kartkę bez słowa. Zmarszczył lekko czoło. Natychmiast rozpoznał numer. W końcu przez ponad dziesięć lat był to jego osobisty numer telefonu. Tylko jedna osoba z Ivy House mogła chcieć z nim rozmawiać, a z tego co wiedział, Tara była właśnie w Londynie.

Tara...

Jego córka. Ich córka, jego i Claudii. Poza tym że fizycznie bardziej przypominała ojca niż matkę, pod każdym innym względem była bardziej dzieckiem Claudii. Gesty, sposób mówienia, ton głosu odziedziczyła po niej. Czasami patrzył na nią i zastanawiał się, czy to podobieństwo nie sprawia, że jeszcze bardziej nienawidzi samego siebie. Jedno było pewne - to, że Tara wdała się w Claudię, nie umniejszało w niczym jego miłości do córki, tak jak nie wpływało na zmianę stosunku do samej Claudii.

Skoro Tara była w Londynie, musiała dzwonić Claudia. A skoro dzwoniła Claudia, to musiała mieć naprawdę ważny powód. Inaczej nie zdecydowałyby się na telefon.

Spojrzał na zegarek.

- Rozmyśliłem się, Estelle. Skończymy na dzisiaj. Muszę jeszcze w spokoju przejrzeć wszystkie papiery. Rano zadzwonię do klienta i przełożę spotkanie na inny dzień - zdecydował nieoczekiwanie.

Estelle spojrzała na niego uważnie. Przygotowywali właśnie projekt dużej kampanii dla nowego klienta i dlatego pracowała po godzinach, spędzając wieczór w mieszkaniu szefa zamiast w siłowni. Czyniła to bez wielkiego żalu; dla Gartha gotowa

była rzucić wszystko, mogła być na jego zawołanie o każdej porze dnia i nocy. Nawet jeśli chodziło, jak na razie, tylko o pracę.

W chwili, kiedy zobaczyła go po raz pierwszy (osiem tygodni wcześniej, gdy stawiała się na rozmowę kwalifikacyjną), postanowiła, że Garth zostanie jej kochankiem. Już na samą myśl o czekających ją rozkoszach, Estelle czuła dreszcz podniecenia.

Zastanawiała się czasem, jak Garth zareagowałby, gdyby powiedziała mu, co czuje i czego pragnie. Niektórzy mężczyźni lubili kobiety, które wprost, bez wstydu mówiły o swoich potrzebach, podniecało ich to. Podejrzewała jednak, że Garth do nich nie należy. Poza tym jak dotąd ani jednym słowem czy gestem nie dał jej odczuć, że jest nią zainteresowany. A przecież wiedziała, że w jego życiu nie ma żadnej kobiety. Od czasu do czasu spotykał się z jedną ze swoich współpracownic, ale stara panna po trzydziestce nie mogła być dla Estelle żadną konkurencją. Zdążyła się też upewnić, że Garth jest heteroseksualny, nie miała więc żadnych wątpliwości, że prędzej czy później....

Ano właśnie. Miała nadzieję, że raczej prędzej, że już dzisiaj wieczorem, ale najwyraźniej i dzisiaj nic się nie zdarzy. Zebrała papiery ze stołu. Cóż, nawet jeśli nie uda się jej uwieść Gartha, pozostawał zawsze Blade. Blade, który skwapliwie pójdzie z nią do łóżka i spełni każde jej życzenie. Blade, z którym łączy ją może nie tyle miłość i nienawiść, co wzajemna pogarda i wzajemne pożądanie. Tak, wiedziała już, jak spędzi resztę wieczoru.

Garth obserwował ją i zastanawiał się, o czym myśli jego podwładna. Od pierwszej chwili dawała mu do zrozumienia, że się jej podoba, ale on był przyzwyczajony do przejawów kobiecego uznania i zawczasu umiał sobie poradzić z potencjalnym niebezpieczeństwem. Gdyby Estelle stała się natrętna, w każdej chwili mógł się jej pozbyć i poprosić, żeby agencja, która przysłała mu dziewczynę, znalazła kogoś innego na jej miejsce.

- Zamówię ci taksówkę - oznajmił sucho i sięgnął po telefon.

Estelle pomyślała, że jest wyjątkowo staroświecki wobec kobiet. Bardzo opiekuńczy i niezwykle szarmancki, w najlepszym sensie obydwu tych określeń. Niestety...

Nachyliła się, by podnieść z podłogi jakąś zawieruszoną kartkę, pozwalając jednocześnie, by długa kopertowa spódnica rozchyliła się i ukazała szczupłe, opalone udo. Zerknęła przy tym na Gartha, lecz ten patrzył w inną stronę, najwyraźniej zaprzątnięty jakimiś myślami.

Nie szkodzi, powiedziała sobie, będą inne okazje. Tymczasem będzie musiała pocieszyć się Bładem.

Gdy Estelle opuściła mieszkanie, Garth wyjrzał przez okno, by upewnić się, że wsiadła do taksówki z zaufanej korporacji, z usług której zawsze korzystał. Zbyt często słyszał o kobietach napadanych przez nielicencjonowanych taksówkarzy, by ryzykować bezpieczeństwo swojej pracownicy. Kiedy zaś taksówka ruszyła, sięgnął po telefon i wystukał znajomy numer.

Po wyjściu spod prysznicia Claudia otworzyła szufladę komódki, w której trzymała fiolkę z proszkami nasennymi. Po raz pierwszy lekarz przepisał jej tabletki kilka tygodni po tym, jak poprosiła Gartha, by wyprowadził się z domu. Teraz rzadko ich zażywała, ale zawsze miała je pod ręką. Bywały takie noce, gdy wracały bolesne wspomnienia; wiedziała wtedy, że bez tabletki nie uśnie... bała się wręcz usypiać, bała się koszmarnych, męczących snów, w których powracały wszystkie jej lęki, wszystkie obrazy zapisane w pamięci i tylko w wyobraźni, wszystkie wyrzuty sumienia. Wtedy właśnie brała proszek nasenny i zapadała w mroczną otchłań nieświadomości.

Po raz ostatni sięgnęła po tabletkę w zeszłym roku, w dzień pięćdziesiątych urodzin Gartha, kiedy to Tara wydała przyjęcie na cześć ojca. Błagała Claudię, żeby i ona przyjechała, ale ta wytłumaczyła córce, że Gartha na pewno nie ucieszy obecność byłej żony.

- Przecież nadal jesteśmy rodziną - obruszyła się Tara.
- Ty i Garth jesteście rodziną, Taro. My obie również, ale nasza trójka...
- Byliście na moich dwudziestych pierwszych urodzinach i na wręczeniu dyplomu - przypominała Tara. - Wszyscy mówili, że wy nie powinniście... - nie dokończyła. Zamilkła, bowiem zdążyła się już nauczyć, że lepiej nie powtarzać matce tego, co mówią inni.

Ci inni zaś bezustannie użalali się nad losem „tego wspaniałego związku”. Nie mogli odżałować, że Claudia i Garth się rozstali, że ich małżeństwo rozpadło się

definitywnie. Tarze bliskie były te opinie, wiedziała jednak, że wygłaszając je, naraża się na wybuchy gniewu ze strony rodziców.

- Będzie dziadek i Nan, będą Brig i Nannie - kusila, wspominając dziadków po mieczu i po kądzieli, ale Claudia pozostała nieugięta. Wiedziała wcześniej, że jej rodzice przyjęli zaproszenie byłego zięcia, rewelacje te nie zrobiły więc na niej spodziewanego wrażenia.

Wcześniej jednak była zaskoczona. - Nie mogliśmy mu odmówić, kochanie - tłumaczyła jej matka. - Ojciec nie chciał o tym nawet słyszeć. Wiesz, jak bardzo lubi Gartha...

- Wiem, i uważam, że rzeczywiście powinniście pojechać. Nie ma powodów, byście odmawiali - odparła Claudia spokojnie.

- Głupio mi, że idziemy bez ciebie...

- Daj spokój, mamó. Ani ja, ani Garth nie mamy ochoty spędzać tego dnia razem. Jesteśmy rozwiedzeni od dziesięciu lat.

- Owszem, wiem o tym, ale nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego się rozstaliście.

Och, ileż to razy słyszała z ust matki podobne zdania. Z ust matki, z ust ojca, z ust córki. Wszyscy zdawali się zjednoczeni w zgodnym ubolewaniu. Wszyscy, lecz nie oni - Claudia i Garth.

- Tłumaczyłam ci - westchnęła. - Garth miał...

- Wiem, wiem. Trochę narozrabiał, to prawda. Widzisz, dziecko, mężczyznom się to zdarza - przerwała jej matka. - Nawet twój ojciec...

- Ojciec?

- Nie, nie. Nie twierdzę, że kiedyś... ktoś... ale Garth jest taki czarujący i przystojny, że...

- Nie przyjadę - powtórzyła Claudia stanowczym tonem i tym samym ucięła tę rozmowę.

Później zaś zażyła tabletkę i poszła spać.

Niestety, tabletki nie pomogła, wspomnienia nie dawały spokoju. Być może dzisiaj powinna zażyć dwie zamiast, jak zwykle, jednej.

Ostatecznie połknęła trzy tabletki, kiedy więc godzinę później w Ivy House zadzwonił telefon, Claudia spała głębokim snem i nic nie było w stanie jej obudzić.

Garth długo czekał na połączenie, kiedy zaś po dwunastym dzwonku nikt nie podniósł słuchawki, rozłączył się z zasepioną miną i natychmiast wystukał numer londyńskiego mieszkania córki.

- Tata! - zawołała serdecznie. - Cieszę się, że dzwonisz!

- Próbowałaś się ze mną kontaktować, Taro?

- Nie, ale byłam dzisiaj po południu u mamy. Miałam jej coś do powiedzenia.

Wiesz, w lokalnej gazecie wydrukowali o niej artykuł. Rewelacja! Widziałeś?

- Tak, widziałem - odparł krótko. Widział też zdjęcia zamieszczone obok artykułu. Na jednym z nich obok Claudii stał mężczyzna zapatrzony w nią jak w obraz.

Garth znał go ze słyszenia. Facet zlikwidował część swoich rozległych interesów i wyniósł się z Londynu. Wrócił do rodzinnego miasta, skąd zamierzał kierować swoją firmą za pośrednictwem komputera i faksu. W dobie rozwoju telekomunikacji, w dobie Internetu i połączeń satelitarnych takie pomysły były coraz bardziej popularne - firma bez głównej siedziby, recepcji, sekretarki, foteli dla interesantów i ekspresu do parzenia kawy; wirtualne biuro, w którym wszyscy kontaktują się ze sobą przy pomocy telefonów i komputera.

Garth słyszał, że przy poszukiwaniu pracowników gotowych do tego rodzaju pracy ów nowoczesny biznesmen korzystał z rad firmy konsultingowej, którą prowadziła Claudia. Niby nie powinien widzieć w tym nic zdrożnego, raczej kolejny zwykły zawodowy kontakt jego byłej małżonki. Gotów był jednak iść o zakład, że akurat w tym przypadku profesjonalne doradztwo odgrywa najmniejszą rolę. Claudię łączyło z Lukiem Palliserem coś więcej. Wolał nie myśleć, co.

- Musiałaś mieć rzeczywiście coś ważnego do powiedzenia, skoro osobiście wybrałaś się do Gloucestershire - zauważył Garth, wracając myślami do spraw córki.

- Owszem.

- Jakoś szybko wróciłaś.

- Nie mogłam zostać na noc. Nie było sensu, tym bardziej że mama miała zajęty wieczór...

Garth czekał. Znał doskonale ten szczególny ton w głosie córki, który pojawiał się wtedy, gdy Tarze przytrafiało się jakieś mniej bądź bardziej poważne nieszczęście; poczynawszy od wygięcia koła w jej pierwszym rowerze po rozbicie sportowego auta, które podarował jej na osiemnaste urodziny.

- Mówiłam ci, że chcę wykorzystać cały urlop i jechać z Ry'em do Bostonu?

- Tak.

- Wiesz, tato, wtedy nie powiedziałam ci wszystkiego... Chciałam, żeby mama dowiedziała się pierwsza o tym, że Ry i ja... Widzisz, być może zostanę w Stanach dłużej niż kilka tygodni - dokończyła, licząc na to, że znaczenie tych słów dotrze do ojca.

Dotarło. Garth zrozumiał niemal natychmiast. Przeczynał zresztą już wcześniej, że nastąpi taki moment, jak ten. Teraz mocniej zacisnął dłoń na słuchawce, czuł, że zaczyna się pocić, że robi mu się niedobrze. Wiedział już, dlaczego Claudia zdecydowała się do niego zadzwonić.

- Jesteś tam, tato? - usłyszał niepewny głos Tary.

- Tak, tak, jestem - odparł, licząc w duchu na to, że niepewny głos nie zdradzi jego uczuć.

- Mógłbyś pomówić o tym z mamą w moim imieniu? Jest bardzo zmartwiona, a ja za nic nie chcę sprawiać jej bólu. Bardzo kocham Rya, tato... Żałuję, że nie możemy być wszyscy razem, ale chyba nie ma na to rady. To trochę tak jak z waszym rozwodem. Pamiętasz, co mi powiedzieliście, kiedy postanowiliście się rozstać? Że czasami nie można mieć wokół siebie wszystkich, których się kocha.

- To prawda.

- Rodzina Rylanda jest w Bostonie - mówiła dalej Tara praktycznym tonem, założywszy widocznie, że ojciec, po męsku, spodziewa się konkretów. - Tam Ry ma pracę, dobrą pracę. Wszyscy oczekują, że wróci i zacznie prowadzić rodzinną firmę, on zresztą też tego chce. Ty i mama będziecie mogli przyjeżdżać do nas na wakacje. Mówiłam już mamie, że my... że my też będziemy do was przyjeżdżali. W każdym razie jeśli chodzi o najważniejsze, to nic jeszcze nie jest przesądzone.

- O najważniejsze? To znaczy o ślub?

- Tak. Dopiero zaczną mnie męczyć. Ry powiada, że rozmowy z FBI to pestka w porównaniu z wyciskiem, jaki da mi jego ciotka. Będę musiała wykazać się szlachetnym pochodzeniem, idealnym zdrowiem i równie idealnym kodem genetycznym, a wtedy może łaskawie zacznie mi mówić po imieniu. Oczywiście Ry ożeniłby się ze mną i bez jej zgody, ale kiedy ta pani się dowie, jakie mamy zamiary, przebadana mnie dokładniej niż najbardziej dociekliwy śledczy. Podobno mam to jak w banku. Ona ma pakiet kontrolny akcji rodzinnej firmy i decyduje o wszystkim. Jej zmarły mąż, stryj Rya, jako najstarszy syn przejął spuściznę po dziadku, a kiedy umarł, żona odziedziczyła jego udziały. Ojciec Rya też ma trochę akcji i tak jak Ry pracuje w firmie. No a ciotka jest podobno osobą bardzo sztywną. Będzie chciała dowiedzieć się wszystkiego o naszej rodzinie. Niech sobie pyta, prawda? Ja tam się tego nie boję i wiem, że sobie poradzę. W końcu dziadek i Nan mogą się wykazać porządnym drzewem genealogicznym, a Brig wie wszystko o swoim klanie... Hej, jesteś tam, tato? Słyszysz mnie?

- Tak, słyszę - przytaknął Garth zduszonym głosem.

- To co? Porozmawiasz z mamą, prawda? - przyميلała się Tara. - Wiem, że w głębi duszy liczyła, że wyjdę za jakiegoś miłego chłopca z sąsiedztwa i zamieszkam gdzieś w pobliżu Ivy House, ale czy to moja wina, że zakochałam się w Ryu?

- Złożyłaś już papiery wizowe?

- Wypełniłam formularze. Ry poradził, żebym poprosiła o wizę turystyczną, resztę formalności załatwimy już na miejscu. Wiesz, tato, to śmieszne...

- Co takiego?

- Mama pytała mnie o to samo.

Skończywszy rozmowę z Tarą, Garth ponownie wystukał numer Claudii. I tym razem jednak nikt nie podnosił słuchawki. A przecież dochodziła już północ. Gdzie mogła być? Tara mówiła, że matka umówiła się z kimś na wieczór. Z kim? I dokąd poszła? Czyżby z Luke'em Palliserem, który sądząc z zamieszczonego w gazecie zdjęcia, sprawiał takie wrażenie, jakby oczekiwał o wiele więcej niż fachowych porad co do sposobu prowadzenia firmy? Może leży teraz w jego ramionach, w jego łóżku?

Przestań, napomniał się, krążąc niespokojnie po pokoju. Znał przecież Claudię i wiedział, że seks jest ostatnią rzeczą, o której mogłaby teraz myśleć. Jediną osobą, o której myślała z miłością jego żona, była bez wątpienia

Tara. Czy to raz wypominał jej żartem, że kocha swoją córkę znacznie bardziej niż kiedykolwiek kochała jego?

- Tak, to chyba prawda - odpowiedziała kiedyś Claudia z powagą. - Tyle że to całkiem inny rodzaj miłości. Tylko kobieta, która straciła już jedno dziecko, może takiej doświadczyć.

- Rozumiem...

- Nie, nie rozumiesz. Wiedz jednak, że nie kocham cię mniej, Garth. Po prostu inaczej... zupełnie inaczej.

Estelle wysiadła pod domem z taksówki, odczekała, aż samochód zniknie za zakrętem, po czym wyjęła z torebki telefon komórkowy i szybko wystukała numer. Być może była przesadnie ostrożna, ale trzymała się zasady, by spraw prywatnych nie mieszać z zawodowymi. Blade zaś należał do ściśle chronionej sfery jej życia prywatnego.

- Toż to niemal kazirodztwo - wyjąkała kiedyś zdumiona przyjaciółka, kiedy Estelle, wtedy jeszcze nastolatka, zaczęła się przed nią chwalić, opowiadając ze szczegółami, jakiego rodzaju stosunki łączą ją z przyrodnim bratem. Dziewczyna była wstrząśnięta, a Estelle napawała się myślą, o ile bardziej wstrząśnięci byłiby ich rodzice. Tak, napawała się, bowiem fakt, że robi coś zakazanego, dodawał jej romansowi pikanterii i czynił go o wiele bardziej intrygującym.

Miała wtedy trzynaście lat, Blade osiemnaście. Później ich związek trwał przez cały okres jego studiów - gorączkowy, obsesyjny, sadomasochistyczny, naznaczony długimi przerwami, kiedy to nie rozmawiali ze sobą ani nie widywali się.

Jedna z takich przerw trwała od wyjazdu Blade'a z początkiem roku akademickiego do jego pojawienia się w domu z okazji Świąt Bożego Narodzenia. Kiedy przyjechał, Estelle wyszła gdzieś akurat z przyjaciółmi. Zrobiła to z rozmysłem, wiedziała bowiem, jaki będzie wściekły, nie zastawszy jej w domu. Podniecała ją myśl, że podczas gdy on na nią czeka, ona bawi się w najlepsze na imprezie, która

coraz bardziej się rozkręca. Kiedy starszy brat gospodarza przyprowadził kolegów, Estelle również się rozkręciła...

Nie, nie przespała się z żadnym z nich. Dbała o swój wizerunek, była ostrożna. Dawno minęły czasy, kiedy opowiadała wszystkim o swoich wyczynach i z radością zawierała im swoje sekrety. Teraz uchodziła za porządną dziewczynę, a przynajmniej za taką chciała uchodzić. Nikt w każdym razie nie miał dostępu do tajemnic, które były udziałem tylko jej i Blade'a.

Wróciła do domu o pierwszej, oszołomiona nieco alkoholem i podniecona wizją czekającej ją nocy. Kiedy zaś Blade otworzył drzwi frontowe, poczuła dreszcz rozkoszy, niemal orgazm.

Nie odezwał się ani słowem. Stał w progu i mierzył ją wściekłym wzrokiem. Zanim dotarli na piętro, była już wilgotna i gotowa, by go przyjąć. Nigdy wcześniej tak się nie czuła. Graniczące z bólem pożądanie wypełniało całe jej ciało. Ledwie mogła iść, tak huczało jej w głowie.

Sypialnia Estelle znajdowała się po przeciwnej stronie korytarza niż sypialnia rodziców. Matka lubiła powtarzać, że młode dziewczęta potrzebują poczucia prywatności, co w przekonaniu Estelle oznaczało, iż jej rodzicielka nie chce, by córka zawracała jej głowę swoimi sprawami.

Prawdę mówiąc, tak właśnie było. Estelle wcześniej zrozumiała, że matka jej nie lubi i nie kocha - i że na pewno nie chciała jej urodzić. Świetnie wiedziała, że została poczęta przez przypadek.

- Ja się zabiję! - zadeklarowała kiedyś, gdy była jeszcze dzieckiem. - Chcesz się mnie pozbyć, mamo!

Matka nie zaprzeczyła, więc Estelle wybiegła ze łzami z pokoju. Zanim zatrzęsnęła za sobą drzwi, usłyszała jeszcze ciche westchnienie i słowa:

- Chcę, wcale nie przeczę.

Minęło kilka lat, a matka oznajmiła już bez ogródek, że zamierzała zrobić skrobankę, kiedy dowiedziała się, że jest z nią w ciąży. Estelle pozbyła się złudzeń co do matczynej miłości, a Lorraine zaczęła odtąd całkowicie ją ignorować. Kiedy znajomi przy różnych okazjach wyrażali wątpliwości, czy dziewczyna nie ma czasem za dużo swobody, odpowiadała:

- Wierzę, że Estelle jest na tyle duża, że potrafi sama decydować o własnym życiu.

I Estelle sama podejmowała decyzje, fatalne decyzje, które - choć pewnie nie zgodziłaby się do tego przyznać - były rozpaczliwą próbą zwrócenia na siebie uwagi.

Jakby nie dość było jednego trudnego dziecka w rodzinie, Ethian Morton, drugi mąż Lorraine i ojciec Blade'a, musiał zająć się chłopcem, kiedy partner jego pierwszej żony oznajmił, że nie jest w stanie trzymać w domu źle wychowanego, krnąbrnego i całkowicie niereformowalnego „bachora”. Wyrzucony z trzech szkół za niewłaściwe zachowanie, „bachor” był wszakże wyjątkowo inteligentny. Zebrał dobre oceny na świadectwie maturalnym, co pozwoliło mu podjąć studia na drugorzędym uniwersytecie. Tego samego roku, w drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia, Lorraine i Ethian polecili na narty do Kolorado, zostawiając dzieci w domu, i od tego momentu zaczęła się niezwykłego historia związku przyrodniego brata i siostry.

- Zostawiacie Blade'a i Estelle samych w święta? - pytała wcześniej jedna z sąsiadek, nie potrafiąc ukryć ogarniających ją uczuć.

- Och, Blade jest już dorosły - przypomniała jej Lorraine nadąsanym tonem. - Świetnie się rozumieją z Estelle. Prawdę mówiąc, są bardziej zżyci niż gdyby byli prawdziwym rodzeństwem. On bardzo się o nią troszczy, a ona we wszystkim mu nadskakuje. To naprawdę urocze.

Jak zwykle nie miała pojęcia, co mówi. O charakterze uczuć, które łączyły Blade'a z Estelle, można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że są urocze. Ich związek był chory, od początku skażony wzajemną pogardą i wzajemnym czysto fizycznym pożądaniem. Kiedy zbliżali się do siebie, nie było w nich tkliwości, czułości, raczej potrzeba rywalizacji, dominacji, zachłanność i głód.

Nie inaczej było tego wieczora, kiedy Estelle wróciła późno z potańcówki u znajomych. Chciała poczuć w sobie Blade'a, wchłonąć go i zagarnąć, a jednocześnie zranić i upokorzyć. Chciała, by skręcał się z pożądania i gryzł z nienasyceń; chciała zobaczyć w nim zwierzę, wygłodniałego samca, który weźmie ją pod siebie i zgwałci, dowodząc tym samym, jak bardzo jest bezradny wobec potęgi jej kobiecości.

Weszła do łazienki, nie zamykając za sobą drzwi. Stała przed zajmującym jedną ze ścian lustrem, zdjęła kusą sukienkę i rzuciła ją na podłogę. Miała opuchnięte

wargi, jaskrawoczerwona szminka na wargach rozmazała się. Była wysoka i szczupła, jędrne piersi nie wymagały stanika, poza tym lubiła czuć materiał bluzek ocierający się o brodawki, tak jak lubiła spojrzenia mężczyzn, łapczywie przylepione do zarysowanych pod tkaniną wybrzuszeń. Czowała je na sobie tak, jakby dotykały jej ich palce.

Przymknęła oczy, wsunęła dłoń między uda. Pod opuszkami wyczuła wilgoć, rozkoszny dreszcz przenikał jej podbrzusze. Zamknęła powieki i szybkim gestem wy-swobodziła się z majtek.

Usłyszała, że drzwi łazienki się zamykają, więc powoli otworzyła oczy.

- Gdzieś się podziewała? - zapytał Blade obojętnym tonem.

Nie zwiódł jej ów cichy, spokojny głos. Wiedziała, że chłopak rozpaczliwie próbuje nad sobą zapanować, i wiedziała, że za chwilę skapituluje.

Serce zaczęło bić jej mocniej. Czowała, jak ogarnia ją dobrze znane podniecenie; podniecenie i lęk.

- Powąchaj - powiedziała, wyciągając ku niemu wilgotne majtki, on zaś posłusznie uniósł je i wciągnął w nozdrza zapach; jej zapach, żadnej innej.

- Chodź do mnie - nakazał tym samym cichym, spokojnym głosem.

Estelle zadrżała. Podeszła do niego i patrzyła, jak Blade rozpina dzinsy. Tak jak przypuszczała, nie miał nic pod spodem. Ukłękła przy nim i wzięła go w dłonie. W pierwszym okresie ich związku twarda, sztywna męskość była dla niej źródłem nieustannej fascynacji, co Blade chętnie wykorzystywał. Karząc ją za jej „niewier-ności”, kazał jej myć swój intymny narząd, czasami językiem, czasami wodą z mydłem.

Teraz jednak położył się na podłodze i znów nakazał, by się zbliżyła.

- Chodź... siądź na nim.

Przyciągnął ją do siebie, a potem wszedł w Estelle jednym ruchem. Nie potrzebowała wielu pieszczot, on też. Byli tak podnieceni, że wystarczyło zaledwie kilka chwil, by oboje zesztynieli w niemym spazmie rozkoszy.

Resztę nocy spędzili w łazience. Wiedziała, że następnego dnia będzie obolała, ale niewiele sobie z tego robiła. Nie żałowała ani jednej chwili spędzonej z Bladem, ani jednej.

Teraz, choć minęło dobrych parę lat, odkąd Estelle opuściła dom, który z trudem mogła nazwać domem rodzinnym, wspomnienie tamtych pieszczot wciąż jeszcze ją podniecało.

- To ja, Estelle - szepnęła do telefonu, kiedy usłyszała jego głos. - Przyjmujesz?

W ich prywatnym języku oznaczało to tyle co: „Mam ochotę na seks.”

- Nie - odparł, a ona natychmiast ujrzała w wyobraźni jego triumfalny, okrutny uśmiech. - Niestety, Estelle, jestem zajęty. W porządku, kochanie - rzucił do kogoś obok, przysłaniając dłonią słuchawkę - to tylko moja siostra!

- No to cześć.

- Zaczekaj... - Znów zobaczyła oczami duszy jego kpiący uśmiešek. - Jeśli naprawdę tak ci gorąco, możemy załatwić to przez telefon. Lubisz to przecież, prawda?

- Cześć, Blade.

- No dobra, ostatecznie możesz wpaść na górę i popatrzeć... albo przyłączyć się do nas.

Rozwścieczona Estelle przerwała połączenie. Znała doskonale upodobania Blade'a, ale nie miała dzisiaj ochoty na zabawę w trójkę. Chciała go mieć dla siebie. Wyłącznie dla siebie.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła w stronę domu. Kilka metrów od niej na skraju chodnika stał jakiś mężczyzna, który zamierzał właśnie przejść przez jezdnię. Estelle zmierzyła go głodnym, pożądlwym wzrokiem.

Nie był w jej typie - chudy, blady, wymoczkowaty, zapewne nie miał czym pochwalić się w łóżku. Patrzyła jednak na niego i klęła w duchu Blade'a, myśląc gniewnie o tym, że brat zabawia się właśnie z inną. A im lepiej wie, jak bardzo Estelle go potrzebuje, pragnie i pożąda, tym większą rozkosz czerpie z tej zabawy.

Rozdział 3

Garth niespokojnie zerknął na zegarek i odłożył słuchawkę. Po raz kolejny usiłował dodzwonić się do Claudii i po raz kolejny bez skutku.

Było już po pierwszej w nocy. Nawet jeśli Claudia spędziła wieczór poza domem... nawet jeśli rzeczywiście tak się stało, to o tej porze, gdy drogi są puste, w ciągu dwóch godzin mógłby być w Upper Charfont.

Boże, naprawdę miał ochotę wsiąść do samochodu, wiedział jednak, jak była żona zareagowałaby na niespodziewaną wizytę o tak niezwyklej porze. Poza tym ktoś ze znajomych mógł rozpoznać jego samochód - w końcu Charfont nie było zbyt dużym miastem - i wyciągnąć niewłaściwe wnioski. Dla niego nie miało to żadnego znaczenia, ale wiedział, że Claudia przywiązuje wagę do opinii innych ludzi.

Dobrze, zadzwoni do niej z samego rana. Jeśli Claudia będzie w domu...

A jeśli nie?

Jeśli obudzi się rano z Luke'em Palliserem u boku?

Garth przeciągnął się i pokręcił głową, pełen dezaprobaty dla własnych uczuć. Nie powinien się tym przejmować, a już na pewno nie wolno dopuszczać mu uczucia zazdrości. To inni mogliby mu zazdrościć, lecz nie on. Jak na swój wiek był w doskonałej formie. Dbał o siebie, odżywiał się zdrowo, trochę ćwiczył, stać go było na wiele, toteż cieszył się darami życia, pośród których jedno z najbardziej poczesnych miejsc zajmowała jego ukochana Tara.

Owszem, drogo przyszło mu zapłacić za posiadanie dziecka. Bywało, że wolałby, żeby nigdy nie przyszła na świat, ale też i tak, że w śmieszny i irracjonalny sposób zazdrościł Claudii ogromu miłości do córki. Kiedy indziej miał znowu pretensje do byłej żony, że nigdy nie kochała go równie namiętnie, jak on ją.

Pamiętał, z jaką niechęcią przyjął polecenie swojego dowódcy, ojca Claudii, by towarzyszył jej na balu garnizonowym. Wiedział tylko, że generał ma córkę, która studiuje na uniwersytecie, i nie bardzo się domyślał, czego może oczekiwać po takim spotkaniu.

Jednego był pewien - że chciałby mieć za partnerkę pewną długonogą „modelkę”, którą poznał na przyjęciu w Londynie i do której wzdychał skrycie przez ostatnich sześć tygodni. Nie tyle z racji jej wyglądu - Garth zawsze wołał zamiast chudych dziewcząt nieco zaokrąglone - ile dlatego, że przyjaciel szepnął mu, iż panna jest wolna i na dodatek chętna.

Garth był wówczas młody, miał apetyt na seks, zrozumiałe więc, że bardziej pociągała go perspektywa nocy z atrakcyjną dziewczyną, niż wizją bawienia przez cały wieczór konwersacją nudnej zapewne i brzydkiej generalskiej córki.

Cóż, intuicja go zawiodła. Claudia nie była brzydka i na pewno nie była też nudna. Kiedy po nią przyjechał, natychmiast zapomniał o „chętniej” pannie z Londynu.

Kiedy zaś zorientował się, że nowa znajoma jest równie uradowana na myśl o wspólnym wieczorze, co on, zaczęły mu chodzić po głowie śmiałe myśli.

Drobna blondynka o kobiecej figurze (tak szczupła w talii, że Garth miał ochotę objąć ją, by sprawdzić, czy uda mu się zamknąć ją w swoich dłoniach) wywarła na nim piorunujące wrażenie. Szybko zrozumiał, że urok dziewczyny nie polega tylko na jej urodzie, a pod koniec wieczoru był już pewien, że ją właśnie chciałby mieć za żonę.

Claudia ze swej strony potrzebowała znacznie więcej czasu. Owszem, odwzajemniała jego uczucia, o czym powiedziała mu z całą powagą, kiedy oświadczył się po raz pierwszy, tylko że widziała zbyt wiele wojskowych małżeństw, które nie wytrzymały próby czasu, i nie chciała wystawiać przyszłości swoich dzieci, ich wspólnych dzieci, na niepewny los. Już wtedy nad inne sprawy przedkładała trwałość rodziny i bezpieczeństwo dzieci, których pragnęła z całego serca.

- Jak możesz mówić, że mnie kochasz? - pytała z wyrzutem, kiedy dowiedziała się, że ją zdradził. - Jak możesz twierdzić, że mnie kochasz, skoro to zrobiłeś... skoro spałeś z inną?

Próbował tłumaczyć, chciał, żeby zrozumiała. Chciał wyjaśnić, że popełnił błąd i że to, co się stało, było niefortunną pomyłką - ona jednak nie dawała mu wiary i nie chciała w ogóle go słuchać.

Czy mógł liczyć na to, że będzie inaczej? Zawsze wiedział, że pod pozorami delikatności i bezradności Claudia jest osobą niezwykle silną. Nigdy jednak nie

przypuszczał, że ta siła obróci się kiedyś przeciw niemu. W końcu musiał więc pogodzić się z tym, że ich małżeństwo przestało istnieć - Claudia była zbyt dumna, by zrozumieć jego błąd i wybaczyć.

W pierwszym okresie po rozwodzie zachowywał się jak większość mężczyzn w podobnej sytuacji - próbował zapomnieć o bólu i samotności, szukając pocieszenia w ramionach innych kobiet. Kolejne przygody nie przynosiły wprawdzie długotrwałej ulgi, ale też jej nie oczekiwał. Chciał nacieszyć się wolnością, unikał emocjonalnego zaangażowania, odrzucał perspektywę jakiegokolwiek nowego związku, a przede wszystkim całą energię skoncentrował na prowadzeniu firmy. Przeprowadził ją bezpiecznie przez chude lata recesji i teraz stwierdzał z niejakim zdziwieniem, że jest jednym z najlepszych w swojej branży. Poza tym oduczył się dziwić czemukolwiek i zobojętniał na wszystko. Dopiero dzisiaj...

Podobnie jak Claudia, znał Rylanda i wiedział o miłości córki, ale tak jak Claudię zaskoczyła go wiadomość o planowanym ślubie.

Zerknął ponownie na zegarek. Piętnaście po drugiej. Właściwie powinien się już położyć, ale wiedział, że i tak nie uśnie. Czy znów ma zadzwonić do Claudii? Jeśli nadal nie wróciła do domu, jeśli była gdzieś z Palliserem, wolał o tym nie wiedzieć.

Do licha, to do niej niepodobne. Claudia nie była typem kobiety, która szuka przygód, choć oczarowani jej urodą mężczyźni lgnęli do niej w sposób niejako instynktowny, jakby odruchowo szukali jej towarzystwa, spontanicznie chcieli chronić ją i bronić, nawet jeśli było w tym coś szowinistycznego i politycznie niepoprawnego.

W czasie trwania ich małżeństwa nieraz widział podobne scenki. Widział, jakim wzrokiem mężczyźni spoglądają na Claudię i jak mu zazdroszczą, to zaś wszystko utwierdzało go tylko w przekonaniu, że jeśli jego była żona nadal jest sama, to wyłącznie dlatego, że nie zechciała się z nikim wiązać.

- Miałabym ponownie wyjść za mąż? Nigdy - powiedziała spokojnie, kiedy wkrótce po rozwodzie rzucił pod jej adresem jakąś gorzką uwagę. - Kochałam cię, Garth. Kochałam cię i ufałam ci, a ty mnie zdradziłeś. Jeśli nie mogę ufać tobie, jak mogłabym zaufać innemu mężczyźnie? - zapytała ze smutkiem. - Nie. Nie mam zamiaru, nie potrafię podjąć takiej próby.

- Nie chcesz spróbować, tak jak nie chciałaś zrozumieć tego, co się stało! -
odparował wówczas porywczo, ciągle jeszcze nie wierząc, że jednak się rozwiedli. -
Miałaś wszystko, czego można zapragnąć, Claudio. Masz Tarę. Ciekaw jestem, jak
byś zareagowała, gdyby w początkach naszego małżeństwa okazało się, że to ja nie
mogę mieć dzieci. Czy wystarczyłoby ci siły, żeby wytrwać w takim związku?

Innym razem, jeszcze przed rozwodem, w czasie jednej z ostatnich małżeńskich
kłótni, wyraził ten swój żal innymi słowami:

- Nie rozwodzisz się ze mną dlatego, że spałem z inną - oświadczył. -
Odchodzisz, bo jestem ci już zbędny, bo mnie już nie potrzebujesz. Bo Tara jest
wszystkim, czego pragniesz, i to ona wypełnia ci całe życie.

- Nieprawda! - zaprzeczyła gwałtownie Claudia, on jednak uśmiechnął się tylko
i dopowiedział:

- Czyżby? To jak wytłumaczysz fakt, że nie spaliśmy ze sobą od Bożego
Narodzenia? Trzy miesiące, zanim...

- Chciałam - broniła się Claudia. - Ale ciebie ciągle nie było w domu,
pracowałeś do późna...

- Więc uważasz, że kochać można się tylko w nocy, przy zgaszonym świetle? A
co z niedzielnymi porankami, sobotnimi popołudniami, deszczowymi wieczorami?

- Tara jest teraz starsza. Mogłaby...

- Mogłaby co? Zorientować się, że jej rodzice są zdrowymi, normalnymi
ludźmi, którzy uprawiają seks? Tylko że my nie uprawiamy seksu, prawda, Claudio?
Nawet jeśli ze sobą sypialiliśmy, nie było w tym nic normalnego i naturalnego, nie było
ciepła, serdeczności, miłości. Za każdym razem kiedy się do ciebie zbliżałem,
czekałaś, żebym czym prędzej skończył i dał ci spokój.

- Nie masz racji. To nie tak...

Garth rozumiał teraz, że to oczywiście nie brak seksu był przyczyną jego żalów.
Nie, najgorszy był strach, że Claudia się od niego oddała, że traci jej miłość, że nie jest
już jej potrzebny, że nie ma dla niego miejsca przy żonie i córce, że jest w ich życiu
zbytecznym naddatkiem.

Oczywiście mylił się w swoich oskarżeniach pod adresem Claudii, tak jak mylił
się, wyrzucając jej, że jest wobec niego oziębła. W początkach małżeństwa ujmowała

go swoją zmysłowością, oddawała mu się całkowicie i bez reszty. Kiedy się poznali, była dziewicą, ale nie powiedziała mu o tym, reagowała za to na jego pieszczoty tak namiętnie i intensywnie, że domyślił się prawdy dopiero wówczas, gdy poczuł nieoczekiwany opór.

Pokochał ją wtedy jeszcze bardziej. Była w jego oczach ideałem, uosobieniem doskonałości, i to wcale nie dlatego że nie była wcześniej z żadnym mężczyzną, ale dlatego, że oddała mu się tak całkowicie.

Spojrzał ponownie na zegarek. Nie, nie może dzwonić o tej porze. Poczekaj do rana.

Domyślał się, jak musiała zareagować na wieść o wyjeździe Tary. Wiedział dobrze, co czuła i ile ją kosztowało, żeby do niego zadzwonić.

„To betka” - słyszał jeszcze pogodny głos Tary, pokpiwającej z inkwizycyjnych zapędów ciotki Rya.

Betka, dobre sobie.

- Co cię gryzie? - Ryland wyciągnął ramię i przytulił mocniej Tarę do siebie.

- Skąd wiedziałeś, że nie śpię? - zagadnęła, odpowiadając pytaniem na pytanie.

- Wiedziałem i już. Martwisz się o mamę, tak? Obróciła się i położyła głowę na piersi ukochanego.

- Nic nie powiedziała. Ale widziałam jej twarz... oczy... - Tara stłumiła szloch. - Czuję się winna, że ją zostawiam, Ry, ale wiem też, że nie mogłabym żyć bez ciebie.

- Ani ja bez ciebie. Choćbym miał cię porwać i siłą wsadzić do samolotu, pojedziesz ze mną - oznajmił Ryland i dodał już poważniej: - Gdybym mógł coś zmienić i zostać tutaj, na pewno bym to zrobił. Ale nie mogę. Jestem jedynym facetem w moim pokoleniu. Stryj był dwanaście lat starszy od ojca, gdyby miał syna, wszystko ułożyłoby się zupełnie inaczej, a tak... Wiesz przecież, że w naszej rodzinie zawsze była niepisana umowa, że kiedy ciotka wycofa się z interesów, ja przejmę prowadzenie firmy.

- A ta twoja kuzynka... - zaczęła Tara, mając na myśli jedyną córkę stryja i ciotki, lecz Ry pokręcił tylko głową i nie pozwolił jej dokończyć.

- Margot nigdy nie interesowała się firmą. To nie ten typ.

- Co przez to rozumiesz? - Tara zmarszczyła czoło. Wiedziała o niej tylko tyle, że dziewczyna jest siedem lat starsza od Rya i że dotąd nie wyszła za mąż.

- Owszem, Margot pracuje w firmie - odpowiedział. - Prowadzi archiwum, w którym przechowujemy oryginały wszystkich wydanych u nas książek. Ale nie ma zamiaru przejmować interesów.

- Może chce wyjść za mąż, mieć dzieci.

- Nie - Ryland stanowczo pokręcił głową.

- Skąd ta pewność?

- Margot nie wyjdzie za mąż. Nigdy nie będzie mogła poślubić tego, kogo pragnie - stwierdził Ry, a widząc zdziwioną minę Tary, dodał: - Ona kocha Lloyda, syna brata matki. Są kuzynami w pierwszej linii. W Massachusetts i w wielu innych stanach takie małżeństwa są zabronione, zresztą ciotka nigdy by się na to nie zgodziła. Margot zakochała się w nim, kiedy miała piętnaście lat i od tamtego czasu... Zresztą, w naszej rodzinie nie mówi się o tym.

- A czy on... czy ten Lloyd ją kocha? - zapytała Tara tonem pełnym współczucia.

- Lloyd jest żonaty, ma dwójkę pasierbów. Mieszka w Kalifornii, gdzie ciotka założyła filię naszego wydawnictwa. Jest tam szefem. Publikuje na potrzeby miejscowego uniwersytetu mniej więcej to samo, co my dla Yale i Harvardu.

- Wysłała go tam, żeby był z dala od Margot - powiedziała Tara cicho.

- Pewnie tak. Oni nie mogą być razem, to wbrew prawu. Ciotka zrobiła tak dla ich dobra.

- I co ona na to?

- Margot? Załamała się, kiedy Lloyd powiedział jej o swoim ślubie. Obydwoje spotykają się w czasie wakacji na wyspie. Mój pradziadek kupił wyspę...

- Wyspę? Twoja rodzina ma wyspę? Ryland machnął z lekceważeniem ręką.

- Nic wielkiego. Spłachetek skalistej ziemi. W każdym razie tam się spotykają Margot i Lloyd. Ale o tym się nie mówi.

Tarę przeszedł dreszcz, objęła mocno ramiona dłońmi. Próbowała wyobrazić sobie, jak to jest, kiedy kocha się kogoś, z kim nie można być, kogo tak naprawdę nie można mieć.

Kiedy się poznali, Ryland bagatelizował przed Tarą rolę, jaką miał odgrywać w przyszłości w rodzinnej firmie. Mówił, że przyjechał do Anglii, by poznać tutejsze wydawnictwa, opowiadał, jak to jego pradziadek założył małą oficynę, w której publikował skrypty i podręczniki pisane przez kolegów z Yale i uniwersytetu Harvarda.

Firma rozwijała się, przynosiła coraz pokaźniejszy dochód, utrzymując przez cały czas ścisły kontakt ze środowiskami akademickimi. Po przedwczesnej śmierci stryja, który zginął w czasie katastrofy jachtu (regaty pełnomorskie były jego ulubionym zajęciem), jego żona, a ciotka Rylanda przejęła prowadzenie wydawnictwa. Ojciec Rylanda zajmował się tymczasem wyborem książek do publikacji, ich promocją i kolportażem.

Zarządzana przez ciotkę firma odnosiła kolejne sukcesy, natomiast jej właścicielka cieszyła się niekłamanym szacunkiem bostońskiej finansjery. Wiele spośród pierwszych rodzin Bostonu z radością weszłoby w koligacje z Marthą Adams, wydając córkę domu za bratanek zmarłego Adamsa, ale Ryland nie myślał o małżeństwie - w każdym razie nie rozważał takiej możliwości do momentu, kiedy poznał Tarę. Dopiero ona zmieniła jego zapatrywania, kiedy zaś tylko ją zobaczył, od razu wiedział, że to ta jedyna.

Być może był w tym względzie podobny do swojej kuzynki Margot.

Było w Tarze coś takiego, jakiś element idealizmu, być może rezultat wychowania w atmosferze bezwarunkowej miłości i czułości, co czyniło ją osobą wyjątkową i co sprawiło, że Ry natychmiast ją pokochał.

- Rozumiem, że musisz wracać - zapewniła Tara, dodając: - Szkoda tylko, że Boston jest tak daleko.

- Nie jest daleko - odparł cicho, ujął jej twarz w dłonie i powtórzył: - Nie jest. Nachylił się, by ją pocałować, jednak Tara pokręciła głową.

- Dla nas może nie, ale dla mamy tak. Poznałam to po jej oczach. Wyglądała na przerażoną. Zupełnie jakby... Nigdy jej takiej nie widziałam. Nawet wtedy kiedy ona i ojciec... Och, Boże, ten ich rozwód to było dla mnie coś strasznego. Nie chcę, żeby nam się kiedykolwiek przydarzyła podobna historia.

- Nie przydarzy się - zapewnił łagodnie Ry. - Nigdy. A twoja matka potrzebuje prawdopodobnie trochę czasu, żeby przywyknąć do myśli o naszym wyjeździe - dodał pocieszająco. - Zobaczysz, że szybko się przyzwyczai. Ma przecież swoje własne życie, jest ciągle aktywną i bardzo atrakcyjną kobietą... tak, bardzo atrakcyjną - dodał z uznaniem, na co Tara natychmiast szturchnęła go w bok. - Może powinniśmy ją zaprosić, jak się tylko zdomowimy - podsunął i zaczął powoli całować dłoń Tary.

- Uhm... - mruknęła w odpowiedzi.

- Uhm - zgodził się Ryland, całując teraz jej pierś. Tara zamknęła oczy i poddała się rozkoszным pieszczotom.

Kiedy się poznali, Ryland żartował sobie z jej „rozwiązłości”. Pewni już, że są stworzeni dla siebie, uczcili to objawienie, spędzając wspólnie romantyczny weekend w zacisznym wiejskim hoteliku. Zamieszkali w pokoju, w którym było ogromne łóżko z baldachimem, kominek, a przed kominkiem miękki dywan. Kochali się na łóżku, kochali się przed kominkiem, a Tarze wciąż było mało. Oddawała mu się bez reszty, zapamiętywała się w tych miłosnych, szalonych i niemal lubieżnych sesjach. Jej namiętny temperament dziwnie nie licował z wyciszonym, niemal powściągliwym zachowaniem na co dzień.

- To dlatego, że się w tobie zakochałam - oznajmiła mu wówczas z powagą i Ryland wiedział, że dziewczyna mówi prawdę.

Impulsywna, spontaniczna, bardzo emocjonalna, Tara umiała zarazem kontrolować swoje emocje, trzymać je na wodzy i przewidywać możliwe ich konsekwencje. Twierdziła, że po ojcu odziedziczyła namiętną intensywność uczuć, po matce natomiast siłę i mądrość panowania nad nimi. Natura namiętna i nazbyt wrażliwa może być niekiedy groźnym obciążeniem, ale czułe wychowanie dało Tarze wewnętrzny spokój i szczęście dziedzictwa przejętego od obydwójga rodziców.

Lubiła myśleć, że na jej charakter składa się bogactwo cech jej ojca i matki. Lubiła myśleć, że jej dzieci, te które przyjdą na świat ze związku z Rylandem, będą krwią z ich krwi. Pewnego zaś dnia, jak ona kiedyś, nastawią ucha, by z chłonną uwagą wysłuchiwać opowieści dziadków i ich wspomnień z lat młodości; jak ona będą czerpać z tych opowieści poczucie ciągłości rodziny, rodzinnej tradycji, poczucie bezpieczeństwa, ciepła i przynależności.

- Bywało, że w czasie wizyt u dziadków łyzy cisnęły się jej do oczu, gdy widziała, z jaką miłością i dumą patrzą na wnuczkę, albo gdy spoglądała na przedmioty, które otaczały ją od wczesnego dzieciństwa: serwis obiadowy z sewskiej porcelany kupiony przez kogoś z rodziny matki we Francji, medale przejęte przez dziadka po kądzieli po śmierci jego stryja, weterana z Sommy. Wyprawna pościel, którą obydwie jej babki otrzymały wychodząc za mąż i której, jak same z ociąganiem przyznawały, nigdy nie używały, przedkładając wygodniejszą i lżejszą w praniu produkcję fabryczną.

Mimo nowoczesnych zapatrywań na życie, Tara była bardzo związana z rodzinną tradycją, wsłuchana w rodzinną przeszłość. Ryland, który zdążył już poznać tę cechę ukochanej, miał nadzieję, że nastawi ona ciotkę przychylnie do jego przyszłej żony.

Ani by zresztą potrzebował, ani zabiegał o przychylność ciotki, gdyby nie fakt, że wychowany w poczuciu odpowiedzialności, od dawna był przygotowywany do przejęcia rodzinnych interesów. Nie powiedział jeszcze Tarze o pewnych zależnościach w rodzinie i pewnych kwestiach związanych z prowadzeniem firmy, ale nie zagrażały one w niczym jego miłości do Tary. Kto wie, gdyby Margot zdecydowała się jednak wyjść za mąż...

Uśmiechając się do siebie w ciemnościach, przytulił śpiącą Tarę. Czy jego rodzina mogłaby jej nie pokochać? Czy mogli znaleźć najmniejszą wadę w osobie tak cudownej, tak zachwycającej, tak pod każdym względem doskonałej, jak jego Tara?

- Ryland wraca do domu. Przyjeżdża z dziewczyną.

- Z dziewczyną? Co to za jedna? - Lloyd uniósł się na łokciu i spojrzał bacznie w twarz kuzynki.

Margot wzruszyła obojętnie ramionami.

- Nie wiem, jakaś Angielka.

- To coś poważnego?

- W naszej rodzinie nie ma poważnych związków, o ile matka ich nie zaakceptuje. Wiesz przecież.

W głosie Margot słyhać było gorycz i niechęć, takie samo rozgoryczenie i zniechęcenie malowało się na jej twarzy. Usiadła w pościeli, z leżącej na szafce nocnej paczki wyjęła papierosa, zapaliła i zaciągnęła się głęboko.

Ostre światło poranka ujawniało w sposób okrutny kanciastość jej sylwetki i ostre rysy twarzy. Szczupła jako dziewczyna, teraz była rozpaczliwie chuda, tak jakby ta cecha fizyczna stanowiła zewnętrzny przejaw frustracji i rozczarowań, które odmieniły boleśnie jej życie i zdawały się pożerać ciało w sposób równie niszczący i bezwzględny, jak choroba.

- Mój Boże, gdyby wszystko ułożyło się inaczej - westchnęła gwałtownie, spoglądając na leżącego obok niej mężczyznę.

Dzieliła ich różnica trzech lat - i odległość sześciu tysięcy kilometrów. Kradzione krótkie chwile i coroczny sześciotygodniowy pobyt na wyspie należącej do matki Margot i ciotki Lloyd, to wszystko, co mieli dla siebie.

Od dwudziestu lat w każde wakacje przyjeżdżali tutaj, żeby być razem z dala od wścibskich spojrzeń. Byli kuzynami w pierwszej linii. Zbyt bliskie pokrewieństwo przekreślało - przynajmniej według prawa obowiązującego w niektórych stanach - możliwość legalnego związku, którego Margot tak bardzo pragnęła. Nie potrafiła powiedzieć, czy bardziej ich nienawidzi, czy też bardziej tęskni za tymi kilkoma letnimi tygodniami, w każdym razie rozpaczliwie wypatrywała tych wspólnych chwil, a kiedy wreszcie nadchodziły, cierpiała jeszcze bardziej, świadoma tego, że nigdy nie ziści się największe pragnienie jej życia - być z Lloydem, być z nim na zawsze, przez cały czas, w dzień i w nocy.

Lloyd cierpiał nie mniej, tęsknił równie mocno. Bolał, pragnął, kochał w tym samym stopniu. Cóż, jeszcze zanim się zakochali w sobie, obydwójce wiedzieli, że to zakazana miłość. A zakazana miłość rzadko przynosi szczęście.

- Co będzie, jeśli zajdę w ciążę? - zapytała Margot z drzeniem w głosie, kiedy po raz pierwszy mieli się kochać, gdzieś na piasku, pod drzewami niedaleko domu.

- Nie zajdziesz - zapewnił ją Lloyd, wyjmując z kieszeni prezerwatywy.

I tak się zaczęło to bezlitosne koło tortur, od którego nie było ucieczki ni wytchnienia. Nawet w ramionach Lloyd, Margot myślała tylko o tym, że wkrótce znów będą musieli się rozstać i wrócić każde do własnego życia.

- Zostań ze mną - zaklinała go gorączkowo pewnego lata dawno, dawno temu. - Nie patrzmy na nic, tylko bądźmy razem. Zostań...

- Nie mogę, wiesz przecież. Boję się, że Carole-Ann zacznie coś podejrzewać. Prawdę mówiąc, boję się, że będziemy musieli...

- Nie! - wybuchnęła Margot, zanim zdążył skończyć zdanie. - Jeśli zacznie podejrzewać, znajdziemy jakiś sposób, żeby... Ona nie może nas rozdzielić, Lloyd. Ma cię dla siebie przez cały czas. Czy ona zdaje sobie sprawę, ile ma szczęścia, że jest twoją żoną? - dopytywała się z pasją. - Tak bardzo bym chciała...

Lloyd wziął ją w ramiona i uciszył krótkim zdaniem:

- Wiesz, że to niemożliwe.

- Och, Lloyd... - płakała. - Dlaczego tak musi być? Dlaczego nie możemy być razem? Wyjedźmy gdzieś, zamieszkajmy za granicą...

- Nie możemy. Z czego byśmy żyli? Oboje jesteśmy uzależnieni od naszej firmy.

Podobnych rozmów, podobnych scen w pamięci Margot było wiele. I miało być jeszcze więcej, co uświadamiała sobie za każdym razem, kiedy zbliżał się termin ich ponownego spotkania na wyspie, czy może raczej termin kolejnego rozstania. Teraz też była o krok od płaczu.

- Lato tak szybko mija - odezwała się, otrząsając się ze wspomnień. - Jeszcze tylko trzy tygodnie i trzeba będzie wracać. Och, Lloyd, nie wiem, jak to dłużej zniosę.

Lloyd przymknął oczy. Ogarniało go coraz większe zmęczenie. Obydwoje nie byli już młodzi i to podwójne życie kosztowało go wiele sił. A przecież musiał ich mieć niemało, zwłaszcza że zarządzanie kalifornijską filią rodzinnego wydawnictwa było zajęciem mocno absorbującym. Lloyd nie narzekał, wręcz przeciwnie. Firma, którą ciotka założyła, by usunąć go z Bostonu, okazała się niezwykle dochodowym przedsięwzięciem i z całą pewnością zawiadywania nią nie można było nazwać synekurą. Kochał też Margot i wiedział, że zawsze będzie ją kochać, ale niekiedy jej namiętność, zachłanność i całkowite uzależnienie od jego osoby okazywały się zbyt wielkim obciążeniem.

Czy byłby zatem gotów zrezygnować z owych sześciu tygodni, które spędzał na wyspie każdego lata pod pozorem, że zdaje ciotce raport z całorocznej działalności

kalifornijskiej filii? Och, nie, na pewno nie. Były dla niego wytchnieniem, osłodą trudów i przeciwności; dla Margot zaś - osią i istotą jej egzystencji.

- Gdyby nie te nasze spotkania, życie nie miałoby dla mnie najmniejszego sensu - powtarzała często, a on z narastającym poczuciem winy myślał, że uzależniając ukochaną od siebie, sam wiąże sobie ręce i nie może decydować w sposób swobodny o własnym życiu.

Rzecz miała się inaczej, kiedy byli młodzi. Wtedy dzielił namiętność Margot. Ogarniały go te same obezwładniające uczucia. Ale teraz? Teraz zbliżał się do czterdziestki i coraz częściej pytał siebie o to, co do tej pory osiągnął.

Z materialnego punktu widzenia jego życie nie pozostawiało nic do życzenia - dobra praca, konto w banku, ładne mieszkanie, nowy samochód. Ale pod innymi względami? Co z tymi aspektami życia, których nie można ocenić pieniędzmi i stanem posiadania?

Tu było gorzej. Był rozwiedziony, miał dwie pasierbice, które rzadko widywał, kilku przyjaciół, Margot...

- Powiedz mi, Lloyd, że wszystko będzie dobrze, że zawsze będziemy razem - poprosiła go żarliwie, wyrывая ze smętnych rozmyślań.

Zmęczony przytaknął, ale wiedział, że w jego głosie nie słychać pewności i przekonania.

Rozdział 4

Co to za hałas?

Nieprzytomna, wyrwana z głębokiego snu i wciąż oszołomiona tabletkami, usiłowała rozpoznać dojmujący, przenikliwy dźwięk. Dobrą chwilę trwało, zanim uświadomiła sobie, że to dzwonek telefonu. Minęła następna, zanim wreszcie podniosła słuchawkę.

- Claudia? Tu Maxine - usłyszała po drugiej stronie głos swojej asystentki. - Wszystko w porządku? Trochę się zaniepokoiłam, kiedy nie przyszedł rano do pracy.

Claudia uniosła z wysiłkiem powieki, spojrzała na budzik i przeraziła się. Po jedenastej! Prawie południe! Nic dziwnego, że Maxine się niepokoiła.

- Ojej... przepraszam, Maxine - zaczęła się usprawiedliwiać. - Ja... zamierzałam zadzwonić do ciebie wczoraj wieczorem, uprzedzić cię, że zostanę w domu. Mam trochę zaległej papierkowej roboty, więc postanowiłam...

Nie była to wyłącznie nieprawda. Claudia rzeczywiście miała zaległą pracę, którą powinna skończyć. Czy jednak w tym stanie ducha będzie w stanie się nią zająć?

Spała tak głęboko, że nawet jeśli męczyły ją złe sny, nic z nich nie zapamiętała. A jednak noc przespana w otępieniu wywołanym tabletkami nasennymi była równie męcząca, jak spędzona bez zmrużenia powiek. Odretwiała, zła na samą siebie, zdjeta wyrzutami sumienia, podniosła się z łóżka, wyjęła z komody czystą bieliznę i przeszła do łazienki, by wziąć prysznic.

Stojąc pod ciepłym strumieniem, pomyślała, że tabletki jednak się przydały, skoro uniknęła dzięki nim nocnych koszmarów. Nagle przestała mydlić ciało i znieruchomiała na moment, przypominając sobie z dreszczem zgrozy radość w głosie Tary, która z podnieceniem opowiadała o swoich planach. Czy ona, jej matka, zrobiła cokolwiek, by przygotować swoje najdroższe, ukochane dziecko na to, co je czekało? Czy nauczyła je, jak uchronić się przed nadchodzącymi wydarzeniami?

Spod przymkniętych powiek popłynęły gorzkie łzy. Niczego nie zrobiła, nic jej nie powiedziała. Gdy usłyszała z ust Tary te druzgocące słowa, gdy okazało się, że nadszedł ten moment, w którym musi być silna, by stawić czoło niebezpieczeństwu,

zachowała się jak kobiety z pokolenia jej matki - popatrzyła tylko na córkę, a potem zapytała: „Czy powiedziałaś już ojcu”?

Jakby zaś tego było mało, zażyła tabletki i uciekła w otchłań snu, by nie myśleć o tym wszystkim. Stchórzyła. Wskórała zaś tyle tylko, że zaniepokoiła swoim postępowaniem lojalną i zapracowaną sekretarkę.

Z drugiej jednak strony, co mogła zrobić, co powiedzieć? Być może przesadza, reaguje histerycznie, niepotrzebnie się zamartwia...

Oby.

Wyszła spod prysznic, sięgnęła po ręcznik, kątem oka dojrzała swoje odbicie w lustrze. Ściągnięta bólem, zmęczona twarz nie pozostawiała wątpliwości co do prześladowających Claudię myśli. Ostatnio widziała siebie taką, kiedy podjęli z Garthem decyzję o rozwodzie.

Garth...

Po co właściwie chciała do niego zadzwonić? To było głupie, naiwne, dyktowane jakąś niepojętą desperacją, może paniką. Czy mogła się spodziewać pokrzepienia po rozmowie z byłym mężem? Wiedziała przecież od Tary, że Garth od kilku miesięcy spotyka się z jakąś kobietą. Tara narzekała nawet, że ta trzydziestokilkulatka nie może być odpowiednią partnerką dla jej ojca. Pewnie stracił głowę dla młodszej i ani myśli rozmawiać z dawną żoną. Jest lojalny wobec nowej partnerki, zawsze był lojalny. No, może prawie zawsze...

Podobnie jak Claudia, chociaż z innych powodów. Garth od chwili rozpadu ich małżeństwa nie nawiązał z nikim poważniejszej znajomości. Był niezwykle przystöjny, bardzo zmysłowy, a w pierwszym okresie małżeństwa tak jawnie i otwarcie demonstrował swoją miłość do żony, że przyjaciółki Claudii z zazdrością mówiły o niezwyklej żarliwości jego uczuć. Inaczej też niż mężczyźni z jego pokolenia i z jego środowiska, był wyjątkowo wrażliwy na czule gesty, zarówno jako kochanek, jak i jako ojciec. Tara wdała się w niego pod tym względem. Ona też uwielbiała pieszczoty, pocałunki, lubiła się przytulać. Claudia natomiast wolała zachowywać dystans, nigdy nie wychodziła pierwsza z dowodami uczuć, czekała na ruch z drugiej strony.

Nawet teraz niechętnie myślała o tym, jak bardzo brakowało jej fizycznej bliskości Gartha i jego serdeczności w okresie, kiedy dowiedziała się prawdy; jak

często budziła się z dręczących ją majaków i obracała się odruchowo w łóżku, szukając w nim męża, oczekując, że Garth otworzy ramiona i przytuli ją mocno. Najgorsze było to, że przebudzeniom tym wcale nie towarzyszyła ulga - męka godzin na jawie była jeszcze gorsza niż nocne zwidy, które ją prześladowały.

Z czasem wyleczyła się z tych tęsknot. Uważała, że to niestosowne, by kobieta czterdziestopięcioletnia i matka dorosłej córki wzdychała za fizyczną bliskością i emocjonalnym kontaktem z kochankiem, którego życie jej poskaپیło. Powtarzała sobie uparcie, że rozwód z Garthem był słusznym krokiem, jedynym, jaki mogła podjąć w danych okolicznościach. Garth zawiódł jej zaufanie, oszukał ją, okłamywał przez tak długi czas, że nie mogło być mowy o naprawieniu wyrządzonych krzywd.

Dlaczego zatem wczoraj, wiedzona impulsem, chciała szukać pomocy właśnie u niego?

Och, ponieważ Garth był ojcem Tary. Oto jedyny powód, dla którego zadzwoniła do Londynu.

Wróciła do sypialni, poprawiła ręcznik, w który była owinięta, i sięgnęła po suszarkę do włosów. Próbowwała się uspokoić, lecz niechciane myśli same tłoczyły się do głowy.

Od chwili rozpadu ich małżeństwa, wręcz obsesyjnie broniła własnej niezależności i możliwości samotnego mierzenia się ze światem, samodzielnego rozwiązywania własnych problemów. Nie potrzebowała nikogo, żadnego mężczyzny, u którego miałyby szukać wsparcia; dowiodła tego przez lata.

Ostatniego wszakże wieczoru uległa panice. Przestała myśleć i jak idiotka zadzwoniła do Gartha. Na szczęście nie podszedł do telefonu. Na szczęście. Dzisiaj rano, kiedy jest bardziej opanowana, spokojniejsza...

Suszarka w jej dłoni zaczęła drżeć. Claudia odłożyła ją powoli na bok, wzięła głęboki oddech i licząc cicho, wypuściła powietrze.

Dobrze, zacznij od początku, nakazała sobie surowo. Dzisiaj czwartek, zbliża się południe. Zmarnowałaś cały ranek. Co masz zamiar zrobić z resztą dnia?

Przebiegła szybko w myślach popołudniowe zobowiązania.

Była umówiona na towarzyski lunch, potem o trzeciej czekało ją zebranie w firmie i wreszcie, najmilszy obowiązek, spotkanie z architektem zieleni, którego chciała prosić, żeby zaprojektował nową aranżację ogrodu.

Usłyszała o nim na początku roku, kiedy jako gość jednego ze swoich klientów wzięła udział w wielkiej wystawie kwiatów, Chelsea Flower Show. Zobaczyła projekty owego architekta i z miejsca się nimi zachwycała. Później okazało się, że projektant jest niezwykle wybredny jeśli chodzi o zlecenia i że chętni czekają w długiej kolejce. Ona jednak uparła się i teraz oto miało dojść do pierwszych rozmów w sprawie zmian w ogrodzie Ivy House.

Rozmyślając o ogrodzie, podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. Dom miał już duży ogród, kiedy go kupowali, a z biegiem lat Claudia i Garth jeszcze go powiększyli. Początkowo był w opłakanym stanie - zaniedbane trawniki, rozrośnięte krzewy, otoczone od dawna nie strzyżonym żywopłotem stary warzywnik i cieplarnia - jednak rok po roku jego wygląd zmieniał się na lepsze.

Na szóste urodziny kupili Tarze w prezencie śliczny dom do zabaw, który stanął na trawniku. Claudia przez cały miesiąc szyła zasłony, narzuty i pokrowce na miniaturowe mebelki.

Po pewnym czasie domek został otoczony płotem i otrzymał własny ogródek, w którym zasadzili pnącą różę. Krzew zakrywał teraz niemal zupełnie mały drewniany budynek, ale Tara przez kolejne lata z uporem zabraniała matce zmieniać cokolwiek w jej dziecięcej samotni. Aż raptem, w ostatnie Święta Bożego Narodzenia oznajmiła, że czas zrobić w ogrodzie porządek i przekazać domek jakiemuś dziecku, które będzie się w nim bawić.

Już wtedy powinna była się domyślić. Matczyny instynkt powinien był jej podpowiedzieć, że Tara żegna się nie tylko ze starym domkiem dla lalek.

Nie podpowiedział. Claudia nic nie przeczuwała, była zbyt zaabsorbowana nerwowymi przygotowaniem do nadchodzących świąt.

A może nie chciała dostrzec prawdy? Nawet gdyby jednak dostrzegła, co mogła zrobić? Zabronić Tarze spotykać się z Rylandem, zakazać jej miłości?

Ogród, napomniała się w myślach, zajmij się ogrodem. Tak się cieszyłaś planowanymi zmianami, pamiętasz?

Czy pamięta? Oczywiście, że pamięta. W końcu przez kilka ostatnich miesięcy każdą wolną chwilę spędzała, ślęcząc nad książkami na temat ogrodnictwa, podziwiając proponowane tam rozwiązania, zachwycając się zdjęciami krzewów, kwiatów, klombów, pergoli, malowniczych oczek wodnych... Chciała mieć je wszystkie, zachowywała się jak dziecko w sklepie ze słodyczami.

Tak, znacznie lepiej zająć się ogrodem niż ulegać panice i lękom, jakie wywoływało wspomnienie wizyty Tary.

A więc ogród. Sadržawka w ogrodzie. Przyjaciółka ostrzegała ją, by nie wpuszczała do wody japońskich karp. Podobno są piękne, ale zjedzą wszystko - lilie i nenufary. Są przy tym tak bezczelne, że wystawiają pyszczki i domagają się jedzenia, ile razy się do nich zbliżyć.

Claudia widziała już oczyma wyobraźni zarówno przyszłą sadzawkę, jak i podwójny rząd starannie przyciętych cisów przecinających trawnik, na którego obrzeżach rosłyby tradycyjne byliny: ostróżki, maki, łubiny. Wśród kwiatów wiodłaby ścieżka do małego ogrodu wewnętrznego, być może z gruszą płaczącą i klombem białych kwiatów. Snuła gorączkowe plany, ale kształt przyszłego ogrodu umykał, zaś w jego miejsce powracał lęk o córkę i nieznośna myśl o wiadomości, którą wczoraj przywiozła.

Odwróciła się od okna, objęła głowę dłońmi.

Potrzebowała czasu. Czasu do namysłu.

Rozdział 5

Garth wyjechał z Londynu później niż planował, zatrzymał go bowiem pilny telefon od klienta. Na domiar złego zaraz po wyjeździe trafił na roboty drogowe na szosie i stracił kolejną godzinę. Ostatecznie do Upper Charfont dotarł dopiero po jedenastej.

Jego dwupiętrowy dom z wąskim ogrodem i georgiańską fasadą z widokiem na rzekę leżał w części miasta objętej ochroną konserwatora. Architekt i deweloper, którzy przeprowadzali renowację podupadłej dzielnicy, byli klientami Gartha. Trochę się z nimi potargował w nieco staroświeckim, małomiasteczkowym stylu i ostatecznie kupił dom za bardzo przystępną cenę.

W ostatnich latach spędzał tutaj mniej czasu niż by pragnął. W okresie recesji firma w Londynie pochłaniała cały wolny czas i Garth prawie nie opuszczał stolicy; wrywał się do Upper Charfont dopiero wtedy, gdy Tara zaczynała wakacje w szkole i mogli spędzać więcej czasu razem.

Jak we wszystkich sprawach będących konsekwencją rozwodu, Claudia i tutaj zadbała o rozwiązanie możliwie najbardziej korzystne dla obu stron. Przede wszystkim zaś dla Tary, która miała jak najwięcej czasu spędzać z ojcem. Nie było zatem sztywno ustalonych zasad i terminów spotkań, a dostęp rodziców do córki był równy.

- Tara jest w końcu twoim dzieckiem. Kocha cię i potrzebuje ojcowskiej opieki - oznajmiła mu wtedy sztywno wyprostowana, ze wzrokiem wbitym gdzieś w bok. Rozmawiała z nim tak spokojnie, że gdyby nie znał jej dobrze, nigdy by nie odgadł, że Claudia bezgłośnie płacze.

Pogoda dopisała mu w drodze do Gloucestershire - niebo było bezchmurne, świeciło słońce. Wypadał właśnie dzień targowy i na ulicach roiło się od turystów oraz miejscowych gapiów ubranych w szorty i podkoszulki. Była to jedna z tych sytuacji, kiedy przeklinał w duchu, że idąc za przykładem księcia Walii, jeździ rzucającym się w oczy i budzącym zazdrość aston martinem. Ludzie patrzyli rzeczywiście z

zazdrością, inni rozpoznawali go natychmiast i pozdrawiali, gdy przejeżdżał przez miasteczko.

Znalazł miejsce na parkingu w pobliżu biura, w którym mieściła się firma Claudii, i pomyślał z niechęcią, że w maleńkim Charfont wiadomość o jego przyjeździe dotrze do niej wcześniej niż on sam. Wiedział, że Claudia na pewno zaprzeczy na swój chłodny, pełen dystansu sposób, z jakim traktowała go teraz, gdy nic ich już prawie nie łączyło. Zaprzeczy, twierdząc, że nic jej do tego, czy Garth przyjeżdża, czy nie. On jednak i tak uśmiechnie się do niej, niepomny jej chłodu, mimo wszystko życzliwy, dumny z jej osiągnięć.

Tak, Garth był dumny z Claudii. Była świetnym konsultantem, zaufanym przyjacielem, kochającą córką i synową, a jako matka...

Wszedł do recepcji, gdzie zza biurka powitała go Maxine.

- Claudii dzisiaj nie ma - oznajmiła z miejsca, gdy tylko go rozpoznała. -
Pracuje w domu.

- Nic nie szkodzi - rzucił w stronę dziewczyny obojętnym z pozoru tonem, ta spostrzegła jednak, że wyraźnie spochmurniał.

Kiedy wyszedł, wahała się chwilę, czy nie powinna zadzwonić do przełożonej i nie uprzedzić jej, że były mąż pojawił się w mieście. Przypomniała sobie jednak, jak Claudia sztywnieje na każdą najmniejszą nawet wzmiankę o Garthcie, i uznała, że będzie dla niej lepiej, jeśli nie zrobi nic.

Jak wszyscy ludzie, którzy znali Claudię, Maxine była pełna podziwu dla sposobu, w jaki jej szefowa zniosła rozwód, spowodowany, jeśli wierzyć plotkom, męzowską niewiernością. Jeszcze bardziej podziwiała Claudię za to, że jej stosunek do męża w niczym nie naruszył relacji między ojcem a córką.

Niewiele kobiet zdobyłoby się na podobny altruizm, niewiele potrafiłoby utrzymać na wodzy własne uczucia dla dobra dziecka. Ale też Claudia zawsze była niezwykłą matką - mądrą, ofiarną, oddaną. Maxine pracowała dla niej od lat i nie pamiętała, by ta kiedykolwiek przedłożyła wyczerpującą skądinąd pracę nad dobrze pojęty interes Tary; nawet jeśli groziło to utratą intratnego kontraktu.

Tara zawsze była najważniejsza. Być może rację miała jedna z przyjaciółek Claudii, która stwierdziła kiedyś pod jej nieobecność, że gdyby ta choć w części tak dbała o męża, jak o córkę, nadal żyłaby w szczęśliwym związku.

Garth w posepnym nastroju zatrzymał się na podjeździe Ivy House. Wsiadł z samochodu i ruszył w stronę drzwi frontowych. Raptem zmienił zdanie, obrócił się na pięcie i poszedł w stronę przylegającej do ogrodowej elewacji oranżerii, którą dobudował z okazji dziesiątej rocznicy ślubu.

Zatrzymał się i przez chwilę przyglądał się przeszklonej konstrukcji. Ciężka żaba z brązu, którą kupili razem z Tarą na urodziny Claudii tego samego roku, nadal pilnowała drzwi. Nachylił się i namacał ukryty pod rzeźbą klucz.

Ich rozwód nie pociągnął za sobą na szczęście tak dramatycznych i traumatycznych posunięć, jak zmienianie zamków w domu, teraz więc bez trudu otworzył drzwi oranżerii i wszedł do środka.

Nie bał się, że Claudia nie zechce go wpuścić. Ich wzajemne stosunki, acz chłodne, układały się całkiem poprawnie. Tyle że...

Że co? Chciał zrobić jej niespodziankę, zaskoczyć ją, zobaczyć wyraz jej twarzy, zanim zdąży się ukryć za ścianą obojętności, którą między nimi wzniosła?

- Dlaczego? - pytał porywczo w krótki czas po rozwodzie. - Dlaczego, do diabła, traktujesz mnie z tą chłodną uprzejmością? Przecież byliśmy...

- Dlaczego? Ponieważ muszę! - odparła z dziką determinacją. - Muszę, bo gdybym tego nie robiła, mogłabym zdradzić się ze swoimi prawdziwymi uczuciami wobec ciebie, a przez wzgląd na Tarę nie mogę sobie na to pozwolić.

- Naprawdę aż tak bardzo mnie nienawidzisz? - zapytał wtedy.

- Owszem, tak bardzo.

- Znasz to powiedzenie: miłość i nienawiść to dwie strony jednej monety, tam gdzie jest nienawiść, tam musi być miłość - odparował.

- Tam gdzie była miłość, tam teraz jest nienawiść - poprawiła go Claudia. - Nienawiść do ciebie, a może jeszcze silniejsza do siebie samej, że byłam tak głupia, żeby się w tobie zakochać... żeby ci zaufać.

Maxine powiedziała mu, że Claudia pracuje tego dnia w domu, ale z pokoju, który służył jej za gabinet, nie dochodził żaden dźwięk.

Garth poczuł złowrogie ciarki na plecach.

Fakt, że zadzwoniła do niego poprzedniego wieczoru, był wystarczającym dowodem, jak bardzo musiała czuć się rozbita, ale Garth i bez tego telefonu wiedział, że wiadomość przywieziona przez Tarę musiała wyrzucić na Claudii koszmary efekt.

Zrobił po cichu kilka kroków. Dom, który za jego czasów rozbrzmiewał wesołym śmiechem małej Tary, zdawał się teraz obcy i niepokojąco cichy. Zdjęty złymi przeczuciami, Garth rzucił się ku schodom i przeskakując po dwa stopnie, pobiegł na górę.

- Claudia!

Później Claudia mówiła sobie, że jej machinalna reakcja na dźwięk głosu Gartha - reakcja, która kazała jej podbiec do drzwi sypialni i otworzyć je szeroko, choć miała na sobie wyłącznie ręcznik kąpielowy - była wyłącznie odruchem warunkowym i niczym więcej. Na szczęście w porę się zorientowała, co wyprawia, wzięła głęboki oddech i wyjrzała zza drzwi.

- Co ty tu robisz? - zapytała niespokojnie i zaraz pobladła na myśl, że widząc ją w domu o tej porze, w dodatku nie ubraną, bez trudu się domyśli, w jakim musi być stanie ducha.

Garth natomiast na jej widok poczuł przede wszystkim ulgę. Ta jednak zaraz się rozproszyła, kiedy tylko dostrzegł, jak Claudia zareagowała na jego obecność - była wyraźnie zakłopotana, pobladła, nerwowo zerkała za siebie, w stronę sypialni, tak jakby...

- Dlaczego nie pojechałaś do pracy? - zapytał podejrzliwie.

Spojrzała na niego z niechęcią.

- Nie twoja sprawa.

Odwróciła się na pięcie i wróciła do sypialni. Garth podążył w ślad za nią.

- Tak? - burknął i zamilkł na progu. Łóżko było zasłane. W pokoju nie dojrzał ani śladu obecności obcego mężczyzny.

- Co ty tu robisz, Garth... czego szukasz? - zapytała ostro Claudia, upewniwszy się najpierw, czy na szafce nocnej nie stoi przypadkiem buteleczka z proszkami nasennymi. Co prawda nie miał prawa wtrącać się w jej sprawy, ale z pewnością narobiłby szumu, gdyby pomyślał, że...

- Nikogo... niczego nie szukam. - Garth ugryzł się w język, zdawszy sobie sprawę, jak bardzo zdradził się przed Claudią, objawiając swą zazdrość.

Czy naprawdę spodziewał się, że zastanie kogoś w łóżku Claudii? Logicznie myśląc, raczej nie, natomiast emocjonalnie nawet teraz, tyle lat po rozwodzie, nie byłby w stanie zaakceptować innego mężczyzny w jej życiu.

- Dzwoniłaś do mnie wczoraj wieczorem - powiedział, czując, jak serce zaczyna bić zwykłym rytmem i powraca normalne ciśnienie krwi.

Claudia wzruszyła ramionami, uciekając wzrokiem przed jego spojrzeniem. -
Ja?

- Nie baw się ze mną w kotka i myszkę - ostrzegł ją. - Ja nie pytam, Claudio, tylko stwierdzam fakt. Dzwoniłaś. Wiem dlaczego. Tara powiedziała ci, że zamierza wyjść za Rylanda.

- Owszem, powiedziała - przytaknęła Claudia, nadal nie spoglądając na byłego męża. - Rzeczywiście dzwoniłam do ciebie, ale to jeszcze nie powód, żebyś przyjeżdżał tutaj bez zapowiedzi i zachowywał się jak postać z marnego dramatu.

- Kłamiesz, moja droga. Powiedziałem ci, że wiem doskonale, dlaczego zadzwoniłaś, a teraz mówię, że nie masz się czego wstydzić. Jeśli potrzebowałaś...

- Nie potrzebuję niczego i nikogo. A już na pewno nie ty jesteś mi potrzebny - przerwała mu gniewnie. - Nie mogę sobie pozwolić na to, by szukać pomocy u człowieka, któremu nie mogę ufać, człowieka, który...

- Możesz i powinnaś - wszedł jej w słowo Garth. - Do diabła, to żaden wstyd okazywać zwykle ludzkie uczucia... strach... słabość... Żaden wstyd zwracać się o pomoc.

- Proszę cię, żebyś stąd wyszedł, Garth. Natychmiast! - zażądała Claudia, po czym odwróciła się do niego plecami i podeszła do okna.

Nie mogła tego znieść. Nie teraz, nie po tym, co zaszło poprzedniego wieczoru. Czowała, że serce zaczyna się tłuc w jej piersi jak oszalałe. Usiłowała przełknąć ślinę, ale gardło miała tak ściśnięte, że nie była w stanie. Dłonie zwilgotniały jej od potu. Bała się, że jeszcze chwila, a nie zapanuje nad targającymi nią uczuciami - panika, strach, rozpacz wezmą górę, i to w obecności Gartha, ostatniego człowieka, który powinien być świadkiem jej załamania. Czy nie wiedział, nie rozumiał, że każde związane z nim

wspomnienie przesłania obraz, jaki od dawna tkwił w jej wyobraźni, obraz Gartha i tamtej, Gartha kochającego się z inną kobietą, obraz jego twarzy wykrzywionej pożądaniem i namiętnością? Obraz, który niczym targający trzewiami atak powracających nudności wydobywał się na powierzchnię świadomości? Obraz silniejszy od samokontroli, bolesny, gorzki, pulsujący, zrodzony z palącej zazdrości?

- Posłuchaj, Claudio, wiem, co musisz czuć. Zamiast wyjść, jak prosiła, stanął za jej plecami. Zesztywniała, czując jego oddech na karku.

- Nie, nie wiesz - ucieła. - Skąd możesz wiedzieć? Nikt nie wie.

Usłyszała w swoim głosie wzbierającą histerię i przeraziła się nagle. Przeklęty Garth! Po co to zrobił? Po co tu przyjechał? Dlaczego burzy jej kruchy spokój?

- Tara jest także moją córką, mnie też będzie jej brakować.

- Brakować? To nie w tym rzecz, że będzie mi jej brakować... - Chwytając z trudem powietrze, Claudia potrząsnęła głową. Nie była w stanie dokończyć zdania. - Nie wiem, co cię tu sprowadza, Garth - ciągnęła, uspokoiwszy się nieco - mnie w każdym razie czeka pracowity dzień. Chciałabym się wreszcie ubrać.

- Dlaczego dzwoniłaś do mnie wczoraj wieczorem? Odwróciła się wreszcie i spojrzała mu w oczy.

- To była pomyłka - oznajmiła, siłąc się na spokój. - Ja...

- Wybrałaś niewłaściwy numer? - rzucił Garth z przekąsem.

Pokręciła głową. Wiedział świetnie, że się nie pomyliła. Obydwoje wiedzieli.

- Chciałam powiedzieć, że popełniłam błąd.

- Nieprawda - nie dawał za wygraną Garth. - Zadzwoiłaś do mnie, bo twoje emocje, prawdziwe emocje wzięły wreszcie górę. Zadzwoiłaś, bo się boisz, bo byłem ci potrzebny...

- Nie! - zaprzeczyła. - Nie potrzebuję cię, Garth! Dawno temu przestałam cię potrzebować i...

- Bo byłem ci potrzebny nie jako ojciec Tary - ciągnął Garth, jakby nie słyszał jej słów pełnych pasji, niechęci i gniewu. - Nie jako ojciec, Clo, ale jako...

Na dźwięk tego czułego zdrobnienia poczuła się tak, jakby ktoś dotknął igłą jej odsłoniętego nerwu. Drgnęła gwałtownie, do oczu napłynęły jej łzy.

Widząc to, Garth przygarnął ją do siebie i przytrzymał mocno, by nie mogła uciec. Claudia pachniała tak samo jak dawniej: wanilią, czystą skórą i czymś jeszcze, co zawsze było i miało pozostać wyłącznie jej. Krucha w dotyku i delikatna, była jedyną kobietą, której kiedykolwiek pragnął, choć wiedział doskonale, że ona nigdy już w to nie uwierzy.

- Dobrze już, Clo... już dobrze - uspokajał ją stłumionym głosem.

Nieoczekiwanie, raptownie został przeniesiony w inny czas, w inne miejsce, inne życie, w którym miał jeszcze prawo obejmować swoją żonę, dotykać jej.

Claudia zamknęła oczy. Zagniewana, niechętna Garthowi, słyszała przecież w jego głosie pragnienie i tęsknotę. Cofnęła się w myślach do czasów, gdy ten specyficzny ton męża, dotyk jego dłoni przyprawiały ją o miłosne podniecenie. Nie chciała tego pamiętać, lecz ta pamięć trwała zapisana w jej ciele, skórze, sercu...

Czując, że ciało Claudii zaczyna tracić odpychającą sztywność, Garth nachylił głowę do pocałunku.

Claudia. Jego Claudia...

Wciągnął odurzający zapach jej skóry, przycisnął usta do ust. Końcem języka zaczął wodzić po jej wargach, czekając, aż rozchyli się zapraszająco, aż dadzą mu znak, że jest gotowa.

Nie doczekał się przyzwolenia. Gdzieś w pobliżu, koło domu, trzasnęły drzwiczki samochodu i Claudia ocknęła się na ten dźwięk. Powróciła w jednej chwili do rzeczywistości i napięła mięśnie, by go odepchnąć.

Do diabła, myślała, ma czterdzieści pięć lat, a nawet gdyby nie miała, gdyby nie była... gdyby oboje nie byli... Och, w żadnym razie nie mogłaby uznać, zaakceptować u ludzi w ich wieku tak otwarcie seksualnego zachowania, na jakie właśnie pozwalał sobie Garth. To po prostu nie do pomyślenia. Tak przecież nie można... nie można i już!

- Puść mnie - powiedziała lodowatym głosem i odepchnęła go zdecydowanie. - Zostaw mnie w spokoju. Nie mogę znieść, kiedy mnie dotykasz... Nienawidzę twojego dotyku, brzydzę się tobą! - wyrzuciła z siebie z poczerwieniałą od gniewu twarzą.

- Nie! - sprzeciwił się porywczo. Rozmyślnie rozniecał w sobie wściekłość, by ukryć zupełnie inne, o wiele bardziej złożone emocje. Wstrząsnęło nim odkrycie, że

tak łatwo dał się wywieść w pole własnym uczuciom, że uległ niebezpiecznym i ulotnym mirażom, wziął złudę za rzeczywistość.

- Owszem - oznajmiła Claudia lodowatym tonem. - Nie chcę, żebyś mnie dotykał, Garth - powtórzyła spokojnie. - Nie chcę, bo ilekroć to robisz, widzę tamtą, rozumiesz? Widzę, jak ją obejmujesz, i robi mi się niedobrze... jest mi niedobrze - oznajmiła, siłąc się na spokój.

- Mnie też robi się niedobrze - powiedział Garth z goryczą. - Traktujesz mnie jak trędowatego, jak wyrzutka, który nie... Próbowałem ci wytłumaczyć. To nie było tak, Claudio. To naprawdę nie było tak. Myślałem, że... Nie pamiętam nawet, żebym jej dotykał... Zresztą, teraz to już nieważne.

- Doprawdy? Czyżbyś naprawdę nie pamiętał? - Claudia podniosła głos, tracąc panowanie nad sobą. - Nie pamiętasz, jak się z nią kochałeś w naszym domu... w naszym łóżku! Nie pamiętasz, jak jej...

Krzyczała, zanosila się krzykiem, nie panowała nad sobą, jak wtedy, przed wielu laty, gdy dotarła do niej wreszcie ta najbardziej ohydna prawda, gdy pojęła wreszcie, co się stało.

- Claudio... - Garth kłął w duchu, że czuje się tak całkowicie bezradny w obliczu spadających na niego pretensji i oskarżeń.

- Nie, Garth. Wyjdź, proszę cię. Wynoś się stąd i nie wracaj. Jeśli przyjechałeś tu, żeby się rozkoszować moim bólem, żeby...

- Żeby co? Wydaje ci się, że kim jestem, do cholery?

- Chcesz mi zapewne przypomnieć, jak to mnie przestrzegałeś, że coś takiego będzie musiało się zdarzyć. Musisz być teraz zadowolony, co? No, powiedz, cieszysz się?

- Posłuchaj, Claudio, nie przyjechałem tutaj, żeby się napawać twoją rozpaczą, naprawdę. Jestem, bo uznałem, że będziesz chciała z kimś porozmawiać, podzielić się kłopotami. Martwiłem się...

Claudia zeszywniała.

- Coś podobnego, martwiłeś się... martwiłeś - powtórzyła zimnym, ostrym, pełnym niedowierzania głosem. - A o kogoż to się martwiłeś, mój drogi? - sarknęła. - Zapewne nie o mnie, boś niewiele myśląc, zdradził mnie i zawiódł. Rozmawiałeś z nią

o mnie, kiedy byliście razem w łóżku? Mówiłeś, jak to się o mnie martwisz? Och, co ja mówię! Skoro nie pamiętasz, że z nią sypiałeś, tym bardziej nie możesz pamiętać rozmów z nią na mój temat, prawda?

- Claudio, na litość boską... Przyjechałem tutaj, żeby pomówić z tobą o Tarze, o jej... - Garth wstrzymał oddech, czekając na kolejny wybuch złości, ale Claudia wzruszyła tylko ramionami.

- Rozmawiamy przecież o niej - powiedziała tym razem już spokojnie.

Patrzyli na siebie przez chwilę w milczeniu, dopóki Garth nie opuścił oczu.

- Claudio - podjął niepewnym tonem, ale ona pokręciła głową, jakby się bała, że znowu da się sprowokować i straci panowanie nad sobą.

- Muszę się ubrać, przygotować do wyjścia. Już jestem spóźniona.

Widząc jej zacięty wyraz twarzy, Garth zrozumiał wreszcie, że traci tylko czas i że na próżno usiłuje przemówić jej do rozumu. Zrezygnowany odwrócił się na pięcie i ruszył ku otwartym drzwiom. Miał poczucie, że wszystko schrząnił, że znów dał się ponieść złudnej nadziei. Pod powłoką delikatności i spokoju kryła się u Claudii wciąż ta sama uparta duma i nieugięty duch, które czyniły z jej ojca tak powszechnie szanowanego żołnierza.

Nieugiętość charakteru byłej żony łagodziła dana kobietom wiedza, że życie ma wiele odcieni, a świata nie da się oceniać w jednoznaczny sposób, dzieląc wszystko podług biało-czarnej skali. Zasada ta jednak nie odnosiła się do Gartha. Tu Claudia nie dostrzegała niuansów i ferowała jednoznaczne wyroki.

Idąc do samochodu, jeszcze raz pomyślał o starej prawdzie, która powiada, że im większa miłość, tym większa nienawiść, gdy pojawi się zdrada w jakiegokolwiek formie.

Tyle że jego zdrada...

Cóż, każda historia ma dwie strony, lecz Claudia nie chciała nawet słuchać wersji Gartha.

Po poronieniu, kiedy straciła pierwsze dziecko, była tak bardzo przygnębiona, tak bardzo zamknęła się w sobie i we własnej rozpacz, że w poczuciu tragicznej straty nie zdawała sobie nawet sprawy z rozpacz Gartha. Nie pomyślała, że i on potrzebuje pocieszenia.

Zapalił silnik i pokręcił głową. Po co teraz do tego wracać? Było, minęło. Ich małżeństwo od dawna nie istnieje. Jeśli coś jeszcze ich łączy, to miłość do Tary.

Ogromny samochód ruszył z cichym pomrukiem silnika w kierunku szosy. Zdziwiony, że źle widzi, Garth włączył wycieraczki, zacisnął usta, skrzywił się i gwałtownie zamrugał powiekami. Mężczyźni przecież nie płaczą, prawda? Pamiętał, że tak właśnie powiedział owego wieczoru, kiedy Claudia bez słowa podała mu po raz pierwszy maleńką Tarę do potrzymania, a on hamował cisnące się do oczu łzy wzruszenia. Wziął wówczas w ramiona bezbronną kruszynę i poczuł, że odtąd zawsze już będzie otaczał ją opieką, że uczyni wszystko, by była bezpieczna.

Tara. Jego córka. Mała dziewczynka, która dorosła i przestała być dzieckiem. Już nie jest w stanie zapewnić jej bezpieczeństwa, sprawić by świat był dla niej przychylny. Już nie będzie jej chronić, już nie...

Claudia wpatrywała się nieprzytomnie w migające światełko telefonu. Serce biło jej niespokojnie. Czuła...

No właśnie, co czuła? Chyba przede wszystkim strach. Strach, który od wyjścia Gartha rósł, potężniał z każdą chwilą. Nie wiedziała, jak długo tu stoi i ile czasu minęło od wyjścia byłego męża. Nie miała pojęcia, co powinna zrobić. Ten strach sparaliżował ją, odebrał jej wolę i wiarę w siebie.

Boże, dlaczego jestem taka pusta, myślała, taka wydrążona, taka kompletnie rozbita? Skąd ta ociążałość? Czemu ból, który mnie trawi, jest ponad moje siły?

Telefon przestał dzwonić. Trudno. Ten, kto szukał z nią kontaktu, na pewno zadzwoni jeszcze raz.

Zauważyła ze zdziwieniem, że nadal owinięta jest ręcznikiem kąpielowym, w którym wyszła spod prysznic. Trzęsła się z zimna. Ogród za oknem wciąż skąpany był w ciepłych promieniach słońca, ale Claudia nie patrzyła już na ten skrawek ziemi okiem osoby szukającej wyzwania, żadnej przygód, gotowej zmienić spłachetek zieleni w prywatny raj. Prawdę mówiąc, w ogóle nie patrzyła na ogród, lecz w mroczne otchłanie udreżonej duszy.

Nie znosiła sporów i sprzeczek. Ilekroć wdała się w kłótnie, czuła się potem winna, zdezorientowana, osłabiona fizycznie i psychicznie. Tym bardziej dzisiaj, po tak nieoczekiwanej konfrontacji z Garthem.

Zaczęła się ubierać jak w lunatycznym transie, utkwivszy wzrok w stojących na toalecie zdjęciach, oprawionych w srebrne ramki. Na wszystkich była Tara - Tara jako niemowlę, mała dziewczynka, nastolatka, studentka. Obok zdjęcia córki w sukience do chrztu leżały kluczyki samochodowe. Claudia zamknęła na nich odretwiącą dłoń. Była już ubrana, chociaż nie potrafiłaby powiedzieć, co ma na sobie. Nie potrafiłaby i niewiele ją to, w gruncie rzeczy, obchodziło.

Tara...

Nieznośny, dojmujący ból zamieniał się w fizyczne cierpienie.

Powoli zeszła na dół. Jakiś wewnętrzny głos napominał ją, że powinna załatwić niecierpiące zwłoki sprawy, spotkać się z ludźmi, którzy na nią czekają, ale nie dawała mu posłuchu, nie dopuszczała go do świadomości. Miała coś innego, znacznie ważniejszego do załatwienia, musiała teraz jechać w zupełnie inne miejsce.

Telefon na biurku rozdzwonił się w najmniej odpowiednim momencie. Lloyd machinalnie wyciągnął dłoń i odezwał się do słuchawki wyuczonym tonem:

- Tak, słucham...

- Lloyd, Lloyd, proszę, wracaj na wyspę!

Natychmiast rozpoznał głos Margot i serce mu się ścisnęło z żalu. Płakała. Słyszał jej płacz, zaś oczyma duszy widział zalaną łzami twarz kochanki.

Leżała zapewne na łóżku, roznamietniona, z gorejącymi oczami, zwinięta w kłębek jak embrion, bezbronna... i złakniona miłości.

- Przecież jest lato - łkała. - To nasz czas. Powinniśmy być razem... Och, Lloyd, musisz tu przyjechać, nie wytrzymam bez ciebie!

Łzawe skargi spadały na niego niepowstrzymaną lawiną, uderzały bezlitośnie bolesnym zawodzeniem.

- Wiesz, że musiałem wrócić, Margot. Przyjadę do ciebie na weekend.

- Na weekend... to znaczy, że stracimy cały tydzień. Zadzwoń do mnie wieczorem, dobrze? Będę... będę myślała o tobie... przez cały czas.

Odłożył słuchawkę i zapatrzył się w przestrzeń. Zwykle zamykał biuro w okresie wakacyjnym. Campus wtedy pustoszał, nie było nic do roboty. Filia kalifornijska, podobnie jak centrala w Bostonie, pracowały zgodnie z rytmem życia akademickiego, publikując prace wykładowców i studentów. Lloyd zdecydował się na

przyjazd do Kalifornii po entuzjastycznym telefonie swojego asystenta, zachwyconego otrzymanym pod nieobecność szefa maszynopisem. Tekst wydał mu się tak znakomity, że Lloyd obiecał przeczytać go bez zwłoki i spotkać się z autorem.

Margot, oczywiście, protestowała. Błagała, żeby nie jechał.

- Tak mało czasu mamy dla siebie - uzalała się i miała naturalnie rację, ale jej nienasycona miłość i zaborczość coraz częściej przyprawiały go o uczucie klaustrofobii. Wspólne wakacje na wyspie stawały się coraz bardziej męczące, mimo że Lloyd powtarzał sobie z całą mocą, że nadal kocha Margot i że nie mógłby bez niej żyć. Jakże zresztą mogło być inaczej? Tyle poświęciła dla niego, dla ich związku...

Odsunął krzesło, wstał zza biurka i podszedł do okna.

Mieszkał nad samą plażą i z okien jego apartamentu rozciągał się wspaniały widok na ocean. Jeśli tylko miał czas, szedł na spacer wybrzeżem, by wiatr wywiały z jego głowy wszelkie troski i złe myśli. Kiedy dziewczynki były małe, chętnie towarzyszyły mu w tych przechadzkach, ale teraz obydwie studiowały już na UCLA i miały znacznie ciekawsze zajęcia niż wizyty u byłego ojczyma.

Może to szkoda, że nie dochował się wspólnych dzieci z Carole-Ann? Lubił je przecież i z radością ojcował córkom żony z byłego związku.

Uważał jednak przy tym, że pójście do łóżka z Carole-Ann równałoby się zdradzie wobec Margot. W końcu jego małżeństwo było swego rodzaju umową handlową. Jemu dodawało koniecznej powagi i współtworzyło wizerunek poważnego szefa poważnej firmy, a Carole zapewniało święty spokój, tak potrzebny po burzliwym rozwodzie i dwóch nieudanych związkach. Od początku zresztą nie kryła, że jedyne, czego chce, to zabezpieczenie finansowe dla niej i dla córek oraz poczucie stabilizacji.

Gdy umowa została zawarta, Margot się wściekła. Odmówiła stanowczo przyjazdu na ślub, a potem ani razu nie zgodziła się spotkać z żoną Lloyd'a i jej córkami.

Carole-Ann wiedziała doskonale o istnieniu Margot. Lloyd nie wyobrażał sobie, że mógłby zataić przed żoną prawdę o swojej miłości.

- Kocham ją, ale nie możemy się pobrać - tłumaczył jej spokojnie.

- W niektórych stanach rzeczywiście nie moglibyście, ale za granicą...

- Nie, żadne z nas nie zdecydowałyby się mieszkać na swego rodzaju wygnaniu, z dala od rodziny i przyjaciół. Poza tym Margot jest osobą niezwykle emocjonalną... - przerwał, niepewny, ile może powiedzieć, po czym uznał, że żona nie musi wiedzieć o rodzinnych problemach i presjach, które doprowadziły Margot na skraj załamania nerwowego.

Kiedy jej matka wiele, wiele lat temu usiłowała rozdzielić dwoje zakochanych nastolatków, Margot dostawała hysterii. Kiedy tłumaczono jej, że tego rodzaju związki są zakazane i że młodzi nigdy nie będą mogli być razem, była o krok od popełnienia samobójstwa.

- Nie wyrzeknę się Lloyd'a! - krzyczała. - Nie mogę, nie potrafię! Nie zmusicie mnie do tego!

Zarówno pani Adams, jak i sam Lloyd zdawali sobie doskonale sprawę, że gotowa jest to zrobić.

Lloyd kochał ją równie mocno, jak ona jego, tyle że w jego życiu zawsze było miejsce na inne rzeczy: uprawiał sporty, lubił żeglować, bywać wśród ludzi. Niestety, Margot była tak zazdrosna o każdą chwilę, której jej nie poświęcał, że z czasem, acz niechętnie, zrezygnował ze wszystkich przyjemności, byle tylko ją zadowolić.

O dziwo, pomysł by się ożenił, wyszedł pierwotnie właśnie od niej. Nacisk, jaki rodzina wywierała na nich obydwoje, był tak silny, że Lloyd, nie widząc wyjścia z sytuacji, zgodził się zamieszkać w Kalifornii. Ledwie jednak wyjechał, Margot przestała jeść i tak podupadła na zdrowiu, że matka ustąpiła - zgodziła się na powrót bratanka do Bostonu i na coroczne wakacje na wyspie.

- Dlaczego chcesz, żebym się ożenił? - zapytał zdumiony, kiedy Margot po raz pierwszy poruszyła ten temat.

- Nie rozumiesz, że to jedyny sposób, żeby zostawili nas w spokoju?

- Będę miał żonę...

- Nigdy nie będziesz jej tak nazywał! - uniosła się Margot. - Ona nie może być twoją prawdziwą żoną... ja nią jestem i zostanę, a z tamtą po prostu pójdziesz do ołtarza. To będzie małżeństwo z rozsądku. Białe małżeństwo, rozumiesz?

Lloyd śmiał się wówczas pobłaźliwie z tych projektów. Bo też w ogóle traktował wtedy i życie, i Margot bardzo pobłaźliwie. Dopiero kiedy zamieszkał w

poblizu UCLA i przejął pełną odpowiedzialność za kalifornijską filię wydawnictwa, poczuł się bardziej dojrzały. Uważał odtąd, że to on zna świat, podczas gdy Margot jest chowaną pod kloszem jedynaczką.

Wtedy właśnie poznał Carole-Ann i pomysł Margot nabrał nagle sensu. Gdzieś w głębi duszy zawsze pragnął odgrywać rolę szlachetnego dżentelmena z dobrej bostońskiej rodziny, a teraz nadarzała się okazja przyjścia z pomocą ciężko doświadczonej i zagubionej w życiu kobiecie.

Początkowo Margot nie wysuwała żadnych obiekcji. Dopiero kiedy się oświadczył i kiedy Carole-Ann przyjęła oświadczyny, zaczęło się nieszczęście - podejrzania, śledztwa, szukanie dziury w całym, a przede wszystkim wydzwanianie o dowolnej porze dnia i nocy - zwyczaj, którego Margot nie zaniechała nawet po ślubie Lloyd'a.

- Wszystko mi jedno, niech ta wariatka budzi cię z najgłębszego snu! - wykrzyczała Carole-Ann w czasie kolejnej awantury. - Ale nie pozwolę na to, żeby nie dawała spać mnie i moim dzieciom!

- Kocha mnie... - Lloyd próbował usprawiedliwiać kuzynkę.

- Ta kobieta jest obłąkana, ogarnięta obsesją, chora i zaborcza! Kocha? Nie przypuszczam, żeby wiedziała co to znaczy. Gdyby naprawdę cię kochała, życzyłaby ci szczęśliwego, udanego życia...

To były najgorsze wakacje i najgorszy rok w jego życiu. Sześć tygodni po powrocie z wyspy odebrał histeryczny telefon od Margot.

- Co takiego? Nie możesz być przecież w ciąży, przekonywał ją wstrząśnięty, zaciskając spoconą dłoń na słuchawce i przekrzykując dudnienie rozdygotanego przerażeniem serca.

- Od pięciu tygodni nie mam okresu - szlochała. - Od pięciu tygodni, słyszysz? Co mam robić, Lloyd? Co robić?

Ostatecznie okazało się, że alarm był fałszywy, ale pomna tego, co przeżyła, Margot zdecydowała, że podda się sterylizacji.

- Nie rób tego - zaprotestował odruchowo, mówiąc sobie jednocześnie, że dziwny ucisk w gardle nie ma nic wspólnego z przerażeniem człowieka, który czuje

pętlę na szyi. - Może jeszcze poznasz kogoś, wyjdiesz za mąż. Może zechcesz mieć dzieci...

- Nie...! - Margot zawyła niczym zranione zwierzę. - Nigdy nie wyjdę za mąż, nigdy! Ty jesteś jedynym mężczyzną, którego pragnę! Tylko z tobą mogłabym mieć dziecko! Mówisz tak, bo mnie już nie kochasz! - rzuciła oskarżycielskim tonem. - Nie obchodzę cię już, nie jestem ci...

- Oczywiście, że cię Kocham - zaprotestował Lloyd. - I nikogo więcej.

Kiedy pod koniec tego samego roku Carole-Ann oznajmiła mu najspokojniej w świecie, że wniosła pozew o rozwód i że ma kogoś innego, długo nie mógł otrząsnąć się z szoku.

Po rozwodzie utrzymywał nadal kontakty z dziewczynkami, lecz na wszelki wypadek nie zdradzał się z tym przed Margot. Był zmęczony jej ustawicznymi dociekaniem, gdzie bywa, kogo widuje, z jakimi kobietami się spotyka. Wiódł samotniczy tryb życia, miał oczywiście przyjaciół, ale musiał ukrywać przed nimi swój niepospolity związek. Margot miała przynajmniej rodzinę wokół siebie, on nikogo.

Zerknął na zegarek. Druga. Kwadrans pod drugiej miał się spotkać z doktorem Jamiem Friedlandem. Jako, że doktor od niedawna wykładał na UCLA, mieszkał gdzieś u znajomych i ciągle jeszcze szukał dla siebie odpowiedniego lokum, asystent Lloyda uznał, że najwygodniej będzie umówić obu panów właśnie tutaj, w prywatnym mieszkaniu szefa. Lloyd nie miał zwyczaju przyjmować potencjalnych autorów w swoim domu, ale widząc, jak bardzo Danny jest podekscytowany maszynopisem, nie miał serca wypominać mu owego odstępstwa od reguły.

Tekst Friedlanda chyba rzeczywiście był interesujący, o ile Lloyd mógł cokolwiek z niego zrozumieć, a zrozumiał niewiele. Danny w każdym razie twierdził, że jest to przełomowa praca w swojej dziedzinie, bardzo nowatorska i radykalnie zrywająca z obowiązującą metodologią.

Kątem oka Lloyd dostrzegł, że na parking wjeżdża mały europejski kabriolet prowadzony przez rudowłosą dziewczynę. Zachmurzony obserwował, jak młoda dama parkuje i wysiada. Wysoka, zgrabna, poruszała się z pewnością osoby, która lubi samą siebie i ma zaufanie do własnego ciała.

Lloyd wstrzymał oddech. Dawno już nie widział kobiety, która sprawiałaby wrażenie tak spokojnej, tak zrównoważonej. Pomyślał, że musi być ona kompletnym przeciwieństwem Margot i zasepił się jeszcze bardziej, widząc, jak dziewczyna podnosi głowę i spogląda w okna jego mieszkania. W kilka sekund później rozległ się brzęczyk domofonu, obwieszczający przybycie gościa.

Odruchowo poprawił krawat. A zatem doktor Jamie Friedland jest kobietą.

- Doktor Jamie Friedland do Lloyd Kenneta - usłyszał w słuchawce, po czym zwolnił automatyczny zamek przy drzwiach wejściowych. Ogarnęło go nagle dziwne uczucie, że oto sam los puka do jego drzwi; uczucie tak przemożne, że przeraził się wręcz mającego się za chwilę rozpocząć spotkania.

RS

Rozdział 6

Nikt nie zwracał uwagi na modnie ubraną, elegancką kobietę, która zaparkowała samochód na słonecznej ulicy w jednej z mieszkaniowych dzielnic Londynu. Niby dlaczego? Jej BMW było może trochę droższe i nowsze niż inne wozy tej samej marki stojące przed zadbanymi domami, ale nie wyróżniało się spośród kuzynów w krzyżący sposób.

Duży dom o rozłożystej fasadzie, w pobliżu którego się zatrzymała, został niedawno zamieniony na zaciszny hotel, z gatunku tych, których klientelę stanowią mieszkające na wsi starsze panie, przyjeżdżające do Londynu na kilka dni, by zrobić zakupy i spotkać się z dawnymi przyjaciółkami. Być może nie był tak wytworny, jak podobne mu pensjonaty na Knightsbridge, ale „ostatecznie, moja kochana, człowiek czuje się tutaj tak bezpiecznie, a poza tym ta przytulna, domowa atmosfera, no i ceny, więc sama rozumiesz...”

Ale to nie hotel był celem wyprawy Claudii, chociaż stała przed nim dłuższą chwilę, spoglądając z zaciekawieniem na elewację.

Znajoma ulica, na której wynajmowali niegdyś z Garthem mieszkanie w dość podłym szeregowym domku, zmieniła się nie do poznania. Szeregowce zostały w międzyczasie wyremontowane i lśniły teraz blaskiem nowych, bielutkich tynków. Claudia rozglądała się wokół, nieco zagubiona i kompletnie oszołomiona.

Pamiętała, że mieszkanie, które wynajmowali pod dwunastką, znajdowało się na ostatnim piętrze, właściwie na poddaszu. Prowadziły do niego chwiejne schody wyłożone starym, brudnym, wytartym chodnikiem w czerwony wzór - w każdym razie mogli się wtedy domyślać, że kiedyś był czerwony.

Wcześniej cały tydzień biegali po mieście w poszukiwaniu taniego kąta, odpowiedniego na ich kieszeń. Na kilka godzin przed końcem przepustki Gartha i jego powrotem do jednostki znaleźli wreszcie to poddasze. Czynnok okazał się znośny, czas nagiął, więc wynajęli je bez namysłu - i odetchnęli z ulgą.

- Przynajmniej będziemy mieli własną łazienkę i kuchnię - mruknęła Claudia, kiedy Garth kręcił jeszcze głową na widok smutnych, nędznych pokoików. - Jak ciebie nie będzie, zajmę się urządzaniem, zawsze to jakieś zajęcie.

- Masz przecież swoją pracę - przypomniał jej i dodał opiekuńczo: - Nie chcę, żebyś się wspinała po drabinach pod moją nieobecność.

Ciągle jeszcze zachowywali się wówczas jak młoda para w czasie miesiąca miodowego, która za wszelką cenę stara się chronić swoją miłość i poczucie prywatności. Claudia patrzyła z czułością na Gartha, dumna, że odrzucił ofertę jednych i drugich rodziców, chętnych wesprzeć dzieci, by mogły wynająć lepsze mieszkanie.

- Nie, musimy od początku stanąć na własnych nogach - oznajmił stanowczo, kiedy omawiali ten temat we dwójkę. Nie próbowała nawet protestować, rozbrojona pocałunkami męża, a już zupełnie się poddała, gdy szepnął jej czule do ucha: - Chcę sam się tobą opiekować, kochanie.

Prawda, były rewolucyjne lata siedemdziesiąte, otwierała się przed nią kariera zwiastująca niezależność, ale została wychowana w rodzinie dość staroświeckiej, hołdującej przekazywanej z pokolenia na pokolenie tradycji. Mogła obruszać się, że Garth usiłuje rządzić w domu oraz dominować, gotowa była nienawidzić go, gdyby oczekiwał specjalnych względów tylko dlatego, że jest mężczyzną, a jednak było jej rozkosznie miło, że ją rozpieszcza, że na każdym kroku okazuje swoją miłość i troskę, że stara się być zapobiegliwy i chce ją otaczać opiekuńczym ramieniem. Tak właśnie jej ojciec traktował matkę, trwając z nią w szczęśliwym związku od dwudziestu pięciu lat.

Wprowadzili się do nowego mieszkania w pewien deszczowy weekend. Pomagali im poczciwi koledzy z pułku Gartha, bez sprzeciwu targając po schodach ciężkie graty, podarowane młodym przez rodziców.

- Przecież to nie ma sensu, kochanie, żebyście wyrzucali pieniądze na meble, kiedy w domu jest ich aż za dużo - obruszyła się matka Claudii, kiedy ta z uporem odmawiała wszelkiej pomocy. - Ot, choćby ten stół. Należał do twojej prababki - mówiła łagodnie, gdy rozglądały się po strychu, gdzie stały nieużywane od lat sprzęty.

- Nawet jeśli solidne mieszczańskie meble wyglądają nieco dziwnie w biednym mieszkanku, to przecież miło żyć w otoczeniu przedmiotów, tworzących rodzinną historię, prawda? - tłumaczyła później Claudia, mizdrząc się do Gartha.

Tylko łóżku było nowe. Tu Garth się uparł, postanowił być mężczyzną, który stawia na swoim. Gdy sprzedawca w sklepie zaproponował, by sami wypróbowali nowy mebel, Claudia spiekła raka.

- Tutaj?

- Jak najbardziej! Zobaczycie, jakie to wygodne. Zapewniam państwa, że coraz więcej małżeństw kupuje teraz obszerne podwójne łóżka typu *king size* - przekonywał ich młodzian, wężąc odpowiednio większą prowizję za większe łożo.

Garth z uśmiechem pokręcił głową.

- Mowy nie ma - szepnął Claudii do ucha. - Chcę cię mieć jak najbliżej siebie, w łóżku i poza nim. Żadnej wolnej przestrzeni, żadnego dystansu, nic i nikt nie może nas dzielić, Claudio - mówił dalej, kiedy siedzieli już w samochodzie. Potem zaś zatrzymał wóz na cichej polnej drodze, wziął swoją młodą żonę w ramiona i pocałował namiętnie dla podkreślenia swych słów.

Claudia była tym nieco zawstydzona, lecz odpowiedziała równie namiętnie. Nie była już co prawda dziewicą, jednak ciągle zachowywała pewien dystans, czując się niezbyt pewna siebie, własnego ciała, własnej seksualności. Zaskoczona i przestraszona, że tak bardzo pragnie Gartha, zadawała sobie pytanie, jak daleko może się posunąć kobieta bez narażania się na wstyd.

Wiedziała na pewno, że powinna być dobrą gospodynią, kiedy więc Garth i jego przyjaciele wtaszczyli już do nowego mieszkania wszystkie meble, Claudia ugotowała im na małej kuchence, którą przez kilka godzin czyściły wcześniej razem z matką, ogromną misę spaghetti po bolońsku.

Po kolacji poszli całą paczką do najbliższego pubu. Krótko ostrzyżeni oficerowie wyróżniali się wyraźnie pośród długowłosych młodzieńców buntowniczej epoki dzieci-kwiatów. Powietrze w pubie gęste było od dymu papierosowego, potu i mdłego zapachu palonej marihuany. Claudia z radością poderwała się z krzesła, gdy przyszła pora wychodzić.

Do domu wracali objęci w pól, mocno przytuleni, jakby nierozdzielni. Na rogu ulicy Garth zatrzymał się i wziął ją w ramiona.

- Boże, jak ja cię pragnę, Claudio - powiedział zduszonym głosem. - Patrzyłem na ciebie... dzisiaj wieczorem... - Pokręcił głową, jakby nie miał pewności, jak też zareaguje jego młoda żona, słysząc, co poczuł na widok jej opiętych dżinsami, krągłych pośladków, gdy podczas przygotowywania kolacji nachyliła się w jakimś momencie nad zlewem.

Ona jednak chciała słuchać. Była trochę zażenowana, ale chciała wiedzieć, że Garth miał nieprzepartą ochotę podejść do niej, zamknąć dłonie na jej piersiach i...

Mój Boże, może to dobrze, że byli przy tym wówczas jego koledzy.

To czego Garth nie powiedział, wyraziły jego pocałunki - łapczywe, namiętne, długie. Całował ją w świetle księżyca z takim zapamiętaniem, jakby bał się, iż nigdy się nią nie nasyci.

Było dobrze po północy, kiedy wrócili wreszcie do uspiętego o tej porze domu. Kiedy zaś leżeli już w łóżku, usłyszał, jak Claudia ciężko wzdycha.

- Coś się stało? - zapytał z troską w głosie, przytulając ją do siebie.

- Nic specjalnego. Smutno mi tylko, że jutro musisz wracać do swojego pułku.

- Wiem, ale już niedługo znowu będziemy razem. Pod koniec miesiąca dostanę dłuższy urlop - przypomniał jej na pocieszenie.

Claudia zagryzła wargę. Owszem, urlop, ale po urlopie wyjazd do Irlandii Północnej. Była córką żołnierza i doskonale wiedziała, jakie niebezpieczeństwo może to oznaczać.

- Ojciec mówił, że będą redukcje i przegrupowania w niektórych mniejszych jednostkach. Mają być podobno łączone - wspomniała.

- Uhm... wiem - przytaknął Garth, który słyszał rozmaite pogłoski o tym, że młodzi oficerowie w najbliższej przyszłości nie będą mieli wielkich szans na awans. Claudia wiedziała, że jej mąż zastanawia się nawet w związku z tym, czy po wygaśnięciu obecnego kontraktu, co miało nastąpić z końcem roku, podpisać następny, czy też raczej odejść z armii. Cóż, podejmując decyzję zostania zawodowym żołnierzem, nie zastanawiał się, jak wpłynie ona na jego życie rodzinne, ale z

pewnością widział, jak wiele małżeństw jego kolegów rozpada się z powodu oddalenia i stresu związanego z rozłąką.

Czując w ciemnościach wargi Gartha na swoich ustach, Claudia pomyślała mgliście, że martwi ją jednak coś więcej niż tylko perspektywa jutrzejszego rozstania z mężem. Oto od początku następnego tygodnia miała rozpocząć pracę jako kurator przy jednej z gmin Londynu.

Owszem, posiadała wszelkie kwalifikacje potrzebne w tym zawodzie, ale w czasie rozmowy wstępnej odniosła wrażenie, że z jakichś powodów nie spodobała się swojej przyszłej szefowej. Nic konkretnego, ot, jedna czy dwie kwaśne uwagi na temat dobrego pochodzenia, lekki ton przekąsu wobec panny z wyższych sfer, która postanowiła bawić się w dobroczynność, oraz wyraźnie już manifestowana wyższość osoby, która na co dzień ma do czynienia z ludzkim nieszczęściem.

- Jestem córką wojskowego, a to nie koniecznie oznacza życie w puchu - odparła Claudia łagodnie na jakąś cierpką uwagę Janice Long. - Tam też pojawiają się narkotyki, alkohol, rozbite małżeństwa, rozpacz, kiedy któryś z żołnierzy zostaje ciężko ranny lub zabity.

- Żołnierze! - sarknęła Janice. - W naszej dzielnicy maltretowane są i zabijane dzieci. Zobaczysz tu dzieci zagłodzone, zaniedbane, poddawane najróżniejszym formom fizycznej, psychicznej i seksualnej przemocy, bezradne, bezbronne i wykolejone. - Przyglądała się Claudii przez chwilę, po czym zapytała: - Sądzisz, że masz dość siły, by wejść w ten świat?

- Nie wiem - wyznała szczerze Claudia. - Nie wiem, czy ktokolwiek potrafi odpowiedzieć na to pytanie twierdząco, czy potrafi całkowicie wyeliminować uczucia. Przypuszczam, że z czasem człowiek uczy się ignorować własne emocje, po to by móc skuteczniej pomagać innym.

Dostała pracę, choć podejrzewała, iż nie do końca przekonała swoją przełożoną, że jest właściwą kandydatką. Tamtego wieczoru, kiedy wrócili z pubu, w którym oblewali udaną przeprowadzkę, wątpliwości ogarnęły nagle także ją samą. Jednak tylko na moment - kiedy Garth zaczął ją pieścić, poddała się jego dłoniom, coraz bardziej czułym, pożądanym i namiętym...

- Chcę, żebyś tak właśnie mnie zapamiętała - szeptał schrypniętym głosem, gdy odpoczywali później, przytuleni do siebie i wyczerpani. - Tak właśnie będę się z tobą kochał tej nocy, której pocznie się nasze dziecko - obiecywał, całując jej wilgotne ze szczęścia powieki i nabrzmiałe od pocałunków wargi.

Rozmawiali już wcześniej o tym, jak sobie wyobrażają ich rodzinę. Nie chcieli dziecka natychmiast, ale nie zamierzali też zwlekać zbyt długo. Claudia myślała o czwórce dzieci, marzyły się jej dwie dziewczynki i dwóch chłopców. Garth był zdania, że powinni poprzestać na dwojce.

- Czwooro trudno będzie wykształcić, szczególnie jeśli miałbym zostać w armii - przestrzegał trzeźwo.

Był jeszcze jeden temat, który często poruszali w swoich rozmowach. Claudia doskonale wiedziała, co to znaczy być żoną oficera i ile wymaga to wyrzeczeń, powiedziała sobie wszakże, iż nie ma prawa odwozić Gartha z wybranej przezeń drogi. Ostatnio jednak on sam miał coraz więcej wątpliwości odnośnie przyszłej kariery.

- Szkoda, że musisz jechać już jutro - mruknęła raz jeszcze cicho, zapadając powoli w sen.

- Muszę, muszę. Och, Clo... tak dobrze mi z tobą... jesteś cudowna...

Claudia słuchała uważnie opisywanych przez Janice Long szczegółów sprawy, którą miała się właśnie zająć.

- Dziewczyna ma osiemnaście lat - mówiła Janice, obserwując spod oka reakcję Claudii na wyjęte z akt zdjęcie, przedstawiające olśniewająco piękną czarnowłosą dziewczynę. - Jest narkomanką, bierze heroinę - ciągnęła ponurym tonem. - Pierwszy raz zajęliśmy się nią, kiedy policja zgarnęła ją za prostytutkę. Twierdziła, że ma siedemnaście lat i że uciekła z domu, bo ojczym wykorzystywał ją seksualnie. To często się zdarza - dodała beznamiętnie, widząc pełną współczucia, nagle posmutniałą minę Claudii.

- Owszem, wiem. Ale to nie czyni faktów mniej okropnymi.

- Hm... Cóż, zapewne, pod warunkiem, że są prawdziwe. Katriona jest niestety urodzoną kłamczuchą. Łże jak z nut, zawsze i w każdych okolicznościach. Jak większość dziewcząt jej pokroju, żyje cały czas w świecie własnych fantazji. Na tym po

części polegają kłopoty takich jak ona. Nasze natomiast na oddzielaniu prawdy od rojeń.

Claudia nie powiedziała tego głośno, ale pomyślała, że Janice jest zbyt surowa wobec młodej, zagubionej dziewczyny. Serce ścisnęło się jej z bólu na myśl o tym, jak wystraszona i bezradna musiała czuć się Katriona, kiedy błąkała się samotnie po ulicach miasta.

Natomiast Janice westchnęła cicho, obserwując badawczo nową pracownicę. Kolejna święta, pomyślała z ironią. Kolejna czuła na zło świata istota o łzawych, sarnich oczach, gotowa spieszyć z pomocą i pociechą umęczonej ludzkości. Cóż, wkrótce zrozumie, na czym to wszystko polega, tak jak ona rozumiała w swoim czasie.

Ludzie, z którymi miała do czynienia, byli być może ofiarami systemu i rzeczywiście potrzebowali pomocy, ale mieli też swoje wady i przywary, potrafili sprytnie manipulować innymi, zwodzić, oszukiwać, kłamać. Niekiedy byli wręcz niebezpieczni.

Katriona, choć taka śliczna i młoda, również nie była aniołkiem. W przeciwieństwie do innych narkomanek, które w nałóg wpędzali alfonsi, zapewniając sobie w ten sposób stały napływ gotówki i bezwarunkowe posłuszeństwo uzależnionej od narkotyku dziewczyny, Katriona nie miała alfonsa. Przechwalała się przed Janice, że wcale go nie potrzebuje i że to ona wykorzystuje mężczyzn, a nie odwrotnie. Opowiadała, że sięgnęła po narkotyki tylko dlatego, żeby się przekonać, jak to jest. Widząc zaś zaszokowaną minę stażystki, która pracowała wtedy z Janice i której coś podobnego nie mieściło się w głowie, wybuchnęła niepohamowanym śmiechem.

Janice po cichu podejrzewała, że Katriona sprzedaje działki przyjacielom, z którymi mieszka w jednym bloku, i stąd ma pieniądze na „towar” dla siebie. Niestety, podobnie jak policja, ona również nie potrafiła niczego dowieść wyjątkowo sprytniej i pewnej siebie dziewczynie.

- Nic na mnie nie macie - oznajmiła z nieukrywaną satysfakcją Katriona, kiedy została zwinięta ostatnim razem na ulicy. I rzeczywiście, doskonale wiedziała, że niewiele mogą jej zrobić.

Mimo kłamstw, zwodzeń i zaprzeczeń, Janice jedno wiedziała na pewno: w którymś momencie swojego krótkiego życia Katriona musiała być napastowana przez mężczyznę, molestowana seksualnie, dręczona fizycznie albo psychicznie. Wskazywały na to nienawiść, gorycz i pogarda, z jaką traktowała otaczających ją ludzi, zwłaszcza zaś mężczyzn.

Jej przeszłość stanowiła tajemnicę, ale przecież często bywało tak z młodymi ludźmi jej pokroju, którzy ściągali do Londynu, sypiali gdzie popadnie i żyli na marginesie, skąd wyławiała ich policja, by przekazać pod opiekę służb socjalnych. Kiedy zaś trafiali wreszcie do kuratora, mieli zazwyczaj gotową do opowiedzenia, oczywiście zmyśloną, historię własnej przeszłości.

Czasami, na nieszczęście zbyt rzadko, udawało się odnaleźć zrozpaczonych rodziców takiej smarkatej czy smarkacza. Najczęściej jednak nikt nie był w stanie dojść ich prawdziwej tożsamości.

To właśnie wszystkie te doświadczenia sprawiały, że Janice z zafrasowanym wyrazem twarzy spoglądała na pochyloną głowę Claudii. Takie jak ona zawsze przysparzały więcej kłopotów niż pożytku. Panny z szacownych domów wyższej klasy, naiwne idealistki świeżo po studiach, nie mające pojęcia o prawdziwym życiu, wychuchane córeczki swoich „mamunięk” i „tatuszków”, jak ich niezależnie od wieku nazywały, delikatne istoty, które rwą się do pracy z cwanyimi chuliganami, dziwkami i młodocianymi dilerami narkotyków.

Mamuśka i tatusiek, dobre sobie! Katriona ryknie na coś takiego zdrowym śmiechem. Albo bluźnie wiązką najgorszych przekleństw, słysząc ten wytworny jak u królowej Elżbiety brytyjski akcent. Cóż, Janice nie miała obowiązku chronić przed twardą rzeczywistością subtelnych panienek pokroju Claudii. Nikt ich nie zmuszał, by podejmowały tego rodzaju pracę - pracę, do której z racji swojego pochodzenia kompletnie się nie nadawały.

Ona sama, Janice, wychowała się w komunalnym blokowisku na północy Anglii. Do szkoły średniej, w której dostała miejsce bez egzaminów na podstawie celującego świadectwa z podstawówki, poszła tylko dlatego, że jej wychowawczyni po wielu trudach przekonała wreszcie rodziców, by dalej kształcili zdolną córkę.

Owszem, poszła do szkoły średniej, ale nosiła mundurki z lumpeksów i nigdy nie miała pieniędzy na wykupienie obiadów w stołówce czy na opłacenie klasowych wycieczek. Szybko też nauczyła się, że najlepszą obroną przed upokorzeniami i docinkami ze strony szkolnych koleżanek jest maska kamiennej obojętności.

Później, na uniwersytecie, każdą wolną od nauki chwilę poświęcała pracy, dzięki której zdobywała pieniądze na opłacenie czesnego. W czasie roku akademickiego pracowała jako barmanka w pubie, w wakacje zbierała owoce. To letnie zarobkowanie było najgorsze. Cały dzień męczyła się zgięta w pół, a wieczorem nie mogła wyprostować pleców. Zawsze też znalazł się jakiś facet czekający na dowody wdzięczności za to, że załatwił jej miejsce na farmie - a dowód wdzięczności w mniemaniu takiego durnia oznaczał tylko jedno...

Janice była już wtedy wystarczająco twarda, żeby gonić tego rodzaju „wierzycieli”.

- Kim są jej rodzice? Skąd ona pochodzi? - Pełne troski pytanie Claudii, która przeglądała właśnie teczkę Katriony, wyrwało ją z zamyślenia.

Wzruszyła nieznacznie ramionami.

- Kto to może wiedzieć? Może ona sama też tego nie wie. Z tą urodą może być Włoszką albo Cyganką, ale... - Janice ponownie wzruszyła ramionami w bezradnym geście.

- I nikt z nią nie rozmawiał, nie próbował się czegoś dowiedzieć? - Claudia była wyraźnie poruszona brakiem jakichkolwiek wiadomości na temat dziewczyny.

Janice uniosła lekko brwi.

- A jak niby mielibyśmy rozmawiać? Tutaj przewijają się dziesiątki narkomanów, dziecińko. Oni nie są skorzy do rozmów... To my mówimy do nich, z wątpliwym zresztą skutkiem. Nasze słowa natrafiają na mur milczenia, przez który tylko czasami komuś z nas udaje się przebić.

- Mówisz tak... tak jakbyś już ją skreśliła - obruszyła się Claudia.

- To raczej ona skreśliła samą siebie - stwierdziła Janice brutalnie. - Zażywając heroinę w takich dawkach, nie dożyje dwudziestki.

- Na pewno można jej jakoś pomóc - upierała się Claudia, wstrząśnięta zarówno tą informacją, jak i chłodem Janice. - Jakiś ośrodek odwykowy... szpital rehabilitacyjny... nie wiem...

Janice pokręciła głową.

- Strata czasu i pieniędzy podatników - oznajmiła ponurym tonem. - Dziewczyna za nic w świecie nie zgodzi się pójść na odwyk, a gdyby nawet się zgodziła... Widzisz, jeśli chcesz tu pracować, powinnaś przede wszystkim zrozumieć, że... - zamilkła i raz jeszcze zniechęcona pokręciła głową.

Po co miałyby jej to wszystko mówić? Niech wrażliwa panienka sama do tego dojdzie.

Claudia wspinała się z Janice po brudnych betonowych schodach. W powietrzu wisiał tak ciężki odór wilgoci, uryny i wymiocin, że robiło się jej niedobrze, ale powiedziała sobie, że nie może okazać wobec Janice ogarniającego ją obrzydzenia. Ogromny sypiący się wieżowiec na nędznym osiedlu zdawał się umierać wraz z mieszkającymi tutaj ludźmi. Sam fakt, że takie betonowe blokowisko mogło powstać, że w ogóle zaistniało, był wstrząsającym dowodem pogardy dla człowieka, obrazą dla humanizmu.

- Jeszcze dwa piętra - wysapała Janice. - Pamiętaj, żeby nigdy nie jeździć windą w tych zrujnowanych blokach - przestrzegła Claudię. - Nikt ich nie konserwuje i ciągle się psują. Niedawno kilku naszych pracowników utknęło na czterdzieści osiem godzin w unieruchomionej kabinie, zanim ktoś ich wyswobodził. No, jesteśmy na miejscu. Tędy...

Odrętwiała Claudia ruszyła posłusznie za Janice. Z odrapanej galerii rozciągał się widok na niewielki teren między blokami. Tam gdzie kiedyś miała być „osiedlowa zieleń”, a gdzie teraz było jedno wielkie śmietnisko, wałęsała się grupka ospałych nastolatków - blockersów, pozbawionych wszelkiej nadziei i chęci życia.

- To tutaj - powiedziała wreszcie przełożona, zatrzymując się przed jakimś mieszkaniem, które bardziej przypominało silnie ufortyfikowane więzienie niż ludzki dom. Szyby w oknach były brudne i zakratowane, zamiast drewnianych drzwi wstawiono ciężkie, metalowe.

Janice zapukała energicznie i czekała. Po chwili Claudia usłyszała szczepek odsuwanych zasuw i poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła. Ogarnęło ją nagle przemożne, sprzeczne z logiką i rozumem uczucie, że staje oto na progu wydarzeń, które w jakiś tajemniczy sposób odmienią jej los, wpłyną na całe jej życie.

Kiedy drzwi uchyliły się na długość łańcucha, całą siłą woli powstrzymała się, by nie dać posłuchu wewnętrznemu podszeptowi, który naglił ją do ucieczki zanim będzie za późno.

- Czego chcecie? - doszedł ją zza uchylonych drzwi agresywny męski głos.

- Chciałabym się widzieć z Katrioną Spencer - odparła ostro Janice.

- Możliwe. Tylko że ona nie chce się widzieć z panią - odpowiedział głos. - Jest teraz zajęta, załatwia swoje interesy... kapujesz, paniusiu, o czym mówię? - zaśmiał się wyzywająco.

- Powiedz jej, że jeśli mnie nie przyjmie, nie dostanie czeku na zasilek - oświadczyła Janice z niezmaconym spokojem i wtedy rehotliwy śmiech zamilkł. Minęło kilka długich minut i kiedy Claudia myślała już, że odejdą z niczym, znów szczechnął łańcuch i drzwi otwarły się na oścież.

Zaduch na schodach, który wydawał się Claudii nie do zniesienia, okazał się niczym w porównaniu z przerażającym smrodem wypełniającym mieszkanie. Claudia weszła do środka i natychmiast zaczęła się dławić, miała wrażenie, że za chwilę zwymiotuje, że nie zniesie tego fetoru kompletnej degradacji i degeneracji. Pomyślała, że tak mogą żyć tylko ludzie, którzy nie wiedzą już, co to znaczy być człowiekiem. Powinna była czuć wobec nich współczucie, na razie jednak czuła tylko smród.

Przeszły przez ciasny przedpokój i znalazły się w małym pokoiku. Na ich widok podniósł się z brudnego materaca jakiś brodaty chłopak w opuszczonych poniżej pośladków dżinsach. Wciągnął je powoli i zaczął zapinać rozporek. Na barłogu leżała bez ruchu naga dziewczyna. Claudia szybko odwróciła wzrok, natomiast Janice wydawała się nieporuszona.

- Gdzie jest Katriona, Lucy? - zapytała twardym tonem.

- Na górze - odpowiedziała apatycznie naga dziewczyna i z wciąż szeroko rozłożonymi nogami obróciła się powoli na brudnym materacu, by sięgnąć po strzykawkę. W promieniach wpadającego przez okno słońca Claudia dostrzegła błysk igły.

Dojrzała też na rękach dziewczyny liczne ślady po wkluciach i towarzyszące jej dotąd obrzydzenie zamieniło się wreszcie w serdeczny żal. Współczuła tej młodej, zobojętniałej na wszystko istocie.

- Oszczędź sobie - poradziła Janice, trafnie odczytując uczucia Claudii i wskazując drogę na górę. - I Katriona, i Lucy zarabiają na swoją heroinę prostytutką - powiedziała, gdy znalazły się ponownie w przedpokoju.

- Tyle że Katrionie udało się na razie uniknąć kary, a Lucy ma już za sobą jeden odsiedziany wyrok i wszystko wskazuje na to, że wkrótce znowu trafi do więzienia.

- Za co ją skazali? - zapytała Claudia. Spodziewała się usłyszeć, że dziewczyna siedziała albo za kradzieże, dzięki którym zdobywała pieniądze na kolejne działki, albo za handel narkotykami.

Myliła się jednak.

- Zabiła własne dziecko - oznajmiła Janice bez ogródek.

- Jak to?

- Zwyczajnie, moja droga. Takie rzeczy zdarzają się częściej niż myślisz - dodała, widząc wyraz twarzy młodej stażystki. - Nie, nie. Nie zrobiła tego z rozmysłem. One nigdy nie robią tego z rozmysłem. Po prostu wściekła się którejs nocy, że dostała mniej niż klient przyrzekał zapłacić za jej usługi, i wyładowała złość na dzieciaku, który płatał się pod nogami. Przeszkadzał, więc chwyciła chłopca i rąbnęła nim o ścianę. Miał pięć lat, był zdrowym, silnym dzieckiem, ale biedak nie przeżył. Roztrzaskała mu czaszkę. Na szczęście zmarł w szpitalu po trzech dniach, nie odzyskawszy świadomości.

- Na szczęście! - zawołała Claudia, zbyt wstrząśnięta, by ukrywać miotające ją uczucia.

- Gdyby przeżył, byłby upośledzony. Miałby poważne uszkodzenie mózgu i żadnej szansy na opiekę. Jeśli Lucy nie była w stanie zapewnić miłości normalnemu, zdrowemu dziecku, to chyba nie sądzisz, że potrafiłaby zatroszczyć się o kalekę?

Claudia nie odpowiedziała. Co mogła odpowiedzieć na tak brutalne słowa?

- Tutaj - powiedziała Janice, gdy dotarły na górę.

Otworzyła drzwi jakiegoś pokoju i pierwsza przestąpiła przez próg. Po brudzie i smrodzie, jakie panowały na dole, widok dziewczyny siedzącej przed lustrem przy

toaletce i szczotkującej powoli długie, lśniące, kruczoczarne włosy wydał się Claudii tak zaskakująco normalny, jakby wyjęty z innego świata, że stała przez chwilę bez ruchu i wpatrywała się zdumiona w odbicie Katriony.

W przeciwieństwie do Lucy ta dziewczyna miała przytomne, inteligentne spojrzenie. Ciemnozielone, osadzone w drobnej trójkątnej twarzyczce oczy spoglądały bacznie na świat. A może raczej czujnie. Tak, czujnie, tak jak patrzy królik, kiedy otworzy się jego klatkę.

Tak czy inaczej Katriona była śliczna. Więcej niż śliczna - szczupła, kształtna, zbudowana podobnie jak Claudia, ale trochę wyższa. Miała na sobie bawełniany, idealnie czysty podkoszulek z długimi rękawami i dzinsy.

- A to kto? - zapytała, wskazując głową w kierunku Claudii.

- Nowa stażystka, zaczęła właśnie u nas pracować - wyjaśniła spokojnie Janice. Dziewczyna otaksowała Claudię pełnym pogardy spojrzeniem.

- Jezu, znowu stażystka. Jak ty wyglądasz, aniołku? - zakpiła. - Założę się, że nigdy nie pieprzyła się z żadnym facetem - zwróciła się do Janice. - Zresztą, co mnie do tego...

Claudia, choć do głębi dotknięta i zażenowana, postanowiła nie dać się sprowokować. Jeśli miała pracować jako kurator, musiała się nauczyć tłumić własne emocje, przyjęła więc ze spokojem szyderstwa i obelgi.

- Uspokój się - syknęła Janice i zanim Katriona zdążyła się zorientować, chwyciła ją jedną ręką za nadgarstek, a drugą podwinęła do góry rękaw jej podkoszulka. Na wątlym ramieniu dziewczyny widniały liczne ślady po wkłuciach, oczywisty dowód zażywania narkotyku. - Jedno ci powiem o tej nowej: Claudia nie bierze. Ty też byś nie brała, gdybyś miała poukładane w głowie.

- Nie? - prychnęła Katriona z kpiną w głosie i odrzuciła do tyłu gęste włosy. - Mam na tyle poukładane, żeby srać na to wasze głupie gadanie. I tak nic mi nie zrobicie. Po co tu przyszłyście?

- Masz kuratora za uprawianie prostytucji, zapomniałaś? To powód naszej wizyty.

- W takim razie już ją odbyłyście. - Katriona wzruszyła lekceważąco ramionami i odwróciwszy się do toaletki, sięgnęła po leżącą pod lustrem szminkę, którą zaczęła z wielką uwagą malować ładnie wykrojone, pełne usta.

Claudia wciąż nie mogła się nadziwić temu wszystkiemu. Ta dziewczyna naprawdę była inteligentna, zdradzało to jej spojrzenie. Delikatnie zbudowana, szczupła, poruszała się lekko, z wdziękiem tancerki. Kim była? Skąd pochodziła? I dlaczego mieszkała tutaj, w takich strasznych warunkach, podczas gdy z powodzeniem mogłaby...

- Zerwij z tym, Katriono - odezwała się Janice. - Marnie skończysz, włóczęc się ulicach. Któregoś dnia jakiś gość przystawi ci nóż do gardła, tylko dlatego że nie będzie miał ochoty ci zapłacić. A nawet jeśli uda ci się ujść z życiem, dopadnie cię jakiś alfons i stłucze cię za to, że nikomu się nie opłacasz. Po co ci to wszystko? Możesz przecież dostać receptę na methadon, możesz...

- Pójść na odwyk? Nigdy!

- Jesteś głupia, Katriono. Skończysz jak ta z dołu, jak Lucy. Zobacz, ona nie ma już mózgu, jest zbyt otępiała, żeby zamykać nogi między jednym klientem a drugim, nie mówiąc już o tym, że nie jest w stanie zwlec się z materaca i ubrać. Tego właśnie chcesz?

- Na pewno nie skończę jak Lucy! - zawołała Katriona porywczo, a w jej zielonych oczach pojawiły się gniewne błyski. - A teraz wynocha! Spadajcie! Następnym razem was nie wpuszczę! Albo nie... - prychnęła, zwracając się do Janice. - Ją przyślij - wskazała na Claudię.

Claudia słuchała, nie wierząc własnym uszom.

- Co takiego?

- Mówię poważnie - ciągnęła Katriona, patrząc śmiało w oczy Janice. - Ona może tu wejść, ty nie. Dotarło?

Rozdział 7

- Strasznie marnie wyglądasz, kochanie. Czy wszystko w porządku, nic ci nie jest?

- Nic mi nie jest, mamó - fuknęła rozdrażniona Claudia i od razu pożałowała tego tonu, widząc smutną minę matki. - Nie gniewaj się - mruknęła już znacznie łagodniej i położyła w przepraszającym geście dłoń na ramieniu Joan Fulshaw. - Jestem... Jestem po prostu przemęczona, to wszystko.

Ejże, skarciła się w duchu po chwili. Za nic nie chciała uważać się nad sobą ani tym bardziej wyplakiwać matce, opowiadając, jak bardzo tęskni za Garthem.

Jego pułk stacjonował w Północnej Irlandii. Przed wyjazdem udało mu się wyrwać do domu na jednodniową przepustkę. Kochali się wtedy z jakąś nienasyconą pasją, świadomi czekającej ich rozłąki, jednocześnie szczęśliwi, że są razem, i smutni, że zaraz przyjdzie im się rozstać na dłuższy czas. Claudia wzięła na ten dzień wolne, co nie zostało zbyt dobrze przyjęte w pracy.

Ze łzami w oczach ucałowała matkę i pomogła jej wsiąść do wagonu.

Joan przyjechała do Londynu na jeden dzień, żeby zobaczyć się z córką i zrobić zakupy, ale Claudia nie ucieszyła się nawet jej wizytą. Nie doszła jeszcze do siebie po ciężkiej grypie, której nabawiła się przed miesiącem. Czuła się osłabiona i osowiała. Na dodatek jeden z kuratorów został przeniesiony gdzie indziej i musiała przejąć większość jego obowiązków, była więc przeciążona pracą.

Być może Janice miała rację, pomyślała z niechęcią. Może rzeczywiście powinna zająć się czymś innym, może nie jest stworzona do niesienia pomocy wyrzutkom i wykolejeńcom.

- Problemy zawodowe zostawiaj w pracy - radziła jej szefowa. - Zbyt się angażujesz.

Claudia często łapała się jednak na tym, że nie jest w stanie zapominać o kłopotach swoich podopiecznych. Szczególnie zaś martwił ją los Katriony. Nie mogła przestać myśleć o tym, w jak bezsensowny, tragiczny sposób dziewczyna rujnuje sobie życie.

- Przecież nie musi tak być - mówiła jej Claudia, zapominając o profesjonalizmie. - Jeszcze możemy wszystko zmienić - przekonywała, z całego serca pragnąc pomóc Katrionie, uchronić ją i wyciągnąć z bagna, zanim będzie za późno.

- Już jest za późno - stwierdziła krótko Janice, kiedy Claudia zaczęła kiedyś omawiać po raz kolejny przypadek Katriony, niepomna, iż szefowa od samego początku uważała ją za egzaltowaną idealistkę, zupełnie nie nadającą się na kuratora.

Ile jednak w ocenie Janice było prawdy, a ile naturalnej niechęci wywołanej żądaniem Katriony, by nie odwiedzał jej nikt inny poza Claudią - tego nie sposób było dociec.

- Uparła się, bo wie, że jesteś nowa i niedoświadczona - ostrzegła Janice wkrótce po zebraniu całego zespołu służb socjalnych, na którym omawiano wszystkie aktualne przypadki i gdzie zdecydowano, że to Claudia będzie się na stałe opiekowała Katrioną, skoro dziewczyna jedynie ją toleruje. - Nie rozumiem, dlaczego jesteśmy tacy ustępliwi wobec tej smarkatej - fukała z oburzeniem, choć rozumiała, że to jedyna słuszna decyzja w tej sytuacji.

Cały zespół zresztą rozumiał.

Tymczasem Katriona prowadziła bardzo niebezpieczną grę. W zamian za pewną swobodę ruchów dostarczała policji informacji o handlarzach narkotyków, którzy działali w jej blokowisku.

- Musisz być bardzo ostrożna - napominała ją Claudia, kiedy Katriona zaczęła się przechwalać, jak łatwo przychodzi jej nakłaniać mężczyzn do zwierzeń. - Jeśli się zorientują co, robisz...

- E, tam! - Katriona wyśmiała jej obawy. - Nie zorientują się. Dla nich jestem tylko dziwką, z którą mogą się pieprzyć na zawołanie. Zapominają, że choć nie mogę mówić z kutasem w ustach, to mam uszy i mogę słuchać. A poza tym, co mi mogą zrobić? - Wzruszyła ramionami. - Nic. Za dużo wiem. Nie jestem taką niewinną lilią, jak ty - dodała, mierząc Claudię ironicznym spojrzeniem. - Ty nic nie wiesz o życiu, aniołku. No, powiedz, ile miałas lat, kiedy poszłaś pierwszy raz do łóżka?

Claudia pokręciła głową, zła na siebie, że pytanie wywołało rumieniec na jej twarzy. Katrionę to oczywiście bawiło. Poza tym bardziej była skłonna do zasypywania

Claudii pytaniami na temat jej życia, niż do opowiadania o swoim własnym.

- Mamuśka i tatuniek - mówiła zawsze, jakby przedrzeźniała Claudię. - Idę o zakład, że cię rozpieszczali. A ten twój mężuś to już na pewno chucha na ciebie i dmucha. No, powiedz, może nie? - dopytywała się, chwytając dłoń Claudii, na której złociła się obrączka. - No, powiedz mi, jaki on jest... dobry w łóżku? Kurde, dlaczego ja cię o to pytam? Jeśli jest dobry, to i tak wiesz, co to znaczy, prawda? - kpiła, mrużąc oczy z jakimś mściwym okrucieństwem. - To znaczy, że zadaje się z kurwami. Bo to dzięki nim, dzięki takim jak ja, ci frajerzy wiedzą, co naprawdę rajcuje kobietę, a potem popisują się przed swoimi ślubnymi żonkami.

- To nieprawda!

- Prawda, prawda. Ten twój też pewnie chodzi na dziwki. Skąd możesz wiedzieć, że nie? Pytałaś go kiedy? - Popatrzyła wyczekująco na Claudię, a potem wybuchnęła śmiechem, kiedy ta potrząsnęła tylko głową i odwróciła się, jakby zamierzała wyjść. - Zaczekaj, aniołku.

- To nie ma sensu...

- No, zaczekaj. Dopiekłam ci, co? Widzisz, oni wszyscy chodzą na dziwki - dodała już łagodniej. - Opowiadają, jacy to są porządni, jacy wierni i kochający, ale pieprzą się na boku, ile wlezie. Wszyscy, bez wyjątku. Za tego twojego też nie dałabym grosza. Zresztą, kto wie, czy nie jest... jednym z moich klientów.

Przerwała i czekała na reakcję. Claudia знаła ją już na tyle dobrze, by wiedzieć, że dziewczyna uwielbia ją

provokować i że nie wolno jej dać się wyprowadzić z równowagi. Tym razem jednak nie zdzierzyła.

- Bardzo wątpię. Garth służy w armii. Bardzo rzadko przyjeżdża do Londynu i...

- Ach, w armii - Katriona popatrzyła na nią z pełnym politowaniem zrozumieniem. - No to wyrazy współczucia, skarbie. Ci są najgorsi.

- Bzdura!

- Albo najlepsi, zależy jak na to spojrzeć. - Katriona wykrzywiła usta w znaczącym uśmiechu. Jej zielone kocie oczy błyszczały niezdrowo, zdradzając, że przed przyjściem Claudii musiała wziąć dawkę narkotyku. Ostatnio brała coraz czę-

ściej, choć twierdziła, że nadal panuje nad nałogiem i że nie jest uzależniona. - Jak go poznałaś? - zapytała niby to od niechcenia, ale Claudia nie dała się więcej sprowokować.

- Powiedz lepiej, skąd ta blizna - zapytała suchym głosem, wskazując na długą, brzydką ranę na ramieniu dziewczyny. Rana wyglądała tak, jakby zadana została nożem. Kiedyś pewnie by tego nie spostrzegła, jednak teraz, po pół roku praktyki, Claudia nauczyła się już dostrzegać i rozpoznawać rozmaite ślady na ciele swoich podopiecznych - wklucia, sińce, krwiaki, skaleczenia, blizny po przypalaniu papierosem.

- To robota Lucy - rzuciła Katriona z udawaną beztróską.

- Wygląda paskudnie. Czy ktoś to oglądał?

- Jasne... każdy fiut, którego miałam w ciągu dwóch ostatnich dni, to znaczy od chwili, kiedy Lucy rzuciła się na mnie w kuchni. Pewnie chcesz wiedzieć, ilu ich mogło być?

- Daj spokój...

- Och, sama nie wiem... dziesięciu... może dwudziestu. Wczoraj wieczorem przyszli całą grupą. Jacyś smarkacze z drogiej, prywatnej szkoły. Same prawiczki, bali się wybrać na dziwki samopas, więc urządzili sobie wycieczkę. Powiedziałam główniarzom, że mogą się przyglądać, a ja pokażę pierwszemu, o co biega. Kurde, ale to była banda złamasów, dosłownie... Fakt, zapłacili mi dobrze, więc nic mi do nich.

Claudia słuchała w milczeniu. Zdążyła się już przyzwyczać do podobnych opowiastek i wiedziała, że Katrionie największą satysfakcję sprawia jej zgorszona mina. Wytrzymała wyzywające spojrzenie, uśmiechnęła się nawet kącikiem ust. Usiadła naprzeciwko Katriony, licząc na to, że może tym razem dziewczyna da się podejść, zgodzi się na zwierzenia i przestanie odmawiać jakichkolwiek informacji na swój temat. W końcu to także należało do licznych obowiązków kuratora - wydobyć z podopiecznych co się da na temat ich przeszłości, rodziny, pochodzenia.

- Ciekawe, co na to ich rodzice - zagadnęła.

- Pewnie myślą, że synkowie są porządni i czyści jak łąka! Albo wiedzą, że kieszonkowe od tatuńcia idzie na piwko i dupy, ale udają, że nie mają o niczym pojęcia. Wszyscy są tacy...

- Wszyscy? A twoi?

- Co moi?

- Musisz mieć przecież rodziców, Katriono. Oni...

- Muszę? - przerwała jej gwałtownie Katriona. - Niby dlaczego muszę? Bo przepisy tak mówią? No to mam dla ciebie smutną wiadomość, skarbie: życie nie chce się jakoś układać zgodnie z przepisami.

- Kogoś jednak musisz mieć. Matkę... ojca... może dziadków.

- Dziadków! - zaśmiała się gorzko Katriona. - Kurde, gdybym miała dziadków, to musiałyby to być antyki! Matce prawie stuknęło pięć dych, kiedy mnie urodziła. Cudowne poczęcie, jak w Biblii. Byli pewni, że nie mogą mieć dzieci, a tu niespodzianka. Może ktoś powinien im być powiedzieć, że wcześniej powinni zacząć ze sobą sypiać. Wozili się dwadzieścia lat, zanim zatrybiło. Trochę długo, nie?

- Musieli cię bardzo kochać.

- Musieli? Nie wiem. Moja matka nie mogła dojść do siebie, jak się dowiedziała. Na myśl o tym, co sąsiedzi powiedzą o niej i o ojcu, zaniemogła i... umarła. Podobno na zawał. Poród osłabił serce, tak powiedzieli. Mówili też, że była za stara, żeby mieć dzieci. Mieli rację. Ot i cała historia.

Serce Claudii ścisnęło się z bólu, kiedy słuchała tych słów, powstrzymała jednak wzruszenie i zapytała cicho:

- A ojciec?

- Ojciec? Och, święty człowiek - oświadczyła Katriona cynicznym tonem. - Wszyscy tak twierdzili, więc to pewnie prawda. Nie do wiary, że tacy dobrzy ludzie mogli spłodzić kogoś takiego, jak ja, nie?

- Żyje jeszcze?

Katriona wzruszyła obojętnie ramionami. Westchnęła ciężko i osunęła się głębiej w fotelu. Heroina, którą zażyła tuż przed przyjściem Claudii, zaczęła właśnie działać i dziewczyna nie miała najmniejszej ochoty opowiadać o czymkolwiek, a zwłaszcza o swoich rodzicach.

- Nie wiem, nic mnie to nie obchodzi - rzuciła. - Nie ma jeszcze takiego obowiązku. Poza tym ja też go nigdy nie obchodziłam. Ta jego cholerna szkoła była zawsze ważniejsza ode mnie.

- Szkoła? - zainteresowała się Claudia.

- Był nauczycielem. Nie, *sorry*, pedagogiem - poprawiła się, starannie modulując słowa i naśladowując wytworny akcent klas wyższych, jakim mówiła też Claudia. - Uczył w prywatnej szkole dla chłopców. Nie przyjmowali tam oczywiście dziewczynek, więc ja chodziłam do lokalnej szkoły we wsi, choć wieczorami ojczulek uczył mnie też w domu, a jakże. Oni... moi starzy... poznali się w czasie studiów w Oksfordzie. Nie, stać ich było, żeby kształcić mnie w prywatnej szkole, ale obydwójce stawiali sobie za punkt honoru, żebym trafiła do college'u, w którym była kiedyś moja matka.

- Co to był za college? - zapytała Claudia, ale kiedy Katriona w milczeniu zamknęła oczy i odwróciła głowę na bok, sama domyśliła się odpowiedzi. - Lady Margaret Hall... Somerville?

- Wydaje ci się, że jesteś strasznie mądra, co? - warknęła Katriona. - Co to ma, do cholery, za znaczenie, do jakiego college'u chodziła moja stara? Gdybym chciała pójść na studia, wybrałabym na pewno ciekawszy uniwersytet niż ten kretyński Oksford. Nie wiem, Essex... coś takiego. Tylko że stary nigdy by się na coś takiego nie zgodził. Dla niego świat zaczynał się i kończył na Oksfordzie. Nawet Cambridge nie był dość dobry.

Claudia nie skomentowała słów Katriony. W pozornie wzgardliwym głosie dziewczyny słyszała gorycz i gniew, czuła więc, że powinna pytać dalej, korzystając z tego wzburzenia, które pchało Katrionę do wciąż nowych wyznań.

- Lubiałaś szkołę? - zagadnęła po chwili.

- Czy lubiłam szkołę? - Katriona zaczęła się śmiać. - Kurde, no pewnie... Wprost uwielbiałam. Byłam zachwycona, kiedy dzieciaki wytykały mnie palcami. Dla nich córka nauczyciela drogiej prywatnej szkoły była jak małpa w zoo. Najpierw przez pół dnia musiałam odpowiadać na ich zaczepki, a potem wracałam z budy i całymi wieczorami wysłuchiwałam wykładów tatusia, który nie przestawał głądzić, jakie to ważne, żeby mieć odpowiednie wykształcenie. No ale szybko mu dowiodłam, że dla mnie od łaciny i greki ważniejsze są inne sprawy. Gdy przyszło co do czego, byłam w stanie nauczyć tych durniów z dobrych domów znacznie ciekawszych i pożyteczniejszych rzeczy, niż te, które przez tyle lat wbijał im do głów mój szanowny

tatunio, kumasz? - Uśmiechnęła się chytrze, nie czekając na odpowiedź. - Pozycji seksualnych nie było w planie lekcji, ale ja prowadziłam zajęcia nadobowiązkowe. Przygotowanie do życia, w rodzinie i poza nią. No i on w końcu dostrzegł, że ja istnieję.

- Twój tata?

- Mój stary.

Claudia słyszała w głosie dziewczyny gniew, ale też zawód. Z pobieżnego opisu wywnioskowała, że wcześniej osierocona przez matkę Katriona musiała wyrastać w przekonaniu, że ojciec, człowiek starszy i przyzwyczajony raczej do kontaktów z chłopcami niż z dziewczynkami, nie zwraca na nią uwagi. Uznała widocznie, że złe zachowanie i łamanie zasad to jedyny sposób, by ojciec w końcu ją zauważył i zajął się nią. Często tak się zdarzało z dziećmi w podobnej sytuacji.

- Jeszcze nie jest za późno, Katriono - powiedziała cicho. - Jeszcze możesz cofnąć czas. Możesz...

- Oczywiście, że jest za późno! - przerwała jej Katriona z wyraźną irytacją. - Jesteś taka głupia, taka naiwna, że rzygać mi się chce, kiedy cię słucham! Poza tym skąd ci przyszło do głowy, że chciałabym cofnąć czas? Niby do czego miałabym wracać? Stary pewnie nie żyje, a jeśli nawet żyje, to od dawna nie powinien. Każdego faceta, który ma więcej niż dwadzieścia jeden lat, należałoby likwidować... Ja w każdym razie nie zamierzam żyć ani dnia dłużej.

Serce Claudii ścisnęło się na te słowa. Janice mówiła jej, że Katriona długo nie pożyje, że wykończy się narkotykami. Katriona zdaje się sama tego chciała. Janice ostrzegała też ustawicznie, żeby nie angażować się w problemy swoich podopiecznych, bo to osłabia skuteczność pracy kuratora. Tylko że Claudia chciała być nie tylko skuteczna, chciała dzielić się swoim sercem.

Tego samego wieczoru, siedząc nad kwestionariuszem osobowym Katriony i pracowicie uzupełniając puste rubryki w oparciu o odpryski informacji zebrane w trakcie rozmowy, w pewnym momencie odłożyła pióro i zapatrzyła się w przestrzeń. Na rękę miała siniak - ślad po spotkaniu z jakimś wyrostkiem, który usiłował wyrwać jej torebkę, kiedy wychodziła z bloku Katriony. Wcześniej przeżyła niemiły moment, gdy na pustej klatce schodowej zaczepił ją jakiś ćpun z żądaniem pieniędzy. Choć nie

chciała się do tego przyznać, po raz pierwszy pomyślała wówczas, że praca kuratora staje się dla niej coraz większym ciężarem. Była przygnębiająca i wyczerpująca, w dodatku nie dawała żadnej satysfakcji, żadnego poczucia, że robi się coś pożytecznego. Nie dawała efektów,

Claudia pocieszała się, że to tylko chwilowe zniechęcenie. Miała wyjątkowo zły dzień, tłumaczyła sobie. Przyczyniła się do tego głównie Katriona, która jak zwykle robiła wszystko, by dokuczyć, zdenerwować, zaleźć za skórę. Dzisiaj zaś postanowiła dodatkowo zdruzgotać, zniszczyć swoją opiekunkę. Cóż, była niezwykle inteligentna, umiała czytać w ludzkich myślach, wiedziała, jak sprawić ból. Claudia nie miała wątpliwości, że ojciec Katriony wcale nie kierował się przesadną ambicją, chcąc kształcić córkę w Oksfordzie.

Janice na pewno będzie uważała, że opowieść o ojcu nauczycielu, absolwencie najlepszego angielskiego uniwersytetu, to kolejna zmyślona historyjka. Claudia czuła wszakże instynktownie, że tym razem dziewczyna powiedziała prawdę.

Przerwała sporządzanie raportu i bawiąc się piórem, zaczęła rozważać możliwe szczegóły życiorysu swojej podopiecznej. Musiała być bardzo zazdrosna o ojca, zazdrosna o jego uczniów, o to, że poświęca im tyle uwagi. Było to zupełnie naturalne i zrozumiałe - tragiczna śmierć matki odcisnęła się bolesnym piętnem na psychice obydwójga. Nieśmiały z natury, osamotniony i przygnębiony wdowiec, szukając zapomnienia i uciekając przed odpowiedzialnością za dziecko, skrył się we własnym świecie, w świecie pracy i zawodowych obowiązków. To one były dla niego jedyną pociechą. Zanedbywana Katriona usiłowała dać mu do zrozumienia, że potrzebuje jego miłości, stawała się coraz bardziej nieznosna, zbuntowana. Klasyczny przykład zdesperowanego dziecka, które za wszelką cenę próbuje zwrócić na siebie uwagę.

- Ile miałaś lat, kiedy wyniosłaś się z domu, Katriono? - zapytała Claudia już pod koniec najdłuższej jak dotychczas rozmowy w historii ich spotkań.

- Czternaście - odparła dziewczyna. - I nie wyniosłam się z własnej woli, tylko usłyszałam, że mam się zabierać precz.

- Precz?

Widząc minę Claudii, Katriona wykrzywiła usta w kpiącym uśmiechu.

- Nie wierzysz mi, co? Mówię prawdę, skarbie. Postawiono nam ultimatum: mnie i ojcu. Jeśli chciał zachować posadę, musiał pozbyć się mnie z domu. Uznano, że moja obecność wpływa demoralizująco na uczniów szkoły i że muszę zniknąć z pola widzenia. - Wzruszyła nieznacznie ramionami. - Oczywiście ojciec mógłby zamieszkać poza terenem szkoły, gdyby tylko chciał. Ja nienawidziłam tego mieszkania, ale on je bardzo lubił. Fakt, było eleganckie, świetnie urządzone, a pokoje miały po cztery metry wysokości. Nie było za to centralnego ogrzewania, bo w mieszkaniach pracowników nie instaluje się kaloryferów, tak mi to kiedyś wytłumaczył.

- No ale zimą...

- Zimą na oknach w mojej sypialni pojawiał się lód. A kąpać mogliśmy się dopiero wtedy, kiedy chłopcy skończyli swoje ablucje i kiedy woda była już zimna.

- Musiało być ci ciężko - powiedziała Claudia ze współczuciem, jednak Katriona nie zareagowała tym razem ani wzruszeniem ramion, ani kolejnym wybuchem agresji. Narkotyk działał szybko, tumaniał mózg, uniemożliwiał trzeźwe myślenie. Claudia zrozumiała, że rozmowa dobiegła końca i nie próbowała już zadawać kolejnych pytań.

Czternaście lat...

Westchnęła ze smutkiem i wróciła do pisania. Ulice Londynu i innych wielkich miast pełne były młodocianych uciekinierów, w tym wieku i młodszych, o czym Claudia miała okazję dowodnie się przekonać.

Czternaście lat...

- Nie powinnaś tu pracować - oznajmiła Janice cierpko kilka dni wcześniej. - Ty się do tego nie nadajesz. Powinnaś raczej prowadzić przytulną kawiarenkę dla starszych pań, najlepiej gdzieś na wsi albo w małym miasteczku.

- Mam wszystkie kwalifikacje potrzebne do wykonywania zawodu - przypomniała jej Claudia, przyjmując oficjalny ton.

- Owszem, posiadasz kwalifikacje - zgodziła się Janice. - Ale tylko teoretyczne. Jeśli bowiem chodzi o twój stosunek emocjonalny do podopiecznych... - Pokręciła z westchnieniem głową. - Jesteś z tych, co to zaciskają zęby i udają, że wszystko w porządku, ale w końcu nie wytrzymują i załamują się pod presją nieszczęść, z którymi wciąż mają do czynienia. Pęknieś, Claudio, a ja będę się głowiła, komu przekazać

twoich podopiecznych. Żeby pracować w takim środowisku, człowiek musi być naprawdę twardy, musi doskonale wiedzieć, w co wchodzi. Tutaj nie ma miejsca na litość i współczucie. Tych ludzi może zrozumieć tylko ktoś, kto żył w podobnych warunkach, kto wychowywał się z im podobnymi...

- Jak ty? - przerwała jej Claudia.

- Jak ja - przytaknęła Janice. - Musisz pogodzić się z tym, że wielu z nich nigdy się nie podniesie, że od początku spisani są na straty, że muszą umrzeć.

- Nie!

- Tak. Wiem, że podobne zdania mogą szokować, ale taka jest prawda. Oni nie mają żadnego celu, żadnej przyszłości, cienia nadziei. Nic, zupełnie nic.

Claudia milczała, nie była w stanie zareagować. Słowa Janice sprawiły jej zbyt wielki ból. Oni nie mają szans. A ona się nie nadaje...

Cóż, chyba naprawdę się nie nadaje. Powtarzała sobie z uporem, że Katriona jest inna niż ci nieszczęśnicy, o których z taką okrutną szczerością mówiła Janice, ale każde kolejne spotkanie w obskurnym bloku, każda rozmowa, każdy zawód podcinały Claudii skrzydła. Nie było już w niej zapału, entuzjazmu, a jedynie resztką nadziei, że może Katriona ma dość oleju w głowie, żeby ułożyć sobie życie.

Gdyby tylko udało się wreszcie ją przekonać, że powinna pójść do ośrodka rehabilitacyjnego; gdyby tylko zgodziła się poddać kuracji; gdyby zrozumiała, że jest jeszcze dla niej ratunek...

- Ona nie chce zrozumieć i na pewno nie podda się kuracji - powtarzała Janice.

- Im bardziej będziesz nalegać, tym mocniej będzie się opierała. Jej jedynym życiowym celem jest upaść tak nisko, jak to możliwe. W ten sposób chce ukarać tych, którzy kiedyś wyrządzili jej krzywdę. Boże, ile ja widziałam podobnych historii. Uważaj, Claudio - przestrzegają - ta dziewczyna gotowa cię zniszczyć, jeśli tylko zorientuje się, że jesteś słaba. Ona ma w sobie potrzebę destrukcji nie tylko własnej osoby, ale i innych.

Claudia przyznawała Janice rację. Nie raz i nie dwa doświadczyła ze strony Katriony bezinteresownego i rozmyślnego okrucieństwa, tak jakby dziewczyna z upartą determinacją chciała ją zranić i wytrącić z równowagi, tak jakby rozpaczliwie

usiłowała zniszczyć każdego, kto nie podzielał jej chorych, przesyconych nienawiścią i straceńczych zapatrywań na życie.

Czy dla kogoś takiego warto się poświęcać?

Claudia obudziła się, ziewnęła i przeciągnęła. Zamrugła powiekami, oślepią przez światła jadących z naprzeciwka samochodów. Garth skręcił właśnie w ulicę, przy której mieszkali.

Spędzili ten weekend z jego rodzicami - pierwszy wolny weekend Gartha od chwili, kiedy wyjechał do Irlandii Północnej. Kolacja u pani Wallace, jak zwykle pyszna i głośna z powodu niemałej liczby zaproszonych przyjaciół, przeciągnęła się do późna i w drodze powrotnej Claudię zmorzył sen.

Teraz uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie dwóch minionych dni. Udały się znakomicie - oderwała się od pracy, zaprzyjaźniła z teściami, którzy od pierwszej chwili nie kryli sympatii wobec synowej. Tylko Garth chodził naburmuszony i z jakiegoś powodu boczył się na wszystkich, tak jakby nawykłszy do surowych rygorów koszarowego życia, nie potrafił się odnaleźć w zwykłym świecie.

Nie rozmawiali w czasie weekendu ani o jego niewdzięcznej służbie w walczącej o wolność Irlandii Północnej, ani o dwóch przyjęciach wydanych przez jego matkę, ale Claudia podejrzewała, że małomówność męża łączy się w jakiś sposób z rozmową, którą przeprowadził ze swoim ojcem, kiedy to obydwaj zamknęli się w gabinecie, podczas gdy ona zaofiarowała się pomóc pani Wallace w przygotowywaniu niedzielного lunchu.

Wcześniej, na piątkowej kolacji, pojawił się w domu Wallace'ów szkolny kolega ojca Gartha, który prowadził firmę *public relations* obsługującą klientów ze świata wielkiej polityki i finansjery. Claudia słyszała, jak starszy pan zupełnie poważnie proponuje Garthowi, że gdyby ten zechciał odejść z armii, on chętnie przyjmie go do siebie.

- Nie mam zielonego pojęcia o *public relations* - odparł Garth ze śmiechem na tę ofertę.

- I tu się mylisz - poprawił go natychmiast Nicholas Forbes. - Ta praca polega na kształtowaniu i promowaniu publicznych wizerunków, to istota *public relations*. Jesteś otwarty, masz dobre podejście do ludzi, wiesz, jak z nimi postępować i jak

wydobywać z nich to, co najlepsze - mówił dalej, a Claudia, słuchając go, musiała przyznać, że bardzo trafnie ocenił charakter jej męża.

Zastanawiała się później, czy Forbes wie od teścia, że Garth po ślubie zaczął rozważać możliwość odejścia z armii, by zapewnić lepszą przyszłość swojej żonie.

- Nie mogę powiedzieć, że bym był przesadnie ambitny - oznajmił Garth rodzicom podczas piątkowego lunchu, kiedy zaraz po przyjeździe we czwórkę zasiedli przy wygodnym kuchennym stole. - Poza tym niedługo nasza rodzina na pewno się powiększy. - Tu uśmiechnął się porozumiewawczo do Claudii, po czym dodał już poważniej: - Nie chcę być ojcem, którego nigdy nie ma w domu.

Nie powiedział rodzicom, co obydwoje ustalili między sobą - że nie wyślą swoich dzieci, tak jak oni zostali kiedyś wysłani, do szkół z internatem. Oboje zapamiętali to jako niezbyt miłe doświadczenie i chcieli oszczędzić podobnego losu swoim przyszłym pociechom.

Znajome skrzypienie starych drzwi ich małego mieszkańka wyrwało ją z rozmyślań. Garth rzucił na stolik klucze, po czym wrócił na dół, by przynieść z samochodu skrzynki ze świeżymi owocami i warzywami z przydomowego ogrodu, które jego matka niemal siłą wcisnęła młodym, Claudia natomiast podeszła do zlewu, napełniła czajnik i nastawiła wodę na herbatę.

Po dwóch minutach usłyszała, jak mąż ponownie wchodzi do domu i starannie zamyka za sobą drzwi. Odwróciła głowę, a wtedy podszedł do niej i uniemożliwiając jakikolwiek ruch, zaczął delikatnie muskać wargami jej szyję.

- Daj spokój - obruszyła się. - Robię herbatę.

- Nie chcę herbaty, mam ochotę na ciebie - mruknął, tuląc ją mocniej do siebie i zamykając dłoń na jej piersi.

Kiedy pojawił się w domu w środę, po długiej rozłące, stęsknieni za sobą kochali się jak szaleni. Potem kochali się w czwartek, całą noc, a potem, w piątek rano, Garth znów obudził ją pocałunkami.

Claudia wiedziała, że im dłużej Garth jest poza domem, tym bardziej jej pożąda. Przyjeżdżał na przepustki spragniony kontaktu fizycznego, bliskości, seksu, porywał ją w objęcia i całował z taką pasją, jakby chciał w ciągu kilku dni nadrobić długie tygodnie oddalenia. Tym razem jednak w jego pożądaniu pojawiło się coś

nowego, nie tyle może agresja, ile starannie kontrolowana męska natarczywość; jakaś ledwie powstrzymana brutalność i władczość, która wcale jej się nie podobała.

A jednak ustępowała pod jej naporem. Leżąc obok niego w domu teściów, wdzięczna i za wymiary ogromnego łóżka i za fakt, że dzięki przestronności rezydencji mogą zachować dyskrecję i bez stresów dzielić intymne chwile, Claudia uświadomiła sobie raptem z całą ostrością, jak krucha jest ludzka egzystencja. Przez cały okres, kiedy Garth stacjonował w Belfaście, starała się nie dawać przystępu lękom, których, jak wiedziała, doświadczać musi każdy, kogo najbliższych los rzucił we wrogie, nieprzyjazne, wręcz zagrażające życiu otoczenie. Powiadała sobie, że jeśli zacznie się bać o Gartha, choćby tylko podświadomie, jej strach osłabi męża, uczyni go podatnym na rozmaite niebezpieczeństwa.

Pierwszej nocy po przyjeździe Gartha do domu budziła się co chwila, tylko po to by upewnić się, że mąż rzeczywiście jest obok niej, że śpi spokojnie i nic mu nie grozi.

Nie sprzeciwiła się więc nawet, kiedy chciał się z nią kochać w domu rodziców, chociaż zwykle odmawiała, bo czuła się tam nieswojo. Zawsze była, pomimo wszystko, spięta, czujna, nie potrafiła się odprężyć i zapomnieć. Tym razem zwyciężyła potrzeba bliskości, przemożna chęć, by znaleźć się w ramionach Gartha, złączyć się z nim, być jego częścią, dać mu rozkosz, której tak bardzo był spragniony.

- Daj spokój, Garth - powiedziała teraz, ale tylko dla zasady. Wiedziała już, że się podda. Czuła, że jej ciało zaczyna reagować na coraz śmielsze pieszczoty. - Słyszysz, Garth? Dopiero przyjechaliśmy...

- Mmmm... - To była jedyna odpowiedź, jaką doby. z siebie na niezbyt przekonujące protesty, po czym przytulił ją mocno i zaczął rozpinać jej biustonosz. Po chwili wsunął dłoń pod spódniczkę Claudii i wyszeptał jej do ucha: - Słodka... taka słodka...

- Nie, Garth - szepnęła bez tchu. - Nie możemy, nie tutaj...

- Owszem, możemy - odparł, nie zaprzestając pieszczot. - Wiesz, co teraz zrobimy? - szepnął rozkochanym głosem, tuląc Claudię do siebie, a kiedy pokręciła przecząco głową, powiedział stłumionym głosem: - Pójdziemy do łóżka i będę się z tobą kochał. Kochał i kochał... przez całą noc do samego świtu.

- Garth... - dobyła z siebie słaby protest. Nie miała nawet siły, by powiedzieć mu, że powinni choć trochę odpocząć.

I rzeczywiście kochali się jak nienasyceń. Pomimo wszystko. Wbrew zmęczeniu. Gdy zaś nad ranem Claudia wstała, by pójść do łazienki, zdała sobie dopiero sprawę z tego, co zrobiła czy raczej czego nie zrobiła.

Na półce pod lustrem niczym wyrzut sumienia leżało opakowanie pigułek antykoncepcyjnych, które położyła tutaj, zamierzając zabrać je na weekend do rodziców Gartha. Zapomniała je wtedy wrzucić do kosmetyczki, a teraz wpatrywała się w nie odrętwiała.

Nie wzięła trzech tabletek.

Trzy noce... trzy dni uprawiania miłości bez żadnego zabezpieczenia.

Poczuła niemiły ucisk w piersi. To zaledwie trzy dni. Przecież nie mogła w tym czasie... na pewno nie...

Kiedy powiedziała o tym Garthowi, nie wyglądał wcale na zmartwionego, chociaż takiej reakcji właśnie po nim oczekiwała.

- A więc możliwe, że zaszłaś w ciążę - skwitował lekko jej rewelację. - Cóż, jesteśmy małżeństwem - przypomniał z uśmiechem. - Planowaliśmy przecież, że będziemy mieli dzieci.

- Owszem - zgodziła się Claudia - ale jeszcze nie teraz. Nie tutaj i nie kiedy pracuję. Nie możemy wychowywać dziecka w tym mieszkaniu, a na inne, o ile nadal mamy mieszkać w Londynie, na razie nas nie stać.

- Nie widzę wielkiego nieszczęścia - Garth bagatelizował jej obawy.

- Wściekną się na mnie w pracy. Już bez tego Janice jest przekonana, że nie nadaję się do tej roboty. Od początku patrzyła na mnie nieufnie.

- Wiem, ile to dla ciebie znaczy - przytaknął Garth - ale...

Zamiast dokończyć, zamilkł, po czym otoczył ją ramionami i położył sobie głowę Claudii na piersi, by mogła słyszeć dudnienie jego głosu w krtani i czuć bicie jego serca - coś czego tak rozpaczliwie jej brakowało od chwili, gdy wyjechał do swojej jednostki. Teraz wciągała głęboko powietrze, tak jakby chciała za wszelką cenę zatrzymać w płucach woń męża aż do jego następnej wizyty.

- Powiedz mi, dobrze ci w Londynie, lubisz tę swoją pracę? - zapytał.

Już otworzyła usta, by przytaknąć, lecz w ostatniej chwili powstrzymała się i powoli pokręciła głową. Do oczu napłynęły jej łzy.

- Nie... szczerze mówiąc, nie - przyznała zmęczonym głosem. - Być może Janice rzeczywiście ma rację, może nie potrafię sprostać problemom, z którymi mam do czynienia. Może powinnam prowadzić wiejską kawiarenkę dla starszych pań i organizować loterie na cele charytatywne.

- Nie opowiadaj głupstw - zaproponował Garth, chcąc dodać żonie ducha. - Poza tym na wsi jest tyle samo biednych i nieszczęśliwych ludzi, co w mieście. Tyle że tamta bieda jest inna.

W trzy tygodnie po wyjeździe Gartha Claudia obudziła się pewnego ranka z takimi mdłościami, że bez robienia koniecznych testów wiedziała już, że jest w ciąży. Jednak Garthowi powiedziała o wszystkim dopiero wtedy, gdy usłyszała potwierdzenie z ust lekarza.

- Mam dla ciebie nie najlepszą wiadomość - oznajmiła możliwie spokojnym tonem, zaciskając nerwowo spocną dłoń na słuchawce telefonu i powstrzymując z całych sił napływające do oczu łzy. - Jestem w ciąży, Garth.

Nie jęknął z rozczarowaniem, ale też nie wpadł w euforię. Kiedy zaś słuchała jego dopytywań, czy jest w stu procentach pewna i czy przeprowadziła wszystkie badania, była przekonana, że Garth, wbrew zapewnieniom, które składał podczas ostatniego urlopu, tak samo niechętnie przyjął wiadomość o ciąży, jak ona.

Pożegnała się z nim, odłożyła słuchawkę i zacisnęła powieki. Nie myśl, że cię nie pragnę, powiedziała w duchu swojemu dziecku, ale pojawiaasz się za wcześnie, nie jestem jeszcze gotowa, obydwójce nie jesteśmy gotowi, rozumiesz?

Dlaczego, dlaczego nie pamiętała, żeby zażyć te przekłete pigułki?

Powiodła zmęczonym wzrokiem po ciasnym wnętrzu. Jak miałyby wychowywać tu dziecko? To niemożliwe. Nawet gdyby właściciel się zgodził na obecność maleństwa - a wiedziała dobrze, że się nie zgodzi.

Poza tym była przecież jej praca. Janice od jakiegoś czasu coraz częściej rzucała uwagi na temat bladości i ospałości Claudii, tymczasem obowiązki, których się podjęła, wymagały fizycznej i psychicznej odporności oraz ustawicznej gotowości. Zespół, w którym pracowała, był zbyt przeciążony zadaniami, by mógł w nim po-

zostawać ktoś, kto nie był w pełni dyspozycyjny i wydajny. Na pewno w ciąży nie będzie mogła pracować wydajniej, zaś dyspozycyjność... Cóż, wystarczy sobie przypomnieć poranne ataki nudności.

Doskonale wiedziała, że jej nieoczekiwana ciąża zostanie przyjęta przez szefową i współpracowników jako sprytny wybieg, sposób zachowania twarzy i możliwość godnej rezygnacji z funkcji, której nie była jednak w stanie podołać. Nawet jeśli nikt nie powie jej tego wprost, tak właśnie będą myśleli.

A przecież ona jest w stanie podołać. Nie umie tylko trzymać swoich uczuć na wodzy, dystansować się wobec problemów, z którymi muszą borykać się jej podopieczni. Poza tym ma siły. Ma wolę. Ma serce.

- Za bardzo we wszystko się angażujesz - po raz kolejny przestrzegła ją Janice raptem kilka dni wcześniej, kiedy zobaczyła, że Claudia pakuje do bagażnika swojego samochodu stare koce wyludzone od rodziców i od matki Gartha. Zamierzała dać je bezdomnym, którzy od pewnego czasu koczowali pod przęsłami nieczynnego od dawna wiaduktu kolejowego w pobliżu jej domu i których widywała codziennie, wracając z pracy. - Nie spodziewasz się chyba, iż podziękują ci za to, że bawisz się w łaskawą księżniczkę.

- Nie oczekuję żadnych podziękowań - odpowiedziała Claudia spokojnie, ignorując ironię w głosie szefowej.

- Tak mówisz, ale skrycie o nich marzysz.

- Nie, Janice. Naprawdę...

Wciąż myśląc o ostatnich zdarzeniach, odsunęła zmęczonym gestem papiery, nad którymi właśnie pracowała, i popatrzyła na telefon, z którego dzień wcześniej dzwoniła do Gartha. Szybko odwróciła wzrok i przeniosła go na zegar. Wskazywał szóstą.

Nie było nic niezwykłego w fakcie, że została w pracy dłużej - koledzy z zespołu często przesiadywali w biurze do późnego wieczora. Dzisiaj jednak Claudia była tak zmęczona, że robiło się jej niedobrze. Z trudem odsunęła krzesło i podniosła się zza biurka. Dlaczego noszenie w łonie dziecka, tak jeszcze maleńkiego, że ona, przyszła matka, jak na razie traciła na wadze zamiast przybierać, wymagało tak ogromnej energii?

Powoli dowlokła się do miejsca, gdzie czekał jej mały samochodzik, wsiadła, przekręciła kluczyk w stacyjce. W dziesięć minut później była pod domem. Wysiadła i pograżona w niewesołych myślach zaczęła wspinać się po schodach. Była wyczerpana, męczyły ją nudności. Pod drzwiami odstawiła torbę z zakupami, które zdążyła zrobić podczas przerwy obiadowej, i sięgnęła do kieszeni po klucze. Raptem drzwi się otworzyły i w progu stanął Garth.

- Garth? - Popatrzyła na męża z otepiałą miną i gwałtownie zamrugła powiekami. - Co ty tutaj robisz, na litość boską?

- Mieszkam - odparł pogodnie, po czym niewiele myśląc, porwał ją w ramiona i uniósł wysoko. - Udało mi się dostać przepustkę na jedną dobę - dodał. - Kiedy rozmawiałem z tobą przez telefon, miałaś taki przygnębiony głos... Ejże, a to co znowu? - zawołał, widząc łzy w oczach żony.

- Przepraszam... sama nie wiem, co się ze mną dzieje - szlochała Claudia, łykając cisnące się do oczu łzy. -

Boję się macierzyństwa, Garth, nie jestem gotowa. Nie planowaliśmy...

Przerwała, zamilkła, wtuliła się w jego objęcia, zanurzyła w bezpieczne ciepło mocnego uścisku.

- Posłuchaj mnie dobrze - powiedział stanowczo, a przy tym czule, pokrywając jej czoło i usta pocałunkami. - Zobaczysz, że wszystko będzie dobrze. Owszem, nie planowaliśmy dziecka tak szybko, ale skoro już się tak stało, to... - przerwał, a kiedy Claudia spojrzała mu niepewnie w oczy, zapewnił ją ciepło: - Tak bardzo cię kocham, Clo... chyba jeszcze bardziej niż dotąd, jeśli to w ogóle możliwe. Kocham ciebie i to maleństwo, które nosisz w łonie - oznajmił namiętnie, kładąc opiekuńczym gestem dłoń na jej brzuchu. - Jeśli to będzie chłopak, damy mu na imię Hector, zgoda? - dodał lżejszym tonem.

- Hector? Nie... za nic w świecie! - zaprotestowała, oburzona do żywego taką perspektywą. - Poza tym on... ono... to będzie dziewczynka. - Śmiech zgasł jej na ustach i poważnie już pokręciła głową. - Nie powinieneś być przyjeżdżać, Garth. Na pewno będziesz miał kłopoty...

- Chciałem przyjechać. Chciałem być z tobą, z wami... Chodź, Clo, usiądźmy... napijemy się herbaty i porozmawiamy spokojnie. Wszystkim się zajmę. Wyglądasz na wykończoną.

Claudia próbowała się uśmiechnąć, ale efekt tych wysiłków okazał się żalospny.

Pięć minut później siedzieli przytuleni do siebie na niewielkiej kanapie.

- Postanowiłem odejść z wojska tak szybko, jak tylko mnie puszczą - powiedział cicho Garth.

- Och...

- Martwisz się? Przecież o tym rozmawialiśmy.

- Tak, Garth, ale... Nie spodziewałam się, że to nastąpi tak szybko.

- Rzeczywiście, nie planowałem odejść już w tej chwili, ale teraz to nie ma żadnego znaczenia. Zamierzam zadzwonić do Forbesa i zapytać go, czy nadal podtrzymuje swoją ofertę. Mam nadzieję, że tak.

- Jesteś pewien, że chcesz...?

- Jestem tak samo odpowiedzialny za to dziecko, jak ty, może nawet bardziej - przekonywał ją niewesołym głosem, myśląc o weekendzie, kiedy ta mała istota została poczęta. Służba w Północnej Irlandii okazała się znacznie cięższa i bardziej stresująca niż mógł przewidywać przed wyjazdem. Ciągłe zagrożenie musiało zrodzić w nim napięcie seksualne, jakiego wcześniej nie odczuwał. A może wobec ciągłego zagrożenia śmiercią czuł podświadomą potrzebę kreacji nowego życia?

Teraz rozumiał już doskonale, dlaczego żołnierze wracający ze służby w Ulsterze powiadali, że wyjazd tura jest jak makabryczna zabawa w rosyjską ruletkę. Człowiek wyjeżdżał, nie mając najmniejszej pewności, czy wróci do domu żywy, czy też w drewnianej skrzyni.

Nie zwierzał się, oczywiście, Claudii ze swoich nastrojów i niepokojów. Jego żona była w końcu córką żołnierza i wiedziała z pewnością, jakie są zalety i wady tego zawodu. On sam zaś widział, jak bardzo cięża osłabiła żonę, i nie chciał fundować jej kolejnych zmartwień.

Słyszał drzenie w jej głosie, kiedy dzwoniła do niego, by przekazać nowinę o dziecku, słyszał je teraz. Nie miał wątpliwości, że powinien być w tych dniach obok niej, chronić ją i nowe życie, które wspólnie powołali do istnienia, uczynić wszystko,

by jak najszybciej porzucić mundur i móc opiekować się tymi dwiema najbliższymi jego sercu osobami - Claudią i dzieckiem.

Decyzja, którą podjął, była ostateczna i nieodwołalna - odejdzie z wojska, zadzwoni do Forbesa. Jeśli zaś szkolny kolega jego ojca dotrzyma obietnicy i da mu pracę w swojej firmie, kupią z Claudią dom na wsi, gdzieś w pobliżu Londynu, tak by mógł swobodnie dojeżdżać codziennie do biura. Może z początku nie będzie im wspaniale i beztrosko, ale to się zmieni.

Powiedział o tym wszystkim Claudii, a ona pod wpływem jego spokojnych, pełnych pewności i przekonania słów zaczęła się powoli odprężyć. To zaś było dla Gartha największą nagrodą i najlepszym potwierdzeniem słuszności obranej drogi.

RS

Rozdział 8

- Zmieniłaś się jakoś, jest w tobie coś innego. O co chodzi? Dlaczego? Co się stało?

Claudia wstrzymała oddech pod ostrzałem pytań, które wyrzucała z siebie Katriona. Jak na kogoś, kto żył w narkotycznym otępieniu, ta dziewczyna była niezwykle spostrzegawcza.

- Nic - odparła, kładąc obronnym gestem dłoni na brzuchu, gdy z brudnego materaca w rogu pokoju podniósł się jakiś chłopak.

- Spadaj, Oz! Ona nie jest dilerem tylko kuratorem, kapujesz?

Młody człowiek odwrócił się na pięcie i ruszył ku drzwiom, za którymi zniknął po chwili, bekając głośno na pożegnanie.

- Oz wczoraj przedawkował, ledwo do siebie doszedł - oznajmiła Katriona głosem pozbawionym jakichkolwiek emocji. - Zresztą, co za różnica - wzruszyła ramionami - i tak długo już nie pociągnie.

Claudia spojrzała na nią ze zgrozą, jednak dziewczyna wybuchła tylko śmiechem i dodała:

- No co się tak płoszysz? Przecież to samo myślisz o mnie, prawda? Przyznaj się, że czekasz, kiedy zdechnę i nie będziesz miała ze mną kłopotów.

Teraz w oczach Katriony odmalował się gniew. Zmiany nastroju leżały być może w jej naturze, ale też wynikały, o czym Claudia wiedziała doskonale, z nadużywania ciężkich narkotyków.

- Katriono... - zaczęła łagodnie, chcąc ją uspokoić.

- Jesteś w ciąży, tak? - Dziewczyna nie pozwoliła jej dokończyć. - Ty jesteś w ciąży... o rany, opowiedz mi! - zawołała podekscytowana. - A co na to ten twój mążuś, oficerek malowany? Założę się, że go trochę skwaśiło, jak się dowiedział. Oni nigdy się nie cieszą...

- Nie on! - przerwała jej ostro Claudia i dopiero poniewczasie zorientowała się, że popełniła błąd. Triumfalna mina Katriony mówiła wyraźnie, jaką frajdę przynosi jej fakt, iż choćby tylko na moment udało się skruszyć profesjonalny dystans i chłód

kuratorki. - Muszę cię rozczarować, Katriono - podjęła Claudia już spokojniej. - Garth jest zachwycony, że będziemy mieli dziecko.

- Garth jest zachwycony - przedrzeźniała ją Katriona. - Twój kochany Garth jest zachwycony, jak pięknie - kpiła. - To dla was obu wielka radość, słodkie dzieciątko, owoc waszej czystej, nieskalanej miłości, wielkie szczęście...

- Dziwi cię to?

- Rzygać mi się od tego chce!

- Zmienisz zdanie, kiedy sama...

- Nie zmienię! Zaszłam już kiedyś w ciążę, jeśli chcesz wiedzieć! Ale tatuś dziecka wcale nie był „zachwycony”. Był wściekły. Kazał mi zrobić skrobankę.

- Katriona usłyszała podejrzący dźwięk, który dobył się z gardła przejętej Claudii, po czym parsknęła okrutnym śmiechem. - Pocieszę cię, skarbie. Nie było potrzeby robić zabiegu. Zanim poszłam do lekarza, poroniłam, kapujesz? I bardzo dobrze!

- Dobrze? Cieszyłaś się? - Claudia nie mogła uwierzyć własnym uszom.

- A co takie jak ty mogą o tym wiedzieć? Wy macie wszystko zaplanowane, zaznaczone w swoim kalendarzyku, prawda? Coś powiedziała temu swojemu? „Chodź tu do mnie, misiu, będziemy się dzisiaj pieprzyć i zrobimy sobie dzidziusia? Zajdę w ciążę, urodzę i nie będę już musiała chodzić do tej koszmarnej Katriony?” Założę się, że tak było. Wiem też, że wasze dziecko będzie miało wszystko. Już kochająca mamunia i zachwycony Garth zadbają, żeby dzidzia dostawała to, co najlepsze. Pewnie wyjęłaś już z rodowych kufrów na strychu sukienkę do chrztu; tę samą, w której ty byłaś chrzczona, w której wcześniej nieśli do chrztu twoją matkę, a przedtem babkę. Już zaczęłaś cały ten cyrk. A Garth chodzi pewnie dumny, bo twój brzuch mówi za niego wszystkim kumplom: „patrzcie, chłopaki, jak ja umiem pieprzyć, patrzcie, jak podlałem swoją młodą żonkę, też byście chcieli, co?...”

Szydźła z niej, chciała ją obrazić, wyśmiać, zbrukać. A jednak prócz goryczy, prócz wrogości w oczach Katriony Claudia widziała też zazdrość i smutek.

Mimo wszystko bała się tej szalonej dziewczyny. Po raz pierwszy autentycznie lękała się swojej podopiecznej. Nie o siebie oczywiście się bała, tylko o dziecko. Oto odkryła właśnie i zrozumiała, jak głęboka i potężna może być macierzyńska miłość, macierzyński instynkt, który każe kobiecie chronić nienarodzone maleństwo. Po raz

pierwszy dotarło do niej z całą mocą, jak bardzo pragnie tego dziecka - ich dziecka, jej i Gartha.

- Czy zastanawiałaś się nad programem rehabilitacyjnym? - zapytała stanowczym głosem, ignorując kierowane pod jej adresem zaczepki.

Rzeczywiście mam ciebie dosyć, dodała w duchu. Na szczęście już niedługo. Kiedy tylko skończę trzeci miesiąc, oficjalnie zawiadomię Janice, że odchodzę.

Tak właśnie postanowili oboje z Garthem. Garth rozmawiał wcześniej z Nickiem Forbesem, który podtrzymał swoją propozycję i zapewnił, że rzeczywiście chętnie zatrudni go w swojej firmie. Wspomniał też przy okazji o zarobkach, które miały być znacznie wyższe niż Garth śmiał marzyć.

- Przy takiej pensji stać nas będzie na kupienie przyzwoitego domu. Oczywiście pod warunkiem, że będziemy szukać poza Londynem - przekonywał ją z entuzjazmem, a ona nie wspominała już, ile dla niej znaczy praca kuratora.

Jedni i drudzy rodzice przyjęli wiadomość o tym, że wkrótce zostaną dziadkami, ze zrozumiałym podnieceniem i ogromną radością. Wszystko zdawało się układać naprawdę szczęśliwie, przyszłość rysowała się w różowych barwach, teraźniejszość wkrótce miała przestać doskwierać i martwić. Jakby tego szczęścia zaś było mało, Garth miał zadatki na wspaniałego ojca. Claudia poznała nieznaną stronę jego charakteru, pokochała go jeszcze mocniej i głębiej. I potrafiła okazywać mu swoje uczucie bez żadnych już zahamowań.

- Cięża dobrze ci zrobiła - oznajmił któregoś nocy, kiedy skończyli się kochać. - Stałaś się bardziej seksy.

- Ale chyba nie zrobimy krzywdy dziecku? - zapytała pełnym niepokoju głosem i natychmiast spłonila się w ciemnościach. Garth miał rację, reagowała teraz na jego pieszczoty bardziej namiętnie, goręcej, tak jakby stała się nagle znacznie dojrzalsza, pełniejsza, bardziej kobieca.

- Na pewno nie - zapewnił ją Garth i dodał trochę ciszej: - W końcu w ten sposób zostało poczęte, prawda? Pan Bóg wiedział, co robi, że tak to wszystko obmyślił.

- Delikatnie ujął jej głowę w dłonie i położył ją sobie na piersi, tak że czuła na skórze ciepło mężowskiego oddechu. - Mówiłem ci ostatnio, jak bardzo cię kocham i jak bardzo mnie pociągasz? - zapytał szeptem, gładząc ją czule.

- E, tam. Niedługo zrobię się gruba i brzydka.

- Zrobisz się jeszcze bardziej seksowna. Już jesteś.

- Ale teraz modna jest szczupła sylwetka. Wszystkie modelki...

- Wszystkie modelki wyglądają jak worki na kości - przerwał jej Garth. - Nie zasługują nawet, żeby ci usługiwać. Tak, ciąża świetnie ci zrobiła, Clo - powtórzył i nachylił się, by po raz kolejny ją ucałować.

Kilka dni wcześniej w czasie przerwy na lunch, nie mogąc oprzeć się pokusie, Claudia weszła do sklepu z rzeczami dla niemowląt. Garth upierał się, że powinni kupić staroświecki, wygodny do prowadzenia, głęboki wózek z budką.

- Kiedy ty będziesz przygotowywała niedzielne lunche, ja będę chodził z maleństwem na spacer - mówił pół żartem, pół serio.

Claudia zaśmiała się na te słowa, bo tylko w ten sposób umiała pokryć zakłopotanie wywołane myślą o sobie i Garthcie w rolach zakochanych w dzieciątku rodzicach. Tak naprawdę jednak, kiedy minął już pierwszy szok nieoczekiwanej ciąży, nie mogła się doczekać, kiedy zostanie matką. Zawsze pragnęła macierzyństwa. Posiadanie dzieci, rodziny było dla niej istotną częścią małżeństwa, być może najistotniejszą. Dopiero teraz w pełni rozumiała i przyjmowała do wiadomości słowa wypowiedziane przez jednego z jej wykładowców, które przed laty potraktowała jako skierowaną pod jej adresem krytykę.

- Masz bardzo silny instynkt macierzyński - powiedział, najwyraźniej chcąc ją przestrzec. - Musisz mieć się na baczności, pamiętaj o tym, Claudio. Nigdy nie dopuść, by emocje wzięły górę nad rozsądkiem i uniemożliwiły ci prawidłową ocenę sytuacji.

- Takie to groźne? - zapytała go wtedy.

- Matki zazwyczaj bywają ślepe na wady swoich dzieci. A ty powinnaś umieć te wady dostrzec, nazwać i wyleczyć.

Garth poruszył się niespokojnie i nagle przestał ją głaskać.

- Wkrótce rozmówię się ze swoim dowódcą i zawiadomię go o swoich planach
- powiedział, a ona, dosłyszawszy napięcie w jego głosie, podniosła głowę i spojrzała nań z powagą.

- Jesteś pewien, że rzeczywiście chcesz odejść? - zapytała. - Co prawda ciągle powtarzam, że nie chcę, by nasze dzieci wychowywały się tak jak ja, skazane na ciągłe wędrówki po kraju, ale...

- Nie, mam na ten temat dokładnie takie samo zdanie. Szczerze mówiąc, poszedłem do wojska, bo nie wiedziałem za bardzo, co właściwie chcę robić. Skończyłem prywatną szkołę z internatem, na uniwersytecie mieszkałem w kolegium, nawykłem do surowego rygoru. Wydawało mi, że w armii znajdę podobną atmosferę i że dzięki niej będę, z psychologicznego punktu widzenia, czuł się bezpieczniej niż w jakimkolwiek innym środowisku.

Claudia z powagą pokiwała głową.

- Tak, nasz system oświatowy w jakiś sposób instytucjonalizuje człowieka - przyznała. - Pozbawia samodzielności.

- Pozbawia samodzielności! - prychnął Garth i skrzywił się z niezadowoleniem.
- Dzięki serdeczne, Clo. A propos samodzielności - kiedy już przeprowadzę rozmowę z dowódcą, będziemy musieli się zastanowić, gdzie mamy zamieszkać. I podjąć decyzję. Samodzielną.

- Na pewno gdzieś na wsi - rzuciła natychmiast Claudia.

- Poczekaj. Ja będę pracował w Londynie - przypomniał jej Garth. - Ale zgadzam się z tobą, też wolałbym na wsi, możemy nawet mieć kawałek własnej ziemi. Gdzieś blisko jednych i drugich rodziców, żebyśmy mogli ich odwiedzać. Byle nie za blisko, prawda?

- Owszem, nie za blisko. Zacznę szukać w agencjach nieruchomości, dobrze?

- Uhm... - przytaknął Garth, całując płatek jej ucha.

- Nie zapomnij tylko im powiedzieć, że szukamy domu z wieloma sypialniami.

- A kogóż to będziemy zapraszać? Czyżbyś zamierzał gościć kolegów z pułku? Już ci ich brakuje? - przekomarzała się Claudia.

- Nie myślę o gościach - odparł Garth tym samym tonem.

- A o kim?

- Nie przypuszczasz chyba, że poprzestaniemy na jednym?

- Dziecku?

- Mhm... Teraz, kiedy wiem już, jakie to łatwe... i jakie przyjemne... Wiesz, że tamtej nocy, kiedy się to stało, zachowywałaś się zupełnie inaczej? - powiedział, kładąc dłoń na łonie żony.

- Garth! - obruszyła się Claudia. - Przez trzy dni nie łykałam pigułek, bo zapomniałam zabrać ich ze sobą na weekend i...

- Nie - przerwał jej Garth, potrząsając zdecydowanie głową. - Doskonale wiem, kiedy to się stało... To było tego wieczoru po powrocie od rodziców, kiedy ty i ja... obydwójcie... Pamiętasz?

- Och... byłeś wtedy we mnie... tak głęboko.

- Bardzo głęboko. - Garth przytulił ją mocniej. - Boże, jacy my jesteśmy szczęśliwi...

Claudia umościła się wygodnie w ramionach męża. Rzeczywiście, nie potrafiła sobie wyobrazić większego szczęścia niż to, które ją teraz przepelniało, chociaż wiedziała instynktownie, że po przyjściu dziecka na świat czeka ją uczucie jeszcze bardziej porywające.

Poruszyła się lekko i spojrzała na Gartha oczami rozświetlonymi radością i oczekiwaniem.

- A to co? - zapytał, widząc jej uszczęśliwioną twarz. Ułożył ją wygodniej przy sobie i przysunął się bliżej, napięty, gotowy i twardy. - O to chodzi? - mruknął z nieukrywaną nadzieją w głosie.

- Nie, nie o to - odparła Claudia zgodnie z prawdą. - Myślałam o dziecku. Och, Garth, jest tak cudownie... taka jestem szczęśliwa...

- Uhm... - przytaknął i zanurzył się w niej z rozkoszą.

- Tak, rozumiem.

Garth poinformował właśnie pułkownika o planach na przyszłość i teraz obserwował w milczeniu swojego dowódcę, który wstał zza biurka, podszedł do okna i z rękoma założonymi do tyłu spoglądał na dziedziniec koszar.

Wysoki postawny pięćdziesięciolatek pochodził z rodziny o długiej wojskowej tradycji, ale nawet on nie był całkowicie obojętny na zmiany kulturowe zachodzące w

ostatnich latach. Jego własny syn po ukończeniu Eton, zamiast sposobić się do podjęcia kariery wojskowej, wolał wyjechać do Indii, gdzie jakiś miejscowy guru wprowadzał go w subtelnosci buddyzmu. Oczywiście przed wyjazdem nie obyło się bez rodzinnych kłótni, ale chłopak nie dał sobie wyperswadować pomysłu. Ojciec spoglądał krzywym okiem na zniewieściałego jego zdaniem młodzieńca, na jego długie włosy i kolorowe hipisowskie stroje. Cóż, takie to były czasy. Niedawno spotkał się z dawno niewidzianym kolegą z Eton i okazało się, że z kolei syn tamtego założył grupę rockową.

- Przykro nam będzie, kiedy odejdziesz. To wielka strata dla pułku - powiedział, przerywając milczenie. - Mnie w każdym razie będzie brakowało takiego żołnierza, jak ty.

Garth odprężył się na te słowa, odetchnął z ulgą. Nie było tajemnicą, że pułkownik chodził ostatnio skwaszony. Powiadano, że to nieporozumienia z synem sprawiły, że ten człowiek o i tak cholerycznym charakterze stał się jeszcze bardziej popędliwy w stosunku do podkomendnych. Pomimo tej wady, dowódca był człowiekiem uczciwym oraz sprawiedliwym i Garth darzył go prawdziwym szacunkiem.

- Chciałbym odejść jeszcze przed urodzeniem dziecka - dodał. Przez najbliższe pół roku pułk miał stacjonować w domu. W ten sposób Garth zyskiwał konieczny czas, by ułożyć swoje sprawy, zająć się przeprowadzką i podjąć nową pracę, zanim na świecie pojawi się córka czy syn. Zważywszy to wszystko, oznajmił pułkownikowi, że chciałby odejść definitywnie za trzy miesiące.

- Nie widzę żadnych przeszkód. Kończy ci się kontrakt, nie możemy cię zmusić, żebyś go przedłużał wbrew własnej woli.

Dla Gartha, jako żołnierza świadomego swych powinności, było kwestią honoru, by nie wycofywać się ze służby, gdy pułk ma konkretne zadania do spełnienia. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności kończyli jednak stacjonować w Irlandii Północnej i nie zanosilo się na razie na żaden nowy wyjazd. Oczywiście nie bał się o siebie, tylko o Claudię. Przyjęła bez słowa jego wyjazd do Belfastu, lecz chociaż nic nie mówiła i nie wyrażała głośno swoich obaw, Garth czuł, że żona bardzo się niepokoi. Wiedział

też, że niepokój ten musiał wzrosnąć niewspółmiernie po zajściu w ciążę. Claudia była taka delikatna, taka krucha, taka kochana. Musiał ją chronić.

Była też niezwykle podekscytowana rolą przyszłej matki. Kiedy patrzył, z jaką radością i podnieceniem przygotowuje się do macierzyństwa, odnosił wrażenie, że nie tylko jej ciało rozkwitło i dojrzało wraz z poczęciem dziecka. Claudia dojrzała też wewnątrz. Słyszał, że niektóre kobiety mają w sobie więcej czułości, instynktu opiekuńczego i matczynego ciepła niż inne, teraz zaś przekonywał się z radością, iż Claudia na pewno jest jedną z nich.

Przekonanie to oprócz radości przepelniało go dumą. I spokojem, wiedział bowiem, że dziecko, kiedy się pojawi, zostanie obdarzone bezwarunkową miłością. Nie bał się, że żona będzie go przez to mniej kochała. Czego miał się obawiać, skoro z równą radością, co Claudia oczekiwał pojawienia się potomka?

Claudia nigdy nie czuła się szczęśliwsza. Nie powiedziała jeszcze w pracy, że zamierza złożyć wypowiedzenie, ale przypuszczała, że wszyscy się tego spodziewają. Nawet kwaśne przycinki Katriony nie były w stanie wytrącić jej z równowagi i popsuć radosnego nastroju. Zaproponowała dziewczynie, że skoro jest niezadowolona z jej pomocy i opieki, może zażądać zmiany kuratora, ale Katriona, która odnosiła się do niej z mieszaniną wzgardy i sympatii, stanowczo odmówiła. Ba, oskarżyła ją nawet, że Claudia chce się jej pozbyć i myśli tylko o swoim dziecku. Obrażona Katriona, zazdrosna Katriona - to była dla niej nowość.

Zdawała sobie oczywiście sprawę, że wcześniej czy później będzie musiała przekazać jej przypadek komuś innemu, i to właśnie napełniało ją obawą. Zrozumiała już, że pod wyzywającym zachowaniem i złośliwościami kryje się rozpaczliwa bezradność zagubionej i samotnej dziewczyny. Claudia naprawdę źle się czuła, kiedy myślała o tym, że może powiększyć grono osób, które odwróciły się od Katriony plecami. Zwłaszcza że Katriona pograżała się w narkotycznym nałogu i jej życie było coraz bardziej zagrożone.

- Za rok będzie już po niej - powiedziała Janice z charakterystyczną dla siebie brutalnością, kiedy po raz ostatni towarzyszyła Claudii podczas wizyty w zrujnowanym blokowisku. - Zapamiętaj sobie moje słowa, kochanie. Boże, ile ja już widziałam takich dziewczyn. Wytrzymują bardzo długo, zdają się funkcjonować w

miarę normalnie, jeśli można tu w ogóle mówić o normalnym funkcjonowaniu, po czym organizm załamuje się nagle i nika w oczach.

Claudia przyspieszyła kroku. Miała umówione spotkanie w agencji nieruchomości, która działała co prawda w Londynie, ale dysponowała też ofertami domów na wsi.

Cieszyła się na te wizytę. Garth uprzedzał ją, że nie będą sobie mogli pozwolić na żadne luksusy, ale Claudia wcale nie chciała luksusów. Wystarczyłby jej niewielki domek z obszerną, wygodną kuchnią i dużym ogrodem, gdzie mogłyby się bawić ich dzieci.

Ich dzieci. Ich dom. Uszczęśliwiona zamknęła oczy. Było jej tak... tak bezgranicznie dobrze, świat zdawał się taki wspaniały. Nawet poranne nudności sprawiały jej swoistą radość, były bowiem realnym potwierdzeniem ciąży, oczekiwania na dziecko, rychłego macierzyństwa.

Nie umiała opisać ani wytłumaczyć tego, co odczuwała. Miała wrażenie absolutnej, doskonałej pełni, harmonii i pogodzenia ze światem. Wyczekiwane macierzyństwo sprawiało, iż nagle znalazła prawdziwy cel w życiu. Kochała Gartha, to oczywiste, ale podświadomie wiedziała, że miłość do dzieci będzie najsilniejszym, najpotężniejszym uczuciem, jakiego przyjdzie jej doświadczyć.

W tym samym czasie, kiedy Claudia spieszyła na spotkanie z agentem nieruchomości, Garth spoglądał nieobecny wzrokiem na dziedziniec koszar. Minęła dobra godzina od chwili, kiedy do pułku dotarła najnowsza wiadomość z Irlandii Północnej, była jednak ona tak wstrząsająca, że jeszcze jej w pełni nie przyswoił.

Oto trwający od lat irlandzki konflikt przynosił kolejne śmiertelne ofiary - samochód ciężarowy z wracającymi do jednostki brytyjskimi żołnierzami wpadł w zasadzkę na jednej z bocznych dróg Ulsteru. Z pięćdziesięciu pasażerów przeżyło tylko ośmiu, byli wszakże tak straszliwie pokiereszowani, że nawet jeśli wyszliby ze szpitala, do końca życia mieli pozostać kalekami.

Garth czuł zimne dreszcze na plecach na myśl o tej tragedii. Jednocześnie ogarniały go wyrzuty sumienia, że jako żołnierz, jako oficer pozwala sobie na westchnienie ulgi. Ale przecież czuł ulgę, kiedy myślał o tym, że to nie jego trup leży

na wiejskiej drodze, że to nie jego ciężko okaleczone, poszarpane przez bombę ciało trafi do szpitala, że to nie jego żona będzie opłakiwać nieszczęście.

Nie znał osobiście nikogo z jednostki, której żołnierze wpadli w zasadzkę IRA, ale to nie miało żadnego znaczenia. Pułki oczywiście rywalizowały ze sobą, były różne powody do współzawodnictwa, lecz przecież tak naprawdę armia brytyjska w obliczu zagrożenia stała zwartym murem. Wszyscy byli wystawieni na ataki IRA, każdy w każdej chwili mógł paść ofiarą irlandzkich partyzantów. To jednoczyło i tworzyło żołnierską solidarność.

- Będą teraz musieli przenieść cały pułk, nie mogą ich tam zostawić. To wpłynęłoby fatalnie na morale - przekonywał Gartha jeden z oficerów, kiedy dotarła do nich wiadomość z Ulsteru. - Niech Bóg ma swojej opiece tych, którzy przyjadą na ich miejsce. Mam tylko nadzieję, że nie padnie na nas. Takie wypadki wyprowadzają ludzi z równowagi, przestają panować nad sobą, a wtedy...

Nie dokończył zdania. Nie musiał. Jak każdy odpowiedzialny i rozumny oficer, Garth zdawał sobie sprawę, jak ważna jest psychologia i morale armii.

- Nie sądzisz chyba, że właśnie nas wyślą na ich miejsce? - zapytał, chmurząc się na tę myśl.

- Trudno powiedzieć. Mamy odpowiednie przeszkolenie, doświadczenie. Ale dopiero niedawno wycofali nas z pierwszej linii.

Teraz Garth zmarszczył czoło na wspomnienie tej rozmowy. Za kilka tygodni miał na zawsze opuścić pułk. Zamierzał obejrzeć kilka domów, które Claudia zapewne wybrała już spośród ofert agencji nieruchomości, chciał przygotować się do podjęcia nowej i na razie zupełnie obcej mu pracy u Nicka Forbesa. Pragnął być z Claudią, kiedy urodzi się dziecko...

Claudia była teraz w czwartym miesiącu ciąży, ale jej brzuch jeszcze się nie zaokrąglił. Zachmurzony Garth uśmiechnął się nagle, przypomniawszy sobie, z jaką dumą pokazywała mu ciężowe sukienki, kiedy był w domu na ostatniej przepustce.

Och, Boże, naprawdę miał nadzieję, że nie wyślą jego pułku do Ulsteru. Bo jeśli jednak wyślą, to...

To żołnierski honor nie pozwoli mu zostawić kolegów.

Pojedzie razem z nimi.

- Ale... ale przecież mówiłeś, że nie mogą was wysłać po raz drugi -
powiedziała słabym głosem Claudia, kiedy usiedli na małej kanapie w ich mieszkaniu.

Gdy Garth zadzwonił z wiadomością o niespodziewanym przyjeździe, w pierwszej chwili pomyślała, że będą mogli obejrzeć razem wózek, który wybrała kilka dni wcześniej i teraz zamierzała zamówić. Wszystkiego mogła się spodziewać, ale nie że usłyszy to, co Garth właśnie jej przekazał.

- Czy coś się stało? - zapytała, podświadomie oczekując potwierdzenia.

- Tak, nastąpiła nagła zmiana planów - odparł zdawkowo Garth. Nie zamierzał wspominać o bombie, zamachu, ofiarach. Podług kryteriów, jakimi rządziły się media, informacja była mocno przedawniona. Może umknęła uwadze Claudii.

Nie umknęła. Claudia była córką żołnierza i nie dała się zwieść.

- To z powodu tej zasadzki w Ulsterze, prawda? - domyśliła się natychmiast. -
Wysyłają was, bo muszą wycofać tamten pułk?

- Tak - potwierdził przygnębionym głosem.

- Ale przecież ty nie musisz jechać. Zostało ci kilka tygodni służby.

- Wiesz, Clo, że powinienem - zaproponował. - Nie mogę zostawić ludzi. Jeśli odmówię...

- Tak, wiem - przyznała z ciężkim westchnieniem i zwiesiła głowę.

Północna Irlandia. Dlaczego właśnie tam musi jechać jej Garth? Ogarnęły ją nagle złe przeczucia. Dotychczas udawało jej się tłumić w sobie lęk i obawy, teraz jednak było inaczej. Zadrzała, w wyobraźni ujrzała żołnierską trumnę i siebie w żałobnej czerni. Usiłowała się opanować, nie chciała się załamać, rozszlochać, nie chciała błagać Gartha, żeby nie jechał, przypominać mu, że teraz odpowiedzialny jest nie tylko za nią, ale i za dziecko. Nie chciała, lecz była od tego o krok.

Garth szybko odczytał jej myśli. Przytulił ją i szepnął łagodnie:

- Wiem, co teraz czujesz. Nie myśl, że nie zastanawiałem się nad tym.

- I co?

- I zdecydowałem, że muszę jednak jechać. Nie mogę postąpić inaczej, wierzę mi.

Odrętwiała z bólu skinęła powoli głową. Przełknęła z trudem ślinę i zapytała przez zaciśnięte gardło:

- Kiedy więc... kiedy wyjeżdżasz?

- W końcu przyszłego tygodnia. Claudia zamknęła oczy.

Tej nocy, kiedy skończyli się kochać, zamiast odwrócić się na bok i smacznie zasnąć, objęła go mocno, tak jakby się bała, że mąż lada chwila zniknie i zostawi ją samą.

- A może przyjechałabyś do nas na weekend, kochanie? Mogłybyśmy wybrać się razem na zakupy, rozejrzeć się za wyprawką dla dziecka - zaproponowała matka, kiedy Claudia oznajmiła jej, że Garth wyjeżdża służbowo, a ona jeszcze przez jakiś czas musi być sama.

Claudia chętnie przystała na propozycję. Garth też się ucieszył, rad z tego, że żona zajmie czymś myśli, zamiast zamartwiać się o niego i liczyć dni do powrotu.

Jego pułk miał wyruszyć na placówkę do Ulsteru w piątek po południu. Tego samego dnia Claudia miała wyjechać do rodziców, wcześniej zaś odwiedzić raz jeszcze Katrionę.

Tym razem nie było w niej zwykłej uwagi, cierpliwości i troski. Lęk o Gartha nie pozwalał jej skupić się na problemach dziewczyny, co ta natychmiast zauważyła i co wyjątkowo ją zirytowało. Najpierw oskarżyła Claudię, że ma gdzieś jej problemy, a kiedy to nie pomogło, zaczęła szydzić na swój zwykły sposób:

- Co cię ugryzło, aniołeczku? Nie pokłóciłaś się chyba z tym swoim kochasiem, przecież Garth jest zawsze taki tobą zachwycony... A może obrzydł mu już twój brzuch i rozgląda się za płaskim?

- Nic się nie stało. Nie było żadnej kłótni - zaprzeczyła odruchowo Claudia.

- Na pewno nic? No to powiedz, przyjeżdża na ten weekend do domciu?

- Nie, nie przyjeżdża.

- A widzisz!

- Musiał wyjechać.

- Och, będziesz sama, bez swojego ogiera.

- Nie, nie będę sama. Wybieram się do rodziców.

- Ach, do mamuńci i tatuńcia...

Claudia nie słyszała nawet wszystkich tych złośliwości. Odpowiadała obojętnie, automatycznie, jej głowę zaś zamiast Katriony wypełniały myśli o mężu.

Która to godzina? Czy Garth już wyjechał? Może zdąży jeszcze do niego zadzwonić, zanim pułk ruszy w drogę? Gdyby tylko udało się jej pożegnać z Katrioną, wsiąść w samochód i pojechać...

Zerknęła na zegarek, przypomniała sobie jednak po chwili, że pasek się zerwał i zegarek zamiast na przegubie, jest w torebce. Zaczęła go szukać, nie widząc nawet, jak bardzo wściekła jest Katriona, jak piorunuje ją wzrokiem, jak gniewa się na nią za to, że Claudia jej nie słucha.

Katriona tymczasem miała ochotę udusić kuratorkę gołymi rękami. Podła suka, dziwka o gładkich rączkach, myślała o niej ze złością. Co ona sobie myśli, że kim jest? Księżną? Dobrą wróżką?

Akurat!

Z przedpokojem doszedł jakiś hałas. Claudia odwróciła się lekko w tamtą stronę, natomiast Katriona wykorzystała moment jej nieuwagi i szybko wyjęła z torebki kuratorki pierwszą z brzegu rzecz - pęk kluczy. Kiedy Claudia ponownie zwróciła ku niej wzrok, zdążyła już bezpiecznie ukryć swoją zdobycz. Znów uśmiechnęła się szyderczo. Ciekawe, jak bardzo ta lilia z dzidziuniem w brzuszku się zdenerwuje, kiedy odkryje, że jej klucze gdzieś przepadły.

Dobrze jej tak! Niech się martwi!

Ona natomiast sprawdzi sobie przy okazji, jak też wygląda to ich małżeńskie gniazdko, w którym Claudii tak ochoczo dogadza „zachwycony” Garth. Znała adres kuratorki, znała adresy ich wszystkich, tak na wszelki wypadek. Przy jakiejś okazji udało jej się zerknąć na prawo jazdy Claudii i zapamiętała bez trudu nazwę ulicy oraz numer domu. Może wybierze się tam, kiedy Claudia pojedzie do rodziców?

Na godzinę przed wyjazdem pułku Gartha powiesił się jeden z jego żołnierzy. Biedak nie wytrzymał stresu i wołał sam odebrać sobie życie niż żyć przez najbliższych kilka miesięcy w ustawicznym poczuciu zagrożenia.

Oczywiście samobójstwa nie dało się ukryć. Pozostali żołnierze szybko dowiedzieli się o wszystkim i wyjazd został w ostatniej chwili odwołany. W sztabie dokonano pospiesznych zmian i w miejsce jednostki Gartha wysłano do Irlandii inną.

- W takiej sytuacji mógłbyś właściwie jechać do domu - zaproponował dyżurny oficer. - Nic tu teraz po tobie, Garth. Oczywiście, kiedy będzie dochodzenie, do-

staniesz wezwanie na przesłuchanie. Cholera, po co to całe dochodzenie, nie? Tak jakby nie było wiadomo, co się stało.

- Zawsze jest dochodzenie.

- I zawsze taki sam rezultat. Przerażony chłopak nie wytrzymuje napięcia i albo strzela sobie w usta, albo się wiesza, albo tnie. Uznaje, że lepsze to niż zginąć od bomby - i do widzenia. Mówię ci, bracie, wracaj do żony. Bardziej jej się przydasz niż nam.

Odrętwiały jeszcze po tragicznym wypadku, Garth posłuchał rady kolegi. Spakował się, wszedł w samochód, a potem jechał w kierunku Londynu, zatopiony w niewesołych rozmyślaniach. On też nie miał ochoty jechać do Irlandii, ale żeby szukać ucieczki w śmierci...

Pokręcił głową. Próbował wyobrazić sobie, co ten zdesperowany żołnierz czuł dzień wcześniej, w ostatniej godzinie, ostatniej chwili. I dlaczego, do jasnej cholery, nikt niczego nie zauważył? Od początku widać było przecież, że chłopak jest inny, wrażliwszy, zamknięty w sobie. Wysoki, ale szczupły; niby dorosły, ale jeszcze dzieciak. Boże...

Koledzy pokpiwali z niego trochę, bo się jękał. Cóż, nie będą mieli więcej okazji.

Garth nacisnął wściekle na klakson, kiedy jakiś samochód zajechał mu niespodziewanie drogę. Raptem zapragnął z całych sił znaleźć się w domu, blisko Claudii. Przyspieszył, wyprzedził kilka kolejnych aut i szybciej niż wcześniej planował, dotarł do miasta. Dopiero parkując na ich uliczce, przypomniał sobie, że nie zastanie żony. No tak, Claudia wyjechała do rodziców.

Z chmurną miną otworzył drzwi i nie zdejmując nawet płaszcza, przeszedł do pokoju, otworzył barek i wyjął butelkę whisky, którą przywiózł mu ojciec, kiedy był w Londynie z ostatnią wizytą.

Garth pił niewiele, nie lubił specjalnie alkoholu, ale teraz czuł potrzebę łyknięcia solidnego drinka... kilku solidnych drinków. Wypił szybko prawie pół butelki, po czym pomyślał niemrawo, że powinien właściwie coś zjeść. Niestety, Claudia jako zapobiegliwa gospodyni wyczyściła lodówkę przed wyjazdem.

To nic, napije się jeszcze...

Whisky zaczynała działać. Garth znalazł w końcu puszkę fasolki i zapatrzył się w nią tępo, rozmyślając, gdzie może być otwieracz do konserw. Ostatecznie uznał, że prościej będzie wypić jeszcze jedną kolejkę, i po raz kolejny sięgnął po butelkę.

Opadł na fotel, zamknął oczy. Przed oczami zaczęły wirować mu widziane wcześniej twarze. Claudia, oficer dyżurny, chłopak, który odebrał sobie życie, pręga od paska na jego chudej szyi...

Nie!

Przesunął dłonią po swojej szyi, jakby to on czuł zaciskający się stryczek i zbliżającą się śmierć.

Podniósł się z trudem, by przejść do sypialni. Pomyślał mgliście, że jest coraz bardziej pijany i że powinien się przespać. W końcu niedługo zostanie ojcem, ma dla kogo żyć, musi o siebie dbać. Nie tak jak ten biedak, który popełnił samobójstwo. Chłopak nigdy już nie zostanie ojcem. Ale musiał mieć przecież ojca. Co czuł ten człowiek, kiedy usłyszał, że jego syn, jego rodzony syn popełnił samobójstwo?

Na wpół rozebrany, Garth nalał sobie kolejną porcji alkoholu, zrzucił z siebie resztę ubrań i zostawiwszy je na podłodze, wsunął się do łóżka. Mój Boże, jak bardzo pragnął, żeby Claudia była teraz obok niego.

Poczuł na twarzy wilgoć, podniósł więc dłoń i dotknął skóry na policzku. Dopiero wówczas zdał sobie sprawę, że płacze.

Katriona zacisnęła palce na skradzionych kluczach. Czy Claudia odkryła już ich brak? Czy domyśliła się, kto je ma? Katriona była pewna, że nie. Ta cipuńka tak była pochłonięta, myślą o swoim mężulku i dzidziusku, że nie zwracała uwagi na nic innego, nawet na nią, na Katrionę, jej podopieczną.

A przecież skoro jest tym pieprzonym kuratorem, to właśnie o niej powinna myśleć. To ona potrzebuje opieki, troski, uwagi. To dla niej ma tu przychodzić. Tymczasem ta suka myślała tylko o sobie. A przy tym uważała się za taką mądrą, taką dobrą i szlachetną, czuła się taka bezpieczna w tym swoim małym światku, że Katriona nienawidziła jej z całej duszy.

Narkotyki, który zaaplikowała sobie wcześniej, przestawał działać. Ostatnio potrzebowała coraz większych dawek, a ich działanie było coraz krótsze. Straszne...

Nie, dlaczego straszne? Bać się mógł ktoś strachliwy, jakiś tchórz, ale nie ona, na pewno nie Katriona. Ona nie bała się nikogo i niczego. Nie bała się chłystków, którzy płacili jej za to, że pozwalała im czynić użytek ze swojego ciała. Nie bała się alfonsów, którzy usiłowali ją zastraszyć i zmusić, żeby dla nich pracowała. Nie bała się policji. Nie bała się śmierci. Nie bała się nawet dilerów, którzy dostarczali jej narkotyki.

A jeśli nie bała się ich wszystkich, to tym bardziej nie będzie się bać wejść do mieszkania Claudii. Już ona przetrzepie to ich gniazdko, już ona zadba, by temu aniołkowi opadły skrzydełka, już ona ją załatwi! Żałosna, sentymentalna idiotka. Jak opowiada o tym swoim mężulku. Jak w niego wierzy. A przecież wszyscy faceci to zera, wszyscy, bez wyjątku. Katriona wiedziała o tym najlepiej - wystarczyło dać im tylko szansę, rozchylić nogi, zmrużyć oczka, polizać palec, a każdy zaczynał myśleć jajami i zapominał w trymiga o żonce, rodzinie i dzieciach.

Ponownie zamknęła palce na kluczach. Jej diler podniósł ostatnio cenę. Świetnie wiedział, że jest coraz bardziej uzależniona, sam zresztą postanowił wpędzić ją w pułapkę. Uznał, że w ten sposób zmusi ją, żeby pracowała dla alfonsa, który od dawna już nie dawał jej spokoju. Chodził za nią i opowiadał, że nie obejdzie się bez jego ochrony; obiecywał, że dopilnuje, by zawsze miała pieniądze na nową działkę i nie musiała sama szukać klientów.

Tylko że ona nie musiała szukać klientów. Wystarczyło, że wyszła z domu, a zawsze znalazł się chętny. Teraz też wyjdzie, ale na żadnego nawet nie kiwnie. Zakołysze biodrami, zakołysze biustem - i pójdzie sobie spokojnie w stronę dzielnicy Claudii. A faceci niech sikają na jej widok, niech im pękają spodnie, niech cmokają i gwizdzą. Nic nie dostaną. Dzisiaj nic.

Podniosła się z materaca i ruszyła w stronę drzwi.

- Gdzie idziesz? - zawołała jedna z dziewcząt, kiedy chwiejnie zeszła po schodach. - Za wcześnie jeszcze na klientów.

- Pilnuj swojego tyłka - prychnęła Katriona gniewnie, po czym otworzyła drzwi i zamrugła, oślepiona ostrym popołudniowym słońcem.

Gdy dotarła przed kamienicę Claudii, było już ciemno. W chłodnym wieczornym powietrzu czuło się zapowiedź jesieni, ów wyraźny, nostalgiczny zapach

odchodzącego lata, Do Katriony jednak nie docierała woń palonych gałęzi i liści. Nie docierało do niej nic - ani zapachy, ani dźwięki. Stała przed domem Wallace'ów z triumfalnym, szerokim uśmiechem na twarzy i aż drżała z podniecenia na myśl, że za chwilę wejdzie do środka.

Na schodach na szczęście nie natknęła się na nikogo. Dotarła na właściwe piętro i otarła spocone czoło. Nawet nie wiedziała, że jest taka słaba. Potrzeba narkotyku zamieniła się teraz w potworny, ssący głód, który odbierał jej siły i płynność ruchów. Kiedy wkładała klucz do zamka, ręka drżała jej tak mocno, że dopiero za którymś razem udało się jej trafić w dziurkę. Wreszcie przekreśliła klamkę i drzwi ustąpiły.

Weszła do środka bez wahania i omal nie przewróciła się o jakąś torbę porzuconą na podłodze. Zaklęła, znalazła kontakt, zapaliła światło. Przez chwilę wpatrywała się uważnie w dobrze teraz widoczną przeszkodę, nasłuchując równocześnie, czy nie usłyszy jakichś odgłosów dochodzących z głębi mieszkania. Upewniwszy się, że wokół panuje cisza, przykucnęła i zaczęła przeglądać zawartość torby, rozrzucając starannie złożone ubrania. Była rozczarowana - nie natrafiła ani na pieniądze, ani na nic wartościowego, co mogłaby sprzedać. A głód dręczył ją coraz bardziej...

W przedpokoju nad małą półką wisiało lustro. Zaczęła stroić do niego małpie miny, wyobrażając sobie, że tak właśnie mizdrzy się Claudia, kiedy sprawdza swój wygląd przed wyjściem.

Suka! Zasłużyła sobie na to! Nie miała prawa wyjechać i zostawić jej samej sobie! Nie miała prawa nosić w brzuchu tego przeklętego dzieciaka!

Rozzłoszczona przeszła do pokoju i zaczęła szukać pieniędzy. Ta cipunia na pewno ma jakieś pieniążki schowane gdzieś dobrze w domciu. Może w komodzie? Nie. Albo w biurku. A może w bielizniarce...

Wciąż nie mogła nic znaleźć. Z gniewnym grymasem zerknęła na zegar stojący na kominku. Zbyt ciężki i niewygodny, żeby wynieść go do lombardu, pomyślała z niesmakiem. Srebra oraz porcelanowa zastawa, które wypełniały staroświecką mahoniową serwantkę, też nie na wiele mogły się zdać. Może by je nawet sprzedała,

ale na pewno nie od razu. To samo z tymi porcelanowymi figurkami. Nie da się ich natychmiast zamienić na forszę.

Coraz bardziej zniechęcona, nie zajrzała nawet do kuchni, postanowiła jednak obejrzeć jeszcze przed wyjściem sypialnię. Trudno. W ostateczności może wyjść na ulicę, znaleźć klienta i zdobyć szybko dwadzieścia funtów. Nie pierwszy raz, nie ostatni...

Pchnęła energicznie drzwi i zamarła w progu ze zdziwienia. Na łóżku leżał jakiś mężczyzna, zapewne Garth, nagusieńki, odkryty, śpiący. Na szafce obok łóżka stała pusta butelka po whisky.

Instykt podpowiadał jej, że powinna się wycofać, ale wywołane niebezpieczeństwem podniecenie, które nagle ją ogarnęło, okazało się silniejsze. A więc tak wygląda mężuś Claudii, ten ideał, który zdejstrował jej dzieciaka. O kurde, naprawdę niezły. Spory i umięśniony. Czysty. Miał wszystko to, czego zbywało facetom, którzy przewinęli się przez jej życie i łóżko.

Zbliżyła się do niego powoli i wyczuła zapach alkoholu. Nie szkodzi. I tak był lepszy niż te wymięte śledzie, które śliniły się na jej widok. Katriona potrafiła rozpoznać, kiedy ktoś jest spity do nieprzytomności, wiedziała więc, że ten tutaj będzie spał jak zabity do południa, a i wtedy nie będzie mu łatwo wrócić do normalnego stanu. Kiedy zaś sobie to uświadomiła, na jej twarzy zagościł triumfalny uśmiech. To będzie jej zemsta.

Dotknęła ostrożnie dłoni Gartha, ścisnęła palce. Nic. Żadnej reakcji. Podniosła jego rękę i puściła. Ręka opadła bezwładnie. Usiadła przy nim na brzegu łóżka i przyjrzała mu się dokładniej. Długie nogi, muskularny tors, płaski brzuch, a niżej... Nie zdając sobie do końca sprawy z tego, co robi, nachyliła się i ujęła w palce jego męskość, nie siląc się nawet na delikatność.

Hm, widziała już większe, ale facet mógł uważać się za całkiem dobrze wyposażonego. Prawdę mówiąc, znacznie lepiej niż większość tych, z którymi miała do czynienia. Cholera, być może nasza lilia nie jest wcale taka nieskalana, skoro wybrała sobie gościa z takim instrumentem. Ciekawe, jak wygląda cały ten Garth, kiedy jest taki „zachwycony”. Umie czynić użytek z przyrodzenia czy raczej nie

wysila się, raz-dwa robi swoje, a potem odwraca się plecami i chrapie? A czy sama Claudia wie, jak sprawić, by ten ptaszek ożył i trochę pofruwał?

Skrzywiła się pogardliwie. Nie, na pewno nie. Claudia była raczej jedną z tych, co to rozkładają nogi przed mężem dla dobra rodziny, narodu i ojczyzny.

A gdyby tak teraz weszła do sypialni i zobaczyła, jak jej podopieczna trzyma w garści ten jej skarb? To by dopiero był odjazd! Widziała już oczami wyobraźni tę pełną oburzenia, zaszokowaną minę na widok nagusieńkiego męża, rozkraczonego bez czucia na małżeńskim łożu, i na widok jej, Katriony, która ogląda go jak motyla na szpilce. Jeszcze bardziej byłaby wstrząśnięta, widząc, jak Katriona ujeżdża Gartha, a ten jęczy, wije się, błaga o jeszcze i zapewnia gorąco, że z własną żoną nigdy nie było mu tak dobrze. Kurde, wszyscy mówią to samo. Czy ona, Katriona, rzeczywiście jest taka dobra? Nieważne. Grunt, że jej płacą. Płacą, choć w domu mogą mieć seks za darmo.

Położyła się na łóżku obok niego i przesunęła dłonią po jego brzuchu. Potem pogłaskała go niżej i po chwili uśmiechnęła się z zadowoleniem, widząc, jak sztywnieje. Mruknęła do siebie, zgięła się - ją też zaczynało to rajcować. Najbardziej zaś podniecające było w tej zabawie to, że każdy, kto wszedłby teraz do sypialni, zobaczyłby w lustrze odbicie jej smukłych nóg, ocierających się powoli o uda Gartha.

No, chodź tu, Claudio, wejdz, aniołku! Nie byłabyś teraz taka spokojna, taka wyniosła jak zwykle, taka pewna siebie i opanowana, co? Nie, teraz to ja, Katriona, panuję nad sytuacją, a ty możesz sobie tylko popatrzeć...

Zdjęła powoli ubranie i ułożyła je obok łóżka na podłodze. Jej wzrok padł na toaletkę, gdzie stał flakonik z wodą kolońską. Wstała, spryskała się i ciągle uśmiechnięta położyła się z powrotem. Przytuliła się do niego naga, gorąca, wilgotna. Potem objęła go ustami, potem przesunęła językiem od brzucha, przez tors, ku rozchyłonym ustom. A potem usiadła na nim, nachyliła się nad jego uchem i szepnęła słodko:

- No, chodź, Garth. Wejdz we mnie, wejdz...

Garth był tak pijany, że nie mógł zrozumieć, co się dzieje. Czuł ciepło, słodycz, rozkosz. Jakiś wewnętrzny głos w jego głowie przestrzegał go przed czymś, mówił, że coś jest nie tak, ale powolne ciało poddawało się wprawnym zabiegom czyichś dłoni,

czyichś ust. Nie był w stanie rozpoznać w nich dłoni i ust Claudii. Claudia nigdy nie zachowywałyby się tak zaborczo, nie domagałyby się, nie żądała...

To jednak musiała być Claudia... jego żona. Bo kto? Znajdował się przecież w ich wspólnym domu, w ich wspólnej sypialni. Seks był wprawdzie ostatnią rzeczą, na którą miał teraz ochotę, ale jego ciało...

Jego ciało reagowało posłusznie, bezwiednie, biernie. Był nieprzytomny, ale odpowiadał na pierwotne wezwanie, silniejsze niż wola i równie stare, jak świat. Niepomny na rozsadzający czaszkę ból głowy i niejasne sygnały, że coś nie jest w porządku, już czekał, aż otoczy go ciasna miękkość, już był gotów poruszyć się w niej tym tak dobrze znanym, wyuczonym ruchem.

Otworzył na chwilę oczy, zaraz potem je zamknął, jęknął i pchnął biodrami, posłuszny instynktom i uległy zmysłom.

Z gardła Katriony dobył się głęboki, triumfalny jęk. Co teraz powiedziałaabyś, aniołku, o swoim wspaniałym mężu? Czy cieszysz się, że tak mu dobrze? Czy jesteś zachwycona? Przecież tak bardzo go kochasz...

Opadła na niego, odchyliła głowę do tyłu i rozpoczęła swój miłosny taniec. Nie musiała długo czekać. Wystarczyło zaledwie kilkanaście ruchów, by kochanek eksplodował w jej wnętrzu wstrząsany dreszczem orgazmu.

Z uśmiechem przewróciła się na bok. Kiedy Claudia wróci do domu? Rano? Zapewne. Wróci od tatuńcia i mamuni, a wtedy zastanie ją, swoją podopieczną. Utrapioną Katrionę przytuloną do jej ukochanego męża.

Rozdział 9

- Jesteś pewna, że czujesz się na tyle dobrze, by wracać samej do Londynu? Mogłabyś zostawić samochód, a tata...

- Nic mi nie jest - zapewniła matkę Claudia. - To tylko te okropne poranne nudności.

- Ze mną było tak samo - przytaknęła matka i zaraz dodała pocieszająco: - Nie martw się. To niedługo minie,

- Mam nadzieję - odparła Claudia. Była w zaawansowanej ciąży, ale że nie miała apetytu i straciła na wadze, nikt nie domyśliłby się jej stanu. Nie wyglądała też wcale zdrowo i kwitnąco, jak powinna wyglądać kobieta, która oczekuje dziecka.

Próbowała się tym nie przejmować i swoje myśli kierowała gdzie indziej. Skompletowała już wyprawkę, wybrała wózek, miała też upatrzonych kilka domów, które zamierzała obejrzeć wraz z mężem, kiedy to niespodziewany wyjazd Gartha pokrzyżował im plany.

No właśnie, Garth. Co teraz robi? Czy jest bezpieczny? Czy...?

Westchnęła ciężko i uśmiechnęła się z wysiłkiem. Wszystko będzie dobrze, powtórzyła sobie z uporem. Niczym nie powinnaś się przejmować. Nie teraz.

Zbliżała się pora lunchu, kiedy wsiadła wreszcie do samochodu i ruszyła do Londynu. Po drodze zatrzymała się na stacji benzynowej, żeby zatankować paliwo, i dopiero wtedy odkryła, że nie ma kluczy do mieszkania.

- Niech to diabli - zaklęła pod nosem i wyrzuciła na siedzenie całą zawartość torebki. Usiłowała przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni widziała zawieruszone klucze, jednak na próżno wysilała pamięć. Od chwili zajścia w ciążę nie dość, że męczyły ją poranne nudności, to na domiar złego stała się roztargniona i ustawicznie o czymś zapominała.

Trudno, będzie musiała prosić o pomoc właściciela domu i skorzystać z jego kluczy. Być może swoje zostawiła u rodziców. Zaraz po powrocie będzie musiała zadzwonić do nich i zapytać.

Najważniejsze to spokój. Nie powinna się niczym martwić ani denerwować.

Gartha obudził jakiś hałas. Jego czaszkę wciąż rozsadzał potworny ból, jednak był już na tyle trzeźwy i przytomny, że zdobył się na wysiłek koncentracji.

Otworzył oczy i rozejrzył się czujnie. W sypialni dostrzegł dziewczynę, która ujrzawszy jego otwarte oczy, rzuciła na podłogę opróżniony portfel, wepchnęła do kieszeni zmięte banknoty i szybko pobiegła ku drzwiom.

Skoczył za nią, ale ona okazała się szybsza. Zbiegła prędko po schodach, zanim zdążył cokolwiek zrobić, a on został przy drzwiach, klnąc na czym świat stoi. Nie mógł przecież gonić jej nagi!

Kim była, i co ważniejsze, jak, do diabła, dostała się do mieszkania?

Wściekły podniósł z podłogi pusty portfel. Dzielnica, w której wynajmowali mieszkanie, nie była najlepsza. Na chodnikach wystawały grupki nie mających nic lepszego do roboty wyrostków, na rogu ich ulicy młode dziewczyny w kusych spódniczkach taksowały wzrokiem przejeżdżające samochody, czekając na okazję. Garth cieszył się, że niedługo się przeprowadzą. W jego opinii Londyn nie był miejscem, w którym można wychowywać dziecko. Dzieci potrzebują świeżego powietrza, słońca, przestrzeni, życia na wsi, jakie w dzieciństwie było udziałem jego i Claudii. Ten incydent utwierdził go tylko w tym przekonaniu.

Tylko że to nie był ot, taki sobie incydencik. Ktoś włamał się do mieszkania, ktoś w nim...

Rozejrzył się po sypialni - rozrzucone na podłodze ubranie, wymięta pościel, pusta butelka po whisky. Otworzył okno i zasepił się z dłonią znieruchomiałą na framudze. Dziewczyna, która opróżniła jego portfel, musiała dostać się do środka, kiedy spał. Jak? Pamiętał powrót do domu, pierwszą szklaneczkę alkoholu... potem drugą... a potem...

Potał czoło. Przed oczami przesuwały się jakieś oderwany obrazy. Kobieta. Tak, pamiętał kobietę... jej włosy... jej głos... jej... Coraz bardziej zasepiony usiłował przywołać z pamięci coś więcej, ale oderwane strzępy wspomnień nie układały się w żadną całość, zdawały się bardziej wspomnieniem snu niż rzeczywistością.

Jak ta przeklęta dziewczyna weszła do domu? Podszedł jeszcze raz do drzwi - zamek był nienaruszony.

Cóż, będzie musiał porozmawiać z właścicielem. Zapyta go, czy w innych mieszkaniach nie było ostatnio włamań, czy nic nie zginęło u sąsiadów. Ale najpierw musi ogarnąć ten bałagan, zanim Claudia wróci od rodziców. Claudia nie powinna się denerwować.

Widok zaparkowanego pod ich domem samochodu Gartha był dla Claudii tak nieoczekiwany, że zahamowała gwałtownie, by przekonać się, czy to nie złudzenie. Nie, numer rejestracyjny się zgadzał! Garth wrócił!

Zaparkowała własne auto byle jak i pędem ruszyła na górę do mieszkania.

- Garth, Garth! Jesteś tam? - zawołała, dobijając się niecierpliwie do drzwi. - Garth, zobaczyłam twój samochód... - mówiła, gdy stanął na progu i wziął ją w objęcia. - Skąd się tu wzięłeś? Przecież powinienes... czy coś się stało? Dobrze się czujesz? - wyrzucała z siebie jednym tchem kolejne pytania.

- Nic mi nie jest - odparł Garth i zaraz potem dodał z troską w głosie: - Ty za to wyglądasz nie najlepiej.

- Całą drogę myślałam o tobie. - Pozwoliła poprowadzić się do pokoju. - Martwiłam się o ciebie. Co tutaj robisz? Powinienes być w Irlandii.

- Nasz wyjazd został w ostatniej chwili odwołany. Coś w tonie jego głosu zaniepokoiło ją i wzmogło czujność. Claudia spojrzała na męża uważnie, po czym spytała:

- Coś się stało... coś poważnego?

Garth pokręcił głową z ciężkim westchnieniem. Czarna kawa i proszki przeciwbólowe postawiły go wprawdzie na nogi, ale wciąż czuł się paskudnie. Z kilku powodów. Objął żonę, popatrzył na nią i przygnębionym głosem zaczął opowiadać, co wydarzyło się poprzedniego dnia w pułku i dlaczego tak nieoczekiwanie zmieniono plany.

- Och, Garth, nie...

- Wszyscyśmy to przeżyli, wierz mi.

- Boże drogi, biedny chłopak. Jego bliscy... jego rodzice... Jakie to straszne.

- Trzeba było odwołać rozkaz. Sprawy nie udało się utrzymać w tajemnicy, a takie rzeczy bardzo źle wpływają na żołnierzy. Natychmiast zaczęły się szeptki, że to

pech, że klątwa, że nie wrócimy żywi. Najgorsze było to, że to ja musiałem zawiadomić jego rodziców.

- Och, Garth...

W spontanicznym odruchu otoczyła go ramionami, a on przytulił ją jeszcze mocniej do siebie, wdychając znajomy, swojski zapach jej skóry. Taki słodki, taki świeży, taki kochany. Zacisnął powieki, czuł napływające do oczu, palące łzy.

- Oficer dyżurny... powiedział, że mogę wrócić - oznajmił, by powstrzymać płacz cisnący mu się do gardła. - Zupełnie zapomniałem, że umówiłaś się na weekend z rodzicami.

- Przepraszam cię - Claudię ogarnęły nagle wyrzuty sumienia - zostałeś sam ze swoimi zmartwieniami. Co robiłeś?

Powiodła strapionym wzrokiem za jego dłonią, którą wskazał pustą butelkę po whisky - smutny dowód samotnie spędzonego wieczoru.

- Wiem, że to głupie - przytaknęła, widząc wyraz jej twarzy. - Na swoje usprawiedliwienie mam tylko tyle, że ciężko odpokutowałem swoje pijaństwo. Głowa mi pęka, w życiu nie miałem takiego kaca. Ale co tam ja, powiedz mi, jak ty się czujesz?

- Dobrze. Męczą mnie tylko nudności, jak zwykle. Lekarz mówił, że powinny się skończyć w dwunastym tygodniu ciąży, a tu ciągle to samo! Och, Garth, zupełnie zapomniałam - zmieniła nagle temat. - Widziałeś może gdzieś moje klucze? Wracając od rodziców, zorientowałam się, że gdzieś je zawieruszyłam. Zupełnie nie mogę sobie przypomnieć, co z nimi zrobiłam, ani kiedy ostatnio miałam je w ręku.

- Nie widziałem twoich kluczy. Nie zostały u rodziców?

- Może - przytaknęła Claudia. - Zadzwońię do nich później i zapytam.

- Nie, zadzwoń teraz - Garth poprosił ją poważnie. - Nie ma na co czekać.

Kiedy obudziłem się rano, ktoś był w naszej sypialni...

- Jezu!

- ...szperał w moim portfelu, ukradł pieniądze. Zamek jest nienaruszony, sprawdziłem. Skoro zatem nikt się nie włamał, to...

- To ktoś mógł użyć moich kluczy - dokończyła Claudia. - Boże, jak się to mogło stać?

- Nie mam pojęcia, ale nie dowiemy się niczego, dopóki nie zadzwonimy do rodziców i nie sprawdzimy - tłumaczył Garth spokojnie. - Zważywszy, jaką masz pracę i z jakimi ludźmi się spotykasz, nie byłoby w tym nic dziwnego, gdybyś ktoś ci je ukradł.

- To prawda - zgodziła się Claudia, wzdragając się na wspomnienie posepnych, ciągnących się w nieskończoność korytarzy oraz śmierdzących uryną i brudem betonowych klatek schodowych w zrujnowanym blokowisku. Czy któryś z jego mieszkańców ją okradł?

Znów ogarnęły ją mdłości, tym razem jednak z obrzydzenia. Nie chciała nawet myśleć o tym, co by się stało, gdyby to ona, a nie Garth, obudziła się rano we własnym łóżku i zobaczyła, że jakiś intruz przeszukuje mieszkanie.

Jakby odgadując jej myśli, Garth przygarnął ją do siebie i ucałował.

- Im prędzej znajdziemy przyzwoity dom dla naszej trójki, tym lepiej - mruknął cicho. - A teraz chodź, stęskniłem się za tobą.

Claudia uśmiechnęła się na te słowa.

- Jest druga po południu.

- I co z tego? Czy kobieta w twoim stanie nie powinna polegiwać popołudniami?

- Tak było za czasów naszych matek - odpowiedziała tonem nowoczesnej kobiety, ale nie próbowała uwolnić się z jego objęć.

- To były dobre czasy - odparł i wtulił twarz w jej włosy. Claudia była taka kochana, taka znajoma, taka swojska, taka jego. Tylko jego...

Swojska? Dlaczego pomyślał o niej w ten sposób? Przecież...

Gdzieś w głębi świadomości poczuł nagle ukłucie niepokoju. Słabe i ledwie uchwytnie, lecz zarazem przykre i niewygodne. Usiłował uzmysłwić sobie, skąd może brać się ów niepokój, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Jakby dla zagłuszenia tego płynącego z głębi duszy sygnału wpił się w usta Claudii i zaczął sycić się ich słodyczą.

- Naprawdę sądzisz, że ktoś mógł mi je ukraść? - mruknęła Claudia między kolejnymi pocałunkami.

- Klucze? To całkiem prawdopodobne. Przed powrotem do koszar założyę łańcuch na drzwiach i dodatkową zasuwę. Ale nie martw się tym, proszę. Obiecałaś, że pójdziesz grzecznie do łóżka.

- Słucham? - roześmiała się Claudia, lecz posłusznie pozwoliła poprowadzić się do sypialni.

Pościel tak cuchnęła rozlaną poprzedniego wieczora whisky, że Garth musiał ją zanieść do najbliższej pralni automatycznej. W obawie, że na widok świeżego obleczenia Claudia zacznie zadawać pytania, na wszelki wypadek zamknął jej usta pocałunkami.

Wiedział, jakie to mogłyby być pytania, ale nie miał pojęcia, jakich mógłby użyć odpowiedzi.

Teraz, kiedy nosiła w łonie ich dziecko, kochali się inaczej - spokojniej, delikatniej, może nie tak namiętnie jak przedtem, ale zbliżenia te były w jakiś sposób głębsze i bogatsze, tak jakby świadomość, że stworzyli nowe życie, czyniła łączącą ich więź bardziej dojrzałą, mniej niż kiedyś beztroską.

- Coraz bardziej się boję, że wyrządę ci krzywdę - szepnął, wchodząc w nią powoli.

- Wiem... Lekarz mówi, że nie ma powodu...

- Może to będzie ostatni raz?

- Nie... Potrzebuję tego, Garth.

- Seksu?

- Bliskości... czułości... łagodności.

- Pieszczot.

- I opieki... Och, Garth, potrzebuję ciebie.

- Czuwam nad tobą, kochana... Nad wami...

- Tak się bałam.

- Czego?

- Tej Irlandii. Nie będziesz już wyjeżdżać, prawda?

- Nie. Odejdę z pułku... tak jak zakładałem. Mmm...

- Co?

- Dobrze mi z tobą. Nie boli cię nic?

Claudia pokręciła głową, zamknęła oczy i pozwoliła nieść się powolnym, łagodnym ruchom, które wiodły ją ku rozkoszy. Kiedy zaś rozkosz przyszła, westchnęła tylko cicho i uśmiechnęła się z radością.

- Jak długo zostaniesz? - zapytała, gdy oboje zdążyli już ochłonać.

- Czterdzieści osiem godzin - odparł Garth, kładąc dłoń na jej brzuchu. - Wiesz, że czasami nie mogę uwierzyć, że niedługo będziemy mieli dziecko?

- Ja też - przytaknęła Claudia. - Nie żałujesz? Cieszysz się?

- Oczywiście - zapewnił ją i ucałował jej włosy. - Bardzo.

Rozdział 10

Estelle kopniakiem otworzyła drzwi do kuchni, odstawiła torby z zakupami i przeszła do pokoju, by włączyć odsłuchiwanie w automatycznej sekretarce.

Blade boczył się na nią ostatnio. Wzruszyła nieznacznie ramionami. A niech się boczy. Nawykła do jego dąsów i wiedziała doskonale, że wkrótce nastrój mu się odmieni, a wtedy się do niej odezwie.

Wracała właśnie do kuchni, gdy z sekretarki dobiegł ją znajomy męski głos. Na moment znieruchomiała, po czym zamknęła za sobą drzwi zdecydowanym gestem. Nie miała ochoty wysłuchiwać, co ma do powiedzenia jej ojciec i dlaczego zawraca jej głowę.

Ojciec! Raczej człowiek, którego rola ograniczyła się do tego, że ją spłodził. Nie rozumiała, po co stary udaje teraz, że zależy mu kontaktach, ani dlaczego miałyby się z nim spotykać. Do czego niby była mu potrzebna?

Miała zaledwie trzy miesiące, kiedy znudziło mu się bycie ojcem i zniknął z jej życia. Wówczas on jej nie chciał, teraz natomiast to ona nie miała zamiaru mieć z nim cokolwiek do czynienia.

Z pełną gniewu wzdargą patrzyła na stosunki łączące ludzi pokroju Tary Wallace z ich najdroższymi rodzicami. Z ironicznym uśmiechem przysłuchiwała się, jak dziewczyna mówi o swojej „mamusi” i „tatusiu”.

Wykrzywiając usta, przedrzeźniała nienaganny, wytworny i snobistyczny akcent klas wyższych. Jeszcze większą zaś pogardą niż zachowanie Tary napełniało ją ślepe uwielbienie, jakim Garth darzył swoją córkę.

Ona sama była zdania, że rodzice są złem koniecznym, z którym człowiek musi się godzić, do momentu kiedy jest w stanie zacząć samodzielne życie i uwolnić spod ich kurateli. Z tym Estelle nie miała akurat kłopotów. Jej matka do życia podchodziła w sposób hedonistyczny i egoistyczny, co oznaczało, że najchętniej oddawała się przyjemnościom i nigdy nie przejawiała specjalnej troski o los córki.

Estelle doskonale pamiętała, jak bardzo niezadowolona była Lorraine, kiedy się dowiedziała, że Blade jest zagrożony i że mają wyrzucić go ze szkoły.

- Ależ to oznacza, że obydwójce będą mieszkali teraz z nami! - uskarżała się Ethianowi, podczas któregoś z tych dni, kiedy to zamykali się razem w sypialni i znikali na cały wieczór. Zapewne nie zdawali sobie sprawy, że sześcioletnia wówczas Estelle podsłuchuje pod drzwiami, ale też nie krępowali się zbytnio, kiedy wygłaszali podobne uwagi w obecności dzieci.

- Jeszcze go nie wyrzucili - próbował mitygować żonę Ethian. - A nawet jeśli wyrzucą, to na pewno znajdziemy inną szkołę z internatem, która gotowa będzie go przyjąć.

- Najchętniej umieściłabym i moją Estelle w takiej szkole, tylko że wtedy jej ojciec będzie przysyłać pieniądze bezpośrednio tam, a ja nie zobaczę ani grosza z przysługujących dziewczynie alimentów.

- Wie, że zapisałaś ją do państwowej szkoły i że nie musisz płacić czesnego?

- Skądże! Przestałby płacić cokolwiek. On nie ma pojęcia, ile kosztuje utrzymanie dziecka. Niedobrze mi się robi, kiedy pomyślę, ile forsy musiał wyrzucić na nowy dom dla Sophie, nie wspominając już, ile łoży na ich syna. Mógłby być trochę hojniejszy dla Estelle, nie sądzisz?

- Czy ja wiem? Po co miałby w nią inwestować, przecież to dziewczyna - mruknął ojczym obojętnym tonem.

Estelle zrozumiała wówczas, dlaczego ojciec zostawił ją zaraz po urodzeniu - była tylko dziewczyną, kimś nieważnym, kto nie wymaga zachodu i nie rokuje żadnych widoków na przyszłość.

Pograżona w niewesołych myślach, wróciła do swojego pokoju. Od dawna przywykła wysłuchiwać utyskiwań matki na temat skąpstwa jej ojca. Lorraine narzekała, wygrażała, powtarzała, że trzeba żyć oszczędnie, sama jednak lubiła się stroić, bywać na eleganckich przyjęciach, a letnie wakacje spędzać w Toskanii lub w tropikach. Uwielbiała też oczywiście bywać na uroczystych kolacjach, na które zapraszany był jej mąż, szef dużej korporacji. Ładna, próżna, zajęta wyłącznie sobą, resztę wolnego czasu spędzała, biegając po sklepach oraz przesiadując u kosmetyczek i fryzjerów.

Już jako dorosła osoba, Estelle nie utrzymywała kontaktów z matką. Doskonale wiedziała, że gdyby próbowała zadzwonić do luksusowego mieszkania, które Ethian kupił za namową Lorraine, odezwałaby się tylko automatyczna sekretarka. Nawet gdyby zaś zostawiła nagraną wiadomość, matka i tak nie zadałaby sobie trudu, by odzwonić.

- Jesteś już dorosłą kobietą, Estelle - oznajmiła jej w dniu osiemnastych urodzin. - Najwyższy czas, żebyś się usamodzielniała, poszukała sobie pracy i jakiegoś mieszkania.

Estelle w lot pojęła matczyne intencje. Obydwie były teraz kobietami i Lorraine nie miała najmniejszej ochoty dzielić się tym, co uważała za swoją wyłączną własność, nawet z własną córką.

- Masz alimenty od ojca - tłumaczyła - a Ethian też na pewno ci pomoże, porozmawiam z nim na ten temat.

Po pół roku mieszkania w maleńkim studio, które Estelle wynajęła za pieniądze od ojczyrna, Ethian cofnął pomoc finansową, którą wcześniej przyrzekł. Nadal miała pieniądze od ojca, ale to, co przysyłał, nie wystarczało na życie, natomiast nędzne grosze, jakie zarabiała w ekskluzywnym butiku na Bond Street, nie pokrywały nawet kosztów ciuchów kupowanych w tym samym sklepie z odliczeniem marży.

Jedna z koleżanek z pracy podpowiedziała jej wówczas, w jaki sposób mogłaby poprawić swoją sytuację materialną, Estelle zaś uznała pomysł za dobry. W końcu propozycja nie odbiegała zbyt od tego, co robiła Lorraine.

Dla nikogo nie było tajemnicą, że Lorraine wyszła za Ethiana tylko po to, by w zamian za udany seks wyciągać od niego pieniądze na wytworne stroje, drogie wa-

kacje i inne przyjemności. Różnica polegała jedynie na tym, że Estelle nie zamierzała ograniczać się do jednego mężczyzny.

- Czy Estelle oddzwoniła do ciebie? - zwróciła się Sophie Frensham do swojego męża.

John Frensham pokręcił głową.

- Poczekam kilka dni i raz jeszcze spróbuję się z nią skontaktować.

Widząc jego strapioną minę, Sophie wstała zza stołu kuchennego, przy którym przygotowywała owoce na dżem, i objęła czule męża.

Kuchnia, jak cały dom, była przestronna i nieco staroświecka. Kiedy John odziedziczył rezydencję dziesięć lat temu po śmierci swojego ojca, przyrzekał, że w miarę zasobów finansowych, jakimi dysponowali, Sophie będzie mogła zmodernizować ich nowe lokum. Niestety, choć miał ziemię, sporo akcji i obligacji, nie dysponował nigdy wystarczającymi środkami, by dotrzymać danej żonie obietnicy.

John lubił powtarzać, że dla człowieka, który ma choćby odrobinę oleju w głowie, życie na wsi to nie jest życie, niemniej Sophie dobrze wiedziała, jaki jest dumny z tego, że ich syn, Ian, postanowił iść w ślady ojca i zająć się gospodarstwem.

Sophie знаła go od dzieciństwa. Jej dziadek był lordem i choć ojciec Johna nie należał do dzierżawców dziadka, chłopiec, jak wszystkie inne dzieci z okolicy, był zapraszany do dworu z okazji festynów, które dziadkowie raz na dwa lata organizowali dla swoich dzierżawców i sąsiadów.

Chociaż obydwójce byli w tym samym wieku, stracili ze sobą kontakt jako nastolatki. Kiedy zaś dorośli, co innego ich interesowało, wiedli inny tryb życia, a ich drogi na długo się rozeszły. Ona przez pewien czas pracowała za granicą, uczyła się francuskiego; John natomiast, jak wielu ludzi z jego pokolenia, zerwał z tradycją, nie chcąc odgrywać w życiu roli, którą mu przypisano. Zamiast pozostać na farmie i uprawiać ziemię, przeniósł się do Londynu, prawdziwej Mekki angielskiej młodzieży w tamtych latach.

Jaki był Londyn lat siedemdziesiątych? Cóż, Sophie tylko o tym słyszała - hippisi, rockmani, atmosfera całkowitej swobody, galerie, kluby, marihuana. Jakoś nie mogła sobie wyobrazić Johna Frenshama palącego jointy i odwiedzającego wszystkie te szalone miejsca. Znała innego Johna. Innego też kochała.

Rodzice Sophie początkowo nie byli zbyt zadowoleni, że ich córka zamierza wyjść za syna Frenshamów.

- Rozwodnik z dzieckiem - powątpiewała matka, ale Sophie nie dała się odwieść od zamążpójścia. I miała rację. Jej wiara w dawnego ukochanego okazała się w pełni uzasadniona i spłaciła się z nawiązką.

Pod koniec miesiąca ich córka Rebecca miała obchodzić swoje dwudzieste pierwsze urodziny. Brat Sophie, który odziedziczył majątek ziemski po dziadku, zaproponował, że urządzi z tej okazji bał we dworze. John z całego serca pragnął, by na uroczystości pojawiła się także jego starsza córka, Estelle. Sophie miała wprawdzie poważne wątpliwości co do trybu życia, jaki prowadzi Estelle, ale nie dzieliła się nimi z mężem. Kobięca intuicja podpowiadała jej wszak, że mąż może przeżyć ciężki wstrząs i ogromne rozczarowanie, kiedy zda sobie sprawę, kim jest i jak funkcjonuje jego córka.

Na razie milczała, by nie zadawać mu bólu. Nie chciała pozbawiać go złudzeń i miała niejaką nadzieję, że Estelle też na tym nie zależy.

- To moja córka, moje pierwsze dziecko, a jest dla mnie kimś zupełnie obcym - skarżył się John. - Wiem, że to moja wina. Powinienem być o nią walczyć, zabiegać, tymczasem tak miałem dość związku z Lorraine, tak spieszno mi było do rozstania, że nie pomyślałem, by zagwarantować sobie prawo do kontaktów z córką albo wręcz odebrać ją matce.

- Nie wiń siebie za wszystko. W tamtych czasach pewne sprawy wyglądały inaczej - usiłowała pocieszać go Sophie. - Uważano, że dziecko powinno wychowywać się pod opieką matki, a ty i tak dużo zrobiłeś.

Rzeczywiście, John starał się zrekompensować córce rozwód rodziców. Przynajmniej na początku, dopóki się nie zniechęcił. Sophie doskonale pamiętała, jak obydwójce bezskutecznie przekonywali Lorraine, by zgodziła się i pozwoliła Estelle spędzać letnie wakacje i ferie zimowe w ich domu. Lorraine nigdy nie odmówiła wprost, ale zawsze tak namotała, że w efekcie dziewczynka odwiedzała ich od przypadku do przypadku, a jej wizyty nie trwały dłużej niż kilka dni.

Nie należało też zapominać o bardzo wysokich alimentach, które John płacił do momentu ukończenia przez Estelle dwudziestego pierwszego roku życia; w stosunku

do swojej pierworodnej był o wiele bardziej szczodry niż wobec swoich dzieci z drugiego małżeństwa.

Gdy na przykład Ian studiował na akademii rolniczej, musiał dorabiać w wolnym czasie, żeby opłacić naukę. Podobnie było z Rebeccą. Nowa polityka agrarna, recesja, nieurodzaje i kilkakrotny pomór bydła - wszystko to w dramatyczny sposób zmieniło sytuację finansową Johna, zmuszając go do tego, by każdy zarobiony grosz z powrotem wkładać w gospodarstwo. Ilekroć jednak Sophie zrywała się, myśląc, ile pieniędzy idzie na utrzymanie Estelle, powiadała sobie, że jej dzieci i tak są w lepszej sytuacji, bo choć może biedniejsze, mają ojca na codzień, Mają też jego bezwarunkową miłość, co do której żadne z nich nie mogło mieć wątpliwości.

John przyznawał, że niezbyt przejmował się Estelle, kiedy była mała.

- Cięża Lorraine, przyjdzie na świat Estelle... To był jeden wielki błąd, coś, co nigdy nie powinno się zdarzyć - mówił ponurym tonem. - Lorraine początkowo chciała zrobić zabieg, ale ja... ja po prostu nie mogłem się na to zgodzić. Strasznie się kłóciliśmy na ten temat - opowiadał. - Myślę, że w ogóle nie powinniśmy byli się po-bierać. Nasz związek był nieudany od samego początku. Do licha, nie wiem, co ja sobie wyobrażałem. Kiedy Lorraine zrozumiała, że poważnie myślę o powrocie na wieś, rozpętało się piekło. Za nic nie chciała opuścić Londynu.

Teraz Sophie patrzyła na męża w milczeniu i doskonale wiedziała, o czym myśli. Wiedziała, jak bardzo John liczy na to, że Estelle się odezwie; jak bardzo pragnie, by pierworodna wzięła udział w uroczystych urodzinach siostry, by pokazała, że ona też należy do rodziny.

Sophie nie potrafiłaby powiedzieć, co konkretnie uświadomiło jej prawdę na temat Estelle - może jakiś szósty zmysł, jakaś mroczna wiedza, której nie chciała dopuszczać do świadomości; może złe przeczucia potwierdzone przez przyjaciółkę, która podczas pobytu w Londynie przypadkowo natknęła się na Estelle i rozpoznała towarzyszącego dziewczynie mężczyznę.

Sophie też go znała. Był trzydzieści lat starszy od Estelle, bardzo bogaty i bardzo, bardzo żonaty. Jane upierała się, że znajomość między tymi dwojgiem, zawarta rok wcześniej w czasie nieoczekiwanej wizyty Estelle w domu ojca podczas minionych Świąt Bożego Narodzenia, musi być zupełnie niewinna, ale Sophie

wiedziała swoje. Nie mówiła jednak nic Johnowi, wiedząc, że ta wiadomość sprowokowałaby jeszcze większe niż dotychczas wyrzuty sumienia, jakie i tak czuł wobec córki.

- Powiniennem był odebrać Lorraine opiekę nad dzieckiem - oznajmił z goryczą pewnego lata, kiedy Estelle miała jedenaście lat.

Nastolatka spędziła wówczas u nich tydzień. Przez cały czas stroniła od zabaw, była zamknięta w sobie, przesiadywała godzinami w swoim pokoju i nabijała rachunek telefoniczny, który urósł za jej sprawą do astronomicznych rozmiarów.

- Powinna biegać na świeżym powietrzu z innymi dziećmi, a nie... - przerwał i pokręcił głową. - W ogóle dziwnie się zachowuje. Taka mała, a taka już dorosła. Czuję się okropnie winny, Sophie, i tak bardzo bezradny. Powiniennem był być bardziej stanowczy, więcej z siebie dawać.

Czy jednak rzeczywiście sprawy potoczyłyby się inaczej, gdyby Estelle wychowywała się otoczona, jak ich własne dzieci, miłością i opieką? Czy gdyby wiedziała, że jest kochana, że ktoś się o nią troszczy i komuś na niej zależy, naprawdę byłaby normalniejsza?

Pewnie tak, ale z pewnością tylko do pewnego stopnia. Ta dziewczyna była po prostu inna i nic nie mogło tego zmienić.

John zresztą też miał podobne przeczucie. Nie umniejszało to jednak w żadnym stopniu głębokiego poczucia winy, jakie odczuwał wobec córki. Doskonale wiedział, że nie zdadzą tu się na nic żadne pocieszenia ze strony żony ani próby perswazji. Był ojcem Estelle, powinien być z nią - i tyle.

Teraz obserwował, jak Sophie odmierza cukier do dżemu, i w duchu dziękował losowi za to, że ta kobieta go pokochała. Była tak inna od jego pierwszej żony, tak bardzo różna pod każdym względem - i także za to bardzo ją kochał.

Lorraine poznał na początku lat siedemdziesiątych, kiedy pracował w Londynie. Pochodziła z małego robotniczego miasteczka w północnej Anglii, a w stolicy mieszkała od mniej więcej dwóch lat. Spotkali się na przyjęciu urządzonym przez przyjaciela Johna z uczelni.

Rodzice Johna, szczególnie ojciec, byli bardzo niezadowoleni, gdy oznajmił, że zamiast studiować na miejscowym uniwersytecie, jak to było w rodzinnej tradycji, zamierza uczęszczać do znanej London School of Economics.

- To nie jest uczelnia, tylko wylegarnia różnych nieudaczników, postrzeleńców i lewaków - pomstował ojciec, lecz John nie zamierzał zmieniać swoich planów. Miał osiemnaście lat, był młody, ambitny, przerażała go nudna, naznaczona piętnem otepienia egzystencja, jaką prowadzili jego rodzice. Chciał żyć inaczej i był gotów zrobić wszystko, byle wyrwać się z opłotków i zakosztować świata. Wkrótce po przyjeździe do Londynu poznał Lorraine.

Była starsza od niego o półtora roku, właśnie zerwała ze swoim poprzednim fatygantem, czterdziestoletnim właścicielem studia nagraniowego, który, jak John później odkrył, nie chciał dać się zaciągnąć przed ołtarz.

Lorraine przyjęła artystowski model życia obowiązujący w ówczesnym Londynie, ale były to tylko pozory. W gruncie rzeczy pozostała szczwaną, prostolinijną dziewczyną z północy. Seks przed ślubem? Owszem, pod warunkiem, że pozwoli jej to złowić męża.

Dość się napatrzyła, jak żyły jej babka, matka i ciotki - zapracowane, sterane życiem, przedwcześnie postarzałe. Widziała swoje koleżanki ze szkoły, które wpadały w te same koleiny: brały sobie pierwszego z brzegu chłopaka, nie wiedząc kiedy zachodziły w ciążę, pospiesznie wychodziły za mąż, a potem mieszkwały w nędznych domkach szeregowych, jeśli oczywiście miały dość szczęścia i mąż mógł pozwolić sobie na taki „luksus”. Jeśli bowiem nie, to dzieliły mieszkanie z jego lub jej rodzicami. W oczach Lorraine życie tych młodych kobiet było przegrane, zanim się jeszcze zaczęło.

Ona chciała dla siebie czegoś innego, lepszego. Zanim mogło być za późno, spakowała manatki i ruszyła szukać szczęścia w Londynie. Początkowo pracowała w sklepie, w jednym z rozlicznych butików, które wyrastały jak grzyby po deszczu w zmieniającej się gwałtownie stolicy.

Była to epoka obalania barier, zacierania różnic między klasami społecznymi. Północny akcent nie stanowił już powodu do wstydu, ale mimo to Lorraine starała się nadrabiać braki ogłady i maskować swoje pochodzenie. Szybko też zrozumiała, że

drogę do pieniędzy i wygodnego życia może jej otworzyć tylko odpowiedni mężczyzna.

Kiedy ich małżeństwo już się rozpadło, otwarcie oznajmiła Johnowi, że uznała go początkowo za idealnego kandydata. Ustosunkowany i - jak mylnie sądziła - bogaty, a co najważniejsze nie tknięty jeszcze cynizmem, który coraz mocniej tłumiał blask londyńskiej złotej młodzieży, był dokładnie tym, kogo szukała. Adorowała go, kusiała, uwodziła. Kuła żelazo póki gorące, wykorzystując ewidentne zaślepienie Johna jej osobą. On zaś był tak naiwny, że wierzył w miłość Lorraine, wielbił ją i był gotów składać jej hołdy.

W trzy miesiące od chwili kiedy się poznali, byli już małżeństwem. Rodzice Johna nie byli zachwyceni decyzją syna. I nic dziwnego. John jeszcze po wielu latach pamiętał, jak zareagowała Lorraine, gdy zawiózł ją do rodzinnego domu.

- Faj, jak można żyć w takim gnoju? - skrzywiła się w obecności teścia i było to wszystko, co miała do powiedzenia na temat farmy. Kiedy zaś matka zaproponowała, że osiodła dla niej konia, żeby mogła wybrać się na przejażdżkę, odpaliła, niewiele myśląc: - O, co to, to nie! Nie wsiądę na konia, one śmierdzą.

Nie uczyniła nic, by zjednać sobie teściów, za to wiele, by ich do siebie zrazić. Nie zdawała sobie przy tym sprawy, że John, jeśli nie liczyć stypendium, jest całkowicie uzależniony od pomocy pieniężnej ojca.

- Co to znaczy, że ojciec przestał przysyłać ci pieniądze? - napadła na niego rozwścieczona, ledwie wrócili z farmy do Londynu. - Co on ma do nas, do naszego życia? To przecież twoje pieniądze, prawda?

- Otóż nie - odparł spokojnie i począł jej wyjaśniać swoją sytuację finansową. Prawda, miał pieniądze w funduszu powierniczym, ale mógł zacząć z nich korzystać dopiero po skończeniu trzydziestego roku życia. A że należały do rodziny, były na mocy cichego porozumienia wszystkich zainteresowanych obłożone zastrzeżeniami i miały zostać zainwestowane w farmę.

- Zainwestowane w farmę? Mowy nie ma! - wściekała się Lorraine.

Dwa miesiące później, kiedy było już doskonale wiadomo, co rodzice myślą o małżeństwie Johna, młodzi zostali wezwani do domu.

- Wobec tego, że oczekujecie dziecka, postanowiłem nadal ci pomagać - oznajmił ojciec suchym tonem. - Nadal jednak nie pochwalam twojej decyzji. Uważam, że postąpiłeś nierozważnie, pochopnie i głupio. Zawsze wiedziałeś, że... - przerwał, pokręcił głową, po czym dodał z przekąsem: - Nic już więcej nie powiem. Sam się domyśl. Lorraine jest pomimo wszystko twoją żoną, wkrótce zostanie matką twojego dziecka, nawet jeśli...

Uzucie zmieszania, z jakim słuchał wówczas słów ojca, wciąż jeszcze powracało na wspomnienie tamtej pamiętnej rozmowy. Ledwie John wyszedł z gabinetu starszka, odszukał żonę w sypialni na piętrze i zapytał bez zbędnych wstępów:

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jesteś w ciąży?
- Czekałam, żeby się upewnić - odparła beztrosko.
- Mnie nie powiedziałaś, ale rodzicom mogłaś się zwierzyć?
- Twoja matka zaproponowała, że da twój stary wózek. Rzeczywiście, wielkie poświęcenie, ogromna pomoc! Tak jakby nie było ich stać na więcej! Chyba powinni poczuwać się do jakichś obowiązków. Mogliby chociaż wyposażyć pokój dziecinny. Niech sprzedadzą kawałek ziemi...

John słuchał żony i nie wierzył własnym uszom. Po kilku tygodniach małżeństwa opadły mu wreszcie klapki z oczu. Teraz swoimi pełnymi egoizmu uwagami dowiodła mu ostatecznie, jak ogromna dzieliła ich przepaść, przepaść nie do zasypania.

To właśnie wówczas zrozumiał, że jego małżeństwo nie ma żadnych szans; że popełnił błąd, którego nie powinien był popełnić. Później miał już zawsze odczuwać wstyd na myśl o tym, że ostatnią rzeczą, ostatnią osobą, która zaprzętała w tamtych dniach jego umysł, było poczęte właśnie dziecko. Tak bardzo zły był wtedy na siebie, tak bardzo rozpamiętywał fakt, że wpadł w zasadzkę, którą sam sobie zgotował, że całkowicie o nim zapomniał.

W drodze powrotnej do Londynu Lorraine wypytywała go cały czas o pieniądze złożone w funduszu powierniczym, opowiadając przy tym o licznych znajomych, którzy potrafili położyć rękę na zamrożonym majątku.

- Nie mogę - tłumaczył John. - Powiernicy nigdy się nie zgodzą.

- Zatem ja nie mogę urodzić tego dziecka - oznajmiła Lorraine.

Sens tej pogróżki dotarł do niego dopiero po dłuższej chwili, ale kiedy już dotarł, John nie miał najmniejszych złudzeń, że żona jest gotowa ją zrealizować.

Przez kilka następnych tygodni Lorraine stawiała na głowie, by uzyskać dostęp do pieniędzy złożonych w funduszu powierniczym. Była w swoich dążeniach bezwzględna i pełna agresji, wydała Johnowi otwartą wojnę. W dniu kiedy pokazała mu wezwanie na zabieg do kliniki ginekologicznej, zrozumiał, że wygrała.

Upokorzony i zrozpaczony, pojechał do ojca i prosił, błagał wręcz, by ten przekonał powierników, żeby uruchomili jednak fundusz i zaczęli wypłacać pieniądze. Ojciec wysłuchał syna z nieskrywanym smutkiem - takiego właśnie miał go zapamiętać na zawsze: zatroskanego, upokorzonego, przegranego. To właśnie ta spośród wielu ojcowskich twarzy powracała najczęściej w jego snach.

Ojciec oczywiście spełnił jego prośbę. Połowa zdeponowanych w funduszu pieniędzy została wykorzystana na zakup domu, drugą zaś przelano na wspólne konto bankowe młodych małżonków, które Lorraine skwapliwie oczyściła, gdy oczekiwali na rozwód.

Tak jak nie mógł zapomnieć rozmowy z ojcem, tak nie mógł później pogodzić się z faktem, że przez jeden krótki moment w głębi duszy pragnął, żeby Lorraine rzeczywiście zdecydowała się na aborcję. Począł to dziecko, prawda, ale nie czuł się jego ojcem, nie odczuwał radości, dumy ani tym bardziej miłości, a jedynie ogromny ciężar czegoś nie chcianego i nie planowanego.

Próbował kiedyś porozmawiać o tym wszystkim z Estelle, ale ta nie chciała go słuchać.

- Za późno, nie wysilaj się i nie udawaj, że ci na mnie zależy - oznajmiła zimno.
- Mama wszystko mi powiedziała. Wiem, że mnie nie chciałeś i że namawiałaś mamę, żeby się mnie pozbyła.

Nie miał serca powiedzieć jej prawdy. Bał się, jak zareaguje. Czy mała dziewczynka powinna słuchać o tym, że jej rodzona matka szantażowała ojca aborcją? Nigdy też nie odważył się powiedzieć Estelle, że w jego mniemaniu Lorraine tylko dlatego zaszła w ciążę, by móc posługiwać się dzieckiem dla manipulowania nie tylko Johnem, ale i jego rodzicami.

Najgorsze było to, że za swój błąd, za nierozważną, spontaniczną decyzję, płacił nie tylko on. Ba, córka poczęta ze związku z Lorraine płaciła znacznie wyższą cenę, płaciła złamanym sercem, emocjonalnym chłodem, wypaczonym charakterem.

Drugi mąż Lorraine był równie małostkowy i pazerny na pieniądze, jak ona sama. Kiedy z konieczności John czasami się z nim spotykał, musiał wysłuchiwać przechwałek Ethiana na temat łapówek, które ten dostawał z racji piastowanego wysokiego stanowiska. Jak mówiła z przekąsem Sophie, Ethian był typem człowieka, który choć zarabiał krocie, odczuwał dreszcz niemal orgiastycznego uniesienia na myśl, że może zaoszczędzić kilka groszy, używając do prywatnej korespondencji biurowej papeterii.

- Dobrali się w korcu maku - stwierdziła po pewnym przykrym incydencie dotyczącym opłat za szkołę Estelle. - My też - dodała czule.

Tak czy inaczej John musiał przyznać, że Ethian był w stanie zapewnić Lorraine styl życia, za którym zawsze tęskniła. Jego firma regularnie sponsorowała różne koncerty i bale charytatywne, mecze polo, rauty, wyścigi w Goodwood, wielką wystawę kwiatową Chelsea Flower Show oraz mnóstwo innych wydarzeń liczących się w kalendarzu imprez towarzyskich londyńskiej socjety. Jeśli John miał wierzyć dochodzącym do niego pogłoskom, Lorraine pojawiała się na tych spotkaniach w olśniewających kreacjach, wyraźnie uszczęśliwiona tym, że może odgrywać rolę żony liczącego się w świecie biznesmena.

- Zawsze jest taka elegancka i wytworna - powiedziała ze smutkiem Sophie w czasie minionych Świąt Bożego Narodzenia, kiedy przyjaciółka pokazała jej egzemplarz „Country Life” ze zdjęciem Lorraine z jakiegoś balu.

- Możliwe, niemniej to nadal ta sama zimna i chciwa egoistka, jaką zawsze była - odparł wówczas John, po czym ujął dłoń żony i dodał cicho: - Każdego dnia dziękuję Bogu, że spotkałem właśnie ciebie. Jestem szczęściarzem, kochana Sophie. Ty masz wszystko, czego jej brak i czego mężczyzna może pragnąć od kobiety.

Zerknął na telefon, myśląc, że poczeka jeszcze kilka godzin i spróbuje raz jeszcze zadzwonić do Estelle. Nic nie mogło odmienić faktu, że kiedy była dzieckiem, nie był dla niej takim ojcem, jakim być powinien. Dopiero narodziny Iana złagodziły nieco gniew i gorycz, które nosił w sercu od chwili poczęcia Estelle. Dopiero nosząc

na rękach swojego pierwszego syna, uroczego chłopczyka zrodzonego z miłości do Sophie, John zrozumiał, co to naprawdę znaczy być ojcem.

Potem próbował wynagrodzić córce brak miłości i stracone lata. Nadal próbował. Była w końcu jego pierworodną, była jego dzieckiem. Ale też dzieckiem Lorraine i o tym nigdy nie potrafił zapomnieć.

Rozdział 11

- Skąd ta ponura mina? - zagadnęła Janice Claudię, patrząc, jak jej podwładna z marsem na czole podnosi się gwałtownie zza biurka. - Tylko mi nie mów, że tak ci smutno się z nami żegnać - dodała cierpko.

Claudia uśmiechnęła się z przymusem. Żle się czuła przez cały dzień. Nic właściwie jej nie dolegało, tylko... tylko...

Jakby na przekór własnym myślom w tej samej chwili poczuła przenikliwy, zatykający dech w piersiach ból. Zaciśnęła dłonie na oparciu krzesła i zaczerpnęła nerwowo powietrze. Była w piątym miesiącu ciąży, za kilka tygodni zamierzała zwolnić się z pracy. Garth miał wkrótce zakończyć służbę, a do nowej pracy wybierał się dopiero po urodzeniu się dziecka.

Zupełnie nieoczekiwanie ojciec Gartha zaczął pełnić znaczącą rolę w życiu politycznym, co wiązało się z licznymi wyjazdami i oznaczało, że przez najbliższy rok obydwójce państwo Wallace rzadko będą bywać w kraju.

- Dlaczego nie zamieszkacie w naszym domu? - zapytał więc ojciec Gartha, kiedy usłyszał, że syn i synowa nie mogą znaleźć odpowiedniego lokum.

Jednak młodzi nie przyjęli jego oferty.

- To bardzo miło, tato, że o nas pomyślałeś, ale chcielibyśmy mieć wreszcie coś własnego - wyjaśniał Garth.

W czasie tej rozmowy Claudia po raz pierwszy poczuła ten niepokojący ból. Wtedy był słaby i zaniepokoił ją tylko na chwilę. Teraz wszakże przenikał całe jej ciało i budził w niej lęk. Lęk o dziecko.

- Claudio? - usłyszała pełen niepokoju głos Janice, a potem już tylko przerażone wołanie: - O Boże, niech ktoś zadzwoni po karetkę! Natychmiast!

Kolejne słowa docierały do Claudii jak przez mgłę. Nie rozumiała ich, nie wiedziała, co się wokół niej dzieje, jedyne co czuła, to przeraźliwy, intensywny, rozrywający ciało ból.

Później, w pędzącej na sygnale karetce, która wiozła ją do szpitala, była cały czas świadoma. Nie straciła przytomności także wówczas, gdy przewożono ją z izby przyjęć na salę operacyjną. Była wystarczająco długo przytomna, by widzieć, ile krwi straciła i jak bardzo wszyscy są przejęci jej stanem. Ona była przejęta stanem dziecka.

Tego, co nastąpiło później, już jednak nie pamiętała. Przytknięto jej do twarzy czarną maskę i Claudia zapadła w ciemność. Nie słyszała, kiedy jedna z pielęgniarek krzyknęła cicho, ogarnięta bezradnością i rozpaczą. Nie słyszała, kiedy lekarz stwierdził, że dziecko nie żyje. Nie słyszała też, jak mówi, że będzie musiał usunąć macicę.

- Musimy to zrobić, inaczej dziewczyna wykrwawi się na śmierć... Przygotujcie się - zwrócił się do asystujących mu kolegów - mamy mało czasu.

Zanim znaleziono Gartha, było już po wszystkim. W szpitalu pojawił się akurat w chwili, kiedy przewożono nieprzytomną jeszcze Claudię na oddział pooperacyjny.

- Co się stało? Co tu się dzieje? Claudio! - Podbiegł do jadącego korytarzem łóżka, gdy jednak pielęgniarka pokręciła tylko głową i położyła mu rękę na ramieniu, zdrewniał z przerażenia.

- Siostra oddziałowa chce z panem rozmawiać, panie Wallace - powiedziała łagodnie.

Garth nie próbował nawet o nic pytać. Wiedział, że stało się coś strasznego. Jego najdroższa Claudia leżała na szpitalnym wózku z bladą jak kreda twarzą, nieruchoma niczym trup. Taka nierealna, taka odległa, z takim... płaskim brzuchem.

- Proszę usiąść, kapitanie Wallace - bardziej poleciła niż zaprosiła go do zajęcia miejsca siostra oddziałowa. Była kobietą pięćdziesięciokilkuletnią, znającą świetnie swój fach. Kompetentna i opanowana, doskonale się nadawała do przekazywania złych wieści rodzinom pacjentów i robiła to spokojnie, acz delikatnie i z wyczuciem.

Nawet jednak wieloletnie doświadczenie nie czyniło jej zadania ani trochę łatwiejszym.

- Claudia, moja żona... co z nią? - dopytywał się Garth, ciągle stojąc, niepomny na lekkie skrzywienie ust kobiety, które mówiło, że powinien raczej słuchać niż rzucać gorączkowe pytania.

- Pańska żona, panie Wallace, jest w ciężkim stanie - oznajmiła bez ogródek. - Straciła dużo krwi, a kiedy się obudzi, będzie w szoku po przebytej operacji...

- Po operacji? Jakiej operacji? - powtarzał pobladły Garth, nie rozumiejąc znaczenia docierających do niego słów. Od współpracowników Claudii wiedział tylko tyle, że została zabrana do szpitala i że istnieje podejrzenie poronienia. - Moja żona spodziewa się dziecka, chcę wiedzieć... co z nim?

- Niestety, pańska żona straciła dziecko. To się czasami zdarza.

Serce stanęło mu na moment. Poczul się nagle tak, jakby pod stopami wybuchła mu mina przeciwpiechotna. Nie, jeszcze gorzej, znacznie gorzej. Czul tępy ból, oszołomienie, potworny, mdlący lęk. I pustkę. Pustkę, którą zapełnić był w stanie jedynie płynącym z najdalszych głębin duszy krzykiem. Krzyczałby, gdyby mógł, jednak nawet na to nie mógł się zdobyć.

- Claudia straciła dziecko - powtórzył tylko zasłyszane przed chwilą słowa i zdziwił się, że brzmią tak normalnie.

- Niestety, bardzo mi przykro. Chcieliśmy go ratować, ale był już martwy.

Teraz pustkę w jego sercu zalała panika, chaotyczny przyływ krótkich, niekontrolowanych pytań.

- Ale jak... co...? Ja nie rozumiem... czy coś...? A może jeszcze... Był martwy? O Jezusie, niech pani powie...!

- Pańska żona miała wyjątkowo silny krwotok. Doktor Knowles próbował go zatamować, robił transfuzję, ale... - Drobne, białe dłonie oddziałowej zacisnęły się nerwowo. - Ale nic nie pomagało. Ostatecznie musieliśmy usunąć macicę...

- Usunąć macicę - Garth powtórzył znowu za pielęgniarką. - To znaczy...

- Gdyby tego nie zrobił - przerwała mu siostra - istniało niebezpieczeństwo śmierci. Bez natychmiastowej operacji pańska żona umarłaby z upływu krwi. Takie przypadki się zdarzają, panie Wallace... na szczęście dosyć rzadko...

- A jednak nie dość rzadko - wtrącił Garth ostro. - Czy ona... czy Claudia wie?
Czy mówiliście jej?

- Była przytomna, kiedy nastąpiło poronienie. Później została uszpona do operacji. Teraz jest na sali intensywnej opieki.

Garth zamknął oczy.

- Kiedy będę mógł się z nią zobaczyć, porozmawiać?

- Dopiero jutro rano. Do tego czasu wybudzi się z narkozy, ja jednak radziłabym...

- Chcę być przy niej! Chcę być obok niej, kiedy odzyska przytomność.

Chciałbym zobaczyć ją teraz - oznajmił Garth nie znoszącym sprzeciwu tonem.

- Naprawdę uważam, że nie powinien pan...

- Chcę się widzieć z lekarzem!

Siostra westchnęła cicho wobec takiego uporu. Nie lubiła, gdy ktoś zaczynał robić raban na jej oddziale, a ten człowiek wyglądał na takiego, który potrafi wywołać niezłe zamieszanie, jeśli mu nie ustąpić.

- Dobrze. Pańska żona leży w bocznym skrzydle - oznajmiła surowo. - Jak już mówiłam, jej stan jest na razie dość ciężki. Może pan z nią zostać, kapitanie, ale musi pan pamiętać, że to mój oddział i że tutaj moje słowo jest rozkazem. Jako wojskowy zrozumie pan na pewno, że ja tu jestem oficerem dowodzącym i że jako dowódca oczekuję absolutnego posłuszeństwa. Ostatnia rzecz, jaka potrzebna jest teraz pańskiej żonie, a i innym chorym, to spanikowany i rozdygotany mąż.

Garth nie odpowiedział. Oddziałowa mogła mieć najwyżej metr sześćdziesiąt wzrostu, ale siła, która z niej emanowała, robiła wrażenie. Zbolały, stroskany, poczuł nagle cień ulgi, że to właśnie pod opieką kogoś tak spokojnego i zdecydowanego znajduje się jego żona.

Przeszli do małej sali, gdzie poza wysokim szpitalnym łóżkiem, na którym leżała Claudia, oraz wyglądającym na wyjątkowo niewygodne krzesłem, nie było właściwie nic. Claudia miała podłączoną kroplówkę, jej ciało - jakże płaskie ciało - okrywały nieskalanie białe prześcieradła.

Garthowi oczy zaszły łzami.

„Był martwy” - tak powiedziała siostra. A więc to był on, chłopiec, ich synek...
On i Claudia mieli syna. Powinni mieć syna.

Łzy paliły pod powiekami. Jego syn. Jego dziecko. Odszedł, zanim mogli go zobaczyć, poznać. Odszedł, zanim zdążyli go powitać.

Gdzieś w głębi duszy zagościł piekący ból, mroczny smutek, który już nigdy nie miał go opuścić. Garth zwiesił żałośnie ramiona, które nie miały już nigdy przygarnąć zgasłego nowego życia.

Zobaczył, że w progu wciąż stoi siostra, i wykrztusił przez piekące gardło:

- To dziecko... mój syn... gdzie on jest? Czy mógłbym...?

Pielegniarka zdziwiła się, słysząc tę niewypowiedzianą prośbę. Zazwyczaj to kobieta, matka, zadawała takie pytanie. Mężczyźni byli najczęściej zbyt wstrząśnięci, zbyt słabi, by oglądać swoje zmarłe w trakcie porodu bądź wcześniej dzieci.

„Jest w kostnicy” - miała odpowiedzieć, ale w porę się pohamowała.

Poronionych płodów nikt zazwyczaj nie traktował jako „dzieci” i nie widział w nich „noworodków”. Jednak szpital St Chad uchodził za jeden z najlepszych szpitali położniczych na świecie i stosował najnowocześniejsze metody terapeutyczne. Badania przeprowadzone wśród niedoszłych matek wykazały zaś, iż pragną one wiedzieć jak najwięcej o dzieciach, które urodziły się martwe. Poza tym nikt spośród doświadczonego personelu St Chad nie był w stanie zaprzeczyć, że nawet pięciomiesięczny płód, maleństwo takie jak Claudii, jest już człowiekiem, dzieckiem o całkowicie uformowanym ciele.

Oddziałowa wielokrotnie miała okazję przekonać się na własne oczy, jakim ukojeniem jest dla kobiety możliwość zobaczenia czy nawet wzięcia w ramiona martwej kruszyny. Dlatego też w St Chad, w przeciwieństwie do innych szpitali, nie pozbywano się płodów szybko i po cichu, lecz pozwalano rodzicom pożegnać się z nimi.

Zamiast więc powiedzieć Garthowi suchą prawdę, siostra oznajmiła łagodnie:

- Nie mam teraz nikogo, kto mógłby się tym zająć, ale jeśli chciałby pan zobaczyć go rano...

- Więc mogę zobaczyć? - powtórzył Garth, wlepiając w nią oczy.

- Niektórym matkom jest łatwiej, jeśli mogą zobaczyć swoje... dziecko.

Garth z trudem przełknął ślinę. Czy tego właśnie chciał?

Była druga nad ranem, godzina śmierci. Garth czuł, że powieki mu ciążyą, że gotów za chwilę zapaść w niespokojną drzemkę. Już był na krawędzi snu, gdy spostrzegł, że Claudia zaczyna budzić się z narkozy. Poruszyła się nieznacznie na łóżku, otworzyła oczy i popatrzyła na niego nieprzytomnym jeszcze wzrokiem. Jej blada jak kreda, naznaczona bólem twarz rysowała się niewyraźnie w półmroku nocnej lampy.

Druga nad ranem, godzina śmierci...

Po bladej twarzy spłynęła łza. Piers zatrzęsła się od bezgłośnego płaczu. Po chwili cichy, żałobny szloch przeszedł w krótkie histeryczne krzyki i do łóżka chorej natychmiast pospieszyły dwie pielęgniarki. Oddziałowa ujęła ją za przegub i zaczęła mierzyć puls, wydając jednocześnie ciche dyspozycje.

- Co się dzieje? Co pani robi? - dopytywał się Garth, widząc, że jedna z pielęgniarek wraca do izolatki ze strzykawką.

- Damy jej środek na uspokojenie. Doktor Knowles polecił, by go zaaplikować, jeśli okaże się to konieczne.

Garth chciał zaprotestować, powiedzieć, że żona dopiero co odzyskała przytomność, ale było już za późno. Oddziałowa wkuła igłę w żyłę i sprawnie przesunęła tłok do końca.

- Ona nadal nie wie, na czym polegała operacja - zwróciła się do Gartha z wyjaśnieniem, gdy Claudia niemal natychmiast ponownie zapadła w sen. - Jest jeszcze za słaba, żeby jej o tym mówić. Po takim krwotoku, po zabiegu, organizm potrzebuje czasu, by nabrać sił.

Garth podniósł się z krzesła.

- W takim razie chcę go zobaczyć - oznajmił szorstko, odwracając się ku oddziałowej. - Chcę zobaczyć... mojego syna.

Tym razem siostra była przygotowana na tę prośbę, oczekiwała jej nawet. W małej salce zwanej po prostu „pokojem rodziców” czekała już na Gartha mała, żałobna kruszyna, umieszczona w zwyczajnej kołysce, takiej, w jaką wkłada się żywe noworodki tuż po urodzeniu. Wnętrze pomalowanej na ciepły, pastelowy kolor salki sprawiało wrażenie, jakby rozświetlało je zamglone nieco słońce. Stała tu głęboka, wygodna kanapa, na której mogły usiąść blisko siebie dwie osoby. Naprzeciwko, pod

sufitem, umieszczono kamerę, która monitorowała pokój na wypadek, gdyby sprawy przybrały dramatyczny obrót.

Garth wszedł do pokoju ze ściśniętym sercem. Młoda pielęgniarka, która go tu wprowadziła, dyskretnie zniknęła, zamykając cicho drzwi. Garth zawahał się przez moment, niezdolny wykonać żadnego ruchu. Stał pośrodku pokoju i wpatrywał się martwym wzrokiem w kołyskę.

Miał wrażenie, że widzi, jak maleństwo się porusza, że słyszy jego wysoki, przenikliwy płacz...

Och, Boże, gdyby tylko się skoncentrował, gdyby wystarczająco się skupił, to może...

Załkał cicho, zaraz jednak powściągnął płacz i z obleczoną w żalobę twarzą, z zaciśniętymi zębami podszedł powoli do kołyski.

Dziecko leżało w środku, ubrane na białło, z zamkniętymi oczami.

Garth nie wiedział, czego się spodziewać, ale na pewno nie spodziewał się tego... nie tego maleńkiego ciała o drobnej, ale wyrazistej twarzyczce. Delikatnie wyciągnął dłoń i końcem palca dotknął miniaturowej, zimnej rączki. Jego dłoń była dłuższa niż całe ciało dziecka. Zacisnął powieki i siostra, która obserwowała go na monitorze, pomyślała już, że odwróci się i wyjdzie, ale w tej samej chwili Garth pochylił się i wyjął maleństwo z kołyski.

Pielęgniarka odwróciła wzrok. Są sprawy zbyt intymne, by mogli w nich uczestniczyć świadkowie. Są smutki, tragedie zbyt ciężkie do zniesienia.

Tymczasem Garth uniósł powoli martwe ciało syna. Było takie maleńkie, takie kruche, takie... Raptem zorientował się, że wstrzymał oddech w obawie, że mógłby mimo woli zrobić mu krzywdę.

Znów poczuł, jak staje mu serce. Maleńkie ciało zdawało się ciepłe, niemal... jakie? Niemal żywe?

- Tak mi przykro - usłyszał własne słowa kierowane do syna. - Tak bardzo mi przykro...

Świadomość, że nigdy się nie poznają, że nigdy nie doświadczą radości oraz smutków bycia ojcem i synem, była nieznośna. W pamięci Gartha miała pozostać tylko ta jedna jedyna chwila, jedno przytulenie, jeden delikatny uścisk, kilka zaledwie

słów. A przecież jego dziecko odchodziło ze świata bez żadnych wspomnień, nigdy nie miało się dowiedzieć, jak bardzo było upragnione, kochane, wyczekiwane.

Ucałował zimne czołko i delikatnie umieścił ciało na powrót w kołysce. Przypomnił sobie, jak to żartował z Claudii, że rozmawia z maleństwem tak, jakby naprawdę mogło ją słyszeć i rozumieć, co do niego mówi.

Może słyszało?

Tak, jego syn na pewno słyszał. Na pewno wiedział o miłości, jaką oboje go darzyli. Garth z całego serca chciał w to wierzyć.

Wyprostował się i nagle ogarnęła go fala ogromnej czułości, gorące pragnienie, by chronić to martwe ciało przed wszelkim złem i krzywdą, nie pozwolić, by ktokolwiek go dotykał, by cokolwiek z nim robił. Dlaczego musiało się tak stać? Dlaczego nikt nie uratował dziecka? Dlaczego on sam, on, ojciec, nic nie zrobił, by odwrócić nieszczęście?

- Będziemy cię zawsze pamiętać - powiedział cicho do synka. - Tak jak twoje siostry i bracia.

Kiedy wychodził z pokoju, dyżurująca obok pielęgniarka dostrzegła pojedynczą łzę spływającą po jego policzku. Odwrócił się po raz ostatni i przesłał dziecku ostatnie spojrzenie. To było ich pożegnanie.

Dopiero kiedy wrócił na oddział, dotarło do niego w pełni to, co stało się w ciągu ostatnich godzin. „Będziemy cię zawsze pamiętać... twoi bracia i siostry” - tak powiedział umarłemu synkowi. Ale przecież nie będzie sióstr i braci. Nie będzie następnego dziecka. Żadnych dzieci nie będzie. Już nigdy.

Nigdy, nigdy, nigdy...

Obudził go krzyk Claudii. Zasnął na krześle przed samym świtem, jednak nie spał długo. Claudia obudziła się wkrótce potem, tym razem już całkowicie przytomna i w pełni świadoma tego, co może oznaczać jej płaski brzuch.

Garth nie mówił jej wiele, nie musiał. Gdy posadzona na wózku kazała się wieźć pielęgniarce do dziecka, poszedł wraz z nią. Cieszył się nawet, że raz jeszcze będzie mógł zobaczyć swojego synka. Wyjął maleństwo z kolebki, podał je żonie, a ona przytuliła je tak mocno, że Garth w absurdalnym odruchu chciał ją upomnieć, że gotowa zrobić małemu krzywdę.

Pielęgniarka - znacznie bardziej doświadczona i przewidująca niż Garth - zorientowała się natychmiast w sytuacji i gdy Claudia stanowczo odmówiła oddania komukolwiek dziecka, wezwała dyskretnie oddziałową, która pojawiła się w ułamku sekundy u boku pacjentki, by zaaplikować jej kolejną dawkę środków uspokajających. Musieli wszyscy troje poczekać, aż zrozpaczona matka straci przytomność, i dopiero wtedy wyjęli sztywne ciało z jej kurczowo dotąd zaciśniętych ramion.

Claudia poczuła się lepiej dopiero po upływie tygodnia. Kiedy powiedziano jej, że ma usuniętą macicę, nie wybuchła płaczem, ale tylko popatrzyła na Gartha wzrokiem, od którego chciało mu się wyć z bezsilnej rozpacz.

- Ma pani szczęście, że pani przeżyła - oznajmił lekarz.

- Szczęście... - powtórzyła szeptem i zasłoniła twarz dłońmi. - Szczęście...

Garth nie mógł patrzeć na jej rozpacz, na niepowstrzymane łzy, na wstrząsane płaczem ciało. Zamknął oczy, a jednak widział ją nadal. Widział płaczącą Claudię już do końca swego życia.

Oczywiście z czasem obraz ten zatarł się w jego pamięci, zawsze jednak mógł przywołać ów tępy ból, który wypełniał tej nocy jego serce, ów gorzki smak porażki, mdlący zapach śmierci, która znalazła sobie dom w ciele ich dziecka.

Kiedy Claudię wypisano już ze szpitala, zażądała od Gartha, by obiecał jej, że nikt, absolutnie nikt, nigdy nie dowie się o operacji. Garth był tak przerażony jej stanem, że poprzysiągł dotrzymać tajemnicy. Rodzice i wszyscy znajomi dowiedzieli się więc tylko, że Claudia poroniła, nic ponadto.

- To okropne, kochanie, ja wiem - próbowała pocieszać ją matka. - Rozumiem, że nie chcesz teraz o tym słyszeć, ale któregoś dnia znowu zajdziesz w ciążę i będziesz jeszcze miała dzieci.

Wcześniej proponowała, by Claudia pojechała na wieś i pod jej okiem nabrała sił, ale lekarz oznajmił, że najlepszą formą terapii będzie dla rekonwalescentki możliwie jak najszybszy powrót do pracy.

- Nie można pozwolić jej na rozpamiętywanie tego, co się stało - wyjaśniał w męskiej rozmowie, którą przeprowadził z Garthem w cztery oczy. - A zważywszy sytuację, właśnie depresji obawiam się najbardziej.

Na razie nie było oczywiście mowy o tym, by dalej zajmowali się poszukiwaniem nowego domu - czynność ta za bardzo kojarzyła się z oczekiwaniem na dziecko; oczekiwaniem przerwany tak nagle i tak brutalnie. A jako że przed odejściem z wojska i podjęciem nowej pracy Garth nie mógł wziąć urlopu, Claudia wciąż narzekała, że za mało jest przy niej. Sama była za słaba, by wrócić do swoich zajęć, bała się też zostawać bez opieki. Lgnęła więc kurczowo do Gartha, kiedykolwiek się pojawił, i nie pozwalała mu wręcz odejść od siebie na krok.

Z drugiej jednak strony uparcie powtarzała, że ich małżeństwo nie ma dłużej sensu, że powinien odejść i ułożyć sobie życie z kimś innym, kto będzie zdolny dać mu potomstwo. Jaki sens, przekonywała, utrzymywać związek, którego cel, w każdym razie z jej punktu widzenia, przestał istnieć?

- Przesadzasz, Clo - tłumaczył jej łagodnie. - Tysiące małżeństw, tysiące kobiet, skazane są na bezdzietność. Możemy przecież adoptować...

- Adoptować! Co adoptować... kogo? Chciałam mieć własne dziecko, nie rozumiesz? Nasze!

Ich życie intymne zostało całkowicie wstrzymane. Nie spali ze sobą od jej powrotu do domu, mimo iż zarówno prywatny lekarz Claudii, jak i doktor Knowles ze szpitala St Chad nie widzieli najmniejszych przeciwwskazań. Na każdy czuły gest ze strony męża Claudia po prostu lodowaciała.

- Po co masz sypiać z kaleką - pytała gorzko - z kobietą, która nigdy nie da ci dziecka?

Garth miał ochotę powiedzieć, że istnieje mnóstwo powodów, dla których powinni ze sobą sypiać i o których co rusz dotkliwie przypominało mu jego ciało. Pożądał i pragnął Claudii niezależnie od tego, czy mogła rodzić dzieci, czy nie, ale ona zapatrywała się na to zupełnie inaczej. Ilekroć zaś próbował porozmawiać z nią na ten temat, nie chciała słuchać.

- Seks i seks, tylko to ci w głowie! - napadała na niego, gdy w możliwie najłagodniejszych słowach próbował jej uświadomić, że od chwili jej wyjścia ze szpitala nie byli jeszcze razem i że jedyne, co im pozostało z dawnego życia, to dzielenie łóżka, a i to tylko z konieczności, bo w maleńkim mieszkaniu nie można było sypiać inaczej.

Na kilka tygodni przed definitywnym opuszczeniem wojska i podjęciem nowej pracy, Garth przyjechał na jedną z ostatnich już przepustek. Przyjechał pełen dobrej woli, nastawiony do żony z życzliwą wyrozumiałością, a do przeszłości z optymizmem. Miał zamiar zabrać Claudię na kolację do jakiejś miłej restauracji i wierzył, że po dobrym jedzeniu oraz kilku kieliszkach wina jego żona odpręży się wreszcie i zechce z nim porozmawiać, naprawdę porozmawiać, tak jak zwykła rozmawiać z nim kiedyś.

Niestety, i tym razem jego wysiłki okazały się próżne. Claudia przez cały wieczór była spięta, a po powrocie do mieszkania, kiedy stanęli naprzeciwko siebie przed kanapą, stała się wręcz napastliwa.

- Seks, znowu seks!
- Przecież to nieprawda, kochanie - próbował się bronić.
- Czyżby? Naprawdę nie zabrałaś mnie na kolację tylko po to, żeby „wprawić mnie w dobry nastrój”? - wołała uniesiona gniewem i nieusprawiedliwionym żalem.
- Claudio, ludzie idą ze sobą do łóżka, chcą być blisko siebie...
- Żeby się pieprzyć! - przerwała mu rozdrażnionym głosem.
- W porządku, żeby się pieprzyć, jeśli tak chcesz to nazwać. Zrozum tylko, że owo „pieprzenie” to bardzo ważny element małżeństwa. Kiedy wychodziłaś za mnie...
- Nie wyszłam za ciebie po to, żeby się z tobą pieprzyć! Chciałam mieć dzieci, rodzinę - sprzeciwiła się gwałtownie. - Bez tego... bez nich... seks nie ma dla mnie żadnego sensu.

Garth patrzył na nią, nie mogąc wydusić z siebie słowa.

Czy rzeczywiście myślała to, co mówiła? Czy bliskość, która była ich udziałem, miłość fizyczna, namiętność i rozkosz, były dla Claudii tylko i wyłącznie środkiem do osiągnięcia określonego celu? Kiedyś podobna myśl przyprawiłaby go jedynie o śmiech. Przecież jego ciało, umysł, serce naznaczone były pamięcią nienasyconych pieścizot, jakimi obdarzała go żona.

Cóż, tamte uczucia należały już widocznie do przeszłości. Teraz Claudia miała dla Gartha wyłącznie gorycz i niepohamowaną złość.

Kiedy więc słuchał, że nigdy nie pragnęła go dla niego samego, czuł się jak człowiek, który dostaje nieoczekiwany cios w splot słoneczny; czuł się bezsilny,

poniżony i upokorzony, odczuwał fizyczny niemal ból z powodu tego odrzucenia. Bo to było odrzucenie. To była zdrada. Czuł się oszukany i sprowadzony do roli dawcy nasienia. Bezwzględne słowa Claudii odzierały go z męskiej dumy, umniejszały i ośmieszały w jej oczach, a może i w jego własnych. Dlatego też w czasie sprzeczki owego wieczoru nie zdzierzył, podszedł do żony, położył jej dłonie na ramionach i potrząsnął nią gwałtownie, jakby chciał obudzić ją z transu.

- To nieprawda! - krzyknął. - Nieprawda! Rozumiesz to, ty idiotko!?

- Puść mnie, Garth. To boli. - Claudia usiłowała wyswobodzić się z bolesnego uścisku.

- Uważasz, że mnie nie boli? Że ty nie zadajesz mi bólu?

Claudia nie chciała słuchać. Po raz kolejny popatrzyła na niego z pogardą i powtórzyła swoje stałe zaklęcie:

- Seks, seks, seks. Niedobrze mi się robi, kiedy słyszę twoje skamlania. Jeśli tak strasznie potrzebujesz kobiety, znajdź sobie inną, normalną... taką, która...

Głos się jej załamał, po bladych policzkach zaczęły płynąć łzy. Na ten widok cały gniew Gartha zniknął w jednej chwili, ustępując miejsca przemożnej potrzebie otoczenia Claudii czułą troską.

- Nigdy coś takiego nie przeszło mi nawet przez myśl - zapewnił ją spokojnie. - Ty jesteś jedyną kobietą, której pragnę. Moją kobietą... Nie mam zamiaru szukać nikogo innego.

- Och, Garth... przytul mnie.

Natychmiast pochwycił ją w ramiona. Tym razem było inaczej. Tulił do siebie swoją dawną Claudię, taką, jaką była kiedyś, jaką pamiętał - czułą, kobiecą. Ciepłą. Przytulił ją mocniej, a ona nie protestowała. Pocałował - oddała żarliwy pocałunek.

Czuł, że nie zdoła zachować powściągliwości i delikatności, z jaką odnosił się do Claudii przez cały okres od jej powrotu ze szpitala. Nie był w stanie hamować dłużej namiętności i pożądania. Lecz oto ku jego zdumieniu - i radości - Claudia wydawała się tak samo spragniona bliskości, jak on. Przywarła do niego, oddając w zapamiętaniu pieśczoć, a było w niej tyle żaru, tyle pasji, że jęknął tylko z zachwytu i pozwolił się prowadzić wygłodniałym zmysłom.

Teraz to ona miała inicjatywę, to ona niecierpliwie wyciągała mu koszulę z dzinsów i rozpiniała guziki. Ona przyciągała ku sobie jego pośladki i błagała o więcej.

Kochali się pospiesznie, namiętnie, wręcz desperacko. Na łóżku, na podłodze, a nawet - zgodnie z wyraźnym żądaniem Claudii - na oparciu kanapy, kiedy to Garth wziął ją od tyłu.

Pomimo podniecenia i pożądania, cały czas myślał o tym, jak bardzo jest osłabiona. Miał też świadomość, że ich życie nigdy już nie będzie takie jak niegdyś. Los je odmienił, uniemożliwiając powrót do przeszłości. Obydwoje stali się innymi ludźmi. Odtąd Garth już zawsze miał lękać się o Claudię, otaczać ją przesadną wręcz opieką. Tylko on wiedział, jak bardzo jest bezbronna i jak starannie ukrywa to przed całym światem: przed rodzicami, koleżankami z pracy, nawet przed swoim lekarzem.

- Och, Garth, nie wiem, jak ja to dłużej zniosę - załkała cicho, kiedy już skończyli się kochać.

Zaczął ją pocieszać, lecz wówczas jego wzrok padł na otwartą teczkę z papierami, nad którymi Claudia wcześniej pracowała. Na samym wierzchu leżało zdjęcie dziewczyny o dość bezczelnym, wyzywającym wyrazie twarzy. Rozpoznał tę twarz i na moment zeszywniał wstrząśnięty.

- Kto to jest? - zapytał, odrywając się od Claudii i biorąc teczkę do ręki.

- Katriona Spencer - odparła, po czym wyjęła mu teczkę z dłoni. - Bardzo się o nią niepokoję. Zniknęła, wyprowadziła się z bloku, w którym dotąd mieszkała. Nikt nie potrafi powiedzieć, co się z nią dzieje. Dlaczego pytasz?

Rzeczywiście, miała powody, by się zdziwić. Garth nigdy nie zadawał pytań na temat jej pracy i jej podopiecznych. W przeciwieństwie do współmałżonków koleżanek i kolegów Claudii z opieki społecznej, bardzo się pilnował, wiedząc, że są sprawy, w stosunku do których Claudia zobowiązana jest do dyskrecji.

- Bez powodu - odparł, zbywając pytanie. Nie mógł przecież powiedzieć, że dziewczyna z fotografii jest tą samą, którą widział owego feralnego ranka w ich sypialni. To ona musiała przywłaszczyć sobie klucze od mieszkania, Katriona Spencer.

Garth zasepił się. Nie wiedział, dlaczego nie chce podzielić się z żoną swoim odkryciem. Czy chodziło tylko o to, że nie powinien niepotrzebnie jej denerwować? A może o coś więcej?

Ech, bzdura. Przecież zmienili zamki, założyli łańcuch, a poza tym niedługo i tak mieli się przeprowadzić.

Usiłując zapomnieć o Katrionie, przygarnął do siebie Claudię i szepnął jej żartobliwie do ucha:

- To był całkiem smaczny aperitif. Co byś powiedziała na... treściwe danie główne?

- Mieliśmy przecież przejrzeć oferty domów.

- Mhm... Wiem. Ale możemy z powodzeniem przejrzeć je w łóżku.

Claudia zaśmiała się.

- Nie wmówisz mi, że tylko o to ci chodzi - zbeształa męża, ale łagodnie, bez niedawnej złości i wyrzutów.

- Przecież wiesz... - zawahał się - co jest dla mnie najważniejsze.

- Co?

- Seks, seks, seks - odpowiedział, a ona zamiast wybuchnąć gniewem, znów się roześmiała i oparła policzek na jego torsie.

Po powrocie do jednostki Garth znalazł na swoim biurku umieszczony przez kogoś dyskretnie list. Na kopercie widniała adnotacja: „Ścisłe tajne i poufne”. Otworzył go z niepewną miną, kiedy zaś skończył czytać, był blady jak ściana.

Na zwykłej kartce papieru koślawe litery składały się w jedno tylko słowo: „Gratulacje”. Na drugiej kartce widniało proste, lakoniczne, przepisane na maszynie orzeczenie lekarskie - „ciąża, przebieg prawidłowy, 17 tydzień”.

Oszołomiony Garth na moment wstrzymał oddech.

W pierwszej chwili pomyślał, że to jakiś żart; tandetny żart, w złym guście, prostacki i okrutny, który bez wątpienia zniszczyłby Claudię, gdyby dotarła do niej owa korespondencja. Tylko że list był adresowany do niego, nie mógł być zatem sprawką jakiegoś skretyniałego szeregowca, który chciał, Bóg raczy wiedzieć z jakich powodów, dokuczyć żonie swojego oficera.

Nie, wszystko wskazywało na to, że ktoś w okrutny sposób zakpił sobie z niego. Tym bardziej że nadawczym listu podpisała się jego nazwiskiem: Katriona Wallace.

Odwrócił kopertę i odczytał adres zwrotny - „Katriona Wallace, Stanway House, 12, Victoria Street. Londyn”.

Katriona?

Katriona Spencer!

Podopieczna Claudii, dziewczyna, która ukradła klucze od ich mieszkania, która wdarła się do ich domu, którą przyłapał, jak opróżniała jego portfel...

Katriona. Czy teraz będzie próbowała mu wmówić, że to on jest ojcem jej dziecka? To jakaś bzdura. Zawsze podejrzewał, że większość ludzi, z którymi stykała się Claudia, to niezrównoważeni psychicznie wykołajeńcy, teraz zaś miał najlepszy tego dowód.

Chciał się roześmiać, kpiąco, z lekceważeniem, ale jego gardło wciąż było ściśnięte, a policzki czerwone. Cholera jasna, dlaczego akurat jego musiała sobie upatrzeć? Mało to lepszych kandydatów do wrobienia w alimenty? A może jest jakiś inny powód? Czy chce się zemścić, że za mało znalazła w jego portfelu? Nie, to jeszcze większy idiotyzm.

Dlaczego zatem? Czy zrobiła to z rozmysłem, dla jakiegoś sobie tylko znanego celu, czy też działała bezmyślnie? Całkiem możliwe, że kierowana nudą, postanowiła zabawić się cudzym kosztem. Adres znalazła w portfelu, zapamiętała potrzebne dane i...

Z twarzą wykrzywioną złością zmiął list i wrzucił go do kosza, po czym wiedziony jakimś niewytłumaczalnym odruchem, wyjął go na powrót. Rozprostował zmięte kartki, raz jeszcze przeczytał i dopiero wówczas podarł metodycznie na drobne kawałki i podpalił strzępki papieru w popielnicze.

Dziewczyna najwyraźniej szarżowała. Tak, bez wątpienia tak właśnie należało tłumaczyć jej absurdalne zachowanie. Nie mógł być przecież ojcem jej dziecka. W żadnym wypadku.

- Masz jakieś nowe oferty? - Garth usiłował nadać swojemu głosowi pogodny ton. Oczami wyobraźni widział Claudię stojącą ze słuchawką przy uchu obok nowego

telefonu, który niedawno zainstalowali w swoim mieszkaniu. Miał nadzieję, że uda mu się pojechać do domu na weekend, tymczasem okazało się, że musi przed ostatecznym opuszczeniem jednostki załatwić kilka ważnych spraw.

- Nic, co mogłoby nas zainteresować - odparła. - Proponują mi jakieś zrujnowane probostwa, zupełnie nie dla nas.

- Ależ właśnie... - Garth w porę ugryzł się w język.

Skoro nie mogli mieć dzieci, szukanie obszernego domu straciło sens. Przestały być aktualne dawne plany. Claudia postanowiła nie rezygnować z pracy, on zaś również pracować miał w Londynie. Najlepszym rozwiązaniem byłby właściwie zakup wygodnego mieszkania w mieście i zarzucenie myśli o wiejskiej rezydencji - tak w każdym razie utrzymywała Claudia.

Z niejasnych nawet dla siebie powodów Garth nie zgadzał się z jej argumentami. Mówił, że nie chce mieszkać w bezdusznym mieszkaniu w otoczeniu sąsiadów. Powtarzał, że tęskni za weekendami i wolnymi godzinami, spędzonymi w jakimś maleńkim, sennym miasteczku, gdzie byłaby obfitująca w ryby rzeka i przyzwoite pole golfowe. W ciągu minionych kilku miesięcy nauczył się jednak chodzić wokół Claudii na palcach, uważał, żeby nie powiedzieć czy nie zrobić czegoś, co mogłoby ją znowu wtrącić w nastrój ponurej desperacji, nie nastawał więc za bardzo na realizację tej właśnie wizji. Dla Claudii był gotów się poświęcić.

Mimo początkowych nadziei, przełamanie jej oporów w sprawach seksu nie poprawiło znacząco sytuacji. Jej stan psychiczny był tak rozpaczliwie słaby, równowaga tak chwiejna, że Gartha trawił ustawiczny o nią niepokój, ale Claudia z uporem odrzucała wszelkie próby rozmowy na ten temat. Zapewniała, że czuje się świetnie i że nie powinien mieć żadnych powodów do obaw. Odpowiadał, że jej ufa, ale na wszelki wypadek dzwonił do niej codziennie z jednostki.

Czego się obawiał?

Wolał nie zadawać sobie tego pytania, a tym bardziej szukać na nie odpowiedzi.

- Wybieram się właśnie, żeby obejrzeć mieszkanie w nowym domu, z widokiem na rzekę. Brzmi bardzo zachęcająco - oznajmiła radośnie, zbyt radośnie jak na wyczulone ucho Gartha. - To może być coś w sam raz dla nas. Bardzo blisko twojego przyszłego biura.

- Jeśli o to chodzi, to uważam...

- Przepraszam cię, Garth - przerwała mu niespokojnie. - Muszę już iść, za pół godziny mam spotkanie.

Garth uporał się ze swoimi zajęciami wcześniej niż planował. Mając w perspektywie wolne popołudnie oraz wieczór, pomyślał, że pojedzie do domu, do Claudii. Po drodze utknął w korku spowodowanym przez roboty drogowe. Przez jakiś czas siedział beczynn timer w samochodzie, wreszcie, wiedziony bardziej odruchem niż świadomym gestem, otworzył schowek pod deską rozdzielczą i wyjął z niego atlas ze spisem ulic Londynu.

Przekartkował go szybko i znalazł właściwą stronę. Tak jak przypuszczał, Stanway House na Victoria Street był znanym mu z widzenia wieżowcem, zbudowanym w latach sześćdziesiątych i przeznaczonym na mieszkania komunalne.

Kilkanaście metrów od miejsca, gdzie utknął, odchodziła w bok mała uliczka. Dokonawszy niezwykle twórczej interpretacji przepisów drogowych, skręcił w nią mimo zakazu i rozpoczął jazdę przez labirynt bocznych ulic, by po pół godzinie znaleźć się w pobliżu wysokiego bloku."

Roztropnie zaparkował na tyle daleko od wieżowca, by uchronić samochód przed ewentualnymi wandalami, sprawdził raz jeszcze adres na planie i ruszył na poszukiwania.

Fetor, który uderzył go na klatce schodowej, sprawił, że skrzywił się z odrazą. Na jednej z galerii natknął się na grupę wyrostków, którzy zaczęli rzucać niewybredne uwagi pod adresem intruza, wystarczyło jednak jedno jego spojrzenie, by natychmiast umilkli.

- Pieprzony glina - usłyszał za plecami gniewne mruknięcie.

- Co ty - zaprzeczył drugi głos - nie wyglądał na gliniarza. Prędeziej gość od komandosów. Widziałeś, jak ostrzyżony? A jaką miał klatę...

Garth uśmiechnął się blado do siebie. Przypomniała mu się Claudia, która żartowała niedawno, że po wyjściu do cywila powinien zmienić fryzurę i czesać się wedle obowiązującej mody. Dla Claudii gotów był na wiele, ale chyba głupio by się czuł z długimi włosami i bokobrodami, jakie nosili teraz mężczyźni.

Mieszkanie numer 12 znajdowało się na galerii trzeciego piętra. Okna były tu zabite deskami, a drzwi pozamykane na głucho. Większość mieszkań zdawała się pusta, a całość sprawiała wrażenie, jakby pozbywano się lokatorów, by przygotować dom do rozbiórki.

Drzwi z dwunastką nie prezentowały się ani trochę lepiej od innych. Jedyna różnica polegała na tym, że ktoś usunął blokady mające powstrzymać dzikich lokatorów i nic sobie nie robiąc z przepisów, mieszkał tu w najlepsze. Wymalowany sprayem na drzwiach napis zawierał kilka obelżywych uwag na temat ewentualnych gości oraz zapowiedź, że nie będą oni mile widziani.

Garth zignorował tę przestrożę. Zapukał energicznie, a gdy nikt nie otworzył, odczekał chwilę, przyjrzał się bacznie drzwiom i pełen zdumienia dla swojej spontanicznej decyzji, naparł na nie ramieniem, próbując je wyważyć.

Miał właśnie ponowić próbę, gdy usłyszał po drugiej stronie czyjeś kroki.

- O rany, chwilę! Takiś napalony? - burknął podenerwowany kobiecy głos i po chwili zamek odskoczył, a drzwi się otworzyły.

Garth wszedł do nieoświetlonego, śmierdzącego wilgocią przedpokoju. Obrzucił dziewczynę szybkim wzrokiem i od razu spostrzegł, że jest wyjątkowo ładna. Znacznie ładniejsza niż ją zapamiętał. Prawdę mówiąc, tak śliczna, że jej widok odebrał mu na chwilę panowanie nad głosem. I nie tylko nad głosem.

Katriona nie próbowała nawet ukrywać, że natychmiast rozpoznała gościa.

- Witaj, tatuśku - rzuciła kąśliwie i posłała mu wyzywający uśmiech. - Przyjechałeś, żeby sprawdzić na własne oczy, co? Nie ma żadnej podpuchy, kochanie. Tutaj jest twoje maleństwo - powiedziała ciągle z tym samym kpiącym uśmiechem na twarzy i poklepała się po wydatnym brzuchu, którego krągłość sprawiała groteskowe wrażenie w zestawieniu ze szczupłą, a nawet wychudzoną sylwetką dziewczyny.

- To nieprawda - oznajmił krótko Garth. - To niemożliwe.

- Czyżby? To dlaczego tu jesteś? Spietrałeś się, że wiadomość dotrze do żonki? Boisz się, co powie twoja księżniczka? Kurde, sama jestem ciekawa. Chyba nie będzie skakać do góry ze szczęścia, nie? Tym bardziej że sama nie ma się czym pochwalić. Nie potrafiła donosić waszego dzieciaka, a ja donoszę. Mój będzie duży, silny i zdrowy. - Ponownie poklepała się po brzuchu i zaśmiała. - Kurde, i taka mimoza ma

być kobietą? Czemuś tak się jej czepił? Założę się, że w łóżku też nie potrafi ci dogodzić. No, a na pewno nie tak jak ja. Nigdy cię porządnie nie wypieprzyła, powiedz. Jakbyś się sam nie postarał, to by ci uschła ta twoja czarodziejska różdżka. Musiała ci się podobać moja cipka, skoro takżeś jęczał...

- Dość! - przerwał jej Garth. - Proszę natychmiast przestać. Pani to wszystko wymyśliła. Nigdy nie byłem z panią...

- Nie? - nie pozwoliła mu dokończyć. - A może chcesz, żeby ci o tym opowiedzieć? Opowiedzieć, ci co robiłeś... co mówiłeś... jaki byłeś napalony... jaki twardy... jaki szybki? Mam opisać, jak wygląda ten pieprzyk, o, tutaj? - Dotknęła miejsca na wewnętrznej stronie jego uda, gdzie rzeczywiście miał niewielkie owalne znamię.

- Zabierz... - wycedził przez zęby. - Weź rękę.

- Na pewno, kochanie? - Próbowała przesunąć dłonią wyżej, lecz się odsunął. - I co, zatkało tatuśka? - Popatrzyła na niego przez zmrużone oczy. - Błagałeś, żebym cię pieprzyła, błagałeś... „Chodź, słodka, o, tak...” „Jeszcze, jeszcze, o, jak mi dobrze...” Śliniłeś się do mnie, nie mogłeś się doczekać. Mówiłeś, że nikt jeszcze nigdy tak cię nie pieprzył, że nigdy nie miałaś takiej kobiety. Powtarzałeś, że jestem sto, tysiąc razy lepsza od twojej żony. Mam ci powiedzieć, ile było numerków? Jak na faceta, który wypił butelkę whisky, radziłeś sobie całkiem nieźle. Wiadomo, wojak musi być twardy...

Znów wysunęła dłoń, by go dotknąć, a on znów odsunął się w ostatniej chwili. Zacerpnął głębiej powietrza. Słowa Katriony wydawały mu się jakąś groteskową paplaniną, perwersyjnym zmyśleniem, obleśnym kłamstwem. Czy mogło być inaczej? Czy możliwe, by mówiła prawdę?

Och, nie! Ogarnięty paniką rozum sprzeciwiał się temu domniemaniu. Jednak gdzieś w głębi duszy, gdzieś w sercu, w komórkach ciała Garth czuł, że w tym, co przed chwilą usłyszał, tkwi okrutna, bezlitosna, nieubłagana prawda. Nic nie pamiętał, nic nie był w stanie sobie przypomnieć, ale prócz pamięci rozumu była też pamięć ciała. To ona sprawiła, że od tamtej nocy Garth miał podświadome, niejasne wyrzuty sumienia; to z jej powodu nie wracał przy Claudii do tego tematu; to wreszcie przez nią kochał Claudię z taką pasją, jakby chciał stłamsić, zdusić, unieważnić tę dziwną, tę

inną słodycz, tę rozkosz - tak, do diabła, rozkosz! - którą zapamiętało jego ciało, jego łydźwia, jego skóra i brzuch.

- No co, nic nie masz do powiedzenia? - zapytała ponownie Katriona.

Garth z trudem przełknął ślinę, usiłował się opanować. Nieistotne, co w tej chwili czuł do Katriony. Jeśli ta potworna istota mówi prawdę, to w jej łonie rośnie jego dziecko. Mogło to być straszne, niewiarygodne, nie zmieniało jednak faktu, że miał moralne zobowiązania wobec poczętej z własnego nasienia istoty.

Wobec dziecka. Swojego dziecka.

Boże, co teraz robić, jak się zachować? Jak przekazać Claudii tę ponurą nowinę?

- Musimy porozmawiać - oznajmił sucho i zrobił kilka kroków przed siebie.

Katriona natychmiast zastąpiła mu drogę.

- A niby o czym?

- O tym, kiedy, jak i gdzie urodzisz. Należy coś postanowić w tej sprawie.

Zmęczonym gestem przeczesał włosy. Robiło mu się niedobrze na myśl, że musi uporać się z nową sytuacją, gdy tymczasem wraz z Claudią jeszcze nie tak dawno pragnęli... oczekiwali... ich dziecka.

- Postanowić! - zachnęła się Katriona. - Jedyne postanowienie, które mam zamiar podjąć, to pozbyć się jak najszybciej tego bękarta!

- Nie, nie, to nie wchodzi w grę. Nie może pani...

- A kto mi niby zabroni? To moje dziecko. Moje i mogę zrobić z nim, co chcę. Nie powstrzymasz mnie, nigdy...

Widząc wściekłe błyski w jej oczach, Garth zrozumiał, że jakkolwiek próba przemówienia jej do rozsądku nie ma w tej chwili żadnego sensu. Wiedział, jak wygląda człowiek po narkotykach. Niektórzy żołnierze też brali. Katriona zachowywała się teraz dokładnie tak jak oni.

- A może to nie twoje? - kpiła z niego. - W końcu nie jesteś jedynym facetem, którego wypieprzyłam.

W to akurat mógł uwierzyć bez trudu. Poczł mdlący ucisk w żołądku, odwrócił głowę. Modlił się w duchu, by Katriona nie odgadła, jak bardzo liczy na to, że dziecko, które dziewczyna nosi w łonie, nie jest jednak jego potomkiem.

- Po coś właściwie tu przyszedł? - zapytała Katriona. - Chcesz jeszcze raz dostać to, czego nie masz w domu? To będzie kosztować, kochanie, nie jestem tania. Kto we mnie wchodzi, temu drogo wychodzi.

Zaniosła się śmiechem, zadowolona z własnego żartu, zaraz jednak spoważniała, taksując Gartha kwaśnym, pełnym antypatii spojrzeniem.

- Kurde, ty pewnie też myślisz, że jesteś taki dobry, co? Za dobry dla kogoś takiego, jak ja, za szlachetny. Następny pieprzony aniołek. Ale tamtej nocy byłeś inny, koteczku. Podjarany, cały mokry. Mnie wtedy chciałeś, nie jej, nie tej swojej najdroższej Claudii. Claudia... kurde, nawet to imię brzmi kretyńsko! No i zobacz, w końcu i jej zrobiłeś brzuch, i mi.

- Przed chwilą powiedziałaś, że nie wiesz, czyje to dziecko.

- Możliwe. I co z tego?

- Jeśli jest moje, mam chyba prawo...

- Gówno! Nie masz żadnych praw. Żadnych, słyszysz? Żaden facet nie będzie mi mówił, co mam robić! Nienawidzę was... nienawidzę z całego serca. Jak urodzi się chłopak... to go wykastruję. Każdego kutasa trzeba by pozbawiać jaj, kiedy przychodzi na świat, to świat byłby lepszy... Nienawidzę!

Garth usiłował zachować spokój. Wiedział, że ten nagły napad złości jest wywołany działaniem narkotyku. Zmienne nastroje i nagłe wybuchy agresji były typowe dla uzależnionych.

- Chcę ci pomóc - zaczął, kiedy Katriona wreszcie umilkła.

- Jak? - zapytała spokojniej, nie spuszczać z niego wzroku. - Chcesz zapłacić? Będziesz mnie namawiał, żebym zniknęła i trzymała gębę na kłódkę?

Garth odwrócił głowę. Istotnie, taka myśl przeszła mu przez głowę, ale wiedział, że jeśli ją wypowie, narazi się tylko na dalsze kpiny ze strony Katriony; że odsłoni się przed nią, że zdradzi swój lęk, a tym samym wyda siebie i Claudię na dalsze ataki.

Nie, nie mógł okazać, jak bardzo się boi dalszego rozwoju wypadków. Nie mógł pozwolić, by odgadła, jak wiele pytań kłębi się w jego głowie: Czy dziecko naprawdę jest jego? Czy on jego chce? Co jest w stanie dla niego zrobić? Intuicyjnie wyczuwał, że Katrionie chodzi przede wszystkim o to, żeby zniszczyć ich życie. Może

nawet nie tyle jego życie, co życie jego żony. Słuchając słów dziewczyny, wyczuwał niemal dotykalnie jej nienawiść do Claudii, słyszał wzgardę, gniew, zazdrość. Tak, przede wszystkim zazdrość.

- Pewnie robi wszystko, żeby znowu zajść, co? Słabo się, kurde, stara, skoro ją uprzedziłam - oznajmiła chępliwie, jakby na potwierdzenie jego podejrzeń. - Ja pierwsza urodzę ci chłopaczka, tatuśku - dodała niemal zalotnie. - Mój dzieciak i jej będą przyrodnim rodzeństwem, niezły numer, no nie?

Uff, dzięki Bogu nie znała przynajmniej całej prawdy, dzięki Bogu nie miała pojęcia, że Claudia już nigdy nie będzie mogła być matką. Z pewnością wykorzystałaby tę wiedzę w okrutny sposób.

- Nie masz ochoty dotknąć...? - zapytała chytrze, wypinając brzuch do przodu.

Garth ponownie odwrócił wzrok. Z bólem wspominał, ile ostatnio przeszła Claudia, jak była słaba, jak bardzo zrozpaczona. Nie był w stanie spokojnie patrzeć na Katrionę, która w przeciwieństwie do jego biednej żony zdawała się świetnie znosić ciężę. Pomyślał, że jest w tym jakaś niesprawiedliwość. Wystarczył przecież jeden rzut oka, by wiedzieć, że ta nędzna istota nigdy nie będzie choćby w połowie tak dobrą matką, jaką mogłaby być Claudia.

- Zdrowo cię rąbnęło, co? - kpiła wciąż Katriona. - No dobra, jeśli chcesz, żebym się pozbyła tego dzieciaka, musisz mi zapłacić. To będzie sporo kosztowało, kolego. Powinnam była wcześniej zrobić zabieg... miałam nawet taki zamiar... ale chyba za długo czekałam.

Garth widział, że dziewczyna mówi teraz bardziej do siebie niż do niego. Zdał też sobie sprawę, że choć odruchowo odrzuca wysuniętą właśnie przez Katrionę propozycję, to w gruncie rzeczy przyjąłby ją z największą ulgą.

Może rzeczywiście powinien zapłacić za zabieg? Może powinien wyłożyć pieniądze i mieć spokój?

Spokój? Nie, na pewno nie...

Zamknął oczy, czuł, jak na czoło występują mu krople potu. A może jednak sytuacja pozwala mu na taki wybór, usprawiedliwia go? Ze względu na Claudię, ze względu na nich wszystkich, byłoby to rozsądne rozwiązanie, jedyna rozsądna rzecz,

jaką można było zrobić. Ze względu na nich wszystkich... także ze względu na dziecko... jego dziecko.

- Nie mam w tej chwili pieniędzy... - zaczął z trudem.

- Ale możesz się postarać - wtrąciła szybko Katriona. Jej dostawca dopominał się zwrotu długu. Była mu sporo winna, ostatnio bowiem niewiele pracowała. - Przynies kasę jutro - poleciła krótko. - Tylko na pewno, bo inaczej... sam wiesz. Inaczej twoja Claudia dowie się, jaki numer wykręcił jej najdroższy mąż.

Pół godziny później Katriona otworzyła drzwi mężczyźnie, z którym dzieliła opuszczone mieszkanie.

- Zbieraj się, Kat - polecił jej od progu. - Musimy się wynosić. Pakuj graty i już nas nie ma.

- Nie mogę - zaprotestowała. - Umówiłam się z jednym... Obiecał, że jutro przyniesie kasę.

- Olej go, znikamy - powtórzył mężczyzna, oglądając się jednocześnie przez ramię, jakby oczekiwał, że lada chwila ktoś dotrze do mieszkania jego śladem. - Mam kłopoty, dziewczyno, a ty powinnaś być ze mną. Jestem winien kilku draniom dużą forszę, wiesz, co to znaczy?

Katriona przygryzła dolną wargę. Znała mężczyznę od lat, był jej kumplem, ale nie kochankiem. Wiedziała, że siedzi w narkotykach po uszy, że rozprawdza je i sam bierze. Wiedziała też, co oznaczają jego słowa.

Duża forsa i kilku drani. Gdyby sama została w mieszkaniu, tych kilku drani zemściłoby się na niej w najbardziej okrutny sposób. W porównaniu z takim ryzykiem forsa od Gartha nie miała żadnego znaczenia.

- No, dawaj, dawaj! Zbierasz się czy nie?

- Zbieram - powiedziała i zgarnęła torbę z ciuchami, które były jedyną jej własnością.

Rozdział 12

- Wiesz, że znów pojawiła się Katriona?

Garth mimowiednie poderwał głowę na te rzucone od niechcienia pytanie. Obydwoje późno wrócili z pracy i jedli właśnie późną kolację.

- Katriona? - zapytał, czując suchość w gardle. Nienawidził siebie za to, że odgrywa przed żoną tę żalosalną komedię i przybiera taki ton głosu, jakby nie mógł sobie przypomnieć, o kogo chodzi. A przecież to imię chyba na zawsze wryło mu się w pamięć.

Po jego wizycie w jej nędznym mieszkaniu szukał dziewczyny bez powodzenia przez ponad miesiąc. Wreszcie zrezygnował, a od tamtej chwili minęło pół roku. Pocieszał się, że cała sprawa była tylko próbą szantażu, wydobyć od niego paru setek na nowe działki narkotyku. Powtarzał sobie, że to doprawdy niemożliwe, by był w jakikolwiek sposób odpowiedzialny za jej ciążę. Jednocześnie zaś kłął się w duchu, że okazał się kompletnym idiotą, który dał się zastraszyć i uwierzył w brednie cwanej naciągaczki.

A jednak z jakichś powodów nie powiedział do tej pory o niczym Claudii.

- Nie pamiętasz? - zapytała teraz. - To jedna z moich podopiecznych. Ostatnio zniknęła, musiała ruszyć w trasę. Wałęsała się parę miesięcy po kraju, aż wreszcie wróciła i zamieszkała znowu w swoim dawnym bloku. Natknęłam się na nią przypadkiem, kiedy poszłam odwiedzić inną z moich dziewczyn. Podobno pytała o mnie. Tak w każdym razie utrzymywała jej znajoma. Sama nie wiem, czy to prawda. One tak często kłamią, że człowiek nie wie, kiedy może im wierzyć.

- A więc wróciła?

- Owszem, i to nie sama.

Garth znów poczuł suchość w gardle.

- A z kim?

- Z dzieckiem.

- Z dzieckiem? - Odłożył gwałtownie widelec, jakby w jednej chwili stracił apetyt.

- Tak cię to dziwi? No tak, biorąc pod uwagę, jak wyniszczyły ją narkotyki... Urodziła, kiedy była na gigancie. Dziewczynkę. Widziałam ją, śliczne maleństwo. Katriona naturalnie nie chce powiedzieć, kto jest ojcem. Podejrzewam, że sama nie wie. Wiesz, Garth, boję się trochę, że nie karmi małej jak trzeba. Nic dziwnego, skoro nie potrafi zadbać o siebie. Jedna z dziewczyn pomaga jej trochę...

- Widzę, że sporo się dowiedziałas.

- Bo jak tylko ją zobaczyłam, to coś w środku... Boże, Garth, to maleństwo jest takie słodkie. Chciałabym... - W oczach Claudii pojawiły się łzy i szybko opuściła głowę.

Ostatnie miesiące pomogły jej otrząsnąć się z depresji. Claudia pozornie pogodziła się z faktem, iż poroniła i jest bezpłodna. Zaczęła pracować, funkcjonowała jakoś, pozbierała się. Nikt jednak poza Garthem nie wiedział, jak bardzo nadal cierpi, jak budzi się po nocach z krzykiem i płaczem. Przytulał ją wtedy, kołysał i pocieszał, dopóki się nie uspokoiła. Bywało też, że ból i gniew stawały się nie do zniesienia, a wtedy cała pretensja do losu, jaką w sobie nosiła, skrupiałała się na nim, jej mężu. Wykrzykiwała w takich chwilach zawsze to samo - że powinien ją zostawić, odejść, znaleźć sobie inną, normalną kobietę, która da mu dzieci, skoro ona nie jest w stanie mu ich dać.

Garth nie mówił o tym ani swoim, ani jej rodzicom. Wiedzieli tylko, że młodzi chcą mieć następne dziecko i czekają niecierpliwie, kiedy Claudia zajdzie powtórnie w ciążę. Ojciec Gartha przestrzegał ich nawet ostatnio, żeby się nie spieszyli i zaczekali, aż Garth nie zdomowi się w nowej pracy.

Prawdę mówiąc, nie widywali jednak rodziców zbyt często. Claudia wymigiwała się od rodzinnych spotkań, unikała też wszystkich okazji towarzyskich, które zmuszałyby ją do kontaktów z dziećmi krewnych czy znajomych, przypominając jej o własnej, jakże bolesnej stracie. Garth tak często musiał odrzucać zaproszenia kolegów z pracy, że zaczynał się już czuć z tego powodu niezręcznie.

Tłumaczyli się z reguły tym, że Claudia jest bardzo zajęta i zapracowana. Rzeczywiście, brała na siebie coraz więcej obowiązków i coraz później wracała do domu. On też przesiadywał w biurze do późna i było w tym ich zachowaniu coś, co kazało się domyślać, że nie są po prostu w stanie znieść pustki panującej w ich

mieszkań. Wciąż też nie mogli się zdecydować na przeprowadzkę, nie mieli bowiem serca, by kontynuować poszukiwania domu, który wcześniej miał być domem dla ich trojga - Claudii, Gartha i ich synka.

- Muszę z tobą porozmawiać, Claudio - powiedział teraz z westchnieniem, usiłując odegnać wspomnienia, które wróciły wraz ze słowami o Katrionie. Drażniło go i niepokoiło, że ta niebezpieczna dziewczyna znowu ma kontakt z jego żoną. Licho wie, co naprawdę ją z nim łączy.

Wspomniała wtedy o znamieniu na wewnętrznej stronie jego uda, to prawda. Był wszakże tak odurzony wypitym alkoholem, że mogła Bóg wie jak długo kręcić się po mieszkaniu, zanim otworzył oczy. Mogła podejść do łóżka, odrzucić kołdrę, przyjrzeć mu się dokładnie...

Czy tylko się przyglądała, czy...

Cholera!

- O czym chcesz porozmawiać? - głos Claudii wyrwał go z rozmyślań. - Mam nadzieję, że nie zajmie ci to zbyt wiele czasu. Muszę jeszcze przygotować sprawozdanie na jutro, a chciałabym wstać wcześniej rano. Jestem potwornie zmęczona.

Popatrzył na nią niepewnie. Rzeczywiście wyglądała na przemęczoną. Za bardzo się poświęcała. Pozwalał jej na to, wiedząc, że Claudia próbuje w ten sposób zaleczyć rany, którymi naznaczona była jej dusza.

- Garth! - przynagliła go znowu poirytowanym tonem.

- Tak, tak, przepraszam - uśmiechnął się do niej łagodnie. - Chciałem ci powiedzieć... że Nick Forbes myśli o przejściu na emeryturę. Jego żona, jak wiesz, ciągle niedomaga i lekarze zalecają, by zamieszkała w cieplejszym klimacie. Agencja to Nick, bo bez niego... Przerwał, widząc, że Claudia marszczy czoło.

- Co próbujesz mi powiedzieć? - zapytała. - Czy Nick chce się ciebie pozbyć? A może...

- Nie, nic z tych rzeczy - zapewnił ją pospiesznie. - Zachęca mnie raczej, żebym się usamodzielniał. Zdobyłem już wielu własnych klientów, Nick tymczasem dostał dobrą ofertę od kogoś, kto chce kupić jego agencję. Ja nie mogę mu tego zaproponować, bo nie mam tyle pieniędzy, ale...

- Ale?

- Rozmawiałem już na ten temat z ojcem przez telefon. Posłuchaj...
- Rozmawiałeś z nim, zanim powiedziałeś mi cokolwiek? - obruszyła się

Claudia.

Garth westchnął cicho.

- Byłaś ostatnio tak pochłonięta swoimi zajęciami, że nie było okazji.

- Rozumiem, że chodzi o założenie własnej firmy, tak? Cóż, to bardzo ryzykowne.

- Owszem, ale Nick jest przekonany, że sobie poradzę. Coraz więcej firm zaczyna dbać o swoje interesy, szukając pomocy agencji takich jak nasza. Chodzi o to, by wykreować odpowiedni wizerunek, w miejsce wyobrażeń o niedostępnej instytucji ukazać jej ludzką twarz...

Claudia słuchała tych entuzjastycznych opowieści z zamkniętymi oczami. Powinna była cieszyć się z jego zapału, a jednak ogarniała ją coraz większa zazdrość wobec mężowskich planów. Dlaczego?

Powód był prosty - Garth kochał swoją pracę, czego ona niestety nie mogła powiedzieć o sobie. Odnosiła się do swoich obowiązków z niechęcią, wypełniała je z konieczności. Musiała pracować, żeby przestać myśleć o przeszłości, ale robiła to pod przymusem.

Z drugiej strony często żałowała, że nie może poszczególnym przypadkom poświęcić więcej czasu, że nie może zająć się nimi troskliwiej, staranniej, z większym zaangażowaniem. Nauczyła się już mówić o „przypadkach”, ale przecież wiedziała, że to nie są „przypadki”. Za każdą sprawą kryła się istota ludzka, żywy człowiek, którego potrzeb Claudia nie była w stanie zaspokoić, tak jak nie potrafiła rozwiązać jego problemów. Cóż z tego, że skończyła wiele rozmaitych kursów, że przeszła szkolenia, na których uczono ją, jak nawiązać kontakt z podopiecznym, kiedy po prostu brakowało jej czasu, by nabytą wiedzę spożytkować w praktyce.

Gdy na ostatnim kursie zetknęła się z ludźmi, którzy pracowali jako prywatni socjoterapeuci, ich wykłady stały się dla niej prawdziwym objawieniem. Mogła się przekonać, jaką satysfakcję czerpią z tego, że każdemu klientowi są w stanie poświęcić nieograniczoną ilość czasu, że aktywnie, od początku do końca, towarzyszą każdemu z nich w powrocie do normalnego życia. Słuchając ich opowieści,

przypominała sobie własne motywacje sprzed lat, uświadomiła sobie, dlaczego niegdyś wybrała tę właśnie specjalizację. W nawale obowiązków zapomniała, że chciała służyć innym, że to była pasja.

Teraz, widząc entuzjazm Gartha, pozazdrościła mu po prostu. Miał tyle przed sobą... karierę... nowe życie... być może związek z inną kobietą, która da mu dzieci.

Zacisnęła mocno powieki, ale to nie pomogło. Piekące łzy zaczęły gęsto spływać po jej policzkach.

- Clo, proszę, nie płacz... - Garth wstał z za stołu i wziął ją w ramiona. - Czemu płaczesz?

- To niesprawiedliwe, Garth. Wszystko jest takie niesprawiedliwe - uskarżała się Claudia. - Nawet ktoś taki jak Katriona, narkomanka, która będzie miała szczęście, jeśli uda się jej przeżyć jeszcze rok, jest w stanie urodzić zdrowe dziecko... a ja? Przecież go nie chciała, nie potrafi pokochać. A ja nawet nie będę miała takiej szansy. Powinieneś zostawić mnie, Garth, znaleźć sobie kogoś innego... Ja na nic ci się nie przydam, jestem do niczego...

- Nie chcę być z nikim innym. Pragnę tylko ciebie.

Claudia spojrzała mu w oczy. Mówił prawdę, rzeczywiście tak czuł, ale jaką miała gwarancję, że tak będzie zawsze?

- Mamy siebie - zapewniał ją łagodnie. - Nic więcej nam nie trzeba.

A jednak to nie wystarcza, myślała Claudia, leżąc bezsennie w łóżku tej samej nocy. Obok siebie czuła gorące ciało śpiącego męża. Kochała go bardzo, a jednak to jej nie wystarczało. Rozpaczliwie pragnęła dziecka, potrzebowała go, musiała być matką. Widok maleństwa Katriony obudził w niej wszystkie uczucia, które usiłowała stłumić przez ostatnie miesiące. Kiedy dziewczyna beztróska położyła niemowlę na brudnym, cienkim kocyku na podłodze, by porozmawiać z współlokatorką, która weszła właśnie do pokoju, Claudia nie mogła się powstrzymać - podniosła maleństwo i zaczęła kołysać je w ramionach.

W powietrzu unosił się odór skwaśniałego mleka, uryny i wymiotów, ale nie zwracała na to najmniejszej uwagi. Ogarnęła ją fala tak ogromnej miłości, takiej czułości i błogości, że na moment zapomniała o całym świecie. Liczyło się tylko dzieciątko, które tuliła do piersi; chciała otoczyć je opieką, chciała dbać o nie, karmić.

Zanim zdała sobie sprawę, co robi, jej dłoń odruchowo powędrowała w górę, a palce zaczęły rozpinać guziki bluzki.

Dziewczynka zdawała się czuć tę samą potrzebę; potrzebę bliskości i miłości, kontaktu i ciepła. Cicha, spoglądająca wielkimi oczyskami na Claudię, zanosła się płaczem, gdy rozeźlona Katriona wyrwała ją z rąk opiekunki.

- Oddaj ją - zażądała tonem pełnym agresji. - To moje dziecko!

- Jeśli dotąd tego nie zrobiłaś, powinnaś ją zarejestrować - poinstruowała ją rzeczowo Claudia. Zważywszy sytuację i targające nią uczucia, zachowanie tego obojętnego, profesjonalnego tonu było z jej strony iście herkulesowym wysiłkiem.

Później pomyślała, że może sama powinna powiedzieć lekarzowi rejonowemu o dziecku. Tym bardziej że matka skazała je tak beztrosko na zupełnie nieodpowiednie dla niemowlęcia warunki. Ktoś musiał zbadać je jak najszybciej, zaszczepić, sprawdzić, czy podczas ciąży nie zostało zatrute narkotykami.

Wiedziała, że nie ma sensu wypytywać Katrionę, kto jest ojcem małej. Pierwsza próba wywołałaby potok inwektyw i atak wściekłości, a Claudia z różnych powodów nie chciała narażać się na ataki.

Czy w tej chwili chodziło jej rzeczywiście o dobro Katriony, czy też raczej o dobro małej?

Odwróciła głowę, gdy dziewczynka zaczęła kwilić i szukać usteczkami piersi.

- Nie tutaj, ty mała zaraz - syknęła rozzłoszczona Katriona. - O tak, teraz sobie ssij - dodała już bardziej rzeczowo, podsuwając dziecku pod nos dość odrażająco wyglądającą butelkę z zimnym, jak domyślała się Claudia, mlekiem. Wepchnęła ją małej do buzi, nie zważając, czy córeczka przypadkiem się nie zadławi, a potem zwróciła się do Claudii, odgadując w jednym z coraz rzadszych przeblysków otępiełego umysłu odczucia opiekunki: - Wiem, co sobie myślisz.

- Co?

- Gdyby było twoje, karmiłabyś je piersią, prawda? Ale nie jest twoje, aniołku, chociaż... - przerwała, uśmiechnęła się nieoczekiwanie i posłała Claudii kpiące spojrzenie, od którego tej ostatniej ciarki przeszły po plecach. Tyle było w oczach Katriony niedopowiedzianych podtekstów, tyle skrywanych tajemnic, a przy tym

sadystycznego wręcz wyrachowania, że Claudia wątpiła czasami w to, czy narkotyki rzeczywiście niszczą inteligencję dziewczyny.

Teraz wszakże zaniepokoiło ją co innego - złękła się, że Katriona zna prawdę o jej bezpłodności, że wykorzysta to, że będzie jej dokuczać. Wiedziała, że tego by nie przeżyła. I tak czuła się skrzywdzona, rozpaczliwie bezradna, osamotniona i zboląa. Czyżby Katriona domyśliła się wszystkiego, widząc zazdrość w oczach kuratorki? Och, ta przeklęta zazdrość...

- Masz, potrzyrmaj ją.

Gest był tak nieoczekiwany, że zupełnie ją zaskoczył. Claudia odruchowo wyciągnęła ręce na przyjęcie małego zawiniątka, po czym ułożyła je wygodnie w ramionach i sięgnęła po butelkę.

Mała nie chciała jeść, mleko nie było jej potrzebne. Do szczęścia wystarczyło jej to, że znowu znalazła się w objęciach Claudii. Tuliła się z zadowoloną minką do jej piersi niby do matczynej i patrzyła w jej twarz szeroko otwartymi oczkami z taką intensywnością, że w tym kolejnym przypiływie czułości Claudii zabrakło na moment tchu ze wzruszenia.

Pomyślała, że zakochała się w tej kruszynie. Z miejsca i bez pamięci. Uczucie to było tak silne, tak nagłe, że nie podlegało kwestii. Gdy spoglądała w zielone oczy dziewczynki, miała wrażenie, że wkracza w jakiś tajemny świat, w którym nie ma miejsca dla nikogo innego poza nimi dwiema.

- Przypomina ci kogoś, prawda?

Ironiczne pytanie i ostry ton głosu Katriony przywróciło jej poczucie rzeczywistości.

- Jest bardzo podobna do ciebie - odparła dyplomatycznie, chociaż prawdę powiedziawszy, nie mogła się dopatrzeć żadnego podobieństwa między matką i córką.

- Tak uważasz? - Katriona posłała jej jeden ze swoich okrutnych uśmiechów. - Ja tam myślę, że raczej wdała się w tatusia... Co tak patrzysz? Zaskoczona, że wiem, kto jest ojcem? Wiem, a jakże. Ma bardzo wyjątkowego ojczulka. Żaden tam fiut, których sprowadzam do domu, ani ćpun. Ten nie musiał płacić, żeby się ze mną przespać.

- Spojrzała na Claudię przeciągle, z ukosa, a potem zapytała uprzejmie: - Masz ochotę, Claudio, żebym ci o nim opowiedziała?

Katriona już wcześniej próbowała prowokować Claudię, ale nigdy tak jawnie jak teraz. Nie było powodów, dla których miałyby nie opowiadać w sposób otwarty o swoim życiu seksualnym, niemniej Claudia wzdragała się na myśl o konieczności wysłuchiwania intymnych szczegółów dotyczących poczęcia małej.

- No więc był dobry, o, bardzo dobry - zaczęła Katriona bezceremonialnie, nie czekając na przyzwolenie.

- Robił to nawet po francusku, wiesz? Mmm... Powiedział, że chcę, żebym była wilgotna i gotowa, zanim mnie nadzieje. Słodko, nie? Mówił, że dość ma już pieprzenia się z kobietą, która nie potrafi zabawić się w łóżku i która nie wie, jak dogodzić sobie i jemu. Ja mu dogodziłam, i to jak... Tak go nakręciłam, że dał mi ją - dodała, wskazując głową na córeczkę, którą Claudia ciągle jeszcze trzymała w ramionach.

Pełen samozadowolenia i wyuczonych kocich pomruków ton głosu Katriony drażnił uszy Claudii niczym przejmujące zgrzytanie metalu o szkło; napęlił ją fizyczną odrazą, tak przemożną, że miała ochotę zatkać uszy. Całym wysiłkiem woli powstrzymała się od cierpkiego pytania, dlaczego to kochanek Katriony zniknął z jej życia, skoro tak był zachwycony jej osobą.

Zacisnęła zęby. Poczowała, że zimny pot występuje jej na czoło. Ostatnio bardzo często miała to przerażające odczucie, że zbliża się do krawędzi, że jeszcze krok, a straci samokontrolę i runie w otchłań.

Mała, jakby wyczuwszy jej napięcie, zaczęła płakać. To wystarczyło, by Claudia natychmiast zapomniała o swych strapieniach. Przytuliła dziewczynkę mocniej i zaczęła uspokajać.

- Przyjrzyj się jej teraz - powiedziała wyzywająco Katriona, patrząc, jak córeczka usiłuje odnaleźć pierś Claudii. - Nic tam nie znajdziesz, nic - rzuciła z kpiną w głosie i gwałtownym ruchem odebrała dziecko. - Ona jest moja, zapamiętaj to sobie. Jest moja i na zawsze zostanie moja, nawet jeśli... Ech, dobrze, że urodziłaś się dziewczyną - zwróciła się do córki. - Miejmy nadzieję, że wyrośniesz na ładną pannę.

Na świecie pełno jest facetów, którzy lubią młode laski. Im młodsze, tym większe mają wzięcie. Zarobisz kupę forsy, malutka...

Claudia wiedziała, że nie ma sensu dyskutować z Katrioną, tłumaczyć jej, że snuje koszmarnie wizje, że powinna spróbować przynajmniej zmienić swój tryb życia właśnie ze względu na dobro córki, jeśli już nie na własne. Katriona albo celowo ją prowokowała, albo rzeczywiście tak myślała. Najpewniej jednak - jedno i drugie

Tak czy inaczej, za późno już było na wszelkie perswazje. Po powrocie z ostatniego „giganta” Katriona wyglądała o dziesięć lat starzej. Była chudsza, słabsza, jeszcze bardziej zapiekła w swoich urazach. W jej oczach można już było wyczytać zbliżający się koniec. Claudia знаła ją na tyle dobrze, by odgadywać, że Katriona zdaje sobie sprawę, że przegrała swój los. Pomimo wszystko powinna jednak próbować.

- Katriono - zaczęła cicho! - Chciałabym...

- Czego byś chciała? - przerwała jej Katriona głosem pełnym niechęci.

- Chciałam tylko powiedzieć, że wiesz, gdzie mnie szukać, jeśli będę ci potrzebna - oznajmiła Claudia, po czym odwróciła się i ruszyła bez słowa ku drzwiom.

Była już w progu, gdy Katriona zawołała:

- Daj mi numer telefonu! Claudia zmarszczyła czoło.

- Masz przecież mój numer, do biura...

- Nie, nie do biura, daj mi domowy.

Było to wbrew wszelkim zasadom, ale Claudia zamiast od razu odmówić, zaczęła się wahać. Po chwili, kierowana jakimś odruchem, którego nie potrafiła ani zdefiniować, ani zignorować, zapisała szereg cyfr na kartce wyrwanej z notesu i podała ją Katrionie.

Po powrocie do biura złamała kolejną zasadę. Pisząc raport ze spotkania, nie wspomniała, że Katriona poprosiła o jej prywatny numer telefonu i że go otrzymała.

Rozdział 13

- Jesteś przekonana, że dasz sobie radę?

- Och, Garth, nie martw się o mnie - zapewniła go Claudia, usiłując stłumić narastającą irytację.

Garth stał w drzwiach z podręczną torbą u stóp, gotów za chwilę ruszyć na spotkanie nowego życia. Nowego życia, które otwierało się przed nimi obydwójkiem. A może ruszał szukać wolności dla siebie? Chciał się uwolnić od bezpłodnej żony?

Claudia z wysiłkiem przełknęła ślinę. Zaklinał się bez końca, że ją kocha, ale zdarzały się takie sceny, jak choćby ta dzisiejsza, gdy dostrzegała wyłącznie... No właśnie, kogo? Obcego człowieka? Mężczyznę w służbowym garniturze, myślami wybiegającego ku kolejnemu spotkaniu? Biznesmena, którym kiedyś nie był? Człowieka pochłoniętego sprawami, o których ona nie miała pojęcia?

Tak, właśnie tak. Każde z tych wcieleń w niczym nie przypominało jej dawnego Gartha.

- Mogę odwołać ten wyjazd i zostać z tobą, jeśli tylko...

- Chcę, żebyś pojechał - odparła, chociaż obydwójce wiedzieli, że to nieprawda. Ostatnio Claudia znowu cierpiała na głęboką depresję. Załamania zdarzały się coraz częściej i perspektywa dwudniowej samotności zupełnie ją rozstroiła. - Idź już wreszcie, Garth - warknęła. - Poradzę sobie sama. Ile razy mam ci powtarzać, żebyś się o mnie nie martwił?

Kiedy wyszedł, zaczęła krążyć nerwowo po mieszkaniu, biorąc w ręce różne przedmioty i odkładając je z powrotem na miejsce. Pomyślała obojętnie, że powinna przygotować sobie coś do jedzenia, ale szybko zarzuciła ten zamiar.

Chociaż nie zdradzała się z tym przed Garthem, doskonale wiedziała, że obejmując ją w łóżku, mąż z niepokojem mierzy dłońmi malejący obwód jej talii. Ciągłe ją napominał, że powinna więcej jeść, przynosił do domu bombonierki smakowitych czekoladek, a ona zabierała je wprawdzie do pracy, ale częstowała nimi koleżanki.

Jej ciało, uczucia, całe jestestwo nie stawy potrzebowały, lecz dziecka. Dziecka, które potwierdziłoby jej kobiecość, byłoby spełnieniem celu, dla którego została stworzona.

Och, gdyby mogła mieć dziecko...

Kiedy zadzwonił telefon, spała głębokim snem. Wyciągnęła rękę, by podnieść słuchawkę, i zmarszczyła czoło, widząc, która godzina. Pierwsza w nocy. Czy coś się stało Garthowi?

W pierwszej chwili tak właśnie pomyślała. Albo chodziło o Gartha, albo o rodziców. Dzwoniący o tej porze telefon mógł zwiastować tylko złe wiadomości.

A jednak zamiast rzeczowego głosu lekarza czy policjanta powiadamiającego ją o nieszczęściu, w słuchawce usłyszała nieznajomy, bełkotliwy głos, który najwyraźniej usiłował jej coś wyjaśnić.

- Prze...praszam, ja...

- Czy mogę wiedzieć, z kim rozmawiam? Kobieta po drugiej stronie zaklęła siarczyście, po czym oznajmiła rozgorączkowanym tonem:

- Chodzi o Kat... Ona... to ona kazała mi zadzwonić. Kiepsko z nią... chce panią... żeby pani przyjechała...

- Kat? Jaka Kat? - zapytała, ale było już za późno. Połączenie zostało przerwane.

Kat, Kat...

Katriona! To musiała być ona. Claudia bez chwili namysłu wyskoczyła z łóżka, ubrała się pospiesznie, chwyciła torebkę, kluczyki do samochodu i ruszyła do wyjścia.

Są ludzie, dla których godzina pierwsza w nocy nie jest wcale późną porą, szczególnie w tętniącym życiem Londynie, pomyślała, jadąc przez ciągle tłoczne i ożywione ulice centrum. Nie mogłaby się teraz dostroić do rozbawionego tłumu. Czuła się osamotniona i miała złe przeczucia. Po kilkunastu minutach jazdy zaparkowała w pobliżu blokowiska, wysiadła i posłała stojącej na chodniku grupce wyrostków wojownicze spojrzenie. Ku jej zaskoczeniu, chłopcy rozstąpili się bez słowa, dając jej wolne przejście.

Z któregoś z okien dochodziły odgłosy hucznej zabawy. Muzykę nastawiono tak głośno, że wstrząsany dudnieniem blok zdawał się drzeć w posadach. Mijając inne

z okien, usłyszała odgłosy głośnej awantury prowadzonej przy akompaniamencie rozbijanych talerzy.

Nie zważając na nic, spieszyła pod znajomy adres. Nie zwykła ulegać wizjom i przeczuciom, ale miała nieodparte wrażenie, że nie spieszy tam sama; słyszała niemal złowrogi łopot skrzydeł posłańca śmierci, który zdawał się sunąć krok w krok za nią.

Widząc, że blok Katriony pogrążony jest w ciemnościach, stanęła jak wryta. Nie wiedzieć czemu oczekiwała, że wszystkie światła będą zapalone, że w posępnej norze będą się mrowić rozgorączkowany ludzie. Tymczasem wokół panowały ciemności i martwa cisza. Miała już zapukać, gdy drzwi same się otworzyły, w progu zaś pojawiła się dziewczyna, którą kojarzyła dość mgliście z poprzednich wizyt, i wciągnęła Claudię pospiesznie do środka.

- Jest na górze... czeka - szepnęła współlokatorka Katriony i wtedy Claudia rozpoznała głos, który obudził ją pół godziny wcześniej.

- Coś się stało? Czy ona...?

- Kończy się - odparła dziewczyna bez cienia współczucia. - Poszła na jakąś lewą metę i trafiła brudną herę.

- Wezwałaś lekarza... karetkę?

- Szkoda zachodu. Do takich jak my karetki się nie spieszą. Poza tym Kat powiedziała, że nie chce.

- Pomimo wszystko wezwij karetkę - poleciła Claudia. - Powiedz, że to nagły wypadek. Idź już! Pospiesz się! - krzyknęła, widząc, że dziewczyna się ociąga.

- To nic nie da. Za późno...

- Idź! - Claudia popchnęła dziewczynę, a sama poszła czym prędzej na górę.

Podobnie jak całe mieszkanie, pokój Katriony spowijał mrok. Migotliwy płomień pojedynczej, ustawionej w kącie świecy dawał jednak dość światła, by Claudia mogła się przekonać, że dziewczyna, która ją wezwała, mówiła prawdę.

Katriona umierała.

Mimo całkowitego wyczerpania, nadal była przytomna. Nie tylko przytomna, ale też świadoma tego, co się dzieje, i najwidoczniej pogodzona ze śmiercią. Na widok Claudii, jej przerażonej miny, zatroskanego spojrzenia, w oczach Katriony pojawiły się zwykle ironiczne błyski.

- Przyszłaś. Wiedziałam, że przyjdiesz... - odezwała się szeptem.

- Nie męcz się - poprosiła Claudia, klękając obok posłania i ujmując jej zimną dłoń. - Nie mów. Zaraz przyjedzie lekarz.

Katriona próbowała się zaśmiać.

- Nie zdąży. Nie rób takiej miny... aniołku. Sama mi powtarzałaś, że to się tak skończy. Jesteś zadowolona? Twoje na wierzchu, miałaś rację.

- Nic nie mów, Katriono. Lekarz...

- Lekarz mi nie pomoże, nie jestem naiwna. Za późno. Miałam dług, nie mogłam zwrócić forsy... - Wzruszyła nieznacznie ramionami. - Ubłagałam dilera, żeby dał mi ostatnią działkę. Zrozumiał dosłownie i wsunął mi brudną herę... - Uśmiechnęła się bladym, nikłym uśmiechem. W woskowej, zapadniętej twarzy tylko oczy gorzały zaskakującym, żywym blaskiem.

Nagle z kąta pokoju doszedł Claudię cichutki, słaby płacz.

Dziecko!

Podeszła do posłania, by wziąć małą na ręce, ale Katriona ją powstrzymała.

- Daj mi ją.

Claudia bezwiednie wykonała polecenie. Jeśli jednak oczekiwała, że Katriona w ostatnich chwilach życia okaże jakieś oznaki matczynej miłości, to srodze się przełiczyła.

- Ale śmierdzi... - fuknęła dziewczyna. - Masz, zabieraj ją.

Dziewczynka, która na dobre się rozplakała, leżąc obok matki, w ramionach Claudii natychmiast się uspokoiła. Czy to możliwe, że uśmiechała się, rozpoznając znajomą twarz? Czy Claudii się przywidziało, czy rzeczywiście wyciągała ku niej drobne rączki?

Później miała o to do siebie żal, ale w tej jednej chwili zapomniała zupełnie o Katrionie. Całą uwagę, całą czułość skupiła na dziecku. Kochała je jeszcze bardziej niż podczas poprzedniej wizyty.

- Ciągle jeszcze nie zaszłaś? - odezwała się Katriona. Claudia pokręciła tylko głową, nie mogąc oderwać wzroku od małej.

- A co? Coś nie tak? - dopytywała się Katriona. - Jasne, coś musi być nie tak, inaczej chodziłabyś już z brzuchem. Jesteś bezpłodna, mam rację?

Claudia była tak zaskoczona tym bezpośrednim pytaniem, że nie potrafiła udawać. Wstrząśnięta do głębi, wpatrywała się tylko w twarz dziewczyny, wykrzywioną triumfalnym uśmiechem, a zamiast żywej Katriony widziała już tylko czaszkę obciążoną woskową skórą - maskę śmierci.

- Biedna Claudia... tak bardzo chciała zostać mamusią. Garth już nie jest „zachwycony”, co? Nie boisz się, że go stracisz... tego wspaniałego Gartha, tego byczka?

I znów, jak kiedyś, jakby wyczuwając narastające napięcie, mała zaczęła niespokojnie kwilić. Uspokoila się dopiero wtedy, gdy Claudia przytuliła ją do siebie.

- Pożegnaj się z nią, Katriono. Nie bój się, weź ją na chwilę.

- Nie, nie chcę jej - tchnęła Katriona słabiutko, gdy Claudia próbowała podać jej córeczkę. - Nigdy nie chciałam... - dodała, odwracając głowę. - Nie zamierzałam urodzić, chciałam usunąć... ale za długo zwlekałam. Byłoby jej lepiej, gdyby ciebie miała za matkę...

Zamknęła oczy, umilkła, siły opuszczały ją szybko. Gdzie lekarz, pytała się w duchu Claudia, co robi ta dziewczyna, która miała dzwonić po karetkę?

- Chciałabym... żebyś ją wzięła - mówiła tymczasem Katriona. Żebyś... zatrzymała... była dla niej matką. Bądźcie jej rodzicami... ty i twój Garth. Powinniście... bo... - Ponownie zamknęła oczy, jej oddech stał się niebezpiecznie płytki.

Wziąć ją? Wziąć dziecko Katriony? Wychować jako własne?

Boże, tak!

Ale przecież nie mogła tego zrobić. To było niemożliwe... niezgodne z prawem. To było...

Mała przestała płakać. Claudia spojrzała na jej twarzyczkę.

- Zrób to - nalegała Katriona. - Wiesz, że chcesz to zrobić. Mogłaby być twoim dzieckiem. Potrzebuje matki... troskliwej. I ojca... prawdziwego ojca. Prawdziwego... Ma iść do domu dziecka? Tułać się po sierocińcach? Ty jej chcesz... Chcesz, prawda, Claudio? Pragniesz... czuję to. Więc weź, weź ją teraz... póki nikogo nie ma...

Claudia zamknęła oczy, broniąc się bezsilnie przed podszeptami Katriony. Chciała uciec, ale wiedziała, że nie ruszy się z miejsca, że nie może zostawić dziewczyny, dopóki...

Usłyszała dochodzący z ulicy sygnał ambulansu. Odłożyła dziecko na posłanie z koców i podeszła do Katriony.

- Karetka. Zobaczysz, że zaraz poczujesz się lepiej - powiedziała, usiłując nadać swojemu głosowi spokojny, profesjonalny ton. - Lekarz...

- Po co mi lekarz? - zaśmiała się słabo Katriona. - Żaden lekarz mnie nie zatrzyma. Ja umieram, Claudio... umieram.

- Nie!

- Tak... nie bój się. Chcesz... chcesz, żebym ci powiedziała, kto jest ojcem? - zapytała, zbierając resztki gasnących sił. - Boisz się ją wziąć, bo Garth może jej nie chcieć, tak? Albo boisz się, że jej ojciec mógł być takim samym zasranym ćpunem, jak ja... Nie, Claudio, nie był... Byłabyś zdziwiona, gdybyś się dowiedziała...

- Znowu spróbowała się zaśmiać, jednak tym razem zabrakło jej sił.

Tymczasem syrena na zewnątrz umilkła i lada chwila miała pojawić się załoga ambulansu. Claudia modliła się w duchu, żeby zdążyli. Nie żeby uratować Katrionę, to było niemożliwe i doskonale o tym wiedziała. Chciała, by pojawili się na czas, by uratować ją, Claudię, przed popełnieniem przestępstwa. Jeszcze chwila, a ulegnie podszeptom Katriony. Jeszcze moment, a zabierze maleństwo i ucieknie. Przecież takie to łatwe, takie oczywiste. Mała nie miała jeszcze metryki, w środowisku, w którym żyła jej matka, nikt nie będzie zawracał sobie głowy zniknięciem jakiegoś niemowlaka. To takie łatwe - nikt nigdy o niczym się nie dowie, nikt nie będzie zadawał żadnych pytań. Takie łatwe...

- Weź ją - powtarzała Katriona już niemal bezgłośnie, samymi wargami. - Weź, Claudio, weź....

Nagle drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wszedł lekarz z pielęgniarkami. Claudia podniosła się z klęczek.

- Jestem kuratorem - zaczęła. - Ona...

- Martwa, w każdym razie cholernie mało brakuje jej do śmierci - przerwał jej lekarz, który przyklęknął przy materacu Katriony. Po chwili dodał ze złością: -

Kolejna idiotka. Po jakiego diabła oni to robią? Bierzcie ją na nosze, szybko! - polecił dwóm pielęgniarzom, zaraz jednak puścił dłoń dziewczyny i dodał bezradnie: - Nie, zostawcie... już nie trzeba.

- Czy ona...?

- Nie żyje. - Lekarz odwrócił się w stronę Claudii. W mrocznym pokoju zaległa niezwykła cisza. Nawet dziecko nie zakwiliło ani razu.

Właśnie, dziecko...

Claudia spojrzała w kąt pokoju, gdzie wcześniej troskliwie ułożyła małą. Wciąż tam była. Leżała. Czekala. Zdawało się, że patrzy w ciemnościach na Claudię swoimi wielkimi oczami niemowlęcia. Ale czy w takim mroku Claudia mogła widzieć oczy dziewczynki?

Potem zaklinała się, że chciała uprzedzić obsługę karetki o obecności dziecka, że nie miała żadnych ukrytych intencji, żadnych planów. Zanim jednak zdążyła otworzyć usta i wydobyć słowo ze ściśniętego gardła, zaskrzeczał radiotelefon w kieszeni lekarza, ten zaś wysłuchał treść wezwania, po czym zwrócił się do Claudii:

- Mamy kolejny nagły wypadek. Koło Vauxhall Bridge zderzyły się dwa samochody. Musimy jechać. Zaraz pojawi się ktoś od koronera, by potwierdzić śmierć, zanim zabiorą ciało. Ja zostawiam tutaj akt zgonu. Jak zmarła się nazywała?

Odpowiedziała machinalnie, patrząc, jak lekarz pospiesznie wypisuje dokument, po czym odchodzi od znieruchomiłego ciała Katriony i zmierza ku drzwiom.

- Czy ja... czy mam tu zostać? - zaczęła, ale obsługa karetki już zniknęła za progiem.

Claudia w milczeniu spojrzała na ciało Katriony; pozbawione ducha, obecności, życia. Zamknęła oczy i odmówiła powoli Ojciec Nasz, a potem tyle ile pamiętała z Psalmu 23.

Katriona uśmiełaby się setnie, gdyby mogła ją słyszeć, ale Claudia nie mogła tak po prostu wyjść i zostawić ją... opuścić.

Raptem usłyszała, że mała się poruszyła, i serce zaczęło jej bić jak oszalałe. Powoli odeszła od posłania Katriony i zbliżyła się do dziecka. Chciała tylko wziąć je na ręce. Tylko tyle, nic więcej. Nie zamierzała zabierać dziewczynki, nie było jej

intencją wynieść ją z mieszkania ukrytą przed chłodem za pazuchą płaszcza. Wcale nie...

Na ulicy było pusto. Claudia otworzyła drzwiczki samochodu, wsiadła ostrożnie i ułożyła owinięte w płaszcz niemowlę na tylnym siedzeniu. Zapalając silnik, zerknęła na zegarek. Kwadrans po drugiej. Czy druga nad ranem nie jest porą, kiedy serce i ciało są najslabsze, a śmierć najbardziej prawdopodobna? Godzina druga - godzina śmierci...

W kierunku domu jechała powoli. Czekala, kiedy zatrzyma ją patrol policyjny, spoglądała w lusterko, by dojrzeć za sobą błysk świateł radiowozu, usłyszeć sygnał syreny. Czekala, aż ją zatrzymają, przesłuchają i oskarżą o porwanie dziecka. Była gotowa się przyznać, ale żaden dźwięk nie zakłócał nocnej ciszy, a opustoszałymi ulicami przemykała tylko od czasu do czasu jakaś taksówka z zapóźnionymi pasażerami.

Na schodach też nie natknęła się na nikogo i niczym nie niepokojona zaniósła dziecko do swojego mieszkania. Kiedy znalazła się w domu, starannie zamknęła za sobą drzwi, na wszystkie zamki, łańcuch i zasuwę. Dziecko gruchało radośnie, spoglądając na nią zielonymi oczami.

Jej dziecko.

- Musisz być głodna, kochanie - mruknęła Claudia z czułością. - A ja nie mam pojęcia, co ci dać do jedzenia. Należy ci się też kąpiel. Porządna ciepła kąpiel, po której będziesz czyściutkim, ślicznym bobasem.

Z samego rana trzeba znaleźć aptekę, myślała. Nie pójdzie do najbliższej, nie wybierze też małego sklepu. Będzie musiała pojechać do jakiegoś dużego, położonego z dala od domu, gdzie nikt nie zwróci uwagi na anonimową kobietę, kupującą rzeczy dla niemowlęcia.

Albo inaczej - zrobi zakupy w kilku sklepach, w każdym po trochu, tyle ile kupuje matka, która uzupełnia zapasy. Będzie oczywiście musiała wziąć małą ze sobą. Nie zostawi jej przecież samej w pustym mieszkaniu, to zrozumiała. Nie rozstanie się z dzieckiem nawet na ułamek sekundy.

- O nic się nie martw, moja najdroższa kruszyno - gruchała pieszczotliwie, kąpiąc niemowlę w misce zamienionej naprędce w dziecięcą wanienkę.

Mała była taka drobniutka, taka cudowna, tak wzruszająco krucha. Pod skórą widać było wyraźnie wystające żebra. Serce zabiło Claudii niespokojnie. Dziecko musi być głodne. Teraz, w nocy, mogła ją nakarmić wyłącznie ciepłym mlekiem. Wyjęła z kocyka butelkę, którą przezornie zabrała z mieszkania Katriony, wysterylizowała, i zabrała się za przygotowywanie pierwszego posiłku. Zaś wszystko to robiła, nie przestając patrzeć z miłością w zielone Oczy maleństwa.

Ledwie Claudia wróciła z zakupów, rozdzwonił się telefon. Stelaż kupionego dopiero co wózka zostawiła w samochodzie, na górę wniosła tylko kosz, w którym leżała jej nowa córeczka. Zostawiła ją bezpiecznie zawiązaną na podłodze i zeszła po resztę sprawunków.

Zadyszana podniosła słuchawkę i zamarła na dźwięk poirytowanego głosu Janice:

- Co się z tobą dzieje, Claudio? Nic ci się nie stało? Trzeci raz do ciebie dzwonię.

- Eee...

- Jeśli źle się czujesz, trzeba było nas zawiadomić, że nie przyjdiesz do pracy. Praca?

Claudia zamrugła nieprzytomnie powiekami. Zupełnie zapomniała, że ma pracę, a teraz oczywiście nie mogła jej kontynuować. Musiała przecież zajmować się dzieckiem.

Szybko obmyśliła kłamstwo.

- Miałam zamiar do ciebie zadzwonić, Janice, ale naprawdę nie miałam czasu - łągała. - Rozmawialiśmy wczoraj długo z Garthem i po głębokim zastanowieniu doszliśmy do wniosku, że skoro on otwiera własną firmę, to ja powinnam zrezygnować ze swojej pracy...

- Zrezygnować? Jak to, zrezygnować? Nie zapominaj, że obowiązuje cię miesięczne wypowiedzenie. Nie możesz tak po prostu...

- Niestety, Janice - przerwała jej Claudia w pół zdania. - Bardzo mi przykro, ale muszę odejść.

Nie przejęła się zbyt zagniewaniem szefowej, choć w każdym innym wypadku byłoby jej zapewne okropnie głupio. Tym razem wszakże patrzyła na Tarę -

jak postanowiła dać na imię córeczce - i myślała wyłącznie o tym, że jeśli mała się zbudzi, to na pewno będzie głodna, więc trzeba jej czym prędzej przygotować butelkę mleka i odżywkę dla niemowląt.

- Poczekaj, Claudio - zżymała się Janice po drugiej stronie linii. - Muszę ci coś powiedzieć. Chodzi o Katrionę...

Claudia zacisnęła mocniej palce na słuchawce. Czekwała, czy Janice powie coś o dziecku. Boże, chyba nie domyśla się prawdy?

- Katriona nie żyje. Policja zawiadomiła nas dzisiaj rano. Ktoś zgłosił wczoraj w nocy, że przedawkowała, ale kiedy karetka przyjechała na miejsce, było już za późno. Pomyślałam, że będziesz chciała wiedzieć. W końcu była jedną z twoich podopiecznych.

- Ja... tak, tak... Dziękuję za wiadomość - odparła odruchowo, podczas gdy jej mózg gorączkowo analizował zasłyszane informacje. Jeśli policja zawiadomiła o śmierci Katriony ich biuro, to znaczy, że nikt nie miał pojęcia o jej wizycie w mieszkaniu zmarłej. Uznano widocznie, że skoro karetkę wezwała współlokatorka, nikogo innego przy Katrionie nie było.

- Kiedy policja pojawiła się na miejscu - mówiła dalej Janice - nie zastała tam nikogo, tylko ciało. Nic w tym zresztą dziwnego. A teraz wracając do twojej rezygnacji...

- Nie chcę o tym rozmawiać, Janice - przerwała jej Claudia stanowczo i odłożyła słuchawkę, wciąż jeszcze oszołomiona tym, co usłyszała.

Janice nie powiedziała ani słowa o dziecku. Być może w ogóle nie wiedziała o jego istnieniu. Claudia wspomniała wprawdzie w ostatnim raporcie, że w mieszkaniu Katriony znajduje się niemowlę, którym jak najszybciej powinien zaopiekować się lekarz, znając jednak machinę biurokratyczną służb socjalnych, mogła przypuszczać, że zanim ktokolwiek zareaguje, upłynie sporo czasu. Wywiad środowiskowy nie przyniesie nowych informacji o dziecku, jej notatka odejdzie w zapomnienie - i Tara będzie jej.

Dla pewności postanowiła jeszcze tego samego popołudnia zgłosić urodzenie dziecka i załatwić metrykę. Oczywiście będą też musieli się przeprowadzić. Nie zamierzała wychowywać dziecka w tym mieszkaniu. Tara potrzebowała świeżego

powietrza, przestronnego pokoju dzieciennego, dużego ogrodu. Uśmiechając się do dziewczynki, wyjęła ją z wózka i poszła z nią do kuchni po wcześniej przygotowaną butelkę.

Tara rzuciła się łakomie na jedzenie, ale Claudia nie pozwoliła jej zbyt szybko się spieszyć.

- Spokojnie, moja droga, nie chcemy przecież, żebyś dostała kolki, prawda? Nie, nie pozwolimy na to...

Później odstawiła butelkę na stół i dopóty kołysała maleństwo w ramionach, aż to usnęło smacznie, przytulone do jej piersi. Wszystko to sprawiało Claudii niewysłowioną przyjemność, czuła się pijana ze szczęścia. Nie chciała myśleć o komplikacjach, problemach; nie chciała myśleć o niczym.

A może powinna? Tak, powinna zadzwonić do biura i zapytać, kiedy odbędzie się pogrzeb Katriony. Miała do spłacenia dług wobec biednej dziewczyny.

Tara wtuliła się głębiej w kołyskę z ramion. Claudia z czułym uśmiechem ucałowała małą główkę. Dziecko pachniało mydłem, zasypką i mlekiem. Czuła do niego taką miłość, jakby nosiła je przez dziewięć miesięcy we własnym łonie. To moje dziecko, myślała, już moje. Nikt nigdy nie zdoła mi go odebrać.

- Wiesz, że jesteś teraz moja, skarbie najdroższy? Moja i tylko moja - szeptała do śpiącego maleństwa. - Ze mną jesteś bezpieczna. Jestem teraz twoją mamą i bardzo, bardzo cię kocham. Nawet nie wiesz jak. Będzie ci ze mną dobrze, obiecuję. Kiedy wróci Garth, kupimy ci normalną kołyskę...

Przerwała nagle i spochmurniała. Lekki cień zmieszania przysłonił na moment promienne szczęście. Szybko jednak odgoniła od siebie złe myśli.

Garth zrozumie. Będzie musiał zrozumieć.

Jednak kiedy Garth zadzwonił wieczorem, by powiedzieć, że wyjazd służbowy potrwa nieco dłużej niż początkowo planował, Claudia przyjęła tę wiadomość z nieukrywanym zadowoleniem. Nie powiedziała mu też ani słowa o Tarze.

- Och, Garth, jeszcze jedna sprawa - zawołała, gdy chciał już odłożyć słuchawkę. - Namysliłam się i doszłam do wniosku, że wolę jednak mieszkać na wsi. Miałaś rację. Powinniśmy poszukać jakiegoś domu w okolicach Londynu. Złożyłam

dzisiaj wymówienie, rzucam pracę. W tym przypadku też miałeś rację. To było zbyt męczące zajęcie.

Na pogrzebie Katriony Claudia była jedynym żałobnikiem. Mimo sprzeciwów Janice, sama zajęła się pochówkiem, opłaciła miejsce na cmentarzu i zamówiła płytę nagrobną. Katriona spoczęła na przykościelnym cmentarzu w małej wiosce w Dorset, gdzie się wychowała i gdzie leżeli jej rodzice. Obrządek szybko dobiegł końca, a później Claudia długo stała nad grobem z ubraną w nowe ciuszki i owiniętą w ciepły kocyk Tarą w ramionach.

- Ona jest teraz moja, Katriono - tłumaczyła zmarłej. - Nigdy nie przestanę jej kochać, będę kochała za nas obie, za ciebie i za siebie.

Kiedy doszła do wniosku, że dziewczynka mogłaby zmarznąć, naciągnęła na głowę kaptur i ruszyła szybkim krokiem w stronę samochodu. Raz jeszcze odwróciła się za siebie, by zyskać pewność, że nikt jej nie obserwuje.

Garth wrócił do domu tego samego popołudnia. Już od progu uderzył go nowy zapach - słodki i pełen świeżości; zapach, który przywoływał mu na pamięć wspomnienia dzieciństwa.

Drugą niezwykłą rzeczą był uśmiech na twarzy witającej go żony, trzecie zaś zaskoczenie przyszło wraz z nagłym i zupełnie nieoczekiwanym odgłosem niemowlęcego płaczu.

Upuścił torbę na podłogę i zapytał z chmurnym wyrazem twarzy:

- A to co?

- Nie co... kto - poprawiła go Claudia i dodała zwyczajnie: - To dziecko, Garth, nasze dziecko.

- Nasze dziecko? Ale jak... Claudio? - wydusił z trudem, lecz ona zniknęła już w sypialni, by wrócić po chwili z niemowlęciem w objęciach. Mała przestała płakać i uśmiechała się promiennie, nie spuszczać oczu z wyraźnie zachwyconej nią Claudii.

- Claudio... nie rozumiem. Co to wszystko...

- Ona jest moja, Garth - Claudia przerwała mu zapalczywie. - Moja i nikt mi jej nie zabierze. Będziemy musieli się przeprowadzić, to jasne. Na szczęście jedni i drudzy rodzice są za granicą. Powiemy im, że trzymaliśmy ciążę w tajemnicy, bo baliśmy się, że znów mogę poronić. Trzeba też będzie powiedzieć, że urodziła się jako

wcześniak. Jest taka drobniutka, że z powodzeniem może uchodzić za wcześniaka. Kiedy znajdę nowego lekarza, będę musiała skłamać, że moja karta i cała dokumentacja przebiegu ciąży gdzieś przepadły. Zmyślę nazwisko ginekologa, który mnie prowadził, a potem...

- Poczekaj! Co tu się dzieje? - Tym razem Garth nie pozwolił jej dokończyć. - To nie jest nasze dziecko - oznajmił stanowczo.

- Jest, Garth. Ona jest nasza. Jej matka mi ją dała, kazała wziąć. Musiałam ją wziąć, Garth, bo gdybym tego nie zrobiła, Bóg jeden wie, co by się stało z tym biednym maleństwem. A tak my będziemy mogli dać jej miłość, której potrzebuje. Sam mówiłeś...

- A matka? Kim jest jej matka?

- Och, nikt nigdy nie potrafiłby kochać jej bardziej niż ja. Ty też ją pokochasz. Zobacz, jaka jest piękna. Ma nawet moją karnację, chociaż oczy podobne są do twoich. No a włosy... po matce. Katriona miała czarne włosy...

Serce Gartha wykonało jakąś szaleńczą ewolucję.

- To jest dziecko Katriony?

- Było. Katriona nie żyje - odparła Claudia, zniżając odruchowo głos i otulając główkę Tary kocykiem, tak jakby pragnęła uchronić ją przed usłyszeniem tego, co właśnie miała powiedzieć. - Przedawkowała. Wezwała mnie do siebie i powiedziała, że życzy sobie, bym wzięła dziecko. Naprawdę chciała, żebym je wzięła, Garth. Zapewniała mnie o tym. Tak bardzo jej na tym zależało, że gotowa była powiedzieć mi, kto jest ojcem. Twierdziła, że to ktoś wyjątkowy, żaden ćpun...

- I powiedziała? - zapytał Garth, z trudem dobywając słowa ze ściśniętego gardła.

- Nie. Próbowала, ale było już za późno. Poza tym to i tak nie ma znaczenia. Nie obchodzi mnie, kim był. Teraz ty jesteś jej ojcem, Garth. Ja jestem matką, a ty ojcem. Dałam jej na imię Tara. Widzisz, jak do niej pasuje? A wiesz, jaka jest mądra? Myślę, że już reaguje na swoje imię. Wodzi za mną wzrokiem, przygląda się, co robię. Będzie bardzo mądra... Tak, moja maleńka, tak, wyrośniesz na bardzo, bardzo mądrą dziewczynkę - gruchała do Tary, nie zważając na Gartha usiłującego zadać jakieś sensowne pytanie.

- Ale do adopcji potrzeba...

- Poczekaj, Garth, później... To jej pora karmienia. Jest bardzo głodna, biedaczyna. Ale nie możemy się przejadać, bo będzie nieszczęście, prawda, kruszynko?

Garth w poczuciu kompletnej bezsilności przysłuchiwał się tej paplaninie, a Claudia, ze spokojnym, uśmiechniętym dzieckiem bezpiecznie przytulonym do jej ramienia, podgrzewała mleko i przygotowywała odżywkę w ciasnej kuchni. Obie wyglądały tak, jakby nie rozstawały się od urodzenia, jakby rzeczywiście stanowiły psychiczną i biologiczną jedność, jakby były matką i córką. A przecież to nie było dziecko Claudii.

Claudii nie, ale być może jego.

Jezu Chryste...

- Claudio, tak nie można - powiedział zduszonym głosem. - To dziecko nie jest twoje. Ani nasze. Nie możemy jej tak po prostu zatrzymać. Musisz chyba zdawać sobie z tego sprawę.

Próbował mówić łagodnie, lecz Claudia napadła na niego niczym rozjuszona tygrysica.

- Ona jest moja, Garth! Nikt nie zmusi mnie, bym ją oddała!

- Claudio, proszę, Wiem, przez co przeszedłeś, mogę zrozumieć, że to dziecko...

- Tara, ona ma imię Tara! - przerwała mu Claudia. - Powiedz to - nalegała - powtórz. Ona lubi, kiedy mówi się jej po imieniu.

- Tara... Tara nie jest nasza. Trzeba ją oddać odpowiednim władzom.

Prawdopodobnie już jej szukają. Cała rodzina jej szuka.

- Nie rozumiesz, że ona nie ma rodziny? Ma tylko nas. Władze doszły pewnie do wniosku, że zabrał ją ktoś z zaćpanych przyjaciół Katriony. Albo nawet w ogóle nie wiedzą o jej istnieniu. Ona nas potrzebuje, Garth, nas. Musi mieć kogoś, kto będzie ją kochał i się nią opiekował. Wiesz, co się stanie, jeśli oddamy ją władzom? Znajdą jej jakąś rodzinę zastępczą, potem kolejną, będzie wędrowała z rąk do rąk...

- A może zaadoptuje ją ktoś, kto ją pokocha, kto czeka na dziecko - sprostował Garth. - Ktoś taki jak my.

- No więc po co ta cała biurokracja? Ona nie potrzebuje innych rodziców Ma nas. Nie próbuj mnie przekonywać, żebym ją oddała, ostrzegam. Nie zrobię tego i już. Jeśli nas nie chcesz, to odejdziemy i będziemy sobie radzić same, tylko we dwie, ale nie przekonuj... - Zaciśnęła z uporem usta. - Nie oddam Tary. Jest moja.

Garth widział, że wszelka dyskusja nie ma najmniejszego sensu. Claudia zachowywała się jak lwica broniąca swoich małych i ten, kto próbowałby zabrać jej dziecko, napytałby sobie nie lada biedy.

W tej chwili Tara odwróciła główkę i spojrzała na niego z uwagą. Zielone oczy spoglądały poważnie, mądrze, jakby dziewczynka odgadywała jego myśli, jakby go oceniała, przypominała mu, że jest być może jej ojcem, że być może chce się wyprzeć własnej krwi, że winien jest jej opiekę i miłość.

Jego dziecko? Jego córka, krew z krwi, kość z kości?

Jeśli to prawda, to czy nie stać go na każde ryzyko? Czy mógłby żyć spokojnie, gdyby odwrócił się teraz od niej? Czy nie skazałby się na wieczne wyrzuty sumienia?

Jeżeli jednak ją zatrzymają, będzie mu stale przypominała o incydencie, o którym wolałby zapomnieć; o którym, prawdę mówiąc, niemal zapomniał. Mato tego, nie tylko zapomniał, ale wręcz wmówił sobie i uwierzył, że incydent nigdy nie miał miejsca i że Katriona okłamała go, twierdząc, że to on jest ojcem jej dziecka.

- Nie możemy tego zrobić, Claudio - powtórzył bezradnie, ale wiedział już, że przegrał tę bitwę. Że Tara, słusznie czy niesłusznie, sprawiedliwie czy nie, należy odtąd do nich. Na dobre i na złe.

Co zdumiewało go nade wszystko, to nie niepohamowana, nieokiełznana miłość Claudii do dziecka, ile logika i determinacja, z jaką zaplanowała oszustwo, które miało uczynić z niej w oczach ludzi rodzoną matkę Tary. Było to tak, jakby czarna rozpacz minionych miesięcy zniknęła w jednej chwili. Jakby w wyniku działania jakiejś niezwyklej mocy powróciła naraz dawna Claudia.

Nie, nie dawna - Claudia, która przeciwstawiła mu się teraz, była dojrzała i władcza. Wiedziała, czego chce.

Patrząc na nią, miał wrażenie, że widzi kogoś, kto wyszedł z cienia w pełne światło słońca.

- Weź ją na chwilę - podsunęła miękko, uwodzicielska i zdeterminowana niczym biblijną Ewą, a Garth wziął z ociąganiem małą w ramiona. Była taka krucha, taka bezbronna. Czy naprawdę miała z nim cokolwiek wspólnego, jakieś prawa wobec niego, jakieś roszczenia? Gdy trzymał swojego zmarłego synka...

Nagle uniosła powieki i spojrzała mu prosto w oczy.

I wtedy Garth przepadł.

Czuł, jak ta maleńka istota chwyta go za serce, rzeczywiście i niemal dosłownie, jak gra na najczulszych strunach jego duszy. Wszystkie argumenty, logiczne wywody, wszystkie obiekcje wobec zamiarów Claudii zniknęły nagle niby mgła w ciepłych promieniach słońca. Już nie miało znaczenia to, czy była jego córką, czy nie. Nie potrafiłby odrzucić Tary, bo nie był w stanie zignorować tego spojrzenia niewiarygodnie zielonych, wielkich oczu, w którym bezbrzeżna ufność łączyła się ze spokojną ciekawością.

- Widzisz? - szepnęła Claudia triumfalnie, przysuwając się bliżej i dotykając lekko buzi dziecka. Tara odwróciła główkę, spojrzała na nią i uśmiechnęła się szeroko.

- Ona chce być z nami. Potrzebuje nas. Powinieneś być ją widzieć, kiedy przy wiozłam ją do domu. Była taka chudziutka, taka... mój Boże...

Głos Claudii zdrzął niebezpiecznie. W jej oczach pojawiały się łzy

- Daj mi ją z powrotem - upomniała się niecierpliwie.

Oddał dziecko bez słowa, nieco rozczarowany i zasmucony, że nie czuje już w ramionach znikomego ciężaru małego ciała.

- Teraz jest już nasza - powiedziała Claudia z żarem. - Nikt nigdy o niczym się nie dowie. Zarejestrowałam ją jako nasze dziecko, zmieniłam lekarza. Nowemu doktorowi powiedziałam, że urodziła się, kiedy ty stacjonowałeś za granicą. To duża przychodnia, mają mnóstwo pacjentek, nikt nie sprawdzi. Tym bardziej że wkrótce się przeprowadzimy. Chcę, żeby Tara wychowywała się na wsi, ty chyba też...

Garth doskonale wiedział, że nie ma nic do powiedzenia. Mógł tylko podziwiać błyskawiczną i dopracowaną w każdym szczególe taktykę, z jaką jego żona przeprowadziła swoją kampanię - i odniosła całkowite zwycięstwo.

Tara była ich. Ale czy była jego?

Rozdział 14

Tara uniosła głowę opartą dotąd wygodnie na kolanach Rylanda, sięgnęła po pilota i wyłączyła telewizor. Skończyli właśnie oglądać film z wypożyczalni wideo, w czasie którego zjedli chińszczyznę zamówioną przez Rylanda w pobliskiej restauracji. W ten sposób uczcili pierwszą rocznicę ich pierwszej randki,

- Pomyśl tylko, Ry, że za miesiąc o tej porze będziemy już w Bostonie - mruknęła i przeciągnęła się rozkosznie.

- Mmm... nic o tym nie wiem - droczył się z nią Ryland, zanurzając dłoń we włosach ukochanej i przeczesując je palcami.

Uwielbiał jej włosy. Były gęste, jedwabiste, lśniące, pełne życia, silne i zdrowe, zupełnie jak ich właścicielka. Pierwsze, co go zafascynowało w Tarze, to właśnie owo poczucie szczęścia, radość, energia, którymi zdawało się promieniować jej ciało. Nigdy dotąd nie spotkał nikogo, kto żyłby w takiej harmonii ze światem, kto miałby w sobie tyle pogody ducha, co jego najdroższa. Tara była wrażliwa, ciepła, pełna spokojnej wiary we własne siły, otwarta na ludzi. Z miejsca podbiła jego serce swoją niezwykłą osobowością.

- Nie masz jeszcze wizy, a nie wiem, czy władze amerykańskie odstąpią akurat dla ciebie od zwykłych restrykcji - oznajmił.

Tara wyprostowała się gwałtownie, spojrzała na Rylanda z pełną urazy miną i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że stroi sobie z niej żarty.

- Och, ty - naburmuszyła się. Jej usta były przy tym tak cudownie pełne, tak seksowne, że Ryland natychmiast nachylił się, by je pocałować. - Mmm... ciągle jeszcze smakujesz kaczką po pekińsku! - roześmiała się, odsuwając się od niego.

- A ty krewetkami.

- Och, Ry - rozmarzyła się Tara - pamiętasz, jak pierwszy raz zostałam tutaj z tobą na noc?

- Oczywiście, że pamiętam. Wyobrażasz sobie, że mógłbym zapomnieć?

- Nie miałeś w domu prezerwatyw, musieliśmy wyjść i kupić...

- Myślałem, że przyniesiesz je ze sobą - zakpił. Był pewien, że jego rodzice z miejsca pokochają Tarę.

Matka przyjmie ją do serca niczym własną córkę, a ojciec z miejsca ulegnie jej urokowi. Ryland nie pamiętał, by kiedykolwiek między nimi a rodzicami doszło do jakiegoś poważniejszego nieporozumienia. Od razu rozumieją, tak jak on rozumiał od pierwszej chwili, że Tara jest mu przeznaczona.

Z ciotką sytuacja była trochę bardziej skomplikowana, ale też sama ciotka była inna. Dla niej najważniejsze było to, aby Ryland ożenił się i miał dzieci. I to nie z byle kim.

Po śmierci męża ciotka zajęła się wyłącznie interesami, z nimi łączyła swoje nadzieje, im oddawała się z pasją. W innej sytuacji przelałaby owe nadzieje na Margot, a potem na wnuki, które dałaby jej córka. Wnuki byłyby w sposób naturalny spadkobiercami firmy i dziedzicami olbrzymiej fortuny, którą ona sama przejęła w posagu. Tyle że ciotka nie mogła mieć wnuków, co Margot wyraźnie dała do zrozumienia, oznajmiając rodzinie na swój wyzywający i okrutny zarazem sposób, że nigdy nie urodzi dziecka. Skoro na mocy prawa ziemskiego zakazano jej poślubić Lloyda, ona sama na mocy prawa życia zakazała sobie małżeństwa z jakimkolwiek innym mężczyzną.

- Podałam się sterylizacji - oznajmiła matce sucho któregoś dnia, po czym dodała z naciskiem: - Skoro nie mogłam urodzić dziecka Lloydowi, jedynemu mężczyźnie, którego kocham i zawsze będę kochała, nie urodzę dziecka w ogóle.

I tak oto małżeństwo Rylanda stało się dla ciotki priorytetem. Tylko on mógł zapewnić rodzinie potomków, którzy przejęliby rodowe dziedzictwo. A że dziedzictwo to było wielkie, toteż ciotka wyjątkowo krytycznie odnosiła się do kolejnych kandydatek, które pojawiały się w orbicie zainteresowań Rylanda.

- Jak, twoim zdaniem, przyjmie mnie twoja rodzina, twoja ciotka? - zapytała Tara, jakby odgadywała jego myśli.

Ryland przywołał na twarz uśmiech, który miał dodać jej otuchy.

- Ciotka na pewno cię zaakceptuje. Wszystko będzie dobrze - zapewnił pełnym przekonania tonem i przytulił serdecznie dziewczynę

Jednak Tara wyczuła instynktownie jego napięcie. Jakiś głos z głębi duszy podpowiadał jej, że Ry coś przed nią ukrywa, coś ważnego, istotnego. Podobne uczucie ogarniało ją, gdy była jeszcze dzieckiem i między rodzicami narastało podobne napięcie. Na przykład przed rozwodem, kiedy to próbowali udawać, że wszystko jest między nimi w porządku, choć ona doskonale wiedziała, że dzieje się źle.

W końcu powiedzieli jej prawdę - nigdy z rozmysłem jej nie okłamywali. Niemniej fakt, iż przez pewien czas utrzymywali tę decyzję w tajemnicy, pozostawił w psychice Tary podświadomy lęk; od tego czasu już zawsze miała towarzyszyć jej obawa, że najbliżsi mogą coś przed nią ukrywać.

- Jest coś, czego nie chcesz powiedzieć - oznajmiła, patrząc ukochanemu prosto w oczy.

- Dlaczego tak myślisz? Moja rodzina cię pokocha - powtórzył z przekonaniem. Najwyraźniej wierzył w to, co mówi, a jednak Tara czuła, że są jakieś problemy, które go niepokoją, że nie jest z nią zupełnie szczery.

O co chodziło? O młodzieńczy romans z jakąś dziewczyną z zaprzyjaźnionego domu; dziewczyną, której pochodzenie czyniło ją w oczach rodziny Rya bardziej odpowiednim materiałem na żonę niż Tara? Znała go zbyt dobrze, by podejrzewać, że mógł zataić przed nią jakiś poważny związek z przeszłości.

Za wszelką cenę pragnęła uciszyć ten wewnętrzny głos, który napełniał ją obawami i niszczył jej szczęście, ale nie mogła. Kiedy więc Ry zaczął całować delikatnie jej szyję, wkładając jednocześnie dłoń pod bluzkę, obruszyła się tylko i odsunęła jego dłonie.

Rylanda zirytował ten gest. Co ją ugryzło, myślał. Nie chciał, żeby zagłębiała się w jego sytuację rodzinną. Nie wiedział jeszcze, jak jej powiedzieć, że zamiast zostać żoną nieźle opłacanego młodego menedżera pracującego w rodzinnej firmie, którą pewnego dnia miałby w końcu przejąć, został przygotowany do prowadzenia wielkiej, niezwykle dochodowej kompanii. Wydawnictwo funkcjonowało tak dobrze, że majątek Rya ulokowany w akcjach i obligacjach liczył miliony dolarów, a do tego należało jeszcze dodać fortunę, którą pewnego dnia, oby w jak najdalszej przyszłości, miał odziedziczyć po ciotce.

Wychowywany w przepelnionym miłością, ustabilizowanym domu, nauczył się nie dopuszczać do siebie ludzi, na których wrażenie robiły przede wszystkim jego pieniądze. Nie był jednak przygotowany na to, że zakocha się w dziewczynie, która nic nie wiedziała o obostrzeniach, jakie współczesny świat narzucał ludziom bogatym, i której, jak podejrzewał, na pewno nie będą się one podobać.

Na całym świecie, nawet w Wielkiej Brytanii, ludzie bogaci zmuszeni byli chronić swoje rodziny w sposób, który musiałby zapewne wywołać ostre protesty ze strony obrońców praw człowieka. Boston nie był wcale wyjątkiem.

Oczywiście, Ry wcale nie chciał, by jego dzieci żyły zamknięte za wysokimi murami, by wszędzie, na każdym kroku, towarzyszyli im osobiści ochroniarze. Wiedział jednak, że tak właśnie będą musiały żyć, że nie będą mogły cieszyć się tą samą swobodą, w atmosferze której wychowywała się Tara i którą, jak instynktownie czuł, pragnęłaby zapewnić swojemu potomstwu.

- To oczywiste, że nasze dzieci powinny mieć przy sobie obydwój rodziców - oznajmiła z całą powagą, gdy rozmawiali kiedyś na ten temat.

Pamiętał też, jak opowiadała mu o swoich wędrowkach po przydomowych lasach i łąkach, o wałęsaniu się z bandą dzieci z sąsiedztwa w poszukiwaniu ptasich gniazd i tropów zwierzyny, o zakradaniu się do cudzych sadów i potajemnym zrywaniu owoców. Słuchał tych opowieści i nie miał odwagi jej powiedzieć, że ich dzieci być może nigdy nie zaznają tych prostych przyjemności. Że skazane zostaną na zabawę za wysokimi murami własnego domu, bo tylko tam będą naprawdę bezpieczne.

Być może powinien był powiedzieć jej o tym otwarcie na samym początku. Milczał jednak w obawie, że wystraszy dziewczynę. Są kobiety gotowe zrobić wszystko, by zdobyć bogatego mężczyznę, inne reagują natychmiastową ucieczką; Tara bez wątpienia należała do tej drugiej kategorii.

Zakładał, że przy odrobinie szczęścia ciotka wycofa się z interesów nie wcześniej niż za dziesięć lat. Rok wcześniej, podczas swoich sześćdziesiątych urodzin, oznajmiła, że na razie nie ma najmniejszego zamiaru spocząć na laurach i przekazywać mu firmy.

Dziesięć lat to szmat czasu, pocieszał się. Przez ten okres Tara powinna przywyknąć do warunków życia narzucanych przez posiadany majątek i pogodzić się z nimi.

Zbliżył się do niej ostrożnie i pocałował czule płatek jej ucha.

- Przecież mieliśmy uczcić naszą pierwszą rocznicę - przypomniał przymilnie.

- Mhm... - mruknęła, zamykając oczy. - Wielki z ciebie szczęściarz, Ry - dodała cicho.

- Dlatego, że mnie kochasz? - zapytał z przekorą w głosie.

Tara pokręciła przecząco głową.

- Nie, dlatego że twoi rodzice są razem - powiedziała poważnie. - Kocham mamę i tatę tak bardzo, że oddałabym za nich życie, ale czasami... - przerwała i ponownie pokręciła głową. - Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo bym chciała, żeby znowu mogli być razem. Życie byłoby wtedy doskonałe, a mnie nie brakowałoby niczego do szczęścia.

- Rozumiem, co czujesz, ale to dorośli ludzie. Musisz uszanować ich decyzję.

- Wiem, wiem... a jednak... Próbowałam kiedyś ich godzić, ale nic z tego nie wyszło.

Tara miała wówczas lat czternaście. Bardzo tęskniła za ojcem, bowiem dom bez niego wydawał się jej nieznośnie pusty. Poza tym zaczęła dojrzewać i uświadamiać sobie coraz wyraźniej, że osoba matki budzi zainteresowanie obcych mężczyzn. Krótko mówiąc, była zazdrosna o Claudię niejako w imieniu ojca.

Szczególnie jeden z adoratorów ją drażnił - miał trzydzieści kilka lat, był klientem matki i zaprosił ją pewnego wieczoru na kolację.

- Muszę iść, kochanie - usprawiedliwiała się przed córką Claudia. - Chodzi o... o interesy. Ashley jest tak bardzo zajęty, że może ze mną spokojnie porozmawiać dopiero wieczorem.

- To dlaczego nie przyjmiesz go w domu? Moglibyście rozmawiać w twoim gabinecie - sprzeciwiła się ostro Tara. - Dlaczego musisz jeść z nim na kolację?

- Och, kochanie...

- Ja nie chcę, żebyś wychodziła! - oznajmiła z pasją, czując napływające do oczu łzy.

- Nie płacz, Taro, bardzo cię proszę - w głosie Claudii dało się słyszeć konsternację. - Co ci się stało, maleńka? Może masz jakieś kłopoty w szkole? Ktoś zrobił ci przykrość?

- Nie! - odparła Tara zgodnie z prawdą, po czym dodała surowo: - Dziewczynki w szkole opowiadają różne rzeczy, więc wszystko wiem.

- Co takiego?

- Jak to jest, kiedy... kiedy kobieta idzie wieczorem na kolację... z mężczyzną. Ja... ja widziałam w telewizji... On chce, żebyś z nim poszła do łóżka, mammo. Czy tata wie, że się z nim umówiłaś? Powiedziałaś mu?

Zażenowanie matki zamieniło się w jednej chwili w gniew.

- Ojcu nic do tego, co robię i z kim się spotykam! Jesteśmy rozwiedzeni, Taro, i każde z nas ma teraz swoje własne życie. Twój ojciec nie ma najmniejszego prawa wtrącać się w moje sprawy i dyktować mi, jak powinnam się zachowywać, tak jak ja nie mam prawa sprzeciwiać się jego decyzjom i wyborom.

- Ale tata trzyma na szafce nocnej naszą fotografię - prowokowała matkę Tara. - I nie zaprasza obcych pań na kolacje.

Matka w odpowiedzi zacisnęła usta i odwróciła wzrok.

Ostatecznie kolacja nie doszła do skutku, bowiem Tarę tego samego wieczoru rozboleł żołądek, zaczęła wymiotować i matka, chcąc nie chcąc, musiała odwołać zaplanowane spotkanie.

Kilka tygodni później, spędzając weekend u ojca, Tara powiedziała mu, jak bardzo się boi, że matka zwiąże się z innym mężczyzną.

- Ja chcę, żebyśmy znowu mieszkali razem, tato. Dlaczego musi być tak jak jest, nienawidzę tego - mówiła z pasją.

- Wiesz, kochanie, że to niemożliwe - tłumaczył jej łagodnie ojciec. - Twoja matka ma prawo żyć swoim własnym życiem. Jeśli ma ochotę umawiać się z mężczyznami, to jej sprawa. Rozumiem, co czujesz, bo i mnie nie jest łatwo, ale nic nie możemy na to poradzić. Pamiętaj raczej, że fakt, iż mama i ja nie mieszkamy razem, w niczym nie zmienia naszej miłości do ciebie. Obydwoje bardzo, bardzo cię kochamy, Taro. Obydwoje - powtórzył. - I mogę ci przysiąc, że nikt i nic nie odmieni tej miłości.

- Boże, kiedy ja nie chcę, żeby mama spotykała się z kimś innym! Nie chcę, żeby wyszła drugi raz za męża! Nie chcę, żebyś ty się ożenił! - wyznała ze łzami w oczach. - Jesteście moimi rodzicami, powinniśmy być razem. Dlaczego wszystko musi być inaczej?

- Och, Taro - westchnął Garth i przytulił córkę mocno do siebie.

- Nie mógłbyś porozmawiać z mamą, powiedzieć jej... wytłumaczyć? Nie mógłbyś powiedzieć, że... wrócisz do nas? - nastawała, ale ojciec kręcił tylko głową.

- Nie, kochanie. Obawiam się, że to jednak niemożliwe.

Mijały miesiące, a Tara usiłowała uporczywie - i bezskutecznie - skojarzyć na powrót swoich rodziców. Wracając teraz pamięcią do tamtych wydarzeń, domyślała się, że Claudia i Garth musieli rozmawiać między sobą o tych rozpaczliwych, pełnych determinacji zabiegach córki, obydwójce bowiem przyjęli jednakowo nieugiętą, niewzruszoną postawę: powtarzali Tarze, że jakkolwiek bardzo ją kochają, ich małżeństwo należy do przeszłości i nic nie zdoła go wskrzesić.

Teraz rozumiała już w pełni i akceptowała fakt, iż rodzice mają prawo wieść własne życie. A jednak gdzieś w głębi duszy wciąż hołubiła tę idiotyczną, dziecięcą nadzieję, że kiedyś znowu się zejdą.

Rylandowi powtarzała, że ich małżeństwo nigdy się nie rozpadnie. Nigdy, przenigdy nie dopuściłaby do rozwodu, nigdy nie odeszłaby od Rya i nie pozwoliłaby, żeby on odszedł od niej. W każdym razie na pewno nie wtedy, kiedy mieliby dzieci.

- Pewnie myślisz, że jestem okropnie staroświecka - mówiła buńczucznie.

- Nie, zgadzam się ze wszystkim, co mówisz - odpowiadał spokojnie. - Ja też uważam, że nasze małżeństwo przetrwa, Taro. To związek na całe życie. Jakże mogłoby być inaczej, skoro moja miłość do ciebie jest wieczna?

Mówił to z takim przekonaniem, że wszelkie wątpliwości, jakie mogła żywić na temat ich związku, natychmiast się rozprasały.

- I nigdy nie będziemy mieli przed sobą żadnych tajemnic, prawda, Ry? - zapytała, moszcząc się wygodnie w jego ramionach. - Zawsze będziemy mówili sobie prawdę... będziemy mówili sobie wszystko. Nie chcę, żebyś coś przede mną ukrywał. Musisz mówić o wszystkim, co cię dotyczy.

- Aha... mam zatem pani wyznać, że o północy, podczas pełni księżyca, zamieniam się w wilkołaka? - pokpiwał Ryland. I chociaż sobie żartował, w głębi serca czuł się winny, wyrzucał sobie, że są sprawy, o których jej nie mówi, a które ona znać powinna.

Bo też on powinien powiedzieć jej o wszystkim przed podróżą do Bostonu. Owszem, powiem, obiecywał sobie, głaszcząc udo Tary. Mam jeszcze mnóstwo czasu.

Tego roku kiedy Estelle skończyła jedenaście lat, jej matka nieoczekiwanie oznajmiła, że dziewczynka spędzi letnie wakacje u ojca.

- Nie chcę - sprzeciwiała się Estelle. - To okropna wiocha, nie ma tam nic do roboty. Nawet nie wiesz, jak strasznie nie znoszę tego miejsca. Dlaczego nie mogę zostać w Londynie?

- Dlatego że my z Ethianem wyjeżdżamy. Nie zostaniesz tu przecież sama - oznajmiła chłodno Lorraine,

- Wyjeżdżacie? Dokąd? Dopiero co wyjeżdżaliście na Wielkanoc.

- Tamta podróż to był wyjazd w interesach.

- Akurat. Pojechaliście na narty, a nie w interesach.

- Nie pozwalaj sobie! To była podróż służbowa - ofuknęła ją matka. - Ja tylko towarzyszyłam twojemu ojczymowi. Teraz zresztą będzie tak samo. Ethian został zaproszony na jacht, na którym popłynie w rejs kilku innych biznesmenów.

- Ładna mi podróż służbowa...

- Nie zamierzam dyskutować z tobą na ten temat, Estelle - ostrzegła ją matka lodowatym tonem. - Jeśli będziesz się upierała, to...

- To co mi zrobisz? Zostawisz mnie samą? Wiesz dobrze, że to niezgodne z prawem.

- Przestań! Zaczynam powoli tracić cierpliwość, smarkulo. Pojedziesz do ojca i koniec dyskusji.

- Trzeba było mnie nie rodzić, jeśli nie chciałaś mieć dzieci!

- Rzeczywiście, masz rację, tak byłoby lepiej - przyznała matka. - Wierz mi, że coraz częściej dochodzę do podobnego wniosku.

Estelle była uodporniona na klótnie i epitety, te jednak słowa za każdym razem raniły ją do żywego. Obróciła się i wyszła z pokoju bez słowa, wieczorem zaś zakradła się pod drzwi sypialni rodziców i słuchała, jak matka uskarża się na nią ojczymowi:

- Estelle uparła się, że nie pojedzie do ojca. Mam wrażenie, że ta dziewczyna wszystkiego mi zazdrości. Wścieka się na myśl, że chcę trochę odpocząć, rozerwać się. Nie widzi, ile dla niej poświęciłam? John nigdy jej nie chciał...

- Może powinnaś jej o tym powiedzieć, niech wreszcie zrozumie, ile miała szczęścia - Estelle usłyszała odpowiedź Ethiana.

- Och, przydałby się jej taki wstrząs, naprawdę.

- Inaczej będzie niewdzięczna i krnąbrna.

- Wiesz, Ethian, zaczynam myśleć, że miałeś rację. Powinnam była wysłać ją do szkoły z internatem.

Estelle oczywiście pojechała do ojca na wieś, a jej wizyta okazała się jednym wielkim niewypałem. Źle się czuła na farmie. Przyrodni brat, Ian, denerwował ją, do Sophie odnosiła się z chłodnym lekceważeniem, jeśli zaś chodzi o Rebeccę - tej wręcz nienawidziła.

- Wcale ci tu nie jestem potrzebna - zarzuciła ojcu. kiedy ten zaczął strofować ją, że z rozmysłem dokucza rodzeństwu. - Nigdy mnie nie chciałeś!

Nie potrafiła powiedzieć, do kogo miała większy żal - do matki czy do ojca. Żadne z nich jej nie kochało, a ojciec w dodatku całą miłość, której jej poskąpił, przełał na swoją nową rodzinę. Z mieszaniną gniewu, goryczy i głębokiej niechęci patrzyła, jak ciągle bawi się z Rebeccą, jak czule się do niej odnosi, jak łagodnie do niej przemawia.

Dla Iana, swojego przyrodniego brata, czuła wyłącznie pogardę. Miała wrażenie, że chłopak usiłuje ją udobruchać i zjednać sobie, ale to wściekało ją jeszcze bardziej. Nie potrzebowała litości. Niech sobie zatrzyma tego swojego tatusia, myślała ze złością, jej ten człowiek jest obojętny i nie chce mieć z nim nic wspólnego.

Już od dawna myślała o tym, że kiedy dorośnie, znajdzie sobie bogatego faceta, znacznie bogatszego niż Ethian i znacznie, znacznie bogatszego niż ojciec. Takiego, dla którego będzie najważniejsza na całym świecie, I niech jej zazdroszczą.

Czy ona sama zazdrościła Ianowi, Rebecce albo Sophie? Nie, oczywiście, że nie. Po prostu ją denerwowali, nie lubiła ich. Nikogo zresztą nie lubiła. Nauczyła się już, że ludzie tylko udają, że kogoś lubią, ale nigdy nie są w tym bezinteresowni. Matka udawała, że ją lubi, kiedy chciała zyskać jej przychylność. Poza tym traktowała ją jako zawadę, która przeszkadza miło spędzać czas.

Estelle niecierpliwie wyczekiwała, kiedy wreszcie jej pobyt na farmie dobiegnie końca. W Londynie mogła przynajmniej robić to, na co miała ochotę. Matka zbyt była zajęta sobą, by ingerować w jej życie. Jeśli tylko schodziła jej z jej drogi, mogła korzystać z nieograniczonej swobody.

A tutaj? Nie dość, że ją pilnowali, to na dodatek próbowali ją przekupić. Ona jednak wszelkie serdeczne gesty, które miały prowadzić do rodzinnego zbliżenia, przyjmowała z wyniosłym chłodem. Ba, sprawiało jej wręcz przyjemność, że swoimi kłótniami denerwuje macochę i psuje wszystkim humor.

A niby dlaczego miałyby się hamować? Nienawidziła ich przecież z całego serca, szczególnie ojca.

Kiedyś postanowiła sobie, że nie pozwoli mu wysłać się do szkoły z internatem. Blade swojemu pozwolił - zrobił błąd.

Blade...

Och, Blade na przemian fascynował ją i odpychał. Matka i Ethian byli co prawda małżeństwem od czterech lat, ale Blade przez ten czas spędził nie więcej niż cztery miesiące w domu, gdzie nikt go nie chciał na stałe.

- Nie sądzisz, Ethian, że wystarczy nam kłopotów z tą jedną smarkatą? - usłyszała kiedyś Estelle, gdy jak zwykle podsłuchiwała pod drzwiami sypialni. - Nie mam ochoty, żeby jeszcze Blade nam się tutaj plątał.

I tak Blade nawet niektóre ferie spędzał w internacie.

- Mój ojciec ożenił się z twoją matką tylko dlatego, żeby mieć ciepły towar do łóżka - oświecił ją kiedyś, kiedy przybył do rodzinnego domu na święta. - Wiesz chyba, po co ludzie idą do łóżka, co? - zapytał, gdy nie zareagowała na jego rewelacje.

Ma się rozumieć, że wiedziała. Słyszała odgłosy dochodzące nocą z sypialni rodziców. Widziała w telewizji pewne sceny, które opowiadała potem z przejęciem

koleżankom w szkole. Poza tym matka miała przecież innych mężczyzn, zanim poznała Ethiana.

Czy sama chciałaby spróbować?

Czemu nie? Najchętniej z Bladem. Z nim rozumiała się najlepiej, bowiem Blade nienawidził swojego ojca równie gorąco, jak Estelle nienawidziła swojego. Był poza tym tak różny od ludzi, których Estelle dotąd знаła, że myślała o nim coraz częściej. Był inny niż kumpelki z żeńskiej szkoły, inny od matki, od Ethiana, od ojca i całej jego rodziny. Blade był...

No właśnie, jaki? Niebezpieczny?

Tak, niebezpieczny i podniecający. Miał w sobie to coś, a poza tym w pewien przedziwny sposób zdawał się bardzo podobny do niej samej.

Rozdział 15

Uparte krzyki jakiegoś dziecka, które szarpało się z bezradną matką tuż obok zaparkowanego w cichej uliczce auta, wyrwały Claudię z zamyślenia. Ocknęła się zeszytniała i zmarznięta, by stwierdzić ze zdumieniem, że zrobiło się już późne popołudnie.

Ile godzin spędziła, siedząc nieruchomo w samochodzie i zagłębiając się w przeszłość? Na pewno zbyt wiele.

Co ją opętało, by rzucić wszystkie zajęcia i przyjechać tutaj? Po co zadaje sobie pytania, na które od dawna zna odpowiedź?

Kierowały nią wyrzuty sumienia i ból. Wyrzuty sumienia, ból i strach. Nie, nie winiła się za to, że wzięła Tarę. Z tego powodu nigdy nie czuła się winna. Kiedy wynosiła ją maleńką z obskurnego mieszkania, przyrzekła jej, że będzie ją kochać tak mocno, jakby była jej matką. Postanowiła, że od tej chwili Tara będzie jej dzieckiem, i wciąż była przekonana, że postąpiła właściwie. A jednak czuła się winna...

Nie dlatego że wzięła Tarę, ale dlatego że pozwoliła jej wzrastać w nieświadomości prawdy. Myślała, że w ten sposób chroni swą córkę, a przede

wszystkim chciała ochronić siebie. Powtarzała sobie, że to Tara jest dla niej najważniejsza, a przecież...

- Pewnego dnia będziesz musiała jej powiedzieć, dla jej własnego dobra - ostrzegł ją Garth delikatnie, w dniu kiedy Tara poszła po raz pierwszy do szkoły.

Obiecała mu wtedy, że to uczyni, we właściwym czasie. Zanim jednak nadszedł właściwy czas, dowiedziała się, że ojcem Tary jest Garth, jej własny mąż. Potem zaś nie mogła, nie potrafiła powiedzieć córce, czym naprawdę jest dzieckiem. Sama to sobie z trudem uzmysławiała.

W różnych momentach życia Tary drżała w obawie, że prawda wyjdzie na jaw, ale szczęśliwie nikt nigdy o nie nie pytał i kłamstwa, które zmyśliła, wyrabiając metrykę urodzenia, nigdy nie zostały ujawnione.

Wystarczyło jednak, by ktoś sprawdził dokumenty w szpitalu, z którego Claudia wezwała jakoby lekarza bezpośrednio po przedwczesnym porodzie w domu. Wystarczyło naprawdę niewiele dociekliwości, by odkryć całemu światu prawdę, która nawet w jej sercu została głęboko ukryta - że Tara Wallace nie jest jej córką.

Kiedy przenieśli się do Ivy House, Claudia utrzymywała, że cała dokumentacja medyczna dotycząca jej osoby gdzieś się zawieruszyła. Nikt nie zainteresował się, dlaczego maleństwo zarejestrowano dopiero w kilka tygodni po deklarowanej dacie urodzenia. Czy to takie ważne? Najważniejsze, że w metryce Tary jako rodzice figurowali państwo Claudia i Garth Wallace.

Cóż, przynajmniej w połowie była to prawda.

A druga połowa prawdy? Ano właśnie, to z tego powodu Claudia omal nie zemdląca, kiedy Tara powiedziała jej o wyjeździe. Problem polegał na tym, że amerykańskie ambasady znane były ze swojej dociekliwości. W sprawdzaniu kandydatów do otrzymania wizy, a ciotka Rylanda była ponoć jeszcze gorsza niż urzędnicy.

Od tego czasu serce Claudii nie mogło się uspokoić. Garth miał rację. Nie powinna była dopuścić, by Tara dowiedziała się prawdy od kogoś obcego.

Ale jak, na Boga, miała teraz powiedzieć jej o wszystkim? Co się stanie, jeśli dojdzie do takiej rozmowy? Czy Tara zrozumie, czy też odwróci się od matki, zniechęci ją? Tak, Claudia wiedziała, że córka ją kocha, ale wiedziała też, jak szybko

miłość może się zamienić w gorzką nienawiść, kiedy człowiek odkrywa, że ci, których kochał, okłamywali go i oszukiwali przez całe życie, że zawiedli pokładaną w nich ufność.

Sama nie była w stanie zapomnieć, jak się poczuła owego dnia, kiedy odkryła, że to Garth jest ojcem Tary.

Był to dzień jak każdy inny, niczym się nie wyróżniał. Chyba tym tylko, że Claudia i Garth byli umówieni z laryngologiem w pobliskim szpitalu, z którym mieli omówić planowany zabieg usunięcia Tarze migdałków. Mała od chwili pójścia do szkoły ciągle chorowała na anginę i lekarz domowy namówił wreszcie oporną dotąd Claudię, by zasięgnęła porady specjalisty.

Od czasów niemowlęctwa Tary Claudia bardzo niechętnie kontaktowała się z przedstawicielami świata medycyny. Garth wiedział, że łączy się to nie tyle z jej własnymi przeżyciami, co z obawą, że lekarze mogą zacząć wypytywać o okoliczności przyjścia dziecka na świat. To dlatego wziął w pracy dzień wolny, by razem z Claudią pojechać do szpitala, gdzie mieli spotkać się z laryngologiem.

Było to z jego strony wielkie poświęcenie, bowiem w ciągu lat, jakie upłynęły od pojawienia się Tary i przeprowadzki do Ivy House, firma Gartha rozwijała się bardzo szybko, a on sam coraz więcej czasu musiał spędzać w biurze. Claudię tak jednak pochłaniało macierzyństwo i zaspokajanie potrzeb Tary, że zdawała się nie zauważać nieobecności męża.

Owszem, czasami budziły się w niej wyrzuty sumienia, czuła skruchę, że zepchnęła Gartha na peryferie swojego życia, które niemal wyłącznie obracało się wokół córki. Garth zaś czynił od czasu do czasu kąśliwe uwagi, że nawet w rzadkich momentach, kiedy mają czas tylko dla siebie, rozmowa i tak schodzi na tematy związane z dzieckiem. Ale przecież w gruncie rzeczy i on uwielbiał Tarę i był dla niej gotów przecierpieć wszystko.

Claudia pocieszała się tym, że nie ona jedna ma problemy z łączeniem ról matki i kochanki. Garth, na szczęście, zdawał się akceptować taką sytuację. Był szczęśliwy, kiedy mogli zaznać wspólnych rozkoszy w któryś z niedzielnych poranków, a i jej wystarczało to w zupełności. Inne, jak słyszała, nie miały nawet i tego.

Tego więc dnia, gdy ruszyli z Tarą do szpitala, poranek był chłodny, jesienny. Claudia siedziała zrelaksowana w fotelu pasażera i oglądała z uśmiechem przesuwane się za oknem auta nostalgiczne krajobrazy.

- Pamiętasz, jak pierwszy raz wziąłem cię na przejażdżkę, już jako oficjalny narzeczony? - zapytał Garth, zdając się czytać w jej myślach.

- Mhm - odparła. - Ogrzewanie w samochodzie nie działało.

- Zjechałem z szosy, żeby zobaczyć, co się dzieje - ciągnął Garth z lubieżnym błyskiem w oku. - Nawiewu nie naprawiłem, ale bardzo spodobał mi się sposób, w jaki podnieśliśmy temperaturę we wnętrzu...

- Garth! Uważaj, rowerzysta - napomniała go Claudia.

Posłał jej krzywe spojrzenie i nie wrócił do przerwanej rozmowy. Ilekroć ostatnio zaczynał wspominać o seksie, natychmiast wylewała mu na głowę kubek zimnej wody.

Czy Garth rozumiał, jak bardzo pochłania ją Tara?

Och, tak, oczywiście. Uważał, że jest wręcz opętana macierzyństwem. Zdawał sobie sprawę, że to irracjonalne, by czuł się wykluczony, ale cóż miał poradzić. Miał być zazdrosny, obrażać się, chować urazy? Przecież wiedział, że Tara zawsze będzie na pierwszym miejscu, że to ona jest dla Claudii najważniejsza. Bolało go tylko, że jego towarzystwo zdaje się jej zupełnie obojętne, że nie tęskni za tym, by spędzać z nim wspólne chwile.

Nie był naiwny, rozumiał, że dawno minęły czasy, kiedy mogli się kochać w sposób nieskrępowany i całkowicie swobodny, tak jak wtedy, gdy byli młodym małżeństwem. Tara niedługo miała skończyć trzynaście lat, była inteligentna, bystra i niezwykle ciekawska, więc wszędzie było jej pełno.

Tylko że nawet gdyby dana im była taka możliwość - wspólny dzień, wieczór, godzina - Claudia i tak wolałaby zająć się czym innym, a on zostałby sam z gazetą albo dokumentami przyniesionymi z pracy.

Kiedy Garth zaparkował pod szpitalem i zobaczył minę żony, zapomniał o wszystkich pretensjach. Biedna Clo, powinien okazywać jej więcej zrozumienia, nawet jeśli... Nawet jeśli miał do niej żal o to, że go odtrąca, że nie chce powiedzieć

Tarze prawdy. On sam był przekonany, że Tara powinna poznać prawdę o swym pochodzeniu, przynajmniej tyle prawdy, ile będzie w stanie zrozumieć.

Początkowo Claudia zgadzała się z jego zdaniem, ale zauważył, że ostatnio, ilekroć podnosił ten temat, wycofywała się z rozmowy.

- Jak mam jej powiedzieć? - zapytała, gdy niedawno raz jeszcze próbował podjąć tę kwestię. - Jest jeszcze za młoda, żeby zrozumieć. Co ma usłyszeć: „nie jestem twoją matką”?

- Nie wiem, ale wydaje mi się, że pewnego dnia musi się dowiedzieć - nastawał Garth łagodnie. - Od nas.

- Nie musi - Claudia odpychała jego argumenty. - Wszyscy są przekonani, że jest moja... nasza - poprawiła się pospiesznie. - Gdyby ktoś miał odkryć, że jest inaczej, już dawno by się to stało.

Garth westchnął, nie chcąc wszczynać sprzeczki, która wytrąciłaby żonę z równowagi. Być może miała rację. Być może Tara powinna żyć w nieświadomości. Co jednak, jeśli się dowie... jeśli prawda wyda się przypadkiem?

- Pewnego dnia o wszystkim jej powiem - obiecała Claudia niechętnie. - Kiedy... kiedy nadejdzie stosowny czas.

Czasami Garth miał wrażenie, że jego rodzina nie składa się wcale z dziecka i dwójki dorosłych rodziców, lecz że on, ojciec, ma pod opieką dwie dziewczynki, obie uparte i obie wymagające wyrozumiałości, cierpliwości i opieki. Mimo wszystko kochał Claudię, wciąż ją kochał...

- Spotkanie z laryngologiem nie powinno zająć nam wiele czasu. Może pojedziemy później na lunch? - zaproponował. - Niedaleko otworzyli nową włoską restaurację. Zawsze lubiłaś włoskie jedzenie.

- Och, Garth, nie mogę - spłoszyła się Claudia. - Muszę kupić materiał na kostium dla Tary. Jej przyjaciółka urządza bal kostiumowy. Poza tym mam dzisiaj dyżur w ośrodku.

Kilka razy w miesiącu Claudia udzielała darmowych konsultacji w lokalnym ośrodku społecznym. Garth wiedział, że żona lubi swoją pracę, ta jednak ciągle podkreślała, że może się udzielać tylko o tyle, o ile nie koliduje to z zajęciami Tary.

- Powinna mieć mnie blisko, ilekroć jestem jej potrzebna - przekonywała go, gdy mówił, że Claudia ma stanowczo za mało czasu dla siebie. I dla niego, pomyślał wówczas, ale tego nie powiedział już na głos.

Laryngolog powitał ich ciepłym uśmiechem.

- To bardzo prosty zabieg - zapewnił, przeglądając kartę Tary. - Stanowczo doradzam, żebyście się państwo jednak zdecydowali. Ciągłe choroby nie spowodują u małej trwałych szkód, ale są mimo wszystko dość uciążliwe. Dzieci, które często się przeziębiają, mają potem zaległości w szkole. Poza tym lepiej przeprowadzić operację teraz niż czekać. Córka jest w tej chwili w najlepszym wieku. Jedyne problem... - zawiesił głos, odczytując zapisane w karcie informacje - może stwarzać fakt, że Tara ma niezwykle rzadką grupę krwi. Widzę jednak z wyników, że i pan ma tę samą grupę. - Podniósł wzrok na Gartha, po czym dodał jowialnie: - Powiadają, że mądre dziecko zawsze rozpozna ojca, ale w tym przypadku nie może być cienia wątpliwości.

Claudia zerknęła na męża, pewna, że dojrzy na jego twarzy zdumienie. Zamiast zdumienia ujrzała jednak lęk. Garth miał bardzo cienką minę, minę... winowajcy.

Wiedzioną niewytłumaczalnym instynktem, w jednej sekundzie zrozumiała - naprawdę nie wiadomo jak, bo wbrew wszelkiej logice - że Garth rzeczywiście jest ojcem Tary.

Jeszcze gorsza od tego szokującego odkrycia była wszakże świadomość, że od początku musiał o tym wiedzieć i że zachował tę wiedzę dla siebie. A najgorsze było to, że Tara jest jego dzieckiem, a nie jej.

Próbowała zapanować nad sobą i udało jej się to, ale tylko do chwili, gdy znaleźli się na powrót w samochodzie.

- Powiedz, Garth... powiedz, bo nie spocznę, póki się nie dowiem... jesteś ojcem Tary? Jesteś, prawda?

- To bardzo możliwe - odparł po chwili milczenia, po czym zacisnął usta i wbił wzrok w przestrzeń, nie mając odwagi spojrzeć jej w oczy.

- Bardzo możliwe? Macie tę samą, rzadką grupę krwi! Doktor powiedział, że nie może być wątpliwości! Ja też wiem, po prostu wiem... Och, Boże, ty musiałeś...

- Tak - przerwał jej - wiedziałem, że istnieje takie prawdopodobieństwo. Tylko tyle, Claudio. Uwierz mi, że do dzisiejszego dnia...

- Do dzisiejszego dnia miałeś nadzieję, że Tara nie jest twoją córką, tak?

Garth milczał. Co mógł powiedzieć? Że robił wszystko, by zapomnieć o rewelacjach Katriony, że odsuwał je na bok i powtarzał sobie, iż jego miłość do Tary nie ma nic wspólnego z faktem biologicznego ojcostwa. Jeśli rzeczywiście był jej ojcem, to spadała na niego odpowiedzialność za dziecko, a może i prawo do niego. Jeśli nie, to przecież i tak była jego córką, którą szczerze i serdecznie kochał.

Prawdę mówiąc, nie chciał wiedzieć, jak jest w rzeczywistości. Za nic w świecie nie wyrzekłby się córki, ale gdzieś w zakamarkach duszy rozpaczliwie pragnął zignorować swój udział w jej przyjściu na świat.

Robił tak, bo kochał Claudię. Wydawało mu się, że będzie bezpieczniej, mądrzej, lepiej zapomnieć o tym, co mówiła Katriona. Ilekroć wracał myślami do spotkania z tą szaloną dziewczyną, powtarzał sobie, że ona sama nie była pewna, kto naprawdę jest odpowiedzialny za przyjście na świat jej dziecka. Gdyby nie te wspomnienia... gdyby nie te prześladowające go od lat mroczne, ukryte gdzieś w świadomości ciała, bo nie umysłu, wspomnienia, Garth miałby pewność.

A jednak pamiętał. Pamiętał kobietę, która prawdopodobnie nie była Claudią... nie pachniała jak ona, nie mówiła jak ona, zachowywała się zupełnie inaczej... Pamiętał - i nie miał pewności, którą teraz chciała mieć Claudia.

- Przez te wszystkie lata wiedziałeś. Wiedziałeś, że Tara jest twoim dzieckiem, i cały czas mnie oszukiwałeś.

Zaczęła płakać. Kiedy Garth nachylił się ku niej i próbował wziąć ją w ramiona, odepchnęła go i wtuliła się głębiej w fotel, prychając niczym rozwścieczona kotka.

- Nie dotykaj mnie! Już nigdy nie waż się mnie dotknąć! Spałeś z Katrioną! Kochałeś się z nią! Dlaczego... dlaczego... dlaczego, Garth? Jak mogłeś tak mnie zawieść? Jak mogłeś... zdradzić nasz związek? Jak często się z nią widywałeś? Jak ją poznałeś? Kiedy...?

- To nie było tak, jak myślisz - próbował tłumaczyć Garth, choć wiedział, że jego słowa brzmią strasznie banalnie. - Wracajmy do domu, Claudio, tam porozmawiamy spokojnie. Przysięgam ci, że do dzisiejszego dnia nie miałem żadnego dowodu.

- Ale miałeś przypuszczenia, podejrzenia... Garth zacisnął dłonie na kierownicy.

- Owszem - przyznał lakonicznie. - Wiedziałem, że istnieje takie prawdopodobieństwo. Posłuchaj, przecież nie będziemy tutaj rozmawiać. Musimy poczekać, aż...

- Na co mamy czekać? - napadła na niego z furją. - Na kolejne kłamstwa, na następne oszustwa?

- Nigdy cię nie okłamałem, Claudio! - zaprzeczył gwałtownie.

- Owszem, przez milczenie. Przed chwilą sam się do tego przyznałeś.

Wiedziałeś, że możesz być ojcem Tary, a jednak nigdy mi o tym nie powiedziałeś... nigdy nie zdradziłeś się choćby jednym słowem. Pozwoliłeś mi dzisiaj przyjechać tutaj, wiedząc...

- Nie, Claudio. Nie miałem pojęcia, że on... Posłuchaj mnie, proszę, Clo... Wiem, co musisz teraz myśleć, ale to... to naprawdę nie jest tak, jak sądzisz - dokończył żalonym tonem.

- Nie? Masz mnie za kompletną idiotkę? Katriona była biologiczną matką Tary. Przed chwilą ty przyznałeś, że jesteś ojcem. Istnieje tylko jeden sposób, by począć dziecko, czyż nie?

- Proszę, Clo... - nalegał Garth. - Gdybyś tylko zechciała uspokoić się na chwilę i dopuścić mnie do głosu, mógłbym...

- Co byś mógł?

- Wy tłumaczyć! - odparł zniecierpliwiony i z piskiem opon zatrzymał się na światłach.

Claudia wykorzystała ten moment. Niewiele myśląc, wyskoczyła z samochodu rzucając jeszcze na pożegnanie:

- Jedynych słów, które chciałabym usłyszeć, nie możesz niestety wypowiedzieć i obydwójce świetnie o tym wiemy. - Po czym, nie dając mu czasu na odpowiedź, trzasnęła z impetem drzwiczkami, odwróciła się na pięcie i odmaszerowała z dumnie podniesioną głową.

Ledwie skręciła za róg, duma prysła, a do oczu napłynęły piekące łzy. Łzy wywołane szokiem, rozpaczą, gniewem, przede wszystkim jednak przeraźliwym, rozdzierającym bólem.

Przez tyle lat o niczym nie wiedziała, niczego się nie domyślała.

„Weź ją” - nalegała umierająca Katriona i dopiero teraz stało się dla Claudii jasne, dlaczego dziewczyna tak ją zaklinała. Mój Boże, jak Katriona musi teraz śmiać się z niej w duchu. Obydwoje musieli się z niej naśmiewać, kiedy leżeli razem w łóżku i kiedy...

- Nic pani nie jest, moja droga?

Łagodny, matczyzny głos jakiejś kobiety, która zatrzymała się obok Claudii i położyła jej dłoń na ramieniu, przywrócił jej poczucie rzeczywistości. Przełknęła z trudem ślinę, skinęła głową i skłamała:

- Wszystko w porządku. Coś mi wpadło do oka, ale już dobrze.

Coś wpadło jej do oka! Raczej w serce!

Włócznia zdrady, jadowite żądło, trucizna nienawiści.

Gdyby jeszcze chodziło tylko o to, że Garth okazał się niewierny... Owszem, to bolało, ale jeszcze bardziej bolała świadomość, że przez długie lata ukrywał przed nią pochodzenie Tary. Oszukiwał ją codziennie, każdego wieczora i ranka, nocą i dniem. Miał świadomość, że Tara jest jego dzieckiem, że istnieją między nimi więzy krwi, których nie ma między nią i jej ukochaną córką... że z prawnego punktu widzenia on ma o wiele większe prawa do Tary niż ona mogłaby kiedykolwiek rościć. Nienawidziła go za to wszystko, a jeszcze bardziej nienawidziła siebie, że mąż budzi w niej takie uczucia.

Ruszyła szybko w stronę domu, modląc się w duchu, by nie wpaść po drodze na nikogo znajomego i dotrzeć jak najprędzej pod własny dach. Tam zastanowi się nad sytuacją, tu i teraz nie była w stanie.

Jak często Garth spotykał się z Katrioną, myślała po drodze. Gdzie się spotykali? Na pewno nie w jej cuchnącym mieszkaniu. Obraz Gartha z Katrioną w tym obskurnym wnętrzu wywoływał w niej odruch nudności. Czowała się tak upokorzona i wstrząśnięta, że miała ochotę wyc, orać paznokciami twarz, wrywać sobie włosy z głowy. Miała ochotę wykrzyknąć na cały głos poczucie krzywdy i nieznośną udrękę.

Wiedziała, że nie może sobie na to pozwolić - ze względu na Tarę powinna zachowywać się normalnie, choćby wymagało to od niej nadludzkich wysiłków.

Dlaczego Garth w ogóle zadał się z Katrioną? Dlaczego właśnie z nią? Czego zabrakło w ich związku, w ich małżeństwie, że zdecydował się na taki krok?

„Wojskowi, ci są najgorsi - mruzczała Katriona - albo najlepsi, zależy jak na to spojrzeć...”

Czy już wtedy go znała? Czy Garth już wtedy ją...?

Łzy paliły niczym kwas. Mrugała gwałtownie, żeby się ich pozbyć, a jednak nadal torturowała się obrazem dwojga ciał zespolonych w miłosnym uścisku.

Wiedziała, że Garth nie pojawi się tego wieczoru w domu. Miał jakieś spotkanie w interesach, chyba zebranie, na którym powinien zabrać głos. Otwierając drzwi Ivy House, powtarzała sobie zawzięcie, że to dobrze. Nie chciała go widzieć. Ani teraz, ani kiedykolwiek w przyszłości. Nigdy.

Ile razy to się zdarzyło, powracały uparte myśli. Ile razy kochał się... spał z Katrioną? Czy było mu z nią lepiej niż z własną żoną?

Zapewne, inaczej przecież by tego nie zrobił.

Czy Katriona powiedziała mu, że nosi w łonie jego dziecko, podczas gdy ona, Claudia, nie może?

Narastającą histerię i dojmujący ból mogła jedynie wyładować w krzyku, który teraz rozdarł ciszę zalegającą w pustym domu. Raptem wróciły do niej wszystkie te odczucia, których doznawała, kiedy dowiedziała się, że nigdy już nie będzie mogła mieć dziecka.

Tara...

Tara była jej dzieckiem, należała do niej, była jej córką, bo to ona ją stworzyła. Tak, stworzyła ją, uratowała, nauczyła kochać. Poświęciła jej cały swój czas.

Właśnie, niedługo powinna odebrać ją ze szkoły. Był to rytuał jednakowo drogi im obydwu, chociaż Tara czasami narzekała i mówiła, że jest już wystarczająco duża, by wracać samej do domu. Claudia ceniła sobie jednak te chwile, gdy wędrowały razem ramię w ramię, a Tara radośnie gawędząc, opowiadała matce, jak minął dzień.

Tara - jej córka. Tara - dziecko Katriony.

Dziecko Gartha, ich dziecko. Ale jej córka.

Raptem zdała sobie sprawę, że kołysze się niczym sierota na ich wspólnym małżeńskim łóżku, i poczuła narastającą falę mdłości. Czy Garth wziął tamtą w tym łóżku? Czy Katriona właśnie tutaj...?

Zwymiotowała do miski klozetowej, po czym oparła się o ścianę. Trzęsła się na całym ciele i nie mogła żadnym sposobem powstrzymać tego drżenia.

Czy Garth powiedział Katrionie, że jego żona nie może mieć dzieci? Czy skarżył się, uzalał, płakał nad jej bezpłodnością? Czy właśnie dlatego znalazł sobie inną?

A może kochał Katrionę? Może kochał ją bardziej niż własną żonę? Może to dlatego tak uwielbiał Tarę, że była dzieckiem tamtej?

Dosyć! Dosyć, powtarzała sobie, spuszczać wodę. Nachyliła się nad umywalką i obmyła twarz. Musi się pozbierać. Musi się pozbierać ze względu na Tarę. Tylko Tara liczy się w tej chwili, wyłącznie ona. Małżeństwo z Garthem dobiegło kresu, zostało przekreślone, ale Tara wciąż potrzebuje opieki.

Kiedy odrętwiała wychodziła z domu, rozległ się dzwonek telefonu. Zignorowała go, Domyśliła się, że to Garth.

Garth zaklął pod nosem i odwiesił słuchawkę. Wiedział, że powinien z nią porozmawiać, wiedział, że Claudia jest w domu, ale ona najwyraźniej nie miała zamiaru odebrać. Gdyby tak później mógł zmusić ją do słuchania...

Ale jak miał rozmawiać, kiedy w domu była Tara?

Wiedziony impulsem, wykręcił numer telefonu do teściów. Matka Claudii, acz nieco zaskoczona, chętnie zgodziła się pobyć kilka dni w Ivy House i zająć Tarę, kiedy usłyszała, że dzieci zamierzają zrobić sobie krótki urlop.

- Przepraszam, że tak bez uprzedzenia - tłumaczył się Garth.

- Nie przepraszaj - uspokoiła go starsza pani. - Uważam, że to świetny pomysł. Gdzie chcesz ją zabrać?

- Eee... na razie to tajemnica - wyjąkał i nie było to wcale niezgodne z prawdą. Na razie nie miał żadnego pomysłu, gdzie mogliby pojechać. Wiedział tylko, że muszą rozwikłać swoje problemy w samotności, bez świadków.

Claudia przystała na propozycję wyjazdu. Jedynym rozsądnym miejscem, jakie udało się znaleźć z dnia na dzień, był mały letni domek na walijskiej granicy, niedaleko Hay-on-Wye. Całą drogę przesiedzieli w milczeniu, gdyż zarówno jemu, jak i jej łatwiej było nie podejmować rozmowy. Ale przecież musieli ją podjąć, po to była ta wycieczka.

Za oknami panował ziąb, lał deszcz, a ściągnięta, blada twarz Claudii wyglądała na co najmniej kilka lat starszą. Garth zauważył, że żona nawet porusza się inaczej - wolniej, ciężiej, bardziej sztywno. Kiedy wreszcie dotarli na miejsce, wysiadła z samochodu i powłokła się w stronę domku, nawet się na niego nie oglądając.

Przez minione dwa dni Garth przeklinał się po tysiąc - nie, sto tysięcy! - razy za to, co zrobił, a przecież gdyby nie zdarzyło się to, co się zdarzyło, nie byłoby na świecie Tary. Z ręką na sercu mógł przysiąc, że nie ma pojęcia, jak mogło dojść do zbliżenia z Katrioną. Z jego strony na pewno nie był to akt ani zamierzony, ani akceptowany.

- To chyba niedobry pomysł - powiedziała głucho Claudia, patrząc, jak wnosi wiktuały do kuchni.

- Jedzenie?

- Nie, przyjazd tutaj - odparła.

- Musimy porozmawiać, ustaliliśmy przecież, że to konieczne.

Widział, że Claudia nie ma ochoty rozmawiać. Na jej twarzy obrzydzenie mieszało się z drwiną, lęk z nienawiścią. Domyślał się, że zamiast rozmawiać, wolałaby krzyczeć, wyć, wrzeszczeć, bić, kopać, walić w ściany pięściami, głową, całym ciałem. On czuł się podobnie.

- Jak ją poznałeś? - zapytała martwym głosem. - Jak często...?

- Widziałem ją dwa razy w życiu - odparł cicho Garth. - Po raz pierwszy, kiedy obudziłem się w naszej sypialni, a ona plądrowała moje kieszenie w poszukiwaniu portfela. Natomiast za drugim razem... - zamilkł i nachylił się, by włożyć do lodówki kartony z mlekiem oraz wędliny. - Za drugim razem spotkałem się z nią po tym, jak mnie zawiadomiła.

- O czym?

- O Tarze.

Wyprostował się i zatrzasnął z hukiem drzwiczki lodówki, jakby w ten sposób chciał rozładować kamienne milczenie żony.

- To nie jest tak, jak myślisz, Claudio - powtórzył z naciskiem. - Ja nawet nie pamiętam, że z nią spałem.

- Wybacz, ale... - Claudia stłumiła narastający w gardle gniewny śmiech. - No więc mów, jaka ona była? Pewnie znacznie lepsza ode mnie. Przyznaj, rozmawialiście o mnie, naśmiewaliście się ze mnie, tak?

- Claudio, przestań, proszę. Nie rozumiesz...

- Och, nie rozumiem - zaśmiała się histerycznie. - Ależ rozumiem, Garth, rozumiem, że z nią spałeś i że ona poczęła twoje dziecko. Że ty i ona, razem... Gdzie to się stało, Garth? - spytała ponuro. - W naszym mieszkaniu? W naszym łóżku?

- Poczekaj, Claudio, poczekaj... Przysięgam, że to było zupełnie inaczej niż sobie wyobrażasz - zapewniał Garth schrypniętym głosem. Pragnął, by wreszcie zrozumiała, co sam zdołał poskładać z oderwanych fragmentów. Sam pragnął to zrozumieć, mówił więc powoli i spokojnie, jak to obudził się i zobaczył Katrionę w ich mieszkaniu, jak musiała go wykorzystać, kiedy leżał upity do nieprzytomności, jak potem próbowała go szantażować. Mówił to wszystko, ale nawet we własnych uszach opowieść brzmiała mu podejrzanie.

Claudia najwyraźniej nie dawała wiary jego słowom, nie przyjmowała ich do wiadomości i nie dawała im dostępu.

- Nie chcę tego słuchać - przerwała mu w pewnym momencie lodowatym tonem.

Najgorsze było to, że miała rację. Żadne wyjaśnienia nie mogły zmienić faktu, że w jakiś sposób, choćby i nieświadomie, ją zdradził. Nie był już cały jej i tylko jej. Dotykał innej, pieścił inną, innej dawał rozkosz. Sam brał rozkosz - to przecież pamiętał najlepiej.

Wszystko to musiało ją boleć i napawać odrazą. Największa tragedia w jej życiu - strata dziecka i bezpłodność - była w jakiś sposób... czysta. To zaś, co przeżywała teraz, było inne - mroczne, brudne, grzeszne. Niczym trucizna o opóźnionym działaniu, niczym żrący kwas i postępująca gangrena, miało ją odtąd dręczyć, zatruwając stopniowo ciało i duszę.

- Wiem, co musisz czuć - powiedział.

- Tak? - odparła z goryczą. - Skąd możesz wiedzieć? Skoro wiesz, to jak mogłeś mi to zrobić, jak mogłeś zrobić to nam? - pytała łamiącym się głosem. - Nic dziwnego, że nie protestowałeś, kiedy powiedziałam, że zamierzam zatrzymać Tarę. Musiałeś się

nieźle bawić moim kosztem. Ja, twoja żona, biorę twoje dziecko spłodzone z inną kobietą. Biorę je i otaczam miłością...

- Nie wiedziałem wtedy na pewno, że Tara jest moją córką. Naprawdę.

- Wiem, mogła być dzieckiem jakiegokolwiek mężczyzny, który odwiedzał Katrionę. Wiedząc jednak, że pomimo wszystko... Kochałeś ją?

- Nie! - odpowiedział natychmiast, ale zamiast uspokoić tym nieco Claudię, napełnił ją jeszcze większą goryczą i niechęcią.

- Jesteś więc gorszy niż sądziłam - orzekła oskarżycielskim tonem. - Jeśli byś ją kochał, może potrafiłabym zrozumieć. Ale nie pojmuję, jak mogłeś zrobić to... co zrobiłeś, bez miłości. Nie mogę być nadal twoją żoną, Garth. Nie po tym wszystkim. Nie zniósłabym twojej obecności w tym samym pokoju, nie mówiąc już o...

- Przesadzasz! Robisz z igły widły - prychnął Garth, w którym zaczął wzbierać już gniew.

Do licha, ta kobieta nie próbowała go nawet słuchać, nie dała im najmniejszej szansy na wyjście z kryzysu. Przesądziła sprawę z góry, na niego zaś spoglądała jak na uosobienie zła. Nie próbowała się zastanowić, pomyśleć, bo tak jej było najłatwiej.

- Dokładnie na coś takiego czekałaś, prawda? - odezwał się ze zjadliwą pretensją. - Na pierwszy pretekst, który pozwoli ci usunąć mnie ze swojego życia. Ostatnio niewielką odgrywałem w nim rolę, czyż nie tak? Ty po prostu nie chcesz mieć męża, Claudio, a już na pewno nie chcesz mieć kochanka. Prawdę powiedziawszy, w ogóle nie chcesz żadnego mężczyzny. W każdym razie nie tego, który przed tobą stoi. Zależy ci tylko na jednym - żeby być matką. Cóż, nie jesteś...

- Kim nie jestem? Nie jestem matką Tary? - wybuchnęła Claudia.

Garth wpatrywał się w żonę ze ściśniętym gardłem.

Nie to zamierzał powiedzieć, nie chciał jej zranić. Przecież, do jasnej cholery, ją kochał!

Kiedy tak stała przed nim z zapuchniętymi od płaczu oczami i twarzą bladą jak kreda, kochał ją bardziej niż kiedykolwiek. Och, nigdy równie mocno nie pragnął okazać jej swoich uczuć, nigdy tak rozpaczliwie nie chciał...

Dom był tak mały, iż wystarczyło kilka kroków, by znalazł się przy niej. Otoczył ją opiekuńczo ramionami, przyciągnął do siebie.

- Clo... Moja ukochana, moja najdroższa Clo...

- Nigdy więcej mnie tak nie nazywaj! - krzyknęła, odchylając głowę.

On jednak był w takim stanie, że nie usłyszał furii i odrazy w jej głosie. Myślał tylko o tym, jak na powrót scementować ich związek. Wierzył, że to nie koniec, że mogą przetrwać ten kataklizm. Pragnął tylko jednego: okazać Claudii w jedyny znany sobie sposób, że nadal jest jego kobietą, jedyną kobietą, której kiedykolwiek pożądał. I że nigdy nie było i nie będzie żadnej innej.

Nachylił głowę, uniósł dłonią jej twarz i zamknął usta gorącym pocałunkiem. W Claudię wstąpiła taka wściekłość, że gotowa była uderzyć Gartha - ona, która zwykle nie miała w sobie cienia agresji, która nigdy w życiu na nikogo nie podniosła ręki.

Tym razem jednak odsunęła się gwałtownie i wymierzyła mu cios pięścią prosto w pierś. Wiedziona pierwotnym, najbardziej prymitywnym instynktem, miała ochotę zniszczyć Gartha, tak jak on zniszczył ją, gdy sprzeniewierzył się ich miłości.

- Nienawidzę cię, nienawidzę z całej duszy! - krzyczała spazmatycznie.

Garth nie słuchał. Chwycił ją jedną ręką za nadgarstki, drugą zaś uniósł z podłogi, zarzucił sobie na biodro i trzymając w mocnym uścisku, ruszył w stronę łóżka.

Potem zaklinał się przed Claudią i przed samym sobą, że chciał jedynie rzucić ją na pościel, dopóki nie ochłonie. Kiedy jednak zobaczył jej zalaną łzami twarz, poczuł nieprzepartą potrzebę dotknięcia żoninego policzka. Tylko policzka...

- To nie było tak, jak myślisz - powtórzył nie wiedząc który raz, ale Claudia nie zamierzała słuchać. Uniosła dłoń, gotowa rzucić się na niego z pazurami, zatopić ostre paznokcie w jego twarzy. - Claudio... nie! - zawołał i przytrzymał jej nadgarstki, a wówczas ona, nie wiedząc, jak dać ujście gotującym się w niej emocjom, poderwała głowę i zatopila zęby w dolnej wardze męża.

Garth poczuł ukłucie bólu i smak krwi w ustach. Na zdumionej twarzy Claudii odmalowało się natomiast coś na kształt uniesienia wywołanego tym, co zrobiła. Ten widok, jak i świadomość, że Claudia rozkoszuje się zadany mu bólem, sprawił zaś, iż w nim także pękły ostatnie hamulce.

Był o kilkanaście centymetrów wyższy, znacznie cięższy i jako były i żołnierz niezwykle sprawny. Pokonał ją z łatwością, choć był zdziwiony, jak długo i zawzięcie się bronila. Wstrząsnęło nim też, że mocowanie się z Claudią na łóżku może być takie podniecające, że ma w sobie tyle erotyzmu. Pomimo złości, żalu, gniewu, czuł niemal fizyczny, seksualny żar, który wydzielał się z zetknięcia ich ciał. Żar i pożądanie, których smaku niemal zapomniał. Patrzył na Claudię i w wyobraźni zdejmował już z niej ubranie, obnażał ją wzrokiem, przygotowywał na dotknięcie swych rąk i pie-szczotę ust.

Claudia widziała, jak na nią patrzy. Czowała, jak jej ciało odpowiada na to spojrzenie - spojrzenie stare jak świat, spojrzenie, którym Adam mierzył w raj u Ewę, spojrzenie, do którego Ewa zachęcała i prowokowała Adama.

Przeszedł ją dreszcz, potem następny, kiedy zdała sobie sprawę, że ta szamotanina zamiast napawać ją odrazą, stanowi nieodpartą, fizyczną, seksualną podniecie. Jeszcze zanim Garth odsłonił jej pełne piersi, wiedziała, *co się* za chwilę stanie. Owszem, był w niej gniew, była nienawiść i pogarda, ale było też pożądanie, gorące, pulsujące, wilgotne...

Kochali się krótko i zapamiętali. Claudia poszarpała na nim koszulę, zatopiła mu paznokcie w plecy, gdy w nią wszedł. Nienawidziła go za to, że go pożąda, tak jak nienawidziła go za całe to spustoszenie, którego dokonał w jej sercu i duszy. Orała mu więc paznokciami skórę, a on wówczas jęczał niczym zwierzę i wchodził w nią jeszcze głębiej, z jeszcze większym impetem, z jeszcze większym zapamiętaniem.

Była zaszokowana własną agresją. Była zaszokowana własnym nienasyceciem, które kazało jej zmuszać Gartha do wciąż nowych pchnięć, nowych eksplozji, nowych orgazmów. Chciała go pochłonać i zniszczyć. Chciała wyssać z niego całą męskość, całe nasienie, zupełnie jakby zamierzała wytrzebić go, uczynić pustym i jałowym, niezdolnym już nigdy ofiarować żadnej kobiecie tego, co powinno należeć tylko do niej.

Sama nigdy nie zaznała równie intensywnych rozkoszy; intensywnych aż do bólu, przetaczających się przez jej ciało konwulsyjnymi falami, tak potężnymi, że później leżała na łóżku wyczerpana, bezwładna i nieważka.

To był ostatni raz, kiedy kochała się z mężem. Później nie dotknęła go już chyba ani razu. Z początku kosztowało ją to sporo wysiłku i uwagi, lecz potem, po rozwodzie, nie miała już takiej okazji.

Dla ludzi, którzy obserwowali bieg wypadków z zewnątrz, ich rozwód był spokojny, kulturalny, przeprowadzony w niemal przyjacielskiej atmosferze.

- Nie mogę dłużej być z tobą - mówiła Claudia z chłodnym dystansem. - Nie potrzebuję cię już, Garth.

Garth nie chciał się zgodzić na rozstanie, ustąpił z ciężkim sercem. Próbował przemawiać jej do rozsądku, ale ona pozostała nieprzejednana. Z uporem powtarzała, że nie będzie żoną człowieka, który zamienił ich małżeństwo w kpinę, w parodię uczciwego związku.

Ostatecznie ustalili, że Tara będzie mieszkała z matką, zaś Garth będzie się z nią spotykał tak często, jak będzie mógł i chciał, pozostając nadal współodpowiedzialny za wychowanie córki.

- Nie mogę ci tego zabronić, w końcu to twoje dziecko - powiedziała Claudia z gorzkim uśmiechem w czasie jednego z ostatnich spotkań przed rozprawą rozwodową.

- Twoje też - odpowiedział Garth z naciskiem.

Claudia na te słowa odwróciła tylko głowę, by ukryć napływające do oczu łzy. Nie próbował już jej pocieszać. Wiedział, że wszelkie próby nic nie dadzą. Pogodził się z tym, że nie warto jej zapewniać o miłości, która wciąż trwa i trwać będzie zawsze, bo takie deklaracje potęgowały tylko jej nienawiść.

Rozdział 16

Claudia jechała przez zatłoczone ulice Londynu pochłonięta myślami o Tarze. Kiedy powiedzieli jej, że podjęli decyzję o rozwodzie, zaczęły się łzy, rozpacz, błagania. Tara chciała, by zostali razem.

Być może w innych okolicznościach Claudia uległaby w końcu tym naleganiom i próbowała ratować ich małżeństwo, ale jak mogła na to przystać, skoro ilekroć patrzyła na męża, ilekroć dotykała córki, widziała Katrionę? Ilekroć widziałyby ich razem, Gartha z Tarą, myślałaby, jak i z kim jej najdroższa córka została poczęta.

Na szczęście stopniowo Tara zaczęła się oswajać z faktem, że rodzice będą mieszkali osobno. Claudia natomiast dotrzymała - niezależnie od bólu, jaki jej to sprawiało - słowa, pozwalając Garthowi widywać się z córką tak często, jak tylko mógł i miał na to ochotę.

Nigdy nie zapomniał o jej urodzinach - tych wpisanych w metryce. Czternastych, szesnastych, osiemnastych...

Lata mijały szybko i raptem okazało się, że dziewczynka stała się młodą kobietą. Kobieta, która lada chwila miała zacząć własne dorosłe życie i której dorosłe życie mogło zostać zatrute i zniszczone przez zdradę, tak jak stało się to z życiem Claudii.

Nie miała to być jednak zdrada dokonana przez mężczyznę. Tara miała doświadczyć znacznie gorszej zdrady, zdrady ze strony rodziców, zdrady ze strony matki, która zawiodła, oszukała własne dziecko.

Znów przypomniały jej się rozmowy z Garthem, który przez wszystkie te lata nastawał, by Claudia podzieliła się z Tarą ich tajemnicą.

- Nie potrafię - odpowiadała niezmiennie. - Jakżebym mogła zdobyć się na coś takiego? Jestem poza tym po to, żeby ją chronić.

- Nie ją chronisz, ale samą siebie - przerwał jej ostro. - Czy pomyślałaś kiedykolwiek, co się stanie, gdy Tara dowie się prawdy od kogoś innego? Jak wtedy będzie się czuła?

- Tara nigdy nie dowie się prawdy - odparła Claudia, starając się nadać swoim słowom mocne brzmienie, choć od dawna była świadoma tego, jak krucha jest owa tajemnica, którą otoczyła okoliczności przyjscia na świat swej ukochanej córki.

Czy Tara uniosłaby ciężar prawdy z dala od domu, w obcym kraju, jeśli przyszłoby jej usłyszeć kim jest z ust ciotki Rylanda? Jak ona, Claudia, czułaby się w takiej sytuacji? Jak odniosłaby się do „matki”, która o niczym jej nie uprzedziła, przedkładając własny spokój nad dobro dziecka, nad jego prawo do tego, by wiedzieć, być przygotowanym?

Cóż, nie zdziwiłaby się wcale, gdyby Tara poczuła się równie oszukana i zdradzona, jak ona czuła się wtedy, gdy wyszło na jaw, co uczynił jej Garth. Ona znienawidziła męża. Czy córka także była gotowa ją znienawidzić?

To byłaby dla niej klęska. Całe jej życie zostałoby przekreślone, straciłoby sens. Dla Tary oddała wszak wszystko. Kochała ją prawdziwie matczyną miłością, tak jakby to ona ją urodziła, jakby Tara była krwią z jej krwi, kością z jej kości. Wiedziona nieomylnym instynktem, zawsze wiedziała, kiedy córce dzieje się źle, kiedy jest chora czy smutna, gdy była z dala od domu. Łączyły je więzy tak silne, że nikt by nie odgadł, że nie są to więzy krwi.

Dlatego właśnie Claudia nie mogła dopuścić, by Tara wyjechała do Ameryki, nie usłyszawszy przedtem prawdy. Mgliste dotąd i splątane odczucia nabrały raptem przerażającej wyrazistości. Jak mogła tak długo utrzymywać Tarę w całkowitej nieświadomości? Dlaczego nie powiedziała jej wcześniej? Jak mogła dopuścić, by jej własny strach przed odrzuceniem wziął górę nad prawem Tary do poznania swojej historii i swoich prawdziwych korzeni?

Wprawiając w zdumienie jadącego za nią kierowcę, zawróciła gwałtownie, przejechała wbrew wszelkim przepisom przez pas zarezerwowany wyłącznie dla autobusów, po czym skręciła w labirynt bocznych uliczek, którymi postanowiła dotrzeć do celu podjętej nieoczekiwanie wyprawy. Oczywiście, jeśli pamięć jej nie zawiedzie...

Istniało jedno tylko miejsce, w którym chciała teraz się znaleźć; jedyna osoba, którą pragnęła widzieć. Tylko ona była w stanie jej pomóc, umocnić ją w powziętej decyzji, uchronić przed groźbą wycofania się, przed strachem i kapitulacją.

Nie, nie może się wycofać. Nie wolno jej. Miłość to wszak przedkładanie dobra kochanej osoby nad swoje własne. Prawdziwa miłość musi być wolna od egoizmu, całkowicie bezinteresowna i bezwarunkowa.

Garth zaklął pod nosem, słysząc dzwonek u drzwi. Wrócił właśnie z Ivy House i nie miał ochoty na żadne spotkania. Nieudana wizyta w domu Claudii wprawiła go w fatalny nastrój - był rozstrojony, rozbity, raz jeszcze przekonał się, iż mimo tylu lat przeżytych samotnie, ciągle widzi w niej żonę, przyjaciółkę, jedyną wielką miłość i bratnią duszę.

Naiwny. Dawno już powinien coś z tym zrobić, dowieść jej, pokazać...

Co pokazać? Że potrafi ją obezwładnić i zmusić do zbliżenia? Rzeczywiście, wspaniały pomysł. Godny bohatera. Osiągnąłby tyle, że raz jeszcze zrobiłby z siebie dumia.

Z zachmurzoną miną nacisnął guzik domofonu.

- Tak? - zapytał opryskliwie.

- Garth, to ja... Claudia. My... ja... muszę z tobą porozmawiać... Zdecydowałam się powiedzieć Tarze prawdę... Garth? Jesteś tam? Słyszysz?

Nie tracił czasu na odpowiedź. Niczym nastolatek którego odwiedziła najładniejsza dziewczyna z klasy, popędził po schodach na złamanie karku, by czym prędzej ją zobaczyć, uściskać.

- Claudia! Clo...

Claudia była nieco zdziwiona tym spontanicznym powitaniem, przede wszystkim jednak głęboko wdzięczna, że nie tylko przyjął ją z otwartymi ramionami, ale też bez zbędnych słów i długich wyjaśnień odczytał prawidłowo jej stan, jej wahanie, niepewność i lęk.

- Cały dzień myślałam o tym wszystkim - powiedziała nieporadnie, gdy wypuścił ją z objęć i ruszyli razem na górę. - Byłam koło naszego mieszkania, dawnego mieszkania... Okolica bardzo się zmieniła, domy odnowione i...

- Tak, wiem.

- Wiesz? - Posłała mu zdumione spojrzenie, podczas gdy on, jakby nieświadomy jej reakcji, otworzył drzwi i przepuścił ją przodem.

- Zdarza mi się czasem tamtędy przejeżdżać - mruknął, zachowując dla siebie informację, jak często „zdarzało mu się” przejeżdżać.

Ilekoć czuł się szczególnie przygnębiony, wsiadał w samochód i jechał właśnie tam. Zatrzymywał wóz koło ich dawnego domu, wspominał, marzył.

- Byłam taka... ślepa, Garth, taka samolubna. Wydawało mi się, że słusznie postępuję, ale dopiero dzisiaj zdałam sobie sprawę... Boże, nie wiem, jak ja jej to powiem - mówiła ze spuszczoną nisko głową, odwrócona twarzą do okna. - Wiem tylko, że muszę to zrobić... zanim zrobi to ktoś inny. Tak strasznie się boję - wyznała zaszokowana nie tyle samym wyznaniem, ile tym, że uczyniła je właśnie wobec Gartha. - Tak strasznie się boję, Garth, że ona nie zechce...

- Będzie wstrząśnięta, to pewne - powiedział Garth łagodnie. - Jest jednak niezaprzeczalnie twoją córką, Clo. Podobnie jak ty, kieruje się w sądach i ocenach wyrozumiałością. Zrozumie, dlaczego nie powiedziałaś jej wcześniej. Na pewno zrozumie.

- Tak sądzisz? I wybaczy mi, że w swoim egoizmie kierowałam się głównie własnymi uczuciami, własnym lękiem? Och, Garth...

Zaczęła drżeć. Trzęsła się na całym ciele tak gwałtownie, jakby znalazła się na mrozie w mokrym ubraniu. I znów Garth ją przygarnął, utulił, i znów mogła słuchać jego ciepłych, uspokajających, niosących pociechę słów.

- Usiądź, proszę - powiedział nalegająco i dodał całkiem już prozaicznie: - Jadłaś coś? Miałem właśnie zamiar przygotować kolację.

Oczywiście kłamał. Zjadł dużo wcześniej, ale Claudia wyglądała na wygłodzoną; potrzebowała czułości, duchowego wsparcia, lecz także pożywnego posiłku.

- Nie... nie jestem głodna - zaczęła i zaraz zamilkła. Co ona tu robi? Co ją, na litość boską, sprowadziło do tego mieszkania? Czy to nie od Gartha zaczęły się wszystkie nieszczęścia?

- A może jednak?

- No dobrze... tak, coś bym chyba zjadła - przyznała, wiedząc, że nawet Garth nie jest w stanie uświadomić sobie wagi tych banalnych słów. Oto po raz pierwszy od

momentu, kiedy oznajmiła mu, że powinien zniknąć z jej życia, przyznawała się głośno, że jest jej nadal potrzebny, wbrew wszystkiemu, co ich dzieliło.

- Poczekaj chwilę. Zaraz coś przyrządzę.

Zostawił ją samą i wyszedł. Stojąc przy oknie, zapatrzona niewidzącym wzrokiem w spokojny nurt przepływającej za szybą Tamizy, Claudia słyszała dochodzące z kuchni odgłosy krzątania. Była już kiedyś w tym mieszkaniu, ale tamta wizyta była krótka. Urządzone wygodnie, acz z męską wstrzeźliwością, miało w sobie bezosobowy klimat miejsca tymczasowego, przeznaczonego raczej dla przychodzących i odchodzących lokatorów niżli stałych domowników. Dopiero teraz zdała sobie z tego sprawę.

Odwróciła twarz od okna. Już na pierwszy rzut oka widać było, że nie mieszkała tu nigdy żadna kobieta. Claudia uśmiechnęła się boleśnie do samej siebie, nieco zdziwiona, że przychodzą jej do głowy takie myśli. Nie powinna przecież zastanawiać się nad obecnością kobiet w życiu byłego męża, zawsze to powtarzała. A jednak...

Z kuchni dochodziły smakowite zapachy. Claudii raptem drgnęło serce - rozpoznała, co Garth przygotowuje na kolację.

Omlet. Pierwszym daniem, jakie kiedykolwiek dla niej zrobił, był właśnie omlet. Siedzieli wtedy obok siebie, ramię w ramię, Garth ją karmił, a później...

Później Garth zaczął delikatnie masować jej stopy i Claudia zapomniała, że jeszcze kilka minut temu myślała o tym, że omlet jest taki prozaiczny, podczas gdy ona spodziewała się wytwornej, romantycznej kolacji.

Obserwując teraz męża, który wszedł do pokoju z zastawioną tacą, powtarzała sobie, że jest dojrzałą, czterdziestopięcioletnią kobietą, że od dawna są rozwiedzeni, że Garth ją zdradził. Wszystko na próżno.

- Zrobiłeś mi omlet - powiedziała ze ściśniętym gardłem i głos się jej załamał, a do oczu napłynęły nieoczekiwane łzy.

Zapomniała o jedzeniu. Jedyne czego teraz pragnęła, to znaleźć się znowu w ramionach Gartha. Gdy zaś przytulił ją serdecznym gestem, oparła mu głowę na ramieniu i rozszlochała się na dobre.

- Tak się boję, Garth, tak strasznie, strasznie się boję...

- Cichutko, Clo. Uspokój się. Usiądź, proszę. Porozmawiamy...

- Ty jesteś w innej sytuacji - powiedziała Claudia prawie pół godziny później, kiedy wreszcie nieco się uspokoiła. - W końcu jesteś prawdziwym ojcem.

- W lepszej? Czy sądzisz, że Tara będzie szczęśliwa, kiedy się dowie, w jakich okolicznościach zostałem dumnym tatusiem?

- Ja... nie wiem. Młodzi mają dzisiaj inne zapatrywania. Być może...

- Nie o tym myślałem - przerwał jej i widząc, że Claudia nie rozumie, zaczął wyjaśniać: - Ja naprawdę nie wiem, jak zostałem ojcem Tary. Dawno już próbowałem ci powiedzieć, że nic nie pamiętam, ale wtedy nie umieliśmy rozmawiać spokojnie. W każdym razie obudziłem się nieprzytomny, na wpół pijany i dopiero wówczas zdałem sobie sprawę...

- Że co? - ponagliła go Claudia.

- Że byłem z kimś, kto wydawał się... inny. Inny niż ty, Clo. Pozostało mi w pamięci wspomnienie tak ulotne, że nie mógłbym nawet nazwać go wspomnieniem. Jak się jej udało... nie mam pojęcia.

- Co się udało? Zastanawiasz się, jak to możliwe, że się z nią przespałeś? Nie zaciągnąłeś jej sam do łóżka?

Pytała z lekkim uśmiechem, ale sama nie wiedziała, czy jest w nim szyderstwo, zjadliwość, czy tylko lekka kpina. A może po prostu ciekawość?

- Nie - zaprzeczył Garth. - Nie zrobiłem tego. Położyłem się do łóżka, owszem, ale sam i kompletnie pijany. A kiedy się obudziłem, zobaczyłem dziewczynę, która później okazała się być twoją podopieczną. Przeszukiwała kieszenie mojego ubrania w poszukiwaniu pieniędzy, znalazła portfel. Zanim zdążyłem się ocknąć, zanim zdałem sobie sprawę, co się dzieje, było za późno. Katriona uciekła, ja zaś nie zdążyłem jej złapać i zapytać, w jaki sposób dostała się do mieszkania i co robi w naszej sypialni. Później wiele razy się zastanawiałem, co mogło się wydarzyć, gdy spałem...

- I?

Pokręcił z zażenowaniem głową.

- Kobieta może sprowokować mężczyznę do współżycia...

- Bez jego wiedzy? Wybacz, Garth - skrzywiła się. - Jak to możliwe?

- Byłem pijany. Nic nie pamiętam. Moje ciało reagowało automatycznie, bez udziału świadomości. Nie przeczę i nigdy nie przeczyłem, że jestem ojcem Tary, ale nie czuję się bardziej odpowiedzialny za jej poczęcie niż mógłby się czuć pierwszy lepszy dawca spermy. A i to nie jest najtrafniejsze porównanie, bo dawca podejmuje świadomą decyzję, przekazując nasienie do banku, podczas gdy ja...

- Więc sądzisz, że zrobiła to celowo - Claudia nie pozwoliła mu dokończyć - że chciała...?

- Tak - odpowiedział, nie czekając na koniec pytania.

- Tak właśnie sędzę.

Claudia poczuła, że robi się jej niedobrze. Czyżby to wszystko było intrygą uknutą przez Katrionę? Czyżby przez całe swoje dorosłe życie, odkąd pojawiła się po raz pierwszy jako młoda, niedoświadczona kuratorka w ponurym blokowisku, była marionetką w rękach tej szalonej dziewczyny?

Teraz, kiedy cofała się we wspomnieniach do tamtych feralnych dni, przypominała sobie, co mówił Garth, a czego nie chciała wówczas dopuścić do świadomości - obecność obcej dziewczyny w mieszkaniu, skradzione klucze.

- Więc Katriona to wszystko zaplanowała?

- Kto to może wiedzieć? Wątpię, czy ona sama potrafiłaby odpowiedzieć na twoje pytanie - odparł Garth. - Ja wiem tylko jedno: że jesteś jedyną kobietą, którą kiedykolwiek kochałem, której kiedykolwiek pragnąłem i z którą kiedykolwiek chciałem się kochać. Wiem, że to brzmi niewiarygodnie, ale tak właśnie jest. Nadal cię kocham, Clo. I nadal pragnę tak samo jak przed laty.

Claudia poczuła bolesny ucisk w gardle.

- Po co to mówisz, Garth? - zapytała łamiącym się głosem. - Po co? Powiedz prawdę, teraz już umiem ją przyjąć. Powiedz, że ty i Katriona byliście kochankami, że dała ci to, czego nie miałeś ze mną, seks, radość, rozkosz...

- Nie - zaprzeczył Garth stanowczo. - Ja i Katriona nigdy nie byliśmy kochankami. Być może kopulowaliśmy, musieliśmy coś robić, skoro Tara została poczęta. Ale ja nic nie pamiętam, nie chcę pamiętać. To zdarzyło się raz, bez mojej woli, bez świadomego udziału.

- Ale się zdarzyło. Nie mów, że nie byliście kochankami.

- Nie, Claudio - zaprzeczył. - To ty uznałaś nas za kochanków. Usiłowałem ci wytłumaczyć, ale nie chciałaś mnie słuchać.

- Nawet jeśli nie chciałam, to dlaczego tak łatwo skapitulowałeś? - broniła się Claudia.

- Może rzeczywiście za szybko - przyznał Garth. - Jeśli chcesz, możesz to złożyć na karb męskiej dumy. Ot, głupi honor. Czułem, że mnie odrzucasz. Że mnie nie chcesz, że nie jestem ci do niczego potrzebny, że stanowią tylko zawadę między tobą i Tarą. Miałem wrażenie, że wykorzystasz każdy nadarzający się pretekst, byle tylko doprowadzić do rozwodu. Wydawało mi się, że nie chcesz znać prawdy.

Claudia czuła, że łzy znowu napływają jej do oczu. W słowach Gartha było wiele racji. Rozumiała go teraz i była gotowa spojrzeć na dawne zdarzenia innym okiem.

- Może powinnam była cię wysłuchać - przyznała zdławionym głosem. - I gdyby chodziło o kogoś innego, a nie o Katrionę, to pewnie...

- Rozumiem cię, Clo. Wtedy też rozumiałem. Miałas za sobą tragiczne przeżycia. Być może żadne z nas w tamtym czasie nie zdawało sobie do końca sprawy, jak bardzo tragiczne. Straciłaś dziecko... naszego synka... a wraz z nim wszelką nadzieję na bycie matką. A wtedy Katriona...

- Do dziś nie do końca pojmuję, jakie były jej intencje.

- Ja za to wiem, że ona chciała cię zniszczyć. I udało się jej, po części... Nigdy ci tego nie mówiłem, Clo, ale obserwując ciebie i Tarę, która rosła pod twoją opieką, często nie mogłem się nadziwić, jak hojna jest opatrzność, że pozwoliła ci pokochać małą tak bezmierną miłością. Ja na twoim miejscu... - nie dokończył i pokręcił głową z tłumionym gniewem.

- Co byś zrobił na moim miejscu? Ukarał ją za to, że jest dzieckiem Katriony? Nie, na pewno nie zachowałbyś się tak, Garth. To do ciebie niepodobne.

- Ani do ciebie. Claudia przygryzła wargę.

- Nietrudno było ją pokochać - odezwała się w zamyśleniu. - Zakochałam się w niej od pierwszej chwili, kiedy ją zobaczyłam. Wystarczyło wziąć ją w ramiona. Kto wie - odwróciła wzrok - być może podświadomie, gdzieś w głębi duszy, wiedziałam

już wtedy, odgadywałam, że Tara jest twoim dzieckiem? Pod wieloma względami tak bardzo jest do ciebie podobna.

- To zabawne. Ja mam wrażenie, że Tara przypomina cię.

Obydwoje roześmieli się, ale na krótko. Po chwili na twarz Claudii powróciła niepewność i strach.

- Jak ona zareaguje, Garth? Co zrobi, kiedy to ode mnie usłyszy? Jak się będzie czuła? I co powie? - Claudia zamknęła powieki, powstrzymując napływające do oczu łzy. - Nie wiem, czy to zniosę, nie wiem. Na pewno będzie wstrząśnięta. To tak jakbym miała pozbawić ją całej przeszłości, tożsamości, własnego ja. Tyle razy udzielałam rad ludziom, którzy decydowali się na adopcję, a teraz sama...

Przełknęła z trudem ślinę, ukryła twarz w dłoniach i rozszlochała się na dobre.

- Och, Boże, Boże... Dlaczego nie powiedziałam jej przed laty, kiedy była jeszcze mała i łatwiej mogła przyjąć fakt, że urodził ją ktoś inny?

- Bałaś się. To ludzkie.

- Tak, ale nie chodziło tylko o lęk, że ktoś mi ją odbierze. Bałam się, że stracę miejsce w jej sercu, rozumiesz? Bałam się, że Tara odsunie się ode mnie z niechęcią, bo nie jestem jej prawdziwą mamą, bo nie jestem Katrioną. Bo żyję, podczas gdy tamta musiała umrzeć!

- Jesteś jej prawdziwą matką - powiedział Garth z przekonaniem i napełnił kieliszek Claudii winem. - Tara jest już dorosłą kobietą, Clo. To oczywiste, że będzie wstrząśnięta i załamana, obydwójce zdajemy sobie z tego sprawę. Być może w pierwszej chwili nawet się od nas odwróci. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby tak zareagowała i powiem ci szczerze, że staram się być na to przygotowany. Pamiętaj jednak, że co by się nie wydarzyło, ona nadal pozostanie twoim dzieckiem.

Dzieckiem, które kochałaś i które wychowałaś. Po tobie wzięła siłę charakteru, a także umiejętność wyważonej oceny ludzi i sytuacji. To także ty nauczyłaś ją, co oznacza bezinteresowna miłość.

- Nie mów tak, Garth. To wszystko pozory. Popatrz, jak niesprawiedliwie oceniłam cię. Gdyby przyszło mi udzielać rady kobiecie, która znalazła się w takiej sytuacji, w jakiej ty się znalazłeś, czy przyszłoby mi do głowy oskarżać ją, że jakiś

mężczyzna spał z nią bez jej wiedzy i przyzwolenia? Czy odwróciłabym się do niej plecami? Zostawiła ją własnemu losowi?

- To co innego. Łatwo zachować obiektywizm w stosunku do ludzi, z którymi nie nas nie łączy.

- Może masz rację - przyznała Claudia ze smutkiem. - A z tobą łączyło mnie wszystko.

- Tara...

- Nie tylko Tara. Kochałam cię, Garth.

- Z początku.

- Nie, zawsze! Kochałam tak bardzo, że nie mogłam znieść myśli o tym, że mógłbyś być z inną kobietą, tym bardziej z Katrioną.

- Naprawdę, Clo?

- Powiesz, że to kretynstwo, ale ja rozwiodłam się i tobą, bo tak bardzo cię kochałam.

- Boże, gdybym był bardziej pewny twojej miłości...

- Musiałeś wiedzieć, co czuję.

- Kiedyś wiedziałem, ale z chwilą kiedy pojawiła się w naszym domu Tara, coraz częściej miałem wrażenie, że jestem zbędnym dodatkiem. Zdawało mi się, że tylko ci zawadzam. Nasze życie seksualne przestało właściwie istnieć, więc uznałem, że się mną brzydzisz. Prawie nie sypialiśmy ze sobą...

- Wiem. Obwiniałam się za to, ale... ja się wstydziałam.

- Czego?

- Że... że nie mogę ci dać dziecka - szepnęła Claudia drżącym głosem - twojego... naszego dziecka, Garth. Nie mogłam przestać myśleć, że ilekroć mnie dotykasz, ilekroć się kochamy, gdzieś w głębi duszy powtarzasz sobie, że to wszystko na nic. Wchodziłeś we mnie, a ja płakałam nad zmarnowaną energią, nad próżnym wysiłkiem, nad dziećmi, które nigdy nie miały się urodzić...

- Więc uważałaś, że uprawianie miłości pozbawione jest sensu?

- Czasami - przyznała. - Chociaż... chociaż nie zawsze.

Garth przyglądał się jej przez chwilę w milczeniu, w końcu przemówił:

- Kiedy szedłem z tobą do łóżka, Clo, kiedy się kochaliśmy, dzieci były ostatnią rzeczą, o jakiej myślałem. Pragnąłem ciebie, po prostu... Chciałem cię trzymać w objęciach, słuchać, patrzeć na ciebie, czuć, jak odpowiadasz na moje pieszczoty. Coś jeszcze ci powiem: niczego w tej chwili nie pragnę bardziej, jak powrotu do tamtych chwil, do tamtych odczuć i wrażeń. A to, że nadal cię pragnę, nie ma absolutnie nic wspólnego z potrzebą prokreacji... To twoja wina - powiedział, a gdy Claudia podniosła głowę, dodał z niepewnym uśmiechem: - Mówiąc o tym, jak w ciebie wchodziłem, przywołałaś miłe wspomnienia.

- Garth... - zaprotestowała, ale był to widać bardzo słaby i bardzo nieskuteczny protest, gdyż Garth nachylił się ku niej, wyjął kieliszek z winem z jej drżących palców, po czym zamknął twarz żony w swoich ciepłych dłoniach.

Claudia nie próbowała się opierać. Nie umiała. Garth spojrzał jej głęboko w oczy, skłonił głowę i dotknął wargami jej ust.

Łzy ponownie napłynęły jej do oczu. Tym razem były to jednak łzy wzruszenia, nie żalu. Jak mogła odrzucić niegdyś tyle miłości, tyle czułości, tyle dobroci? Czowała, jak całe jej ciało staje się miękkie, jak taje pod pieszczotami Gartha, jak zalewa je zniewalające, obezwładniające ciepło.

Garth ogarnął ją ramionami, przytulił mocno do siebie. Jego pocałunek stał się bardziej namiętny i gorący. Claudia zaczęła drżeć i przylgnęła całym ciałem do męża, wówczas zaś w jednej chwili zapłonął w obojgu potężny płomień, ten sam płomień, który rozpałał ich kiedyś, gdy byli młodzi, pełni radości, otwarci na świat i gotowi do życiowych wyzwań.

Chociaż nie. Ten płomień był silniejszy, gorętszy. Im dłużej Garth ją teraz całował, im namiętniej mu odpowiadała, tym bardziej była pewna, że nie pamięta z przeszłości pożądania, które odczuwałyby z takim natężeniem.

Być może to długie lata rozłąki sprawiły, iż reagowała tak silnie. Tak, z pewnością. Narzuciła sobie przecież celibat, świadomie wybrała samotność. Było wielu mężczyzn, którzy na jedno skinienie jej dłoni, na jeden znak zainteresowania zrobiliby dla niej wszystko. Choćby Luke. A jednak związek z nim byłby niczym w porównaniu z tym, co nadal czuła do Gartha. Seks nigdy nie był dla niej sprawą

najważniejszą, tymczasem w tej chwili drżała od stóp do głów, trawiona głodem niezaspokojenia. Pragnęła Gartha tak bardzo, że gotowa była zedrzeć z niego ubranie.

Jęknęła cicho i otworzyła oczy, by ze zdumieniem stwierdzić, że istotnie zdjęła mu już krawat i rozpięła guziki koszuli.

- Nie przestawaj - poprosił zduszonym głosem. - Zrób to, Clo - mówił ochryple, z oczami płonącymi pragnieniem. - Zrób to... - błagał, gdy trwała nadal bez ruchu, po czym ujął jej dłoń, ucałował jej wnętrze i położył sobie na piersi.

Wzrok miał przy tym tak rozplamieniony, że Claudia miała wrażenie, że za chwilę spali się w żarze miłości. Spłonie, roztopi się, rozplynie, zamieni w płynny miód czystej rozkoszy.

Dłonie drżały jej tak bardzo, że bała się, iż nigdy nie zdoła rozpiąć wszystkich guzików mężowskiej koszuli. Wreszcie zdarła ją z niego jednym ruchem i znieruchomiała na widok nagiego torsu.

- Nie przerywaj - powtórzył Garth.

Zerknęła niepewnie na pasek od spodni, potem spojrzała we wpatrzone w nią oczy. Nie tylko pasek dojrzała bystrym, kobiecym wzrokiem.

- Nigdy nie potrafiłem ukryć przed tobą swoich reakcji - mruknął Garth i dodał: - Boże, Clo, pragnę cię tak bardzo... tęskniłem za tobą tak strasznie, że nie wiem nawet, czy potrafię...

Teraz on zaczął ją rozbierać, szybko i zręcznie. Pomyślała z obawą, że kiedy widział ją nagą po raz ostatni, była znacznie młodsza, jednak zachwyty na jego twarzy, z jakim patrzył na jej obnażone już, krągłe piersi, upewnił ją i uspokoił, że niepotrzebnie się obawiała. Żaden mężczyzna nie był w stanie udać takiego spojrzenia, takiej bezwarunkowej, przepełnionej pożądaniem akceptacji. Claudia nie potrzebowała nawet słów, które potwierdziłyby to, co malowało się na mężowskim obliczu.

A jednak je usłyszała.

- Zapomniałem już... zapomniałem, jaka jesteś piękna, Clo. Jaka z ciebie cudowna kobieta. Moja kobieta. O Boże, jak strasznie mi ciebie brakowało.

Ukrył twarz między jej piersiami i począł je pieścić najpierw dłońmi, potem wargami. Claudia zaś pod wpływem jego pieczy rozluźniała się, rozkwitała, była coraz śmielsza i coraz bardziej otwarta na nowe wciąż drogi, prowadzące do wspólnej

radości. Nigdy wcześniej nie zachowywała się tak swobodnie. Nie pamiętała, by kiedykolwiek zbliżenie przepelniało ją tak ogromną rozkoszą i niecierpliwym oczekiwaniem zaspokojenia. Ze śmiechem, przy wtórze Garthowych pomrukiwań, zdarła z niego spodnie, lecz śmiech natychmiast zamarł na jej ustach, gdy Garth położył ją na kanapie i wziął, nie zwlekając, pod siebie.

Był delikatny, a zarazem pewny swoich ruchów. Ostrożny, lecz twórczy. Wciąż pamiętał, co sprawia jej największą przyjemność. Czy zapamiętał wszystkie pieczyoty, którymi kiedyś dawał jej rozkosz?

Czuła się tak, jakby obudziła się ze złego snu. Było w niej szczęście, ocean szczęścia. Z trudem łapała oddech, poddając się kolejnym falom, które niosły ją w bezkresną otchłań, w której byli już tylko oni dwoje - Claudia i Garth, jak kiedyś, jak teraz, jak zawsze...

- Zostałabym tak na zawsze - wyznała kilka minut później Claudia, ciągle leżąc pod mężem na kanapie.

- Jakżebyś śmiał się ruszyć - zażartował Garth. - Będziemy jednak musieli.

- A to dlaczego?

- Bo... bo następnym razem mam zamiar kochać się z tobą wygodnie, w łóżku.

- Następnym razem? - Serce Claudii drgnęło zdradziecko, ale nic nie powiedziała, przyglądając się tylko uważnie jego twarzy.

- Nie zamierzam poprzestać na jednym razie, Claudio

- ostrzegł, jakby odgadywał jej niewypowiedziane myśli.

- Mam nadzieję, że ty też nie. Możemy zacząć wszystko od nowa. Jeszcze nie jest za późno.

- Mamy zapomnieć o przeszłości?

- Nie. - Pokręcił głową. - Nie będziemy zapominać o przeszłości, lecz zbudujemy na niej nowe życie. Wykorzystamy to, czegośmy się nauczyli. I postaramy się, żeby tym razem nikt i nic nie stanęło już między nami. Przecież wciąż się kochamy...

Czy miał rację? W tej chwili Claudia skłonna była myśleć, że tak. Przeżyła w jego ramionach prawdziwe uniesienie, a poza tym czuła się z Garthem tak naturalnie,

tak zwyczajnie i swobodnie, jakby nic złego między nimi się nie wydarzyło. Jakby nie było Katriony i rozwodu, wszystkich kłótni i gorzkich słów.

Nie wyobrażała sobie, że miałaby teraz wrócić do Ivy House i do samotnego życia, jakie wiodła od lat. Nagle i nieoczekiwanie zdała sobie sprawę, że ta perspektywa wcale jej nie cieszy i że niezależnie od wszystkiego, chce być z Garthem, że potrzebuje jego wsparcia, promieniującej z niego siły.

- Tara musi mieć przy sobie obydwój rodziców, kiedy dowie się prawdy - powiedział, odczytując jej myśli z taką precyzją, że aż zaniemówiła, porażona jego darem przenikliwości. - A i my dwoje potrzebujemy siebie nawzajem. Jak myślisz, Claudio, uda nam się raz jeszcze?

Chciała powiedzieć, że nie wie. Że musi się zastanowić i potrzebuje czasu. Tymczasem ku swemu zdumieniu usłyszała, że zamiast tego oznajmia cichym, lecz pewnym głosem:

- Bardzo bym tego chciała, Garth. Bardzo... Garth porwał ją w ramiona i westchnął rozpromieniony.

- Więc chodźmy.

- Dokąd?

- Do łóżka. To najlepsze miejsce do prowadzenia tego rodzaju dyskusji, jedyne, w którym powinniśmy się teraz znaleźć. Od dzisiaj nie będzie przeszłości - zapowiedział, niosąc ją w stronę sypialni - żadnych bolesnych wspomnień tylko początek nowego życia.

Claudia otworzyła usta, by coś sprostować, poczynić jakąś trzeźwą uwagę, ostudzić romantyczne i nierozważne porywy, ale gdy spojrzała w jego błyszczące nadzieją oczy, jej również udzielił się wariacki nastrój. Poczła się nagle jak głupiotka nastolatka, zakochana pierwszy raz w życiu, zakochana po same uszy, ślepo, bezrozumnie i szaleńczo.

- Naprawdę? - zaszczębiotała jak na pierwszej randce i przytuliła policzek do jego piersi.

Jutro wszystko będzie wyglądało inaczej, myślała. Jutro zbierze siły, przywoła na pomoc całą swoją odwagę i dojrzałość - i wyjawি Tarze prawdę.

Zanim to jednak miało nastąpić, chciała odnaleźć ukojenie w miłości.

Rozdział 17

- Przynajmniej wiemy, dlaczego moja wiza jeszcze nie przyszła - mruknęła Tara do Rylanda. Siedziała właśnie na blacie kuchennym, przeżuwała kęs grzanki i kończyła czytać list, który po chwili podała ukochanemu. - Mają jakieś problemy z komputerem - ciągnęła. - Stąd opóźnienia, bałagan i całe to zamieszanie z wydawaniem promes.

- Hm...

- Wpadnę po drodze do taty. Zostawił mi wiadomość na automatycznej sekretarce, że chce się ze mną zobaczyć. O co mu chodzi? Od kilku dni nie pojawia się w biurze. Zadzwoił do swojej sekretarki i powiedział, że wypadło mu coś bardzo ważnego i że nie chce, by mu przeszkadzano. Nikomu nie pozwolił kontaktować się ze sobą, a to u niego rzadkie. Próbowałam dodzwonić się wczoraj do mamy, ale jej też nie mogłam złapać. Maxine twierdzi, że zadzwoniła do niej i powiedziała, że wyjeżdża, ale nie poinformowała dokąd i na jak długo. Do niej to też zupełnie niepodobne. Dziwna sprawa.

Z grzanki pozostał już niewielki kęs. Tara obejrzała go niezwykle uważnie, po czym zlizwała marmoladę i uśmiechnęła się, widząc, że Ryland przyłapał ją na tym dziecięcym zachowaniu.

- Nie jesz? - zapytała. - Ja mogłabym połknąć konia z kopytami. Widocznie za dużo kalorii spaliłam w nocy i teraz organizm musi je uzupełnić - oznajmiła, zerkając na niego znacząco.

Ryland pokręcił głową.

- Pojąłem aluzję, ale w żadnym razie nie poczuwam się do odpowiedzialności. To nie ja wpadłem na pomysł, żebyśmy wypróbowali seksualną pozycję tygodnia z ostatniego numeru „Bravo Girl”.

- Twierdziłeś, że to niewykonalne - roześmiała się Tara.

- I miałem rację.

- Nie do końca - przekomarzała się z upodobaniem.

- Po prostu starzejesz się, kochany. Gdybyś był...

- Z gumy... to chciałaś powiedzieć - dokończył Ryland. - A jeśli mowa o starości, czy to ja ciągle narzekam, że a to łupie mnie w kolanie, a to znowu łamie w...

- Już dobrze, dobrze. Wiesz, że nie lubię być na górze. Ciągłe mi się wydaje, że mam za duży brzuch, a poza tym...

- Poza tym wolisz, żebym to ja odwał ciężką robotę - pokpiwał Ryland, otwierając usta, by ugryźć kawałek grzanki, który Tara podsunęła mu pod brodę.

- Nieprawda - zaprzeczyła tonem urażonej godności.

- Tylko że...

- To takie nieromantyczne - wpadł jej w słowo, naśladowując jej głos.

- A żebyś wiedział. Możesz się śmiać, że jestem sentymentalną gęsią, ale uwielbiam czuć na sobie twój ciężar - mruknęła przymilnie. - Mmm... kiedy zamieszkamy u twoich rodziców, nie będziemy chyba musieli zajmować oddzielnych sypialni, powiedz? - zaniepokoiła się nagle.

- Chyba jednak będziemy musieli. Ale nie martw się na zapas. Dom jest tak ogromny, że na pewno coś wymyślimy.

- Hm... Nie chcę żebyśmy coś wymyślali - naburmuszyła się Tara. - Chcę mieć wszystko. Mam nadzieję, że po ślubie nie każesz mi zbyt długo czekać na pierwsze dziecko. Ostatnio zrobiłam się okropnie kapryśna.

Ryland próbował przybrać przerażoną minę, ale widział, że Tara nie dała się nabrać. Rozmawiali wiele razy o dzieciach i obydwójce zgodnie przyznawali, że pragną tego, co Tara nazywała prawdziwą rodziną.

- Przynajmniej trójka - wyliczała Tara, snując plany na przyszłość. - I dwa psy... Aha, i duży pokój gościnny, żebyśmy mogli podejmować przyjaciół. I oddzielny apartament dla babci, bo przecież mama będzie do nas przyjeżdżała na dłużej, kiedy przejdzie na emeryturę.

- Apartament dla babci. Mówiłaś już Claudii, jakie masz względem niej plany? Nie zdawałem sobie sprawy, że jest już w tak podeszłym wieku - ironizował Ryland.

Tara parsknęła śmiechem.

- Pewnie, że nic nie mówiłam. O rany, bardzo będę za nią tęsknić, Ry - dodała już poważnie. - Zawsze byliśmy sobie bardzo bliskie. Nie, nie, ona nie należy do tych zaborczych, nadopiekuńczych matek, nie martw się. Nigdy tak się nie zachowywała.

Tylko... tylko zawsze miała dla mnie czas, kiedy jej potrzebowałam i trochę się boję, jak to będzie, kiedy wyjadę tak daleko.

Ryland przyglądał się uważnie swojej ukochanej. Nie powiedziała tego wprawdzie, ale domyślał się, w czym leży problem. Tara wychowywała się w ciepłej matczynej miłości, otoczona czułością i troskliwą opieką niczym magiczną opończę.

Ta magiczna opończa nadal ją spowijała, uwidaczniała się we wszystkim, od tonu głosu po charakterystyczne nachylenie głowy. Tara każdym swoim gestem zdawała się mówić, jak bardzo była kochana, jak szczerze została wyposażona w owe bezcenne dary, które szczęśliwe dzieci otrzymują od kochających rodziców - wiarę we własną wartość, zaufanie do siebie, szacunek dla swojej osoby, poczucie bezpieczeństwa. Ryland wiedział, że jego przyszła żona przekaże te dary dalej, czyniąc ich wspólne dzieci bogatymi ponad wszelką miarę.

- Zabawnie będzie zająć się przygotowaniem do ślubu - powiedziała Tara. i jej twarz zachmurzyła się nieco, a w głosie zabrzmiała skarga. - Szkoda, że moja rodzina jest taka nieliczna. Nie mam małych kuzynek i kuzynów, z mojej strony nie będzie w orszaku družek i družbów.

Teraz z kolei uśmiechnął się Ryland.

- Możesz sobie pożyczyć kilkoro moich - zaofiarował łaskawie. - Jest tego drobiazgu mnóstwo, całe hordy, przynajmniej po kądzieli.

Jednak Tara ciągle miała ponurą minę.

- Tak mi przykro, że mama i tata nie są już razem. Tylko się nie bój - zastrzegła od razu. - To kulturalni ludzie, potrafią się znaleźć, kiedy sytuacja tego wymaga.

Obiecuję, że nie będzie żadnych scen. - Skrzywiła się. - Wiesz co? Wolałabym, żeby byli może mniej kulturalni i gorzej wychowani, ale za to żeby byli razem, jak Bóg przykazał. Wszystko oddałabym dla ich szczęścia.

- Na pewno są szczęśliwi - zapewnił ją Ryland i dodał: - Są też dorośli i sami decydują, jak mają żyć.

- Wiem, ale czegoś mi tu brakuje. Żadne z nich nie podjęło żadnej decyzji, obydwójce żyją samotnie, z nikim się nie związali. Tak jakby nadal byli małżeństwem. Zresztą moim zdaniem nadal mogliby być.

- Prawie się nie widują - zauważył Ryland.

- I co z tego? Ojciec i tak kocha mamę. Jestem tego pewna. Ma jej fotografie w sypialni. Musiały być robione wkrótce po moim urodzeniu, bo mama trzyma mnie na nich na ręku.

- Zapewne trzyma te zdjęcia, bo ty na nich jesteś.

- E, tam - machnęła ręką - co ty możesz wiedzieć...

Ryland wiedział przede wszystkim to, że Tara uparcie trwa w złudnym przekonaniu, iż jej rodzice powinni być razem. To był jej konik, jej obsesja, częsta zapewne, jak przypuszczał, u dzieci rozwiedzionych rodziców, które chociaż dorosły, nigdy nie pogodziły się do końca z rodzinnym dramatem.

- Mama też nie ma nikogo - ciągnęła Tara, najwyraźniej nie zrażona jego sceptycyzmem. - A przecież mogłaby, gdyby tylko chciała.

- To prawda. Jest piękną kobietą - przytaknął Ryland i uskokzył z krzykiem, gdy Tara w odpowiedzi wymierzyła mu kuksańca. - Au! Za co? Za to, że powiedziałem, że jest piękną kobietą?

- Za to, w jaki sposób to powiedziałeś. Mógłbyś sprecyzować, jak bardzo piękną, twoim zdaniem?

Ryland parsknął śmiechem i objawszy Tarę, zdjął ją z blatu kuchennego, na którym siedziała.

- Niezwykle, zabójczo piękną... ale ani w części tak piękną, jak jej córunia - szepnął i zaczął pokrywać całusami szyję dziewczyny.

- Hm... Zdawało mi się, że masz iść do pracy - przypomniała mu Tara.

- Owszem - przyznał z żalem w głosie.

- To jedź. Ja też muszę już wyjść. Ojciec prosił, żebym rano przyjechała najpierw do niego. Pojęcia nie mam, co to ma oznaczać. Przydałaby się jakaś nieoczekiwana premia - zaśmiała się Tara.

Ryland odpowiedział uśmiechem. Podobało mu się i nappełniało go szacunkiem to, że rodzice Tary, obydwoje dobrze sytuowani, potrafili oprzeć się pokusie i nie ob-sypywali swojej ukochanej jedynaczki deszczem pieniędzy.

Tara pracowała w firmie swojego ojca, utrzymywała się z pensji, którą tam otrzymywała i której wysokość wynosiła dokładnie tyle, co zarobki innych młodych stażystów.

Jak też zareaguje, zastanawiał się Ry, gdy usłyszy, że w przyszłości nie będzie musiała oszczędzać? Ciągłe nie mógł się zdecydować, jak i kiedy ma jej to powiedzieć.

- Taro... - zaczął ostrożnie, ale o kilka sekund za późno.

- Naprawdę muszę iść - uprzedziła jego słowa Tara. - Zrobiło się późno. - Pocałowała go, chwyciła żakiet, torbę i ruszyła ku drzwiom, rzucając jeszcze przez ramię: - Jak znam życie, znowu utknę w korku. Zamówisz chińszczyznę na kolację? Wieczorem nie będziemy mieli czasu na gotowanie.

- Co to znaczy my? - odpowiedział Ryland dyżurnym żartem. Tara nigdy nie próbowała zaprzeczać, że z nich dwojga to on jest zdecydowanie lepszym kucharzem.

Pół godziny po wyjściu Tary, kiedy i Ryland zaczął zbierać się do wyjścia, zadzwonił telefon. Niezadowolony Ry podniósł słuchawkę, a jego niezadowolenie przeszło w niepokój na dźwięk głosu ojca. Nie spodziewał się go usłyszeć.

- Coś się stało? - zapytał.

- Będziesz musiał wracać do domu, synu - oznajmił starszy pan z troską. - Sprawdziliśmy rozkład lotów, masz samolot o jedenastej waszego czasu. Zarezerwowałem ci już miejsce. Przesiądziesz się w Nowym Jorku, a w Bostonie już będziemy na ciebie czekać.

- Na lotnisku? Tato...

- Nie mogę ci teraz nic wyjaśniać. Wsiadaj w samolot i wracaj. Czekamy.

Ryland wiedział, że skoro ojciec żąda natychmiastowego powrotu, musiało stać się coś złego, bardzo złego. Po plecach przeszedł mu złowieszczy dreszcz.

- Tato, czy mama... dziewczynki...?

- Nie. Matka czuje się dobrze, dziewczynki również. Nie mogę rozmawiać z tobą przez telefon. Będiesz na miejscu, to wszystko zrozumiesz. Aha, jeszcze jedno, Ry... uważam, że powinieneś przylecieć sam.

Sam? Ry nie zdążył zapytać dlaczego, bowiem ojciec w tej samej chwili się rozłączył.

Co się, u diabła, stało? Czuł krążącą w żyłach adrenalinę i chwytający za gardło niepokój. Sam fakt, że ojciec osobiście zarezerwował mu bilet na samolot był już

wystarczająco alarmujący, a jego ton głosu wyzwolił w Rylandzie jakąś pierwotną, idącą z głębi trzewi reakcję. Boże, musiało stać się coś naprawdę strasznego.

Powinien zadzwonić na lotnisko i potwierdzić rezerwację. Spakować kilka najpotrzebniejszych rzeczy i zdążyć na Heathrow przed jedenastą. Musi też, oczywiście, zawiadomić Tarę o swoim niespodziewanym wyjeździe. Powinna zrozumieć...

Sprawdził listę automatycznych połączeń i nacisnął przycisk z zakodowanym numerem mieszkania Gartha. Coraz bardziej zasepiony, odczekał kilka długich sygnałów, ale po drugiej stronie nikt nie odpowiadał. Widocznie Tara, jak się tego obawiała, utknęła po drodze w korkach, a jej ojca zapewne nie było w domu.

Zniecierpliwionym gestem odłożył słuchawkę. Nie ma innego wyjścia - będzie musiał zostawić Tarze kartkę z informacją. Tylko co napisać, żeby liścik brzmiał w miarę sensownie?

Wzruszył ramionami i zaczął się krzątać w poszukiwaniu kartki i pióra. Zapisał pospiesznie swój numer w Stanach, w lewym górnym rogu zanotował godzinę.

Dzwonił ojciec. Chce, żebym przyleciał do domu. Nic więcej nie wiem. Zadzwonią, kiedy się da. Całuję, ściskam, już za tobą tęsknię. Myśl o mnie. R.

- Och, Garth, czy naprawdę sądzisz, że zasługuję na takie szczęście? - westchnęła radośnie zaskoczona Claudia.

Wyszła właśnie spod prysznicza i dopiero po chwili protestów zgodziła się oddać mężowi ręcznik, by wytarł ją do sucha.

Spędzili razem prawie trzy doby, rezygnując zgodnie ze swoich zwykłych obowiązków. Upojeni bliskością, zajęci wyłącznie sobą, nie odbierali nawet telefonów i nie odsłuchiwali nagranych na sekretarkę wiadomości. Oszołomieni długimi rozmowami i kochaniem się do późnej nocy, zasypiali spleceni w czułym uścisku, a w dzień wspólnie opłakiwali stracone lata.

- Dlaczego nigdy nie rozmawialiśmy ze sobą tak jak teraz? - zapytała Claudia w jakimś momencie. Oczy miała pełne łez wywołanych zwierzeniami Gartha; opowiadał jej właśnie, jak bardzo był zrozpaczony i nieszczęśliwy, kiedy zażądała rozwodu.

- Nie w tym rzecz, by mówić, lecz by umieć słuchać - zauważył. - Być może obydwójce byliśmy nie dość dojrzały. Być może nie rozumieliśmy, co niszczy.

- Ja z całą pewnością nie rozumiałam - przyznała Claudia i dodała szeptem: - Tak bardzo mi ciebie brakowało... dopiero teraz zaczynam w pełni rozumieć jak bardzo. Czuję się jak... jak rzeka, która wyschła, a teraz na powrót zaczęła płynąć wartkim nurtem. Nie zasługuję na ciebie, Garth... nie zasługuję na to wszystko i tak bardzo się boję, że...

- Nie bój się już więcej, kochana. Już nie trzeba.

- Nie umiem się nie bać. Przecież Tara... Jak twoim zdaniem zareaguje, kiedy powiem jej prawdę? Widzisz, jestem niby fachowcem, mam kwalifikacje, praktykę, lata pracy za sobą. Napatrzyłam się na podobne rozmowy setki razy, a jednak...

- A jednak wszystko wygląda inaczej, kiedy w grę wchodzi nasze uczucia - przerwał jej Garth i czułym gestem ujął twarz żony w dłonie. - To będzie wymagało czasu, może nawet więcej czasu niż obydwójce byśmy chcieli, ale Tara w końcu na pewno uświadomi sobie, dlaczego tak postąpiliśmy. Zrozumie, jestem tego pewien.

- Zrozumie, że kłamałam, bo bałam się ją stracić.

- Nie kłamałaś - sprostował łagodnie.

- Dobrze, nie mówiłam prawdy. Ale to w gruncie rzeczy to samo co kłamstwo. Wstyd mi się przyznać, Garth, ale gdzieś w głębi duszy nadal mam ochotę utrzymać ten stan.

Spojrzał czujnie w jej oczy, na co ona pokręciła głową i posłała mu niepewny uśmiech.

- Nie martw się, nie wycofam się w ostatniej chwili. Teraz już nie mogłabym nie powiedzieć jej o wszystkim.

- Jej się to należy. Pamiętaj o tym.

- Och, nam też, nam też. Zasłużyłam sobie na to, co jeszcze mnie spotka. Całe szczęście, że mam ciebie. Inaczej nie wiem, jak bym to wszystko przeżyła. Wiesz, mam uczucie, jakbyśmy w ciągu tych kilku dni odbyli... podróż w przeszłość. Wracam z tej podróży ze wspomnieniami, obrazami i bagażem przemyśleń, którego nie można odstawić na półkę i tak po prostu o nim zapomnieć. Tym razem to niemożliwe.

- To bardzo cenny bagaż. Pomoże ci w rozmowie z Tarą.

- Tak, na pewno. Usiłuję sobie wyobrazić jak bym się czuła na jej miejscu. Jak ja bym zareagowała, gdyby to moi rodzice stanęli przede mną i oznajmili mi, że nie

jestem ich dzieckiem... że moja matka nie była... - Przygryzła wargę, usiłując powstrzymać narastający w gardle szloch. - Och, Garth, tak strasznie się boję. Nie chodzi o mnie. Boję się o Tarę. To... to może ją zniszczyć. Kiedy zabrałam ją z... z tamtego miejsca, przyrzekłam jej i Katrionie, że zawsze będę ją kochać i ochraniać.

- I dotrzymałaś obietnicy - zapewnił Garth serdecznie, lecz Claudia pokręciła głową na te słowa.

- Nie, nie dotrzymałam. Kochałam ją, to prawda, ale dla zaspokojenia swoich własnych potrzeb. Kierowałam się egoizmem i doprowadziłam w końcu do tego, że będzie teraz skazana na ból. Zdradziłam ją, tak właśnie teraz to czuję.

Sprzeniewierzyłam się miłości. Ja, która sama tyle wycierpiałam przez zdradę.

- Dajesz już spokój. Przestań się torturować - powiedział Garth stanowczo, po czym owinał Claudię rącznikiem, wziął ją w ramiona i przytulił mocno do siebie. - Będzie trudno, ale nie możesz tracić wiary, Clo. Zaufaj Tarze, jeśli nie potrafisz ufać sobie.

- Nie potrafię...

- No, weź się w garść. Niedługo powinna tu być.

I pamiętaj, że jesteśmy razem, że masz mnie. Na zawsze

Rozdział 18

- Nie, nie wierzę wam. To nieprawda... To nie może być prawda - sprzeciwiała się Tara, kręcąc gwałtownie głową, jakby chciała wyrzucić z pamięci to, co przed chwilą usłyszała. Jej podniesiony, ostro brzmiący głos przepełniony był przerażeniem, strachem, rozpaczą, to znowu przybierał ton prośby czy wręcz błagania.

Powstrzymując napływające do oczu łzy, Claudia spojrzała bezradnie na męża.

- A jednak to prawda, kochanie - potwierdził. - Prawda, która niczego między nami nie zmienia. Zawsze chcieliśmy... i nadal chcemy... Jesteś nadal naszą córką, mimo wszystko...

- Twoją córką. Ale nie... - wykrztusiła Tara z pobladłą jak płótno twarzą.

Claudia przysunęła się, by ją objąć, lecz dziewczyna cofnęła się gwałtownie, zeszytywniała nagle, pełna nieufności i wrogości.

- Nie! Nie dotykaj mnie! - zawołała porywczo.

- Taro...

- Nie, nie, nie! Nie zniosę tego. Nie potrafię. Jak mogłaś zrobić coś takiego? - mówiła z męką w głosie. - I to ty? Ty, która mówiłaś mi zawsze, jak ważne jest zaufanie, szczerść? Mam wrażenie... że nigdy cię nie znałam. Co z ciebie za człowiek? Nie, nie znam cię. Jesteś kim innym. Nie jesteś...

- Taro! - przerwał jej stanowczo Garth i Tara natychmiast zamilkła. Wciąż jednak nie była w stanie otrząsnąć się z szoku. Kim są ci obcy ludzie, którzy twierdzą, że ją kochają? Którzy z całym rozmysłem oszukiwali ją przez tyle lat, ukrywali przed nią prawdę, do której ona miała prawo od samego początku?

Podeszła do okna, odwróciła się do nich plecami i ukryła twarz w dłoniach, by nie widzieli jej łez.

Claudia i Garth również musieli hamować łzy. Zdecydowali, że przekażą córce suche fakty. Wierzyli, że później, kiedy minie pierwszy szok, Tara zacznie zadawać pytania, będzie chciała dowiedzieć się czegoś więcej. Najpierw jednak winni ograniczyć się do faktów. Wiedzieli, że owe fakty mogą mieć moc porażającą, spodziewali się ze strony córki podobnej reakcji. Gdy jednak wybrzmiały ostatnie słowa, mieli wrażenie, że za chwilę świat przestanie istnieć. Tak było cicho, tak strasznie.

Fakty. Zimne, twarde słowa, za którymi otwierał się cały przestwór bolesnych doznań. Fakty. Jak zawrzeć w faktach uczucia, przeżycia? Jak, relacjonując fakty, opowiedzieć o dwudziestu trzech latach miłości, bliskości, oddania? Czy wszystko to miało zostać teraz unieważnione?

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? Dlaczego czekałaś aż do tej pory? - pytała Tara. - Jeżeli naprawdę mnie kochałaś, powinnaś była mi powiedzieć. Jeśli naprawdę mnie kochałaś...

- Kocham cię. Zawsze kochałam - zapewniała Claudia gorąco. Rozpaczliwie pragnęła wziąć córkę w ramiona, ukoić jej ból, ochronić przed złem, jak czyniła to tyle

razy wcześniej, lecz córka odsuwała się i patrzyła na nią z okrucieństwem, które było tak charakterystyczne dla Katriony, jej biologicznej matki.

- Nie - powtarzała - nie kochałaś. Kochałaś jedynie sam fakt posiadania dziecka... jakiegokolwiek dziecka. O to ci tylko chodziło. Gdybyś mnie kochała, powiedziałaabyś zamiast czekać tyle lat.

- Wiem, Taro, powinnam była powiedzieć. Ale postaraj się zrozumieć... Bałam się.

- Ja mam cię zrozumieć? - syknęła Tara i zaśmiała się gorzko. - Ja? A czy ty próbowałaś zrozumieć, co ja będę czuła? Pomyślałaś, jak to jest, kiedy nagle się dowiadujesz, że ludzie... że ktoś, kogo uważałaś za najbliższą osobę, za matkę, to w gruncie rzeczy ktoś obcy? Obca kobieta, która zabrała cię do własnego domu, pozwalając twojej rodzonej matce umrzeć w nędzy!

- Taro! - huknął na córkę Garth, usiłując przywołać ją do porządku.

- Tak było, tato! Może zaprzeczycie?

- To nieprawda... zrozum - broniła się słabo Claudia.

- Powiedziałaś przed chwilą, że moja matka... moja prawdziwa matka... że ona prosiła cię, żebyś mnie wzięła, tak?

- Tak było, ale...

- No więc skoro to mówiła, to musiała jeszcze żyć! - zawołała Tara głosem bliskim płaczu. - Skoro zrobiłaś, o co prosiła, to wyszłaś i zostawiłaś ją sama! Umierającą!

- Nie... - Claudia spuściła głowę.

- Nie - powtórzył Garth. - Twoja matka... - zaczął, po czym powtórzył dobitnie: - Twoja prawdziwa matka, która stoi teraz przed tobą, była z Katrioną do końca. Twoja matka zadbała o godny pochówek Katriony. Twoja matka przez wszystkie lata naszego małżeństwa, a przypuszczam, że nadal to czyni, odwiedzała trzy razy do roku grób Katriony, w dzień jej urodzin, w rocznicę śmierci i w dzień twoich urodzin. Robiła to wszystko, bo nikt inny by tego nie zrobił. Nikt. Robiła to z wdzięczności. Za ciebie.

Po tych słowach zaległa długa cisza. Claudia spojrzała błagalnie w oczy Tary. Miała wrażenie, że na sekundę, na ułamek sekundy zagościł w nich cień łagodności,

ledwo dostrzegalna szczelina w obronnym murze nienawiści, którym Tara chciała się od niej odgradzić. Zaraz jednak szczelina zasklepiła się, a matkę i córkę znowu przedzieliła nieprzekraczalna ściana.

- Och, ile wielkoduszności... - zakpiła dziewczyna. - Można wiedzieć, gdzie jest pochowana, czy też tę tajemnicę również zachowasz dla siebie?

Claudia zamknęła oczy. Zaczęły napływać wspomnienia...

Po wielu wysiłkach zdobyła wreszcie urzędowe pozwolenie; mogła pochować Katrionę na małym wiejskim cmentarzu, obok grobu jej rodziców. Posadziła na grobie rozmaryn dla pamięci i dzwoneczki, by kwitły wiosną, nieokiełznane i piękne jak niegdyś Katriona.

- Wiem, Taro, że powinnam była powiedzieć ci wcześniej - powtórzyła jeszcze raz zduszonym głosem. - Twój... Garth chciał, ale ja... - Podniosła głowę i spojrzała w twarz córki. - Masz rację, dziecko. Byłam samolubna. Bałam się, że cię stracę - stwierdziła po prostu. - Szczególnie po tym, jak się dowiedziałam prawdy i jak rozwiodłam się z twoim ojcem. Byłaś w końcu jego córką.

- I bałaś się, że znając prawdę, zechcę mieszkać z nim zamiast z tobą - dokończyła Tara i posłała Garthowi pełne niechęci spojrzenie. - Być może jestem jego córką, ale nie powiecie mi chyba, że zostałam poczęta świadomie, z miłości? No, słucham, tato...

- To, jak zostałam poczęta, nie ma w tej chwili znaczenia - oznajmił cierpko Garth. - Trzeba być naiwnym, Taro, by wierzyć, że każdy z nas rodzi się w wyniku świadomych decyzji i z wzajemnej miłości rodziców.

- Dla mnie ma to znaczenie! - nie ustępowała Tara.

- A czy nie ważniejsze jest to, że rosłaś otoczona miłością, że byłaś kochanym, akceptowanym dzieckiem?

- Przez kogo? Na pewno nie przez ciebie, tego jestem pewna! Powiedziała ci, że jest w ciąży? Wiedziałaś? No i co, jaka była twoja reakcja?

- Claudia cię chciała. - Garth nie dał się zbić z tropu. - Kochała cię na długo przedtem, zanim zdała sobie sprawę, że jestem twoim ojcem. Kochali cię zupełnie bezinteresownie. Pomyśl, Taro... zadaj sobie to pytanie: ile osób potrafiłoby to o sobie powiedzieć? Ilu ludzi ma pewność, że byli kochani i chciani zupełnie po prostu, przez

wzgląd na nich samych, niezależnie od oczekiwań swoich rodziców, niezależnie od tego, czyje geny odziedziczyli?

- Wiem, odziedziczyłam złe geny - prychnęła Tara.

- Przepraszam, ale nie przekonałeś mnie, tato - oznajmiła i wykonała gest dłonią w kierunku Claudii. - Ona chciała się pocieszyć, to wszystko. Musiała zastąpić kimś dziecko, które straciła. Wiedziała, że nigdy już nie będzie matką. Nawinęła się znakomita sposobność i już. Kochała mnie, bo musiała kochać... nie miała wyboru. Albo ja, albo nic.

Claudii na moment zapało dech w piersiach.

- Taro, to... to nieprawda - wydusiła z siebie z trudem. - Pokochałam cię od razu. Od pierwszej chwili, kiedy cię ujrzałam. Od początku było coś... między nami.

Przygryzła wargę. Jak miała opowiedzieć młodej kobiecie, która stała przed nią pełna nienawiści, o tym, jak niezwykłą więź nawiązała wówczas z zawiniętą w brudne pieluchy dziewczynką? Jak wytłumaczyć tę miłość rodzącą się nagle, od jednego wejrzenia? To były dla Claudii fakty oczywiste, zakorzenione tak głęboko w świadomości, stanowiące tak nieodrodną część jej świata, że nie znajdowała dla nich słów, nie umiała ich wyrazić.

Wiedziała tylko, że od początku była między nimi miłość. Pamiętała pełne mądrości dziecięce oczy, które patrzyły na nią z ufnością i oddaniem. Czy da się o tym tak po prostu powiedzieć? Czy uda się przekonać kogoś, kto nie chce słuchać, rozumieć...

- Opowiedz mi raz jeszcze o mojej matce - zażądała Tara, potwierdzając, że istotnie nie zamierza słuchać tłumaczeń Claudii. - O mojej prawdziwej matce - dodała o Katrionie.

- Mówiliśmy ci już, że była jedną z podopiecznych twojej matki - odezwał się Garth.

- Jedną z podopiecznych - powtórzyła Tara, przedrzeźniając ojca. - To cała wasza wiedza?

Claudia zerknęła z niepokojem na męża. Czy wolno jej powiedzieć o Katrionie wszystko, całą prawdę, ze szczegółami? Kiedy rozmawiali o tym wcześniej, Garth uważał, że tak. Jak prawda - to pełna, powtarzał. Claudia była bardziej sceptyczna i

ostatecznie zdecydowali, że uzależnią to od tego, jak potoczy się ich rozmowa i ile sama Tara będzie chciała wiedzieć.

Teraz okazało się, że Tara chce wiedzieć wszystko.

- Posłuchaj, Taro, Katriona... - zaczął Garth, jakby chciał wyręczyć żonę z tej przykrej powinności, lecz Claudia przerwała mu szybko, kręcąc głową.

- Nie, nie... ja jej powiem. W końcu znałam ją lepiej... lepiej niż ty - dodała i zaczęła opowiadać.

W swojej opowieści starała się podkreślać te cechy Katriony, które ją samą w niej pociągały: inteligencję, niezależność, poczucie humoru, odwagę.

- Powiadasz, że porzuciła dom rodzinny i przyjechała do Londynu. Dlaczego? - pytała niecierpliwie Tara.

- Wielu młodych ludzi tak wtedy postępowało. Wszyscy ciągnęli do stolicy, a Katriona była jedną z tych osób, które... Cóż, mówiąc krótko, z jej charakterem, temperamentem, dusiła się w swoim małym, sennym miasteczku. Z tego, co wiem, przyjechała do Londynu, bo... bo nie mogła porozumieć się z ojcem. Ona...

- Uciekła, to chciałaś powiedzieć? - zapytała Tara ostrym tonem.

Claudia przełknęła z trudem ślinę. Niełatwo było opowiadać podobne historie. Ale jeszcze gorzej było ich słuchać, zwłaszcza gdy dotyczyły kogoś bliskiego, najbliższego.

Oczy Tary napełniły się nagle łzami gniewu.

- Boże - mruknęła wściekle - chyba potrafię domyślić się reszty. Ile miała wtedy lat? Siedemnaście, osiemnaście... mniej? - rzuciła, potrząsając głową na znak, że nie oczekuje odpowiedzi, po czym ciągnęła zapalczynie: - Nie mówcie nic więcej, nie trzeba. Wiem, co było dalej. To wszystko jest takie łatwe do przewidzenia, takie żalosne, prawda?

- Katriona nigdy nie była żalosna - przerwała jej Claudia. - Ona...

- Co ona? Powiedziałaś, że była jedną z twoich podopiecznych. Dlaczego? Czy dlatego, że brała narkotyki?

- Tak, miała kłopoty z narkotykami.

- A jak na nie zarabiała? Prostytycją?

Wyraz twarzy Claudii potwierdził jej przypuszczenia.

- Nie musisz nic mówić - powtórzyła Tara raz jeszcze. - Moja matka była narkomanką i prostytutką. A kim był mój ojciec? - zapytała, spoglądając ze wzgardą na Gartha. - Jednym z jej klientów?

- Nie! - zawołali Garth i Claudia równocześnie.

- Nie? Więc nie dlatego się z nim rozwiodłaś? Nie dlatego że odkryłaś jego brzydkie nawyki, w tym nawyk korzystania z usług prostitutek? A może moje poczęcie miało być eksperymentem społecznym? Nowatorską metodą poszukiwania matek zastępczych? Zapłaciliście mojej matce, żeby dała się zapłodnić? - dopytywała się z cynicznym uśmiechem. - Nie, ma się rozumieć, że nie - sama odpowiedziała sobie na pytanie. - To nie było tak, nie mogło być tak, prawda? Skorzystałeś z jej usług, ona tymczasem zaszła w ciążę. Co za pech! Musiałeś się nieźle spocić na wiadomość o dziecku. Jestem doprawdy zaskoczona, że nie udało ci się namówić jej na skrobankę, z reguły tak właśnie się kończą podobne historie. Szkoda, może nie byłoby wówczas tej dzisiejszej rozmowy...

- To wszystko nie tak, Taro - zaprzeczała desperacko Claudia, nie wiedzieć już który raz w ciągu ostatniej godziny. - Musisz zrozumieć, że...

- Muszę? - Tara uniosła głowę i zaniósła się wysokim, zgrzytliwym śmiechem, który jako żywo przypominał śmiech odwiedzanej przez Claudię Katriony. - Dobry Boże, z jakimi ludźmi ja mam do czynienia? Tatuś wykorzystuje uzależnioną prostytutkę, a tak zwana matka wykrada później produkt uboczny poczyniań swojego męża. Nie wiem, które z was gorsze, naprawdę.

- Taro - zaczął Garth ostrzegawczym tonem. - Jest wiele rzeczy, o których nie wiesz, wiele spraw, których...

- No to opowiedzcie mi o nich! - zawołała Tara i rozszlochała się z twarzą ukrytą w dłoniach.

Claudia dostrzegła zbolące spojrzenie męża. Spotkali się wzrokiem, wymienili spojrzenia. Rozmowa była znacznie trudniejsza niż oboje przypuszczali. Czy prawdą jest zatem, że im większa miłość, tym większy ból, większa nienawiść, kiedy w miłość wbije się ostrze zdrady?

Tara była już u kresu sił, Claudia również. A jednak trzeba było dokończyć tę rozmowę, dopowiedzieć wszystkie wątki do końca. Tego chciała Tara. Tego potrzebowała cała ich trójka.

Garth mówił wolno, cicho. Nikt mu nie przerywał.

Opowiadał, jak doszło do poczęcia Tary, jak Claudia opowiedziała mu o urodzonej przez Katrionie ślicznej dziewczynce, jak zabrała dziecko na prośbę umierającej i jak przyniosła je do domu.

Gdy skończył mówić, przez chwilę w pokoju panowała cisza. Zaraz potem Tara wybuchła gwałtownym, gniewnym śmiechem.

- Naprawdę sądzisz, że uwierzę w to wszystko?

- To prawda - stwierdziła Claudia.

- Prawda! Co ty o tym wiesz? Jesteś oszustką i złodziejką! Nie miałaś prawa zrobić tego, co zrobiłaś!

- Wiem.

- Wiesz, a jednak zabrałaś mnie, wykradłaś mojej umierającej matce, a potem ukrywałaś przede mną moje pochodzenie. Pozbawiłaś mnie przeszłości! Okradłaś nie tylko Katrionę, ale również mnie! Nigdy ci tego nie wybaczę, Claudio!

Claudia spuściła głowę. Zimne, z rozmysłem rzucone „Claudio” zamiast „mamo” zabolalo bardziej niż wszystkie żale zgłaszane dotąd przez Tarę. Zasłużyła jednak, by córka ją raniła, czyż nie? Tara przecież cierpiała. I zadawała cierpienie.

- Wychodzę i nigdy więcej nie chcę widzieć żadnego z was! Nigdy!

Claudia odruchowo chciała się sprzeciwić, zaprotestować, ale Garth objął ją i powstrzymał. Tymczasem Tara chwyciła torbę i szybkim krokiem ruszyła ku wyjściu. Po chwili zatrzęsnęła za sobą z hukiem drzwi i zostali sami.

- Już po wszystkim - Garth odezwał się pierwszy.

- Nie powinniśmy jej byli puścić w takim stanie.

- Potrzebuje czasu, żeby poukładać sobie w głowie to, co usłyszała.

- Boże, to wszystko nigdy nie powinno było się zdarzyć - załkała Claudia. - To moja wina, tylko moja. Miałaś rację, Garth, trzeba było powiedzieć jej o tym, kiedy była dzieckiem. Nie o wszystkim, ale o tym, co najważniejsze... Wtedy by wysłuchała, zrozumiała, pogodziła się z faktami. Och, Garth, co ja najlepszego zrobiłam?

- Wychowałaś ją. Dałaś jej swoje serce - przekonywał ją łagodnie. - Zobacz, na jaką wspaniałą dziewczynę nam wyrosła. Jesteś najlepszą matką, jaką może mieć dziecko. Tara będzie musiała w końcu to zrozumieć i docenić.

- Tak myślisz?

- Na pewno.

- W tej chwili uważa, że to Katriona jest jej matką, a ja kimś, kto ją podstępnie wykradł...

- Cicho, cicho, wszystko będzie dobrze - pocieszał ją Garth. - Ona jest teraz wściekła, rozgoryczona. Ma do nas żal, ale nadal jest twoją córką, naszą córką, Clo.

- Nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy, kiedy pytała nas o Katrionę. Czy rzeczywiście powinniśmy byli powiedzieć jej aż tyle?

- A mieliśmy inne wyjście? Czy lepiej było nadal ją okłamywać? Udawać, że Katriona była kimś zupełnie innym, niż była?

- A kim była? Masz odwagę zamknąć całą jej postać w dwóch słowach: narkomanka i prostytutka? Owszem, tak żyła. Brała narkotyki, szukała klientów, ale przecież była też młodą, bezradną i bezbronną dziewczyną, która nie mogła się porozumieć z otoczeniem. Och, Garth, teraz boję się jeszcze bardziej...

- Wiem, czego się boisz. Ale Tara to nie Katriona, Clo - napomniał żonę Garth.

- Po pierwsze jest starsza, po drugie... po drugie wie, że jest kochana i akceptowana. Nie zapominaj też, że ma Rylanda. Daj jej po prostu trochę czasu.

- Może powinniśmy zadzwonić do Rylanda, uprzedzić go?

- Nie, chyba nie. Moim zdaniem sama powinna mu o wszystkim opowiedzieć.

- A co będzie, jeśli zniknie, jeśli nigdy więcej jej nie zobaczymy?

- Wróci. Musi tylko mieć czas, żeby ochłonać, ocenić sytuację, a wtedy zrozumie, jak bardzo ją kochamy.

Po wyjściu od ojca Tara ruszyła prosto w stronę mieszkania, które dzieliła z Rylandem. Mimo iż dzień był ciepły, drżała na całym ciele. Ciągle jeszcze zaszokowana i nieprzytomna, nie była w stanie zrozumieć do końca tego, co właśnie usłyszała. Nie umiała zanalizować i ocenić własnych odczuć ani odnaleźć się w nowej sytuacji.

Przede wszystkim zaś nie potrafiła dopuścić do wyobraźni tego, że ktoś tak bliski, jak jej własna matka... jak Claudia... mógł ukrywać przed nią przez tyle lat tak ważne, tak bardzo istotne wiadomości.

Dorastając w rodzinnym domu, cieszyła się miłością, była pewna więzi łączącej ją z matką, tymczasem Claudia musiała przez cały ten czas myśleć, że wychowuje nie swoje dziecko, obce dziecko. Zapewne była przekonana, że postępuje szlachetnie, przyjmując wielkodusznie pod własny dach... bękarta, którego spłodził jej mąż; bękarta zrodzonego z łona jakiejś nieszczęsnej dziewczyny z marginesu, ćpunka, dziwki sprzedającej się facetom...

- Nie! - krzyknęła głośno i łzy popłynęły jej z oczu.

Szła ulicą z zaciśniętymi pięściami, zapłakana, obojętna na zdziwione spojrzenia przechodniów. Myśli, które kłębiły się w jej głowie, były nie do wytrzymania, przyprawiały ją o mdłości.

Przez te wszystkie lata Claudia udawała, że ją kocha. Udawała, bo jakżesz mogła kochać ją naprawdę? A skoro nie kochała, życie Tary, pozbawione miłości, traciło sens, traciło podstawy, na których zostało zbudowane.

„Pokochałam cię od początku, od pierwszej chwili” - zapewniała ją Claudia. Ale Tara nie dawała wiary tym zapewnieniom.

„Od początku było coś między nami...”

Niby co? Mąż Claudii był jej ojcem, owszem, jest to jakaś więź. Ale ona? Z nią nie łączyło jej nic.

A jak się czuła jej matka, prawdziwa matka, Katriona? Co myślała, dowiedziawszy się, że jest w ciąży? Czy w ogóle myślała i czuła cokolwiek, czy też dziecko było dla niej tylko obciążeniem?

„Chciała, żebym cię wzięła - mówiła Claudia. - Wiedziała, że umiera. Chciała, byś była bezpieczna, kochana...”

Tara mocno w to wątpiła. Po tym, co zrobili, jak wobec niej postąpili, nie była już w stanie uwierzyć w żadne zapewnienia ze strony tej dwójki. Przez tyle lat okłamywali ją, ukrywali prawdę. Nienawidziła ich, gardziła nimi, nie miała ochoty nigdy więcej widzieć ich na oczy. Im szybciej wyjedzie z Rylandem do Stanów, tym będzie szczęśliwsza. Zacznie nowe życie, zapomni o przeszłości...

- Ry? Ry, jesteś jeszcze? - Z płaczem otworzyła drzwi i wpadła na oślep do mieszkania.

W powietrzu ciągle jeszcze unosił się znajomy zapach płynu po goleniu, ale mieszkanie było puste. Przebiegła przez salon, zajrzała do sypialni, przeszła do kuchni, by nastawić wodę na herbatę.

Ocierając łzy, wróciła powoli do salonu. Na stoliku dojrzała kartkę, sięgnęła więc po nią drżącą dłonią i zaczęła czytać. Kiedy zaś ją odłożyła, jej twarz była trupio blada.

Ryland wyjechał.

Ojciec wezwał go niespodziewanie do domu.

Zostawił swój numer telefonu. Musi do niego zadzwonić.

Zaczęła gorączkowo wystukiwać cyfry, lecz po chwili rozmyśliła się i odłożyła słuchawkę.

Skoro został wezwany do domu, to na pewno z powodu ciotki. Tej samej ciotki, na którą Ry tak utyskiwał, o której mówił, że jest gorsza niż urzędnicy z wydziału imigracyjnego. Tej samej, która ma tak wysokie wymagania wobec kandydatek na żony dla bratanka.

Tara usiadła drętwą na kanapie. Co powiedziałyby ciotka, gdyby dowiedziała się, kim jest przyszła oblubienica Rylanda? Co powiedziałyby jego matka, obydwój rodzice?

Poczuła dławiący ucisk w gardle. Nie może przecież stawiać najbliższego człowieka w sytuacji, w której będzie musiał wybierać między nią a swoją rodziną. Za bardzo go kochała, by narażać na coś podobnego. Znała Rya na tyle dobrze, by wiedzieć, że jeśli pozwoli mu wybierać, wybierze ją, ale w głębi duszy zawsze będzie czuł się winny wobec rodziny, a ona nie chciała budować swojego związku na poczuciu winy i wyrzutach sumienia. Miała inną wizję małżeństwa, inne plany, inne wyobrażenia.

Teraz to wszystko już nieważne, nieaktualne. W ciągu jednego dnia całe jej życie uległo radykalnej zmianie i odtąd nic już nie miało być takie samo jak dawniej, Matka - prostytutka i narkomanka.

Tara objęła kolana ramionami i w starym jak świat odruchu poszukiwania pociechy zaczęła się kołysać w przód i w tył. Nie znajdowała jednak ucieczki od smutnej wiedzy, którą właśnie nabyła; odwrotnie, cały czas wracała myślami do rozmowy z rodzicami.

- Skoro uważałaś za wskazane milczeć do tej pory, dlaczego zdecydowałaś się powiedzieć mi o wszystkim akurat teraz? - zwróciła się w jakimś momencie z pretensją do Claudii. - Czyżby znudziła ci się nagle odgrywana dotąd z takim zapałem rola kochającej matki? Zapragnęłaś odmiany? Chcesz zacząć nowe życie? - miotła na oślep gorzkie oskarżenia.

Claudia z bezradną miną spojrzała na Gartha, po czym zaczęła tłumaczyć łamiącym się głosem:

- Bałam się, że... że mogą być problemy z ciotką Rylanda. Przestraszyłam się, że ta kobieta dojdzie jakimś sposobem prawdy. Poza tym twoja wiza... nie przysłali promesy na czas. Nie chciałam... chciałam, żebyś była przygotowana na najgorsze.

- Promesa nie przyszła, bo popsuły się komputery, a nie dlatego że władze w Stanach wpadły na trop twoich kłamstw!

W głębi duszy żałowała, że rodzice nie pozostawili jej w niewiedzy, że nie zachowali swojej tajemnicy dla siebie. Dlaczego jednak miałyby oczekiwać ze strony Claudii jakichś względów dla swoich uczuć? Przecież najwyraźniej nic dla niej nie znaczyła. Nie była jej dzieckiem.

Podniosła się ciężko z kanapy, wzięła do ręki kartkę z numerem telefonu w Bostonie, którą zostawił jej Ryland, i w obawie, że może ulec pokusie i sięgnąć po słuchawkę, podarła papier na drobne kawałki, po czym wrzuciła je do kosza.

Nie mogła zostać w tym mieszkaniu. Nie teraz. Nie miała prawa. Przestało być jej domem, ponieważ ona stała się inną osobą, kimś obcym, kogo sama jeszcze nie zdążyła poznać. Czowała, że nie ma domu, nie ma przeszłości, przyszłości ani prawdziwej tożsamości. Nawet rzeczy, które do niej należały, nagle wydały się jej obce. Była teraz zupełnie sama. Nic nie posiadała i nie miała nikogo bliskiego.

Hamując napływające do oczu łzy, ruszyła chwiejnym krokiem w kierunku drzwi. Nie wiedziała, gdzie pójdzie ani co zrobi. Jednego tylko była pewna - że

dotychczasowe życie legło nagle w gruzach. Nigdy już nie miała być tą samą osobą, którą była dotąd. W jednej chwili stała się... niczym.

Zawróciła jeszcze od drzwi, podeszła do stołu i zdjęła z palca pierścionek, który dostała od Rylanda wkrótce po tym, jak wyznał jej swoją miłość.

Na blat upadła pojedyncza łza, ale Tara nawet tego nie zauważyła. Zwracając pierścionek Rylanda, zrywała z dawną sobą. Czy Ryland, czy ktokolwiek, w tym ona sama, mógłby pokochać nową Tarę? Tarę, w której żyłach płynęła krew jakiejś obcej kobiety? Jaka ona była, ta obca dziewczyna, ta narkomanka, jej rodzona matka sprzedająca swoje ciało mężczyznom?

- Zastanowiłaś się nad tym, co powiedziałem?

Estelle spoglądała posepnie na zasną twarz Blade'a. Pojawił się u niej poprzedniego dnia późnym wieczorem i zażądał, by go wpuściła. Był agresywny, wiedziała, że wcześniej musiał coś wziąć. Ona też czasami brała, choć starała się unikać ciężkich narkotyków.

Tym razem nie chodziło mu wyłącznie o seks. Estelle ze ściśniętym strachem sercem słuchała jego mętnej opowieści o tym, jak to podpadł jakiemuś, jak go nazywał, „ważniakowi”. Doskonale wiedziała, że Blade nie tylko ćpa, ale też handluje towarami. Bywało, że i ona od niego kupiła parę działek, by przyjemniej jej było się kochać z tym czy innym facetem. Nie widziała w tym nic złego, w sumie każdy może brać, póki wie, co robi i co bierze. Z niepokojem obserwowała jednak, że Blade grzęźnie coraz głębiej w świecie narkotyków.

Teraz znowu zaczął ją męczyć, czy znalazła już jakąś dziewczynę. Szukał prostytutki z klasą, takiej, która po przyuczeniu mogłaby wyciągać od klientów odpowiednio wysoką kasę.

- Zwykły układ odpada. Ci moi faceci znają to już na pamięć - mówił, gdy wcześniej rozmawiali na ten temat. - Chcą czegoś specjalnego, czegoś, co ich naprawdę podkręci.

- Czego mianowicie? - dopytywała się Estelle, zaintrygowana i ku własnemu zaskoczeniu zirytowana. Ostatnio coraz częściej drażniło ją to obsesyjne zainteresowanie Blade'a seksem. Mało tego - napawało fizyczną wręcz odrazą. Starowała się jednak

odganiać od siebie podobne myśli. Mówiła sobie, że musi być lojalna, bo bez Blade'a nie miałyby nic, byłyby niczym.

- No wiesz - tłumaczył. - Szukają czegoś... kogoś... podniecającego, niezwykłego. Dyskretnego i świeżego. To zagranicznacy. Chcą zabrać do domu wideo na pamiątkę. Gotowi są dobrze zapłacić, naprawdę dobrze, ale zaczynają się niecierpliwić. Musisz przecież znać kogoś, kto by się nadał, nie? Jakąś laskę, jakiej nigdy w życiu nie trafią na ulicy.

- Jeżeli mam ci znaleźć dziewicę...

- Nie, nie. Chcą kogoś, kto rozumie, co to ból i potrafi się nim lubować. Ty rozumiesz, co znaczy lubować się bólem, prawda? - szepnął tonem, który miał wskazywać, że narkotyk powoli przestaje działać i odzywa się w nim pożądanie. - Rozumiesz i sama bardzo to lubisz...

Zaśmiał się, widząc, że Estelle próbuje mu się wymknąć. Często igrała z nim w ten sposób. Dreszcz strachu przyjemnie pobudzał jej zmysły, gdy Blade po krótkiej grze w chowanego wreszcie ją obezwładniał. Uwielbiała drażnić go w ten sposób, bo nigdy nie wiedziała, jak daleko brat tym razem się posunie, jak bardzo ją przestraszy, jak silny ból jej zada i na ile będzie mogła mu zaufać. To ryzyko, to niebezpieczeństwo ją podniecało.

- Byłaś z kimś innym, tak? - powiedział z wyrzutem w głosie, gdy już unieruchomił jej nadgarstki w wezłowie łóżka.

- Nie - zaprzeczyła, Blade tymczasem uklęknął nad nią, pociągnął mocno za włosy i wbił zęby w jej pierś.

- Nie kłam. Czuję jego zapach... jego smak na twojej skórze. Co ci robił? Może to?

Krzyknęła głośno, kiedy pociągnął za złoty kolczyk tkwiący w sutku. Dostała ten kolczyk od Blade'a na urodziny, a prezent obejmował też wizytę w odpowiednim salonie, gdzie w fachowy sposób dokonano przekłucia skóry i umieszczenia w niej tej ekstrawaganckiej ozdoby.

- Potrzebujemy kogoś nowego... gotowego na przygodę - wrócił do poprzedniego wątku, nie przestając przy tym igrać z jej ciałem. - Ci faceci to dobrzy znajomi mojego waźniaka. Wyrazili życzenie obejrzenia czegoś ekstra.

- Nie będzie łatwo znaleźć kogoś, kto ich zadowoli.

- Musisz się postarać. Goście grają o wysokie stawki. Nie ma mowy, żebym ich zawiódł. Rozumiesz, o co chodzi?

Rozumiała aż za dobrze. Zdarzyło się już, że nie była w stanie dostarczyć Blade'owi tego, czego żądał. Nie widziała go potem przez dwa długie miesiące i myślała, że uschnie z tęsknoty. On był uzależniony od narkotyków, ona od Blade'a. Z drzeniem pomyślała, że mógłby znowu ją opuścić. Nie przeżyłaby tego. Żaden inny mężczyzna nawet w części nie potrafił zaspokoić jej tak jak Blade.

- Postaram się - obiecała rano.

Obolała po nocnej porcji seksu, nie miała najmniejszej ochoty iść do pracy, lecz to przecież właśnie ta praca dawała Estelle okazję do spotykania mężczyzn, którzy gotowi byli hojnie płacić za świadczone przez nią, a wykraczające poza zakres obowiązków, usługi. Dodatkową przyjemność czerpała z tego, że potem, z dreszczykiem emocji, mogła opowiadać Blade'owi o swoich seksualnych wyczynach z klientami, których sama sobie wyszukiwała. Ci, których brat do niej przysyłał, nigdy jej nie płacili, musiała obsługiwać ich za darmo.

- Postaraj się - rzucił rozkazującym tonem od drzwi. - I pamiętaj, że ci goście chcą kogoś z klasą. To musi być kobieta, która wygląda na drogą i tak się zachowuje. Nie zadowolą się tanią dziwką.

Ktoś drogi i z klasą. Gdzie, u diabła, ma mu znaleźć kogoś takiego? Kto w dodatku zgodzi się spełnić wymagania jego klientów? Dawniej wyszukiwała dziewczyny ,dla Blade'a, penetrując kluby nocne. Wiedziała, że tam bez trudu znajdzie to, czego akurat potrzebował. Teraz czuła się jednak bezradna, a przy tym wcale nie była pewna, czy chce się angażować w nową awanturę.

W kwaśnym nastroju przygotowywała się do wyjścia. Krzywiąc się z bólu, wyjęła tkwiące w opuchniętych sutkach kolczyki. Blade był tej nocy wyjątkowo brutalny, nawet jak na niego. Powinna założyć biustonosz, ale wtedy jej sutki nie będą zbyt widoczne pod jedwabną bluzką i nie podziałają tak na klienta firmy, z którym miała się dzisiaj spotkać. Zaciśnęła usta. Facet był małą płotką, być może niewartą zabiegów, z drugiej jednak strony musiała zapłacić kolejną ratę za swoje BMW, a Blade wyjął pewnie przed wyjściem wszystkie pieniądze z jej portfela.

No dobrze, założy biustonosz i powodzi tylko za nos nowego klienta, do niczego się na razie nie zobowiązując. Nie zaszkodzi mieć coś w odwodzie, tym bardziej że niedługo będzie musiała zacząć się rozglądać za nową pracą. Miała wrażenie, że Garth patrzył na nią ostatnio krzywym okiem i na pewno nie ucieszyłby się, wiedząc, jak Estelle wykorzystuje zawierane w pracy znajomości.

Wielka szkoda. Gdyby był innym człowiekiem, z przyjemnością umieściłaby jego nazwisko na liście swoich klientów, a nawet zaproponowałaby specjalną zniżkę. W kilka tygodni po przyjściu do firmy zorientowała się jednak, że Gartha nie interesuje ten rodzaj seksu, który ona oferuje. Mimo wszystko wciąż nie traciła nadziei. Może znajdzie w końcu sposób, by szef zmienił zdanie?

Jej ojciec znowu zostawił wiadomość na sekretarce, ale nie miała ochoty do niego oddzwaniać. Z przyjemnością myślała o tym, jakby się czuł, jakby zareagował, gdyby wiedział, w jaki sposób żyje jego córka. Miałby temat do rodzicielskich pogawędek ze swoją najdroższą Rebeccą!

Oczy na moment rozbłysły jej radością. A może spróbowałaby podsunąć Blade'owi uroczą Rebeccę? Pomysł był niewykonalny, ale z chęcią zobaczyła w wyobraźni twarz swojego ojca, który dowiedział się właśnie, w jaką to intrygę wplątała się jego córeczka.

Na szczęście dziewczyna, z którą Tara dzieliła mały pokój w firmie ojca, była na urlopie. Obyło się więc bez zbędnych pytań czy komentarzy i Tara mogła spokojnie usunąć z biurka wszystkie swoje prywatne drobiazgi. Obok komputera stało zdjęcie zrobione podczas ostatnich Świąt Bożego Narodzenia - ona, matka i czwórka dziadków. Drżącą dłonią sięgnęła po fotografię, odwróciła ją spodem do góry i wrzuciła do pustej szuflady, a potem zatrzasnęła ją z trzaskiem.

W nowym życiu nie było miejsca na żadne pamiątki.

Jakie to dziwne, myślała smutno, jej świat uległ oto zasadniczej przemianie, a tutaj, za uchylonymi drzwiami pokoju, trwa zwykła bieganina, toczy się normalna praca.

A ojciec? Jak dotąd nie dostrzegła nigdzie jego śladu. Zapewne nadal jest z nią... z Claudią.

Co za ironia losu! Tyle lat marzyła na próżno, żeby jej rodzice znowu byli razem, a teraz, kiedy wreszcie się zeszl, nie miało to już dla niej żadnego znaczenia.

Nachyliła głowę nad biurkiem, do oczu ponownie napłynęły jej łzy.

- Co się stało, Taro? Jakies kłopoty?

Podniosła wzrok i w uchylonych drzwiach dojrzała Estelle, asystentkę ojca, która wiedzioną ciekawością, weszła do pokoju, po czym zamknęła drzwi za sobą i spojrzała na nią troskliwie. Estelle podeszła do niej, położyła jej dłoń na ramieniu.

- Nie płacz... czemu płaczesz?

Tara niezdolna była wykrztusić z siebie żadnej odpowiedzi. Pokręciła tylko żałośnie głową, a łzy popłynęły rześście po jej policzkach.

Estelle objęła dziewczynę i przygarnęła ją do siebie. Nie zważała na to, że Tara się broni, że nie chce, że usiłuje uwolnić się z uścisku. Instynkt podpowiadał jej, że oto znalazła sposób na rozwiązanie swojego problemu. Widziała, że ma do czynienia z osobą słabą, zdruzgotaną, bezradną - i postanowiła wykorzystać tę sytuację.

- Biedactwo - mruknęła z udaną czułością, a jej bystre oko natychmiast dostrzegło, że Tara nie ma na palcu pierścionka, z którym nie rozstawała się od wielu miesięcy.

Ona na miejscu Tary zażyczyłaby sobie znacznie droższego i bardziej reprezentacyjnego klejnotu niż maleńki brylant noszony dotąd z taką dumą przez córkę szefa.

- Daj spokój, nie płacz już - mówiła. - Szkoda twoich łez, dziewczyno. Mężczyźni! Wszyscy są tacy sami.

Jej uwaga, tak jak się spodziewała, wywołała nowy potok łez. Estelle uśmiechnęła się do siebie. Stara sztuczka, która zawsze się sprawdzała. Wystarczyło okazać załamanej trochę współczucia i człowiek nie wiecieć kiedy zyskiwał w takiej dozgonną przyjaciółkę.

Spojrzała na opróżnione biurko, dostrzegła brak fotografii. Zrozumiała, że sprawy zaszły daleko; że ma przed sobą zdradzoną kobietę, której cały świat zawalił się pod stopami i która postanowiła uciec, dokąd ją oczy poniosą.

Co za prezent od losu!

To, co za chwilę usłyszała, potwierdziło tylko jej przecucia.

- Puść mnie, proszę - wykrztusiła Tara, szlochając. - Muszę iść... Muszę wyjechać... Ja...

- Oczywiście, że musisz - przytaknęła kojącym głosem. - Pomogę ci.

I zanim Tara zdążyła ją powstrzymać, Estelle zaczęła uczynnie układać w kartonowym pudle osobiste drobiazgi, które tamta wyjęła wcześniej z szuflad.

- Odprowadzę cię - zaproponowała, uporawszy się z pakowaniem. - Nie będziesz przecież niosła tego wszystkiego sama.

Doprowadziła swoją ofiarę dyskretnie do windy, zjechała z nią na podziemny parking. Zapłakana Tara podała jej bez słowa kluczyki, a Estelle otworzyła bagażnik i ułożyła w nim kartonowe pudło.

- Gdzie chcesz jechać? - zapytała, ale nie doczekała się odpowiedzi. - Nie pozwolę, żebyś prowadziła w tym stanie. Nigdy bym sobie tego nie wybaczyła. Posłuchaj, mam pomysł. Za chwilę zacznie się przerwa na lunch. Może pójdziemy do jakiejś cichej restauracji?

Tara bez zastanowienia pokręciła głową. Nigdy nie była zbyt blisko z Estelle, dziewczyna wywoływała w niej niechęć i odstręczała ją od siebie swym wyzywającym zachowaniem. Wydawała się zajęta wyłącznie mężczyznami, zbyt pewna siebie, a przy tym przebiegła. W biurze krążyły zresztą plotki o jej dość swobodnym życiu seksualnym, którym Tara dla zasady nie dawała posłuchu. Nigdy starała się nie słuchać plotek, co nie zmieniało faktu, że nie była w stanie zaprzyjaźnić się z tą budzącą w niej dziwny lęk kobietą.

- Dlaczego nie? Nie przyjmuję tej odpowiedzi - oznajmiła Estelle stanowczo. - Mowy nie ma, żebyś puściła cię samą w takim stanie. Twój ojciec...

Tara drgnęła, cała krew odpłynęła jej z twarzy. Ostatnia rzecz, której by teraz chciała, to jakakolwiek forma kontaktu z ojcem.

- Dobrze... zgadzam się - powiedziała potulnie, a wówczas Estelle pchnęła ją lekko w kierunku fotela dla pasażera, sama zajmując miejsce za kierownicą.

- Ja poprowadzę. Tak będzie bezpieczniej.

Tara sądziła wprawdzie, że zamiast jechać do restauracji, powinny zjeść w pobliżu biura, dokąd mogłyby pójść pieszo, ale była tak ubezwłasnowolniona władcym zachowaniem Estelle, że nie miała siły, by protestować.

Nie chciała być z Estelle, naprawdę nie chciała. Jedyne, czego w tej chwili pragnęła, to przekręcić kluczyk w stacyjce i jechać przed siebie, dopóki nie znalazłaby się w miejscu, gdzie nikt jej nie zna i gdzie mogłaby zacząć wszystko od początku. Nie miała najmniejszej ochoty na męczący lunch z prawie nieznaną kobietą, brakowało jej jednak energii, by się przeciwstawić. Łatwiej, prościej było poddać się biernie biegowi wypadków, odchyliła więc głowę i zamknęła oczy, pozostawiając inicjatywę swojej towarzyszce.

Natomiast Estelle już snuła swoje plany. Były szalone, niebezpieczne. Na samą myśl o tym, co mogłaby zrobić, odczuwała rozkoszny dreszcz niepokoju zmieszanego z podnieceniem.

„Potrzebują kogoś z klasą... ze stylem...” - brzmiały jej w uszach słowa Blade'a. Tara aż nadto odpowiadała wymaganiom. Estelle nie mogła się doczekać, by zobaczyć jej twarz, gdy przywiązana do łóżka, będzie oczekiwała na wejście swego kata.

Owszem, Tara może się opierać, ale od czego są narkotyki? Blade doskonale wiedział, jaki można zrobić z nich użytek. No właśnie, ciekawe, co powie Blade, gdy zobaczy, kogo mu przywiozła?

Wyjechały na ulicę. Tara nadal miała zamknięte oczy. Jeśli w czasie lunchu da się namówić na alkohol... dużo alkoholu... bez oporów pójdzie do każdego mieszkania. Estelle zaprowadzi grzeczną dziewczynkę do siebie, a potem...

Och, kusiło ją, by jechać prosto do domu, ale to było zbyt ryzykowne. Nie, pohamowała się, najpierw lunch.

Spojrzała raz jeszcze na Tarę. Po policzku dziewczyny spłynęła gorąca łza, w ślad za nią następna. Estelle zaśmiała się w duchu na widok tej zbolalej twarzy. Głupia suka. Wkrótce będzie miała okazję się przekonać, co to prawdziwy ból. Nie powinna długo czekać, jeśli tylko Blade się nią zajmie.

Tak, Blade był w tym najlepszy. Inni mogli uważać go za zboczeńca, ale nie Estelle. Znała go, wiedziała, czego jej brat szuka, czego pragnie - rozkoszy i bólu. Niech sobie mówią, co chcą - ból i rozkosz to jedyne dwie rzeczy, które liczą się w życiu.

Rozdział 19

Ojciec był pierwszą osobą, którą Ryland dostrzegł po wejściu do hali przylotów. Na widok syna podszedł i uściskał go serdecznie. Ry zauważył, że i tak już wiekowy człowiek postarzał się przez ostatnie miesiące jeszcze bardziej. Posiwiął, przygarbił się, skurczył. Wyglądał już nie jak starszy mężczyzna, lecz jak staruszek.

Wyraźnie czymś zafrasowany, ujął Rya pod ramię i poprowadził do wyjścia.

- Co się stało? - zapytał Ryland. Ojciec pokręcił w odpowiedzi głową.

- Poczekaj, aż wsiądziemy do samochodu - rzucił lakonicznie.

Autostrada była zatłoczona, więc ojciec całą uwagę skupił na prowadzeniu, co wzmogło tylko zdenerwowanie syna.

- Tato, powiedz coś wreszcie... - Nie dość, że nękały go obawy wywołane tak gwałtownym wezwaniem do domu, to odczuwał już nieprzyjemne skutki gwałtownej zmiany czasu.

- Przepraszam cię, synu - usprawiedliwiał się Jed, widząc jego narastające zniecierpliwienie. - To dla nas... taki wstrząs.

- Jaki wstrząs? Wyjaśnij mi wreszcie, o co chodzi?

- Zdarzył się wypadek na wyspie... pożar. Zanim straż dotarła na miejsce...

- Pożar, ale... jakim sposobem...?

Jed pokręcił tylko głową i odparł krótko.

- Po powrocie do domu.

- Zaraz, poczekaj. Kto tam był? Czy oni...? - Przerwał, widząc, że więcej i tak się nie dowie.

Ciągle jeszcze nie mógł pojąć w pełni znaczenia złowieszczych słów ojca. Wiedział tylko, że chodzi o jakiś pożar i o wyspę. Zapewne ojciec miał na myśli niewielką wysepkę u wybrzeży Nowej Anglii, którą przed dziesiątkami lat kupił pradziadek Rylanda. Miejsce to było świadkiem wielu radosnych spotkań. Ry jako dziecko spędzał tam prawie każde lato. Utała się tradycja, że cała rodzina zjeżdża się tam pierwszego maja, a w tym roku na rodzinny zjazd Ryland zamierzał wziąć Tarę.

- Na wyspie była Margot...

Ry podniósł wzrok na ojca, który najwyraźniej postanowił powiedzieć coś więcej.

- Sama?

- I Lloyd - przyznał ojciec z ociąganiem, zamilkł na moment, po czym znowu dodał: - I ciotka Martha. Gospodyni miała dzień wolny, więc przynajmniej ona...

- Czy to znaczy, że Margot, Lloyd i ciotka Martha...? - zaczął Ryland, ale słowa uwięzły mu w gardle, tak jakby w głębi duszy znał już odpowiedź.

Jed kurczowo zacisnął dłonie na kierownicy.

- Tak. Wszyscy zginęli. Dowódca brygady, która gasiła ogień, uważa, że najprawdopodobniej dym...

- Dym! Przecież musieli coś zauważyć, poczuć. Dlaczego nie próbowali się ratować?

- Nie wiem, synu. Straż i policja ciągle prowadzą dochodzenie. Ogień musiał wybuchnąć w nocy, kiedy wszyscy spali...

- Nie mogę w to uwierzyć - szepnął Ryland łamiącym się głosem. - Po prostu nie jestem w stanie.

- Wiem, synu, wiem - odparł ojciec pocieszająco. - Porozmawiamy o wszystkim, kiedy będziemy już w domu. W tej chwili...

- Oczywiście, tato. Rozumiem.

Zjechali z autostrady w boczną drogę, która prowadziła do małego miasteczka, w którym Ryland spędził dzieciństwo. Co za ironia losu, pomyślał z goryczą. Przez ostatnie miesiące w Londynie wyobrażał sobie, że następnym razem będzie przemierzał tę trasę razem z Tarą, radosny i podniecony perspektywą prezentacji swojej wybranki rodzicom. Niemalże widział już ich uśmiechnięte twarze - matki, ojca, całego rodzeństwa. Ba, miał nawet pod powiekami obraz ciotki rozbrojonej naturalnym urokiem Tary i promieniującym z niej ciepłem.

Dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak bardzo zależało mu na tym, by ciotka poznała jego ukochaną. Pragnął ujrzeć w oczach Marthy wiarę, przekonanie, że w rękach Tary i w rękach dzieci, które miała mu urodzić, losy firmy, a co znacznie ważniejsze, losy rodziny będą bezpieczne.

On sam był przekonany, że jego przyszła żona potrafi być lojalna nie tylko wobec niego i ich miłości, ale też wobec idei, którą całym sercem wyznawała Martha - że bogactwo wiąże się z odpowiedzialnością, z mądrym pożytkowaniem majątku dla dobra ludzkości.

Tara.

Boże, jak rozpaczliwie potrzebował jej teraz u swego boku. Tak bardzo brakowało mu jej siły, jej ciepła, jej wsparcia, ale nade wszystko jej miłości.

Wyjrzał przez okno. Pejzaż Nowej Anglii nie prezentował się najlepiej o tej porze roku. Stawał się szary, nieokreślony, rośliny więdły i traciły swoją bujność - zupełnie jak ojciec, pomyślał Ry, patrząc z troską na starszego pana za kierownicą.

Dom wciąż stał na swoim miejscu. Piękny, typowo nowoangielski, szalowany, posadowiony na wzgórzu nad jeziorem. Wzniósł go jeszcze prapradziad Rylanda i budynek trwał przez lata, zawsze ten sam, nie zmieniony, niby rodzinny matecznik. Dla Rya był symbolem rodzinnej stabilności i rodzinnego szczęścia.

Wygodna, rozłożysta rezydencja była może nieco za duża jak na potrzeby współczesnej rodziny, ale Ry, leżąc nocami z przytuloną doń Tarą w jej maleńkim londyńskim mieszkaniu, snuł marzenia, jak to zamieszkają po ślubie w podobnej siedzibie, gdzieś niedaleko rodziców. Uśmiechnął się teraz na tę myśl, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że jego ukochana jest obok niego, blisko, na wyciągnięcie ręki.

Samochód wjechał na podjazd. Ryland już z daleka dostrzegł czekającą na stopniach i wypatrującą ich matkę. Obok niej stały siostry - zaskakująco dorosłe, tak mu się przynajmniej zdawało po dwunastu miesiącach niewidzenia.

- Och, synku, tak mi przykro, że wracasz do domu w podobnych okolicznościach - powiedziała matka na powitanie i uściskała go serdecznie. - Mam nadzieję, że twoja Tara zrozumie, dlaczego tak nagle musiałeś wyjechać.

Ry odwzajemnił uścisk matki. Starsza pani nie musiała mu tłumaczyć, że nie chciała, by pierwsze spotkanie z narzeczoną syna łączyło się z tragedią w rodzinie.

- Na szczęście twój dziadek wyjechał odwiedzić starego przyjaciela - oznajmiła, widząc, że Ry zerka odruchowo w stronę ścieżki, która wiodła do niewielkiego pawilonu, gdzie mieszkał jego dziad ze strony matki. - Bardzo lubił Marthę. Ciągłe się sprzeczali na tematy polityczne i... - słowa uwięzły jej w gardle. - No dobrze, wejdźmy

do środka. Jed, dzwonił porucznik Armory z policji - zwróciła się do męża. - Chciał z tobą rozmawiać.

- Mówił coś nowego? - zapytał ojciec, kierując powoli swe kroki w stronę wejścia.

- Mi nic nie powiedział. Wyjaśniłam mu, że pojechałeś po Rya i że zadzwonisz zaraz po powrocie z lotniska. Idźcie teraz obaj do twojego gabinetu, opowiedz Rylandowi, co się wydarzyło. Za chwilę podam wam kawę.

Jed odczekał, aż żona przyniesie dzbanek z kawą, po czym starannie zamknął drzwi od gabinetu i przystąpił do relacjonowania smutnych wydarzeń.

- Nie chciałem rozmawiać z tobą w samochodzie, ale istnieją poszlaki, że pożar na wyspie... Otóż dotychczasowe dochodzenie wskazuje na to, że ogień został podłożony z rozmysłem.

- Podłożony z rozmysłem? - Ryland wpatrywał się w ojca, nic nie rozumiejąc. - Chcesz powiedzieć, że zrobił to jakiś podpalacz? Ale dlaczego? I jak, do diabła, dostał się na wyspę?

- Dochodzenie trwa, więc...

- Może chodziło o majątek ciotki - Ry nie pozwolił ojcu dokończyć zdania. - Pamiętam, że kiedy Margot była mała, ciotka dostawała pogróżki od porywaczy.

- Sprawa nie ma nic wspólnego z majątkiem Marthy, synu. Widzisz... - Jed przerwał i drżącymi dłońmi rozlał kawę do filiżanek. - Otóż wszystko wskazuje na to, że ogień podłożyła... sama Margot.

- Margot? - Ryland omal nie rozlał kawy na spódnie. - Po co? To jakaś bzdura!

- Niekoniecznie. Wszyscy doskonale wiemy, ile dla Margot znaczył Lloyd.

Osobiście nie jestem w stanie zrozumieć związku, który ich łączył, ale też... ale też nie mam prawa całkowicie ich potępiać. Dziękuję w każdym razie Bogu, że sam nigdy nie znalazłem się w podobnej sytuacji. Pokochałem twoją matkę od pierwszego wejrzenia. Wiem, że tak samo było z twoim stryjem i z Marthą. Podejrzewam, że tacy już wszyscy jesteśmy. Widać, to rodzinne.

Ryland nie odezwał się. Czas nie był po temu, żeby opowiadać ojcu, jak to on zakochał się w Tarze, ledwie ją zobaczył. Nie chciał, by na tak ważnych zwierzeniach kładła się cieniem tragedia, o której właśnie mówili.

- Skąd jednak można wiedzieć - mówił tymczasem ojciec - jak któryś z nas by się zachował, gdyby pokochał osobę, z którą łączy go więzy krwi? Łatwo mówić, że człowiek na czas dojrzałby niebezpieczeństwo, że wycofałby się, nie brnął dalej.

Przecież Margot... - przerwał, pokiwał głową. - Margot uczyniła z miłości do Lloyda jedyny cel swojego życia. To naprawdę, naprawdę musiała być wielka miłość.

- Lloyd też ją kochał - wtrącił Ryland.

- Tak, Lloyd ją kochał. Ale jego uczucia nigdy nie były tak intensywne.

Podejrzewam, że ostatnio podtrzymywał związek tylko dlatego, iż obawiał się, co Margot gotowa zrobić, gdyby on... - Podniósł rękę, jakby chciał wycofać swoje słowa.

- To tylko moje domniemania, nic nie wiem na pewno - podkreślił. - Intuicja mówi mi jednak...

- Że zrobiła to Margot. Z zemsty. Dobrze się domyślam?

- Widzisz, synu, kiedy miałem już potwierdzenie, że Margot, Martha i Lloyd zginęli w płomieniach, skontaktowałem się z naszą filią w Kalifornii - ojciec ponownie podjął przerwana opowieść. - Kilka godzin później oddzwoniła do nas pani profesor z UCLA, której książkę Lloyd przygotowywał właśnie do druku. Pytała, czy może przylecieć do Bostonu, żeby się z nami zobaczyć. Z tego, co nam opowiedziała, wynikało, że była z Lloydem w bardzo zażyłych stosunkach... na tyle bliskich, że zaczęli rozmawiać o wspólnej przyszłości.

- Wiedziała o Margot?

- Wiedziała. Lloyd wyznał jej wszystko. Podobno zamierzał powiedzieć Margot, że... że jeśli chodzi o fizyczny aspekt ich związku, to jest to już tylko przeszłość. Z Jamie Friedland, tą dziewczyną z uniwersytetu, zna się niedługo, zaledwie kilka tygodni, ale od początku połączyło ich niezwykle uczucie. Tak przynajmniej mówili Jamie, a ja nie mam powodu wątpić w jej słowa. To dojrzała, mądra kobieta. Lloyd wyznał jej podobno miłość.

- I zapewne nie wiedział, jak ma powiedzieć o tym Margot.

- Zapewne. Chciał spędzić z nią trochę czasu, pomóc jej pogodzić się z nową sytuacją. Zwierzał się Jamie, że nadal kocha Margot jako kuzynkę, ale że namiętność, jaką do niej czuł, wypaliła się z latami. Według słów Jamie, Margot zadrezczała go ostatnio telefonami, błagała by przyjechał na wyspę, dopytywała się niespokojnie, co

go zatrzymuje w Los Angeles. Ponoć te rozmowy zawsze kończyły się tak samo - wybuchami hysterii, awanturami, próbami szantażu, płaczem. Margot groziła, że odbierze sobie życie, jeśli Lloyd natychmiast nie przyjedzie na wyspę.

- Jak przyjmowała to Jamie?

- Mądrze, ze zrozumieniem. Prosiła Lloyda, by bardzo ostrożnie odnosił się do kuzynki. Radziła, żeby znaleźć dobrego psychoterapeutę. Widzisz, najsmutniejsze jest to, że nigdy nie będziemy wiedzieć, co wydarzyło się naprawdę, co Lloyd powiedział Margot, a czego nie powiedział. Wiadomo tylko, że ktoś, najpewniej sama Margot, podłożyła ogień.

- Nie wierzę. Na pewno udało się jeszcze coś ustalić. Oboje spłonęli?

- Nie... - ojciec odwrócił wzrok - nie całkiem. Sekcja wykazała, że oboje dużo wypili i że oboje zażyli barbiturany. Margot od dawna brała proszki nasenne, ale Lloyd... Dlatego właśnie policja sądziła, że wspólnie popełnili samobójstwo. Zważywszy rodzaj związku, jaki ich łączył, wydawało się to bardzo prawdopodobne. Później jednak, kiedy dowiedziałem się od Jamie więcej na temat życia Lloyda w Kalifornii, nabrałem podejrzeń. - Całkiem słusznie.

- Moim zdaniem Margot, dowiedziawszy się, że Lloyd chce ją opuścić, przygotowała wszystko co potrzebne do wzniesienia pożaru, po czym wrzuciła proszki nasenne do drinków.

- A ciotka Martha? Przecież Margot nie mogła chcieć, by jej matka...

- Nie wiem, synu - powiedział ojciec ze smutkiem i pokręcił głową. - Nikt z nas już się nie dowie. Esme, gospodyni na wyspie, zostawiła ponoć dla Margot i Lloyda zimną kolację, którą mieli zjeść po powrocie ze spaceru. Lloyd pojawił się na wyspie tego dnia rano. Według słów Esme był bardzo rozdrażniony, niespokojny. Margot pojechała po niego do portu. Do domu wrócili obydwójce smutni i wyraźnie spięci. Esme miała dzień wolny, więc powoli zbierała się do wyjścia. Margot i Lloyd poszli tymczasem na spacer. I wtedy zadzwonił telefon. Dzwoniła Martha z wiadomością, że zamierza przyjechać wieczorem i zostać na kilka dni. Prosiła, żeby Esme pomimo to wzięła wolne. Zaznaczyła tylko, by gospodyni zostawiła dla niej jeepa w porcie, i Esme tak właśnie zrobiła.

- Margot nie musiała więc wiedzieć, że matka jest w domu?

- Ano właśnie. Myślała, że są sami. Zjedli razem przygotowaną przez Esme kolację. Być może Lloyd podczas spaceru powiedział Margot o Jamie. Możemy tylko zgadywać, czy już wtedy Margot postanowiła podłożyć ogień, czy też wpadła na ten pomysł później. W każdym razie w którymś momencie wzięła z piwnicy kanister z benzyną do łódek i zaniósła go do swojego pokoju. Wszystko wskazuje na to, że opróżniła szafę, nasaczyła ubrania benzyną, a resztę rozlała po całym pokoju.

- Tak przypuszczają strażacy?

- I policja. Podobno da się ustalić, czy ogień zaproszył się przypadkiem, czy też użyto benzyny do wzniesienia pożaru.

- Znalaziono ich razem?

- Oddzielnie. Najprawdopodobniej poszła do pokoju Lloyda i tam pili wino zaprawione barbituranami. Być może próbowała go jeszcze błagać, żeby jej nie opuszczał. Martha musiała dotrzeć do domu mniej więcej wtedy. Nie witając się z nimi, poszła prosto do swojego pokoju, natomiast oni... - westchnął. - Nie wiem, może się pokłócili. Może Lloyd nie chciał jej słuchać. A może jeszcze coś innego. Tak czy inaczej Margot wróciła do siebie i... - Ojciec przerwał, spuścił głowę. - Lekarz policyjny mówi, że wszystko dokonało się bardzo szybko. Wystarczył sam dym...

- Dobry Boże - westchnął Ryland. - Nie sposób o tym spokojnie myśleć. Sądzisz, że Margot wiedziała, co robi, czy też była tak oszołomiona winem i proszkami, że było jej wszystko jedno?

- Kto to może wiedzieć? Nigdy nie było łatwo jej zrozumieć. Była krańcowa, wiecznie niespokojna, jakby żyła trawiona ustawiczną gorączką. Współczułem jej zawsze, ale muszę wyznać, że jeszcze bardziej współczułem Marthcie. „Czy to moja wina?” - pytała nas często. „Co ja złego zrobiłam, że ona taka jest? W którym momencie popełniłam błąd?” Przekonywaliśmy ją, że w niczym nie zawiniła, że Margot... że tak po prostu musiało być.

Ojciec i syn przez długą chwilę spoglądali na siebie w milczeniu.

- Szef miejscowej policji jeszcze nie potwierdził tego oficjalnie, ale prywatnie powiedział mi, że śmierć Margot zostanie uznana za samobójstwo, zaś Lloyda i Marthy jako skutek nieszczęśliwego wypadku. Zgodnie z jej życzeniem twoja ciotka spocznie obok stryja w rodzinnej krypcie w Bostonie.

- A Margot i Lloyd? Jed pokręcił głową.

- Nie wiem. Powinniśmy chyba pochować ich tam gdzie Marthę. Tyle jesteśmy w stanie dla nich uczynić. W końcu to rodzinna krypta, niech będą razem.

- Razem po śmierci, skoro nie mogli być razem za życia.

- To samo powiedziała twoja matka. Nie wiem jeszcze, kiedy zaczniemy przygotowania do pogrzebu. Śledztwo trwa. Skontaktowałem się już natomiast z adwokatem Marthy. Wkrótce nastąpi oficjalne odczytanie testamentu, ale jak wiesz, to ty jesteś głównym spadkobiercą. Ciotka zapisała różne kwoty na cele dobroczynne, natomiast większość majątku, w gotówce, nieruchomościach i akcjach, przejmiesz właśnie ty.

- A dziewczynki? - zapytał Ryland, mając na myśli swoje siostry.

- Dziewczynkom zapisała spore sumy, które zostaną zdeponowane w funduszu powierniczym - uspokoił go ojciec. - Za resztę odpowiedzialność spada teraz na ciebie, synu. Wiem, to wielkie obciążenie, ale masz nas, masz Tarę...

Ryland sapnął i skrzywił się na te słowa.

- O co chodzi? - zapytał niespokojnie ojciec.

- Tara jeszcze nic nie wie... o pieniądzach. Ja... nic jej nie powiedziałem.

Miałem zamiar - próbowałem się usprawiedliwić - ale bałem się, że może to popsuć relacje między nami. Nie byłem pewien, czy Tarze spodoba się perspektywa życia wśród takiego bogactwa. Głównie ze względu na dzieci - dodał, widząc zmarszczone brwi ojca. - Nie spodoba jej się, że...

- Nie spodoba jej się przede wszystkim to, że zataiłeś przed nią prawdę - przerwał mu ojciec surowym tonem.

- Wiem - zgodził się Ryland. Zamknął oczy, spróbował rozluźnić napięte mięśnie. Miał wrażenie, że już czuje na barkach przytłaczający ciężar ogromnej fortuny ciotki Marthy. - Powinienem był jej powiedzieć - zgodził się. - Milczałem, bo bałem się zrazić ją do siebie, bałem się, że wystraszy się takiej przyszłości. Chciałem ją jakoś przygotować, mówiłem sobie, że upłynie wiele lat, zanim ciotka... Cholera - zaklął pod nosem - i oto ta przyszłość właśnie się zaczęła.

- Wszyscy jesteśmy tym zaskoczeni.

- Nie mogę przecież przekazać jej takiej wiadomości przez telefon, tymczasem interesy...

- Właśnie miałem o tym mówić - wszedł mu w słowo ojciec. - Wcale mnie nie cieszy, że muszę tego od ciebie żądać, ale będziesz nam tutaj bardzo potrzebny. Musisz spotkać się z radcą prawnym firmy, a także z adwokatem ciotki. Umówiłem cię z nimi na jutro. Trzeba przygotować oficjalne oświadczenie stwierdzające, że przejmujesz po ciotce zarząd wydawnictwa. Członkowie rady nadzorczej są do twojej dyspozycji, przekażą ci wszystkie najpilniejsze sprawy. Przede wszystkim trzeba pilnować naszego rynku w Kalifornii, ale nie tylko...

Ojciec długo jeszcze mówił o problemach związanych z prowadzeniem firmy, o koniecznych zmianach, zadaniach, terminach. Ryland nie słuchał jednak tej przemowy. Myślał o Tarze.

Dlaczego nie był dość przewidujący? Dlaczego zwlekał tak długo? Na co czekał?

Rozdział 20

Tara obudziła się oszołomiona i kompletnie zdezorientowana. W ustach czuła jakiś nieprzyjemny smak, głowę miała ciężką i obolałą, jakby w miejsce mózgu ktoś umieścił tam kulę z ołowiu. Najgorsze jednak było to, że nie wiedziała, gdzie się znajduje.

Tania kanapa, zasłonięte okna, obce mieszkanie...

Spróbowała usiąść, lecz jęknęła tylko z bólu, a cały pokój zawirował wokół niej. Rozejrzała się po ścianach, spostrzegła zegar. Wskazywał czwartą, a przez cienkie zasłony wpadało do wnętrza popołudniowe światło.

Skąd się tu wzięła? Pamiętała mgliście, że była w restauracji z dziewczyną z pracy i że jej towarzyszka cały czas namawiała ją do picia.

Ponownie dźwignęła się z kanapy i tym razem udało jej się usiąść. Z sąsiedniego pokoju dochodziły dziwne odgłosy... charakterystyczne odgłosy. Odgłosy

kopulującej pary. Mężczyzna sapał, a kobieta jęczała bez skrępowania w rytm jego ruchów.

Tara skrzywiła się z niesmakiem i spuściła nogi na podłogę. Powoli zaczynała przypominać sobie zdarzenia sprzed kilku godzin. Ile kieliszków wina w siebie wlała?

Na pewno o wiele za dużo. Na tyle dużo, że Estelle musiała holować ją do samochodu.

Gdyby była trzeźwa, nigdy by tu nie przyjechała. Nie lubiła Estelle, jeszcze mniej podobały się jej plotki, jakie krążyły w biurze na temat obyczajów tej tajemniczej dziewczyny.

Podczas lunchu okazało się, że to wcale nie plotki. Estelle całkiem otwarcie opowiadała o swoim życiu seksualnym, chełpiła się wręcz, ilu to mężczyzn przeszło przez jej łóżko i ile każdy z nich płacił za godzinę przyjemności.

- No, coś taka święta? - powiedziała z lekką kpina, kiedy Tara skrzywiła się na jakiś pikantny szczegół jej opowieści. - Nie mów, że nigdy nie czułaś pokusy, żeby zrobić coś takiego.

- Ja nie łączę miłości z pieniędzmi - odparła Tara zgodnie z prawdą.

Zaraz potem poczuła, jak serce skurczyło się boleśnie w jej piersi. Być może ona nie łączyła, ale jej matka, jej prawdziwa matka, Katriona, utrzymywała się z zaspokajania seksualnych potrzeb swoich klientów. Gdy Estelle przechwalała się, jak łatwo z facetów wydobyć kasę, jak zapominają o wszystkim, kiedy ujrzą takie czy inne spojrzenie, ten czy inny gest, Tara mimo woli zastanawiała się, czy nie odziedziczyła po Katrionie jakiegoś zwyrodnienia. Może sama o tym nie wie, ale ma jakąś cechę, jakąś skłonność, która ośmiela Estelle do podobnych zwierzeń. Może znalazła w niej, w Tarze, córce prostytutki, bratnią duszę.

W efekcie piła więcej niż powinna i coraz bardziej traciła kontrolę nad sobą.

- Spróbuj kiedyś, moja droga. Może ci się spodoba - podpuszczała ją Estelle. - Zobaczysz, jakie ciary idą po plecach, kiedy czekasz i nie wiesz, jaki będzie ten następny, jak wyposażony... brutal czy pieszczoszek.

- Nie, ja nigdy... nie potrafiłabym - otrząsnęła się Tara z nieklamany wstrętem.

Och, przecież znała siebie, przecież wiedziała, że może iść do łóżka wyłącznie z dwóch powodów - z miłości do mężczyzny bądź w sytuacji zagrożenia, dla ratowania ukochanej osoby. Nie wyobrażała sobie natomiast, że miałyby spać z kimś za pieniądze, jak robiła to jej matka. Ona jest inna.

Ta prosta myśl sprawiła, że po raz pierwszy od porannej rozmowy z rodzicami, kiedy to usłyszała prawdę o swoim pochodzeniu, w czarnej chmurze rozpacz, która dotąd spowijała jej duszę, pojawił się maleńki, pogodny prześwit.

Dobrze, mówiła sobie, jestem córką Katriony, córką prostytutki i narkomanki. Ale jestem też odrębną osobą, jestem Tarą. Kieruję się własnymi sądami, mam własny pogląd na świat. Katriona sprzedawała swoje ciało za pieniądze, ale ja nigdy bym tego nie uczyniła. Nigdy, za nic, choćby nie wiem co. Jestem Tarą.

Teraz ta myśl dodała jej sił. Wstała niepewnie z kanapy, wzięła leżącą na podłodze torbę, z fotela zaś zabrała swoje buty i zakiet. Ostrożnie ruszyła ku drzwiom, starając się nie przeszkodzić zajętej sobą parze w sypialni.

Na ulicy przed domem dostrzegła swój samochód. Zdziwiła się trochę, bo nie pamiętała, jak się dostały do mieszkania Estelle. Odruchowo sięgnęła po kluczyki, ale jeszcze zanim je znalazła, pomyślała, że w obecnym stanie nie powinna siadać za kierownicą. Kątem oka zauważyła przejeżdżającą taksówkę i zatrzymała ją machnięciem ręki.

- Dokąd? - zapytał lakonicznie kierowca.

Miała już podać swój adres, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie.

- Chciałabym złapać pociąg do Dorchester, ale nie wiem, z którego dworca odchodzą w tamtym kierunku - powiedziała nieoczekiwanie dla samej siebie.

- Dorchester? No to musimy jechać na Waterloo - stwierdził kierowca i wbrew wszelkim przepisom zawrócił w miejscu z tak przeraźliwym piskiem opon, że Tara poczuła bolesne łupnięcie w skołatanej głowie.

„Twoja matka pochodziła z małej wsi w Dorchester - brzmiały jej w uszach słowa Claudii. - Wieś nazywała się Doster. Jej ojciec był tam nauczycielem w prywatnej szkole z internatem.”

Jaka naprawdę była Katriona, myślała gorączkowo Tara, wyglądając przez szybę taksówki. Czy Claudia dobrze ją знаła? Na pewno się jej wstydziła, bo gdyby było inaczej, już dawno opowiedziałyby o niej swojemu dziecku.

Och, nie była dzieckiem Claudii.

Była dzieckiem Katriony!

„Kocham cię, córeczko” - powtarzała Claudia ze łzami w oczach. Być może kochała, ale jako surogat, jako dziecko zastępcze. Czy jakkolwiek kobieta jest w stanie pokochać cudze dziecko jak własne? Jak ktoś taki jak

Claudia mógłby pokochać dziecko kogoś takiego jak Katriona?

Boże święty, a jak zachowa się Ryland, kiedy pozna całą tę historię?

A może nie pozna? Tak, lepiej byłoby, gdyby nie poznał. Przecież jej już nie ma. Nie ma dawnej Tary, jest całkiem inna osoba. Nowa, obca, samotna.

Estelle wydała pomruk niezadowolenia, gdy Blade odepchnął ją brutalnie i wygramolił się z łóżka.

- Wstawaj - polecił sucho. - Najwyższy czas budzić twoją śpiącą królową.

- Tylko na nią uważaj. Musisz obchodzić się z nią bardzo ostrożnie - przestrzegła brata Estelle. - To nie jest bezdomna, zagubiona dziewczynka. Ma ustosunkowanych rodziców, przyjaciół...

- Nie martw się. Kiedy dopniemy swego, na pewno nie będzie miała ochoty skarżyć rodzicom czy przyjaciołom. A gdyby podsłuchiwała, przyniosłem coś, co powinno ją uspokoić.

Estelle uśmiechnęła się ze zrozumieniem Ciekawe, jak szybko odleci Tara po małej dawce koki? Spicie jej winem okazało się znacznie łatwiejsze niż Estelle puszczająca - dziewczynka miała słabą główkę. Kiedy już przywiozła swoją ofiarę do domu i upewniła się, że ta usnęła, zadzwoniła do Blade'a, żeby pochwalić się odniesionym sukcesem.

- Zaraz u ciebie będę - powiedział wyraźnie zadowolony. - Jeśli rzeczywiście jest taka dobra, dostaniesz nagrodę.

Teraz wciągnął dzinsy i podszedł do drzwi sypialni. Otworzył je, po czym zatrzasnął z hukiem i odwrócił się do Estelle z wściekłym wyrazem twarzy.

- Co się stało? - rzuciła zaniepokojona, zakładając pospiesznie ubranie.

- Jak to co? Zniknęła, ty głupia suko! To się stało! - ryknął.

Estelle podbiegła do drzwi i z niedowierzaniem spojrzała na pustą kanapę.

- Nie mogła wyjść - wyjąkała. - Była kompletnie walnięta...

- Ty byłaś walnięta, dziwko! Tak ci się. chciało pieprzyć, że nawet jej nie związałaś! Idiotka, suka! - syknął Blade, zbliżył się do niej i wymierzył jej potężny cios.

Estelle zachwiała się, upadła na łóżko, uderzając potylicą o wezglowie. Poczuła przeszywający ból, w chwilę później kolejny cios i zaraz później słony smak krwi spływającej do gardła. Próbowała jeszcze krzyczeć, bronić się, ale Blade obezwładnił ją jednym wprawnym gestem i uciszył, przyciskając do twarzy poduszkę.

- Głupia...! stara...! suka...! - kłął, tłukąc unieruchomione, bezwładne ciało.

- Dla mnie kawa - zwróciła się Tara do dziewczyny, jadącej wzdłuż wagonu z wózkiem pełnym napojów. Zdążyła już wytrzeźwieć, ale zmęczony żołądek nie był jeszcze w stanie przyjąć jakiegokolwiek jedzenia.

Chociaż pociąg okazał się wyjątkowo zatłoczony, znalazła jakoś miejsce. Usiadła przy oknie naprzeciwko trzydziestoletniej mniej więcej, uśmiechniętej kobiety i zapatrzyła się w migające za szybą słupy.

- Mieszka pani w Dorchester? - zagadnęła nieznajomą, kiedy po jakimś czasie znudził ją kolejowy pejzaż. Musiała rozmawiać, musiała zagłuszyć rozmową myśli, które wciąż nie dawały jej spokoju. Po co jedzie do Dorchester? Co spodziewa się znaleźć? Przecież nie matkę i nie dziadka, bo ci od dawna nie żyją.

- Nie, ale moi rodzice tam mieszkają - odparła nieznajoma. - Jadę odebrać moją córkę, była z wizytą u dziadków. Po raz pierwszy pojechała gdzieś sama i strasznie się za nią stęskniliśmy.

- Ile ma lat? - zapytała Tara bardziej przez grzeczność niż kierowana prawdziwym zainteresowaniem. Nie chciała słuchać o miłości matki do córki, o tęsknocie, o rozstaniach i radosnych powitaniach.

- Osiem. Chce pani zobaczyć jej zdjęcie?

Tara skinęła głową i po chwili skomentowała uprzejmie:

- Bardzo podobna do pani.

- Wszyscy mi to powtarzają - ucieszyła się dumna mama. - Śmieszna sprawa, bo naszą Gemmę mamy z adopcji.

Tara zeszywniała, krew odpłynęła jej z twarzy. Szybko uniosła do ust kubek z kawą. Masz ci los. Co za okrutny zbieg okoliczności. Natychmiast powinna skończyć tę konwersację.

Jednak kobieta najwyraźniej miała ochotę na rozmowę.

- Dopiero po kilku latach małżeństwa dowiedziałam się, że nie mogę mieć dzieci - opowiadała. - Byłam załamana. Obydwoje z mężem strasznie to przeżywaliśmy. Próbowaliśmy dosłownie wszystkiego. Urodzenie dziecka stało się dla mnie najważniejszą sprawą w życiu. W pewnym sensie nawet mąż przestał się dla mnie liczyć. Ostatecznie David postawił mi ultimatum - albo złożymy wniosek o adopcję, albo on odchodzi. Chciał żyć normalnie, był zmęczony moją obsesją, a myślałam tylko o tym, żeby zajść w ciążę, o niczym innym. Wkrótce po tym, jak lekarze postawili ostateczną diagnozę, zapisaliśmy się na listę adopcyjną, ale nie mieliśmy wielkiej nadziei. Wie pani, to zwykle długo trwa.

- Słyszałam.

- Aż tu raptem, zupełnie nieoczekiwanie, dzwonią do nas z ośrodka, że mają dla nas dziecko. Nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście. Jeszcze do tej pory od czasu do czasu muszę się uszczypnąć, by upewnić się, że nie śnię i że naprawdę mamy Gemmę. Ona jest naszym szczęściem, naszym błogosławieństwem...

Tara wiedziała, że popełni nietakt, a jednak powiedziała, patrząc z napięciem w oczy kobiety:

- A jednak to nie to samo, co własne dziecko, prawda? Nie może pani kochać jej równie mocno.

Nieznajoma wytrzymała spojrzenie Tary. W jej oczach odmalowało się szczere zdziwienie.

- Mogę, proszę pani. Gemma jest moim dzieckiem - odparła pewnym tonem. - Owszem, inna kobieta nosiła ją w swoim łonie, ale...

- Wie pani coś o niej?

- Oczywiście. To nastolatka, miała już dwoje malców, każde z innego ojca. Gemma była trzecia. Pojawiła się w naszym domu, kiedy miała sześć tygodni. Była

niedożywiona, miała niedowagę, bo nie była właściwie karmiona. Kiedy wzięłam tę kruszynę w ramiona i spojrzałam na nią, natychmiast poczułam, że muszę ją otoczyć miłością, że chcę ją otoczyć miłością. I że mogę otoczyć ją miłością.

- To bardzo niezwykle, rzadkie.

- Czy ja wiem? Na pewno nie sposób wytłumaczyć to komuś, kto nie doświadczył czegoś podobnego - ciągnęła spokojnie kobieta. - Wielu ludzi uważa tak jak pani, że naprawdę można kochać tylko rodzone dziecko, ale to nieprawda.

- No dobrze, a czy Gemma wie, że jest adoptowana? - zapytała Tara ze ściśniętym gardłem.

- Tak, naturalnie. Wie, że jej mama nie mogła się nią opiekować tak, jakby chciała, a że bardzo ją kochała, to postanowiła, że córeczkę weźmie ktoś inny, ktoś, kto potrafi się nią zaopiekować. Często z nią o tym rozmawiamy. Mówiąc prawdę, przez to, że to nie ja ją urodziłam, kocham ją chyba jeszcze bardziej. Ona jest dla nas prawdziwym darem. Wie o tym, tak jak wie, że cokolwiek się zdarzy, nigdy nie stracimy łączącej nas więzi. Kiedy dorośnie i uzna, że chce poznać swoich biologicznych rodziców, będzie miała do tego pełne prawo, a my z Davidem pomożemy jej odszukać matkę i ojca.

- I nie boi się pani?

- Czego? Że pokocha ich bardziej niż nas? - odgadła nieznajoma z łagodnym uśmiechem. - Oczywiście, że się boję, ale koniec końców, taki już los adopcyjnych rodziców. A poza tym czy ważniejsze jest to, że ja kocham, czy to że jestem kochana?

- No właśnie...

- Ja myślę, że to pierwsze.

- A jeśli odziedziczyła jakieś złe cechy po swoich rodzicach? - nie dawała za wygraną Tara.

- Żaden człowiek nie rodzi się po prostu dobry lub zły - odparła kobieta z uśmiechem. - Rodzice Gemmy byli lekkomyślnymi nastolatkami, którzy poszli do łóżka, nie zważając na konsekwencje. Matka uciekła z domu przed ojczymem, pierwszy raz zaszła w ciążę, kiedy miała piętnaście lat, a drugie dziecko urodziła jako szesnastolatka, Gemma przyszła na świat rok później. Czy to wszystko ma oznaczać, że jest zła, skażona, bez perspektyw? Zły jest system, winni są dorośli, którzy nie

potrafią w odpowiedzialny sposób wychować potomstwa, grzeszni są ci wszyscy, którzy czerpią zyski z ludzkiej krzywdy, ale dziecko? Dziecko niczemu nie jest winne. To ono cierpi najbardziej, kiedy nie zapewni mu się miłości i opieki. Przepraszam panią - zmitygowała się z zakłopotaniem - rozgadałam się, a może pani nie ma ochoty na takie moralizowanie...

- Nie, nie, proszę mówić. To... bardzo ciekawe.

- Chciałam powiedzieć, że każdy człowiek jest niepowtarzalny. Ma swoją godność, swoją indywidualność, swoją... duszę. Gemma też ma swoją odrębną duszę, odrębną osobowość, i za to ją kochamy. A przecież geny to naprawdę nie wszystko. Na przykład David, mój mąż, uwielbia zwierzęta. I oto Gemma wzięła po nim miłość do zwierzątek. Znoszą do domu ranne stworzenia, jeżdżą z nimi do weterynarza, oglądają wszystkie programy przyrodnicze w telewizji. Ona to po nim odziedziczyła. Ale z drugiej strony, świetnie jeździ konno. Jej trener powiada, że to wrodzony talent, rozumie pani? Coś, co musiała odziedziczyć po rodzicach. Na pewno nie po nas - roześmiała się szczerze - więc pewnie po swojej biologicznej matce albo ojcu.

- A co by się stało, gdyby zaszła pani w ciążę i urodziła swoje własne dziecko?

- zapytała Tara bez ogródek.

Nieznajoma zmarszczyła czoło.

- Pani wciąż chyba nie rozumie - powiedziała spokojnie. - Gemma jest moim własnym dzieckiem. Nie wyobrażam sobie, że mogłabym kochać ją bardziej, niż kocham w tej chwili.

Z miny nieznajomej Tara zaczęła wnosić, że kobieta żałuje, iż podjęła ten temat.

- Przepraszam - wyjąkała. - Chodziło mi o to, że...

Zanim zdążyła cokolwiek wyjaśnić, z głośników rozległ się głos konduktora, który oznajmił, iż pociąg zbliża się do Dorchester. Nieznajoma zaczęła się nerwowo ubierać, wyglądając przy tym niecierpliwie przez okno, i nie miały szansy dokończyć tej rozmowy

Tara zobaczyła jeszcze swoją towarzyszkę podróży na peronie. Stała z otwartymi ramionami, a ku niej biegła mała, ciemnowłosa dziewczynka, wołając głośno: „Mamusia, mamusia!”

Łzy, które napłynęły jej do oczu, miały inny smak niż przed kilkoma godzinami. Być może nie miała racji, osądzając Claudię tak surowo? A jednak przybrana matka ukrywała przed nią prawdę. Wstydziła się tego, co zrobiła. Bała się, że zabiorą jej dziecko. A może nie mogła pogodzić się z tym, że urodziła je narkomanka i prostytutka? Że Tara okaże się taka sama jak Katriona?

Recepcjonistka w hotelu była zbyt doświadczona, by okazać zdziwienie, że przyjezdna nie ma bagażu i nie potrafi powiedzieć, jak długo zamierza zatrzymać się w Dorchester. Dała jej klucze z zawodowym uśmiechem i Tara poszła automatycznie w kierunku schodów.

Gdy miała już na nie wejść, zatrzymała się na moment, odwróciła i zapytała:

- Przepraszam, czy wie pani, gdzie w okolicy jest jakaś prywatna szkoła?

Kobieta zmarszczyła czoło.

- Mamy Wheatley Park, potem Darlington, ale...

Tara kiwnęła głową i podziękowała za nic nie mówiące informacje. Zachowała się jak idiotka, przyjeżdżając tutaj nie wiadomo po co. Podeszła do automatu telefonicznego w holu hotelowym i wystukała numer mieszkania ojca.

Kiedy usłyszała po drugiej stronie głos Claudii, w pierwszej chwili odeszła ją odwaga. Przemogła się jednak i bąknęła:

- To ja, Tara.

- Tara! Gdzie jesteś, kochanie... czy...?

- Ja chciałabym... muszę wiedzieć, jak się nazywała moja matka, skąd pochodziła. Po to dzwonię.

- Twoja matka nazywała się Katriona Spencer - odparła spokojnie Claudia. Tara знаła ją zbyt dobrze, by nie wyczuć, jak bardzo jest zawiedziona. - Mieszkała w Doster, koło Upton Villiers. To wioska położona blisko...

- Tak, wiem. Dziękuję.

- Kochanie, domyślam się, że jest ci bardzo ciężko, ale uwierz mi, proszę, że kocham cię całym sercem... i że jeśli tylko...

- Muszę kończyć - oznajmiła Tara, nie chcąc dalej słuchać tych słów.

Odwiesiła słuchawkę i stała przez długą chwilę koło telefonu, ściskając w dłoni kartkę, na której zapisała zdobyte przed chwilą informacje. Pomyślała mgliście, że po-

winna się przebrać, kupić mapę, wynająć samochód. Nie miała dużo czasu, zapadał już zmrok.

Estelle zawzięcie mocowała się z Bładem. Próbowwała uwolnić się z jego uścisku, lecz on wciąż trzymał ją mocno.

- Ty głupia suko! - powtarzał bez przerwy, zadając kolejne ciosy.
- Przestań, Blade, to boli!
- Musi boleć, zasłużyłaś...

Znów podniósł gotową do ciosu pięść, lecz tym razem wywinęła mu się i umknęła. Przeżrana wpadła niemal instynktownie do salonu, chwyciła swój żakiet i wybiegła czym prędzej z mieszkania.

Przed domem dojrzała samochód Tary. Niewiele myśląc, dopadła do niego, wsiadła, przekręciła kluczyk i niepomna grózb i nawoływań Blade'a, odjechała z piskiem opon. Nie wiedziała, dokąd jedzie. Płakała.

Zrobiła to, o co ją prosił, zawsze robiła...

Zawsze dawała mu, czego chciał. Zawsze była na każde zawołanie, a on...

Omali nie potrąciła człowieka, który właśnie przechodził przez jezdnię. Zaklęła, nacisnęła na hamulec, a potem znów dodała gazu.

Rozdział 21

- Dzwoniła Tara - poinformowała Claudia, ledwie Garth wszedł do domu. - Nie powiedziała, gdzie jest, telefonowała z automatu. Pytała o nazwisko Katriony i chciała się dowiedzieć, skąd pochodzi jej matka.

Garth nie odpowiadał, więc podeszła do niego, zaniepokojona jego zafrasowanym obliczem.

- Mój Boże, co jeszcze się stało?

Popatrzył na nią bez słowa, potem ujął dłonie żony w serdecznym uścisku i przycisnął je sobie do policzków.

- Kiedy wyszła stąd rano, pojechała prosto do firmy. Uprzątnęła swoje biurko. Sprawdziłem jej mieszkanie - nie ma tam po niej śladu, jedynie przedarta wiadomość od Rylanda, że ojciec pilnie wzywa go do Bostonu.

- Opróżniła swoje biurko? - Claudia popatrzyła na Gartha z przerażeniem. - Wyprowadziła się z mieszkania?

Garth przytaknął w milczeniu. Dziwne, choć jego umysł zajęty był wyłącznie córką, nie omieszkał też zauważyć, że wbrew wszystkiemu, co zaszło, Claudia wcale nie wyglądała na starszą. Przeciwnie, w jakiś cudowny sposób odmłodziła i przypominała mu teraz Claudię, którą pamiętał z młodości, Claudię, która potrzebowała go, ceniła i nie wahała się tego okazywać.

- Może... pojechała za Rylandem do Ameryki? - podsunęła z nadzieją.

- Wątpię. Kontaktowałem się z lotniskami.

- A z Rylandem? Pytałeś go? Może on coś wie...

- Jeszcze nie. Pomyślałem, że stąd do niego zadzwonię. Czy Tara mówiła coś więcej?

- Nie - odparła żałośnie Claudia. - To było kilka zdań. Rozłączyła się, nim zdołałam ją o cokolwiek zapytać. Och, Garth... - rozpląkała się i schowała twarz na jego piersi.

- Ona potrzebuje czasu, Claudio. Zobaczysz, że przetrzyma to wszystko. Jest mądra, odpowiedzialna. Nie pozwoli zrobić sobie krzywdy. Sama też...

- Garth!

Teraz on poczuł słony smak na policzkach. Powtarzał żonie, że Tara jest bezpieczna, ale przecież kiedy rano mówił to samo, zakładał, że córka jest u boku Rylanda, że wypłacze się w jego ramię, a Ryland pomoże jej pogodzić się z prawdą.

Tymczasem wieść, iż Ry jest w Bostonie, zaniepokoiła Gartha bardziej niż gotów był przyznać. Myśl, że Tara nie ma nikogo, z kim mogłaby dzielić bolesne odkrycia, przyprawiała go o paniczny wręcz strach.

- Zniknął też jej samochód - powiedział z westchnieniem. - Może być teraz wszędzie.

Claudia odsunęła się nieco i popatrzyła na niego z powagą.

- Jak sądzisz, Garth, czy wyprawiała się na poszukiwanie Katriony?

- Możliwe. Może chce stanąć nad grobem... matki.

Z oczu Claudii popłynęła nowa fala łez. Garth próbował ją uspokajać, lecz ona nie miała sił, by opanować ten gorzki, płynący z głębi serca płacz. Chciała płakać, musiała wypłakać wszystkie swoje winy, zaniedbania, wszystkie kłamstwa.

- Spróbuj się tym nie martwić - mówił Garth. - W tej chwili jest do nas wrogo usposobiona. Czuje się przerażona i osamotniona, a przy tym ciekawa przeszłości. Chce się o niej czegoś dowiedzieć, czegoś więcej, czegoś z innego źródła. Nam pewnie nie ufa, jest sceptyczna i podejrzliwa. To naturalne. Tak musi być, ale to minie. Daj jej czas, Clo, daj czas...

- Wiem, że masz rację. Pragnę tylko...

- Już jedenasta. Połóżmy się. Jeżeli Tara znowu zadzwoni, w sypialni jest telefon.

- Jutro muszę... wracać do domu.

- Tak, wiem, praca. Chciałbym wrócić z tobą, ale w tej sytuacji...

- Nie, wcale nie musisz - przerwała mu szybko. - Nie powinieneś. Tara może zadzwonić.

Garth przygarnął żonę do siebie.

- Może to nie jest najlepszy moment na takie wyznanie, ale za nic nie zmieniłbym tego, co się wydarzyło między nami, Clo. Za nic. Niechby to brzmiało

bezczelnie, ale... ty i ja jesteśmy sobie przeznaczeni. Pasujemy do siebie, należymy do siebie. Po prostu musimy być razem.

Claudia uniosła głowę, spojrzała na niego i oświadczyła po prostu:

- Jesteś moim życiem, Garth. Ty i Tara.

- Ja i Tara...

- Tak, kocham was równie mocno. Choć inaczej. Och, wiem, że mam swoich przyjaciół, pracę, działalność charytatywną, czynne i spełnione życie. Skłamałabym, gdybym udawała, że nic to dla mnie nie znaczy. Lecz dawanie miłości, otrzymywanie miłości jest dla mnie najdroższe... Tęskniłam za tobą - przyznała odważnie. - Już ci mówiłam, że rozwiodłam się z tobą... z miłości. Po prostu nie potrafiłam pogodzić się z tym, że mnie zdradziłeś. Teraz wiem, że to nie była zwykła zdrada. Być może to w ogóle nie była zdrada. Wtedy nie umiałam tak myśleć. Wtedy to była zdrada, ohydna, brudna, odrażająca. I to nie z jakąś tam przypadkową kobietą, ale z matką Tary. Od tamtej pory znienawidziłam Katrionę. Miałam wrażenie, że ona mi cię ukradła. Nie masz pojęcia, ile bezsennych nocy spędziłam, wyobrażając sobie, jak zapewniasz ją, o ile bardziej godna jest pożądania, o ile bardziej ponętna, o ile piękniejsza.

Garth patrzył na nią, lecz zamiast wzruszenia na jego twarzy widziała... osłupienie.

- To wcale nie było tak - zaprotestował.

- Teraz już wiem - zapewniła go. - Ale wtedy...

- Dlaczego więc mi tego nie powiedziałaś? - jęknął i przytulił ją mocniej. - Kiedy oświadczyłaś, że chcesz rozwodu, sądziłem, że czujesz do mnie odrazę, że odkrycie, iż jestem ojcem Tary, jest po prostu ostatnim gwoździem do trumny naszego małżeństwa. Już wcześniej odnosiłem wrażenie, że denerwuję cię i męczę...

- Nie!

- ...że stoję pomiędzy tobą a Tarą, gdyż dopominam się twojego czasu i uwagi, podczas gdy ty wolałabyś całkowicie poświęcić się córce. Zdawało mi się, że Katriona jest tylko wymówką, pretekstem do rozwodu. Uważałem, że chcesz, bym odszedł.

- Owszem - przyznała Claudia. - Chciałam. Teraz wiem, że zawiniłam, odrzucając ciebie, nasz związek. Sama nie wiem, dlaczego tak wyszło. Wiem tylko, że wiele młodych kobiet w podobnej sytuacji, tuż po trzydziestce i z małymi dziećmi na

wychowaniu, przychodziło wówczas do mnie po radę i mówiło mniej więcej to samo: nie mają czasu, przestrzeni, energii, aby jednocześnie spełniać rolę dobrych matek i kochających żon.

- Czy sądzisz, że ja bym tego nie zrozumiał? Że nie rozumiałem?

- Tak czy inaczej przepraszam, że zepchnęłam cię na bok. Możliwe, że to wieczny błąd, który popełniają kobiety w kolejnych pokoleniach.

- Nie błąd, taka jest natura, taki świat. Kiedy dzieci są małe, stawiacie je na pierwszym miejscu. To instynkt.

- Tak, instynkt, który każe nam oddać im wszystko. Żeby przeżyć, by się rozwijać, maluchy potrzebują tak dużo matczynej miłości, tak dużo opieki, tak dużo czasu. Ale mimo to nigdy nie przestałam cię kochać, Garth. A kiedy odszedłeś...

- Dlaczego nigdy mi tego nie powiedziałaś? Powiedz...

- Jakżebym mogła? Wydawało się, że jesteś taki zadowolony z nowego życia. Zaczęłam zadawać sobie pytanie, czy nie ulżyło ci, kiedy zażądałam rozwodu. Wiem, to ja zrobiłam pierwszy krok, ale sądziłam, że ty wcześniej nosiłeś się z podobnym zamiarem. Honor nie pozwolił mi zdradzić, co naprawdę czuję. Dopiero kiedy podjechałam pod nasze stare mieszkanie, kiedy napłynęły wspomnienia tamtych lat, przyznałam się sama przed sobą do tego, co skrywałam tak długo w głębi duszy. Mówiłam sobie, że muszę się z tobą spotkać ze względu na Tarę, ale w istocie...

- Nieważne, z jakiego powodu przyszedłeś - przerwał jej Garth, patrząc czule w oczy żony. - Teraz ważne jest tylko to, że jesteś tutaj, że jesteśmy razem, na zawsze.

Tara podziękowała recepcjonistce za pomoc i wzięła z lady kluczyki do wynajętego samochodu. Minęła dziewiątą wieczorem i ruch na drogach trochę zmalął, zrobiło się za to już prawie ciemno. Zdrowy rozsądek podpowiadał, by odczekała do ranka, kiedy będzie wypoczęta po dobrze przespanej nocy, ale niecierpliwość i przekora podpowiadały co innego.

Gdy w słuchawce zabrzmiał głos Claudii, Tara zdenerwowała się bardziej niż przypuszczała. Wmawiała sobie, że to obłąd, by przejmowała się kimś, kto ją tak bez serca oszukał, a jednak, kiedy usłyszała w jej głosie ból, troskę, zawód, instynktownie pragnęła ją pocieszyć.

To właśnie wtedy postanowiła, że musi wyleczyć się ze skrupułów. Pojechać na grób Katriony, prawdziwej matki. Z nią porozmawiać.

Wyszła przed hotel i odnalazła auto z podanym jej wcześniej numerem rejestracyjnym. Uśmiechnęła się krzywo na jego widok. Głupi los zdarzył, że wynajęty samochód był takiego samego koloru i takiej samej marki, jak jej własny.

Znak? Może, ale czego?

Otworzyła drzwiczki i wsiadła do środka. Przekręciła kluczyk, wrzuciła bieg. Ruszyła...

Chociaż auto było solidne, nie zaprojektowano go tak, by mogło z największą szybkością pokonywać ostre zakręty. Zwłaszcza gdy myśli kierującej nim osoby zaprzęgnięte były czymś innym.

W chwili kiedy zdała sobie sprawę, że źle oceniła szybkość i odległość, było już za późno. Wóz wpadł w poślizg i z zatrważającą szybkością pomknął ku szpalerowi potężnych drzew na poboczu drogi.

Starsze małżeństwo, mieszkające kilkadziesiąt metrów za zakrętem, opowiadało później policjantom, że gdy otworzyli drzwi, by wypuścić swojego wiekowego psa na spacer, usłyszeli potężny huk. Wybiegli na drogę, ujrzeni samochód zdruzgotany o stojące na przedłużeniu zakrętu drzewo i natychmiast zadzwonili na komisariat.

Policjant powiedział im potem, że nawet gdyby od razu pospieszyli do auta, nie mogliby nic uczynić dla jadącej nim kobiety.

- Zginęła na miejscu - poinformował ich krótko.

Tego że denatka nie była przypięta pasem, nie powiedział. Nie powiedział też, że w rozbitym samochodzie nie znaleziono niczego, co pozwoliłoby na identyfikację ofiary. Czy miało to teraz jakiegokolwiek znaczenie?

Garth miał właśnie zanieść Claudii tacę z herbatą i grzankami, kiedy na progu jego mieszkania pojawił się funkcjonariusz policji.

- Czy może nam pan potwierdzić, sir, że jest pan właścicielem pojazdu o numerach rejestracyjnych J850 AYG? - zapytał oficjalnym tonem.

- Tak, to znaczy... to samochód mojej córki - wyjaśnił Garth. Wóz zarejestrowano na jego nazwisko, gdyż firma opłacała koszty utrzymania obu aut, wykorzystywanych dla celów służbowych.

Policjant odwrócił na chwilę wzrok, potem znów na niego spojrzął. Wreszcie odchrząknął i przemówił:

- Niestety, muszę pana zawiadomić, iż samochód uległ... poważnemu wypadkowi. Mówi pan, że należał do pańskiej córki?

- Tak.

- W takim razie jestem zmuszony poprosić pana... Młoda kobieta, która go prowadziła, nie miała przy sobie dowodu tożsamości. Obawiam się, że powinienem pana poprosić o zidentyfikowanie ciała.

- Garth? - Do salonu zajrzała Claudia. - Czy coś się stało? Wróciła Tara? - Ujrzała policjanta i nadzieja zgasła w jej oczach. - Och, przepraszam - bąknęła i zaczęła się wycofywać, kiedy coś w sylwetkach znieruchomiałych mężczyzn zaniepokoiło ją i przeraziło. - Co z Tarą? - Spojrzała spłoszona na męża. - To o nią chodzi, prawda? Co jej się stało?

- Zdarzył się wypadek - z trudem wyjaśnił jej Garth. - Muszę...

- Gdzie ona jest? W którym szpitalu? - Claudia zwróciła się do policjanta.

Garth podszedł do niej, położył jej dłoń na ramieniu.

- Ona nie... Tara jest... Zostaniesz tutaj.

- Nie! Nie... ja też jadę - sprzeciwiła się gwałtownie, usiłując zapanować nad rozpaczą, przerażeniem, szokiem. To nie może być prawda, powtarzała sobie w duchu. Tara żyje. Wiedziałyby, przeczuła, gdyby było inaczej.

Jednak poważna mina młodego policjanta i ból w oczach męża przeczyły jej przecuciom.

- Gdzie...? - próbowała wykrztusić, kiedy prowadzili ją w kierunku drzwi. - Jak...?

Garth ścisnął mocno jej ramię.

- Później - szepnął.

Szpitalna kostnica znajdowała się na końcu długiego korytarza. Ich kroki odbijały się głuchym echem, które rosło, z wielokrotnością się w głowie Gartha i brzmiało jak jakiś koszmarny, upiorny rytm żałobnego tańca śmierci.

Już kiedyś był w kostnicy. Już kiedyś szedł ku czekającym w końcu korytarza drzwiom, by spojrzeć na swoje martwe dziecko.

Zatrzymali się, kroki ucichły. Pielęgniarski wyjął klucz i przekręcił zamek, policjant nacisnął klamkę i odstepił na bok, by puścić ich przodem. Zawahali się, wzięli za dłonie i weszli.

Dziewczyna leżała na długim stole. Garth wzdrygnął się i odwrócił wzrok. On, żołnierz przygotowany na najgorsze sytuacje, nie mógł się teraz opanować. Jego dziecko, krew z krwi, w takim stanie...

Łzy napłynęły mu do oczu. Spojrzał na Claudię i ze zdumieniem spostrzegł, że ona nie płacze. Gdy zaś usłyszał jej stanowcze, wypowiedziane z determinacją słowa, doznał szoku.

- To nie jest nasza córka. To nie Tara.

Potrząsnął głową.

Oczywiście, zdawał sobie sprawę, że będzie to dla niej trudne. Spodziewał się, że Claudia będzie zaprzeczać faktom. Wtedy też urządziła scenę i nie chciała pogodzić się z wyrokiem losu.

- Clo... - szepnęła błagalnie. - Wiem, kochanie, co czujesz...

- To nie jest Tara - przerwała mu Claudia i nim zdołał ją zatrzymać, szybko podeszła do stołu. - To na pewno nie Tara, Garth - powtórzyła łagodniej, a w jej oczach dopiero teraz pojawiły się łzy. Stała tak, spoglądając na twarz, której on wciąż nie miał odwagi zidentyfikować, i mówiła: - Chodź i popatrz. Przysięgam, że to nie ona. To nie jest moja... nasza córka - powtórzyła, muskając palcami twarz zmarłej, a potem nachylając się i całując jej zimny policzek. - Biedne dziecko. Nie wiem, kim jest, ale serdecznie współczuję jej i jej rodzinie.

Garth zmusił się po raz pierwszy do popatrzenia na zwłoki. Wyraz jego twarzy musiał go zdradzić, gdyż policjant natychmiast zapytał:

- Rozpoznaje ją pan, sir?

- Tak, tak... owszem - potwierdził ze zdziwieniem, a potem obrócił się do Claudii. - To Estelle. Pracuje u nas.

Usiłował zebrać rozproszone myśli, powstrzymać radość, która zdawała się nie na miejscu. To nie Tara, jak dobrze. Ale przecież Estelle, choć nie była jego dzieckiem, także należała do jakiejś rodziny, do jakiegoś ojca, który teraz nie miał pojęcia o losie córki i który zapewne gorzko miał opłakiwać jej stratę. Garth czuł, że powinien

poświęcić parę sekund szacunku, kilka słów modlitwy tak Estelle, jak i temu nieznanemu człowiekowi.

- Powiedział pan, że prowadziła wóz mojej córki? - zapytał, spoglądając na policjanta.

- Może Tara go jej pożyczyła - odpowiedziała Claudia.

Garth bardziej skłonny był podejrzewać, że dziewczyna raczej „zwinęła” auto. Być może Tara opróżniając biurko, zapomniała o kluczykach albo postanowiła zostawić samochód, który był prezentem urodzinowym od znenawidzonych teraz rodziców, i zwyczajnie wrzuciła kluczyki do którejś z szuflad, a Estelle po prostu je znalazła.

- Czy mógłby pan podać jej nazwisko, sir?

Oszołomiony Garth automatycznie spełnił prośbę policjanta. Wciąż nie mógł uporać się z własnymi uczuciami. Czuł się w tej chwili równie osłupiały, jak wtedy, gdy w Północnej Irlandii kula snajpera dosięgła idącego z nim ramię w ramię towarzysza, a nie jego.

Ulga - i przerażenie. Niedowierzanie - i poczucie winy: Przede wszystkim jednak ulga... Kiedy wracali do radiowozu, Garth spostrzegł, że Claudia płacze. Przytulił ją.

- Przeżyłaś wstrząs. Wiem, co czujesz.

- Nie - Claudia potrząsnęła głową - nie z tego powodu płaczę. Żal mi tej biednej dziewczyny i... i jej matki - wyjaśniła przez łzy. - Kiedy ją zobaczyłam i przekonałam się, że to nie Tara, zrozumiałam, że najgorsze, co mogłoby mi się przytrafić, to nie utrata miłości i zaufania... nie to, że Tara przestałaby mnie kochać... Jeszcze gorsza byłaby świadomość, że jej już nie ma, że zginęła, że tamta dziewczyna w kostnicy to nasza Tara.

- Mówiłaś, że czułabyś, gdyby ona...

- Tak! Bo ją kocham. I ona jest w moim sercu. Możliwe, że nigdy mi nie wybaczy tego, co uczyniłam. Możliwe, że resztę życia przyjdzie mi spędzić bez niej, ale przynajmniej wiem, że moja córka żyje.

- Nie bałaś się więc? - pytał, prowadząc żonę do samochodu.

- Och, bałam. Nie byłam pewna... Nie, byłam! Wiedziałam, nim weszliśmy do kostnicy. Życie Tary nie mogłoby się skończyć bez żadnego znaku, wiedziałabym, że zginęła. Nie wiem jak, ale bym wiedziała.

- Matczyna miłość?

- Matczyna miłość - zapewniła go żarliwie Claudia. - Tara jest moim dzieckiem. Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale stała się częścią mnie. Zrozumiałam to w tej samej chwili, kiedy wzięłam ją od Katriony w ramiona, a ona spojrzała mi prosto w oczy. Nie mogłabym jej bardziej kochać, gdybym ją sama urodziła, Garth.

- Wiem o tym - zapewnił ją. - I ona też to w sobie odkryje.

Sophie pierwsza dostrzegła policyjny samochód. Zawahała się chwilę, po czym zawołała Johna, instynktownie przeczuwając złe wieści.

Policjant przekazał wiadomość najdelikatniej, jak umiał, lecz cóż z tego...

- Nie - jęknął John. - To nie może być ona... to nie Estelle... Jesteście pewni?

Sophie błyskawicznie chwyciła dłoń męża i mocno ją uściśnęła.

- Boże, nie powinno było do tego dojść - odezwał się John zdławionym rozpaczą głosem. - Nie powinna tak skończyć... Moja biedna Estelle... moja nieszczęsna, nieszczęsna dziewczynka.

Sophie pomodliła się w duszy za pasierbicę. Miała z nią tylko kłopoty, dziewczyna była wiecznie zbuntowana, opryskliwa, niegrzeczna. Kiedy tylko mogła, starała się dopiec rodzeństwu, ojcu i jej samej. A jednak Sophie nie umiała jej nie żałować. Zamiast buntowniczkę widziała w niej biedną, opuszczoną dziewczynę, dziecko spragnione miłości i uwagi, które rozpaczliwie próbuje powiedzieć światu, że jest, że istnieje, że ono też jest ważne.

Odejdź w pokoju, Estelle. Niech ci będzie dobrze, gdziekolwiek się znajdziesz.

Tara ocknęła się, nim zadzwonił budzik. Minionego wieczoru, w połowie drogi, z niejasnych dla siebie powodów nagle zmieniła zdanie i zawróciła.

Może posłuchała rozumu i zdrowego rozsądku, doradzających, by rozpocząć poszukiwania przy świetle dnia? A może nagle przestraszyła się tego, co mogłaby znaleźć?

Ale co mogłoby okazać się gorsze od tego, o czym już wiedziała? Katriona, wychowywana przez starzejącego się i oschłego ojca, uciekła, kiedy nie chciał albo nie

umiał zrozumieć, że zachowanie córki jest niemym błaganiem o choćby minimum zainteresowania i odrobinę uczucia. Po ucieczce, gdy wpadła w nałóg, została prostytutką, bo tylko w ten sposób mogła zdobywać pieniądze na narkotyki.

Historia stara jak świat, wyświechtany banał, zbyt powszechny, aby ktoś z zewnątrz nie skwitował go obojętnym wzruszeniem ramion.

Ale ona nie była kimś z zewnątrz. Była dzieckiem Katriony.

Z drugiej strony wcale nie czuła się spadkobierczynią jej dziedzictwa. Ani trochę. Jej wczorajsza reakcja na wiadomość o tym, jakie życie wiodła Katriona, utwierdziła ją w przekonaniu, iż nigdy nie pójdzie w ślady matki.

Jestem Tarą - powiedziała sobie wczoraj i od, tamtej pory raz po raz uświadamiała sobie, jak ważne to słowa.

Właściwie to powinna być wdzięczna swojej matce... to znaczy Claudii. Claudia, dzięki swojej miłości, dzięki uwadze i poświęceniu, zapewniła jej to, czego rodzice Katriony nigdy nie potrafili jej dać. Tara była kochana.

Tak, łatwo było się na nich wczoraj obrazić, pogniewać, ale taka była prawda - była kochana przez rodziców, przez Rya i co najważniejsze - przez siebie samą.

Wstała z łóżka. Niebo za oknem było błękitne i czyste, zza drzew przeświecało poranne słońce. Żadnych chmur. Gdyby chciała, może i ona mogłaby odpędzić chmury zasnuwające jej horyzont - wrócić do domu, pogodzić się ze swoim pochodzeniem, z przeszłością. Poprosić rodziców, by prawda nigdy nie wyszła na jaw, by to, czym jest dzieckiem, pozostało na zawsze w tajemnicy.

Tylko czy umiałyby żyć z takim brzemieniem? Udawać, że nic się nie zmieniło, oszukiwać Rylanda? Tak żyła Claudia - i teraz zalewała się łzami. A gdyby Ryland sam odkrył w jakiś sposób, co przed nim skrywała?

Wybór należał do niej - z jednej strony honor i prawda, z drugiej fałsz i zdrada. Postanowiła poczekać z decyzją, otworzyć serce, zobaczyć, co podpowie jej miłość.

Hotel opuściła koło południa. Bez trudu odnalazła swoją wioskę, z mapą w ręku trafiła na szkołę, w której musiał uczyć jej dziadek. Próbowала sobie wyobrazić matkę, buszującą po okolicznych polach i łąkach jako dziecko. Chociaż nie - Claudia powiedziała, że Katriona większość czasu spędzała z ojcem w szkole. Czy znalazła w osadzie przyjaciół, czy była szczęśliwa, czy żyła w zgodzie z tutejszymi

mieszkańcami, tak jak Tara w swoim rodzinnym mieście? A może była wyrzutkiem, czarną owcą, odrzucaną przez inne dzieci?

Kościół znajdował się u wylotu wioskowej drogi, z dala od chat. Tara podeszła do wrót, otworzyła je po cichu i weszła do wnętrza. Jej matka musiała znać ten kościółek, może kiedyś stała tu, gdzie ona teraz...

Na fotografii, którą dała jej Claudia, widniała ładna, ciemnowłosa młoda kobieta. Mimo iż Tara bardzo się starała, nie potrafiła wyobrazić sobie matki żywej, nie potrafiła tchnąć w nią ciepła i duszy. A co najważniejsze, kiedy myślała „matka”, to przed jej oczami stawała nie Katriona, lecz Claudia.

Cmentarz leżał za kościołem. Tara szła ku niemu powoli, pogrążona w rozmyślaniach na temat swoich skomplikowanych losów. Kiedy doszła do furtki, wyciągnęła rękę ku klamce, lecz w tej samej chwili zeszywniała na widok znajomej sylwetki, pochylonej nad jednym z grobów.

Claudia wcale nie zamierzała pojechać do Dorset, choć podejrzewała, że Tara właśnie tam mogła uciec. Uświadomiła sobie, że teraz nie ma już prawa ingerować w życie córki, tym bardziej kiedy ta dała jej to tak wyraźnie do zrozumienia. Nie potrafiła wszakże oprzeć się pragnieniu pojechania do wioski i porozmawiania z Katrioną. Sama nie wiedziała, jaki mógłby być sens, jaki cel rozmowy ze zmarłą. Wiedziała tylko, że jedzie do niej z duszą na ramieniu, zupełnie jak wtedy, gdy wybierała się do jej mieszkania w ponurym blokowisku.

W przeciwieństwie do Tary, nie wędrowała po wiosce ani nie wchodziła do kościoła. Poszła wprost na grób Katriony.

Stała przed płytą ozdobioną figurkami aniołków i odczytała ułożoną kiedyś przez siebie inskrypcję: „Katriona Spencer, córka Roberta i Patrycji, matka Tary. Niech spoczywa w spokoju.”

Włożyła kwiaty do wazonu u stóp nagrobka, potem niespiesznie przesunęła palcami po wyrytym imieniu zmarłej. Westchnęła cicho i zaczęła mówić:

- Witaj, Kat. Chcę ci powiedzieć, że nigdy nie chciałam jej okłamywać. Ale ona ma rację - bałam się, że ją stracę, tak jak wcześniej utraciłam Gartha. Ech, Katriono, w porównaniu z tobą zawsze czułam się przeciętna i głupia, teraz mogę to przyznać. Ty wytwarzałaś wokół siebie jakąś magiczną aurę i tego ci zazdrościłam. Tara również

ma takie zdolności. Byłaby tobą zafascynowana... Powiedziała mi wczoraj, że była dla mnie namiastką dziecka, mojego własnego dziecka. Myliła się. Sama zresztą wiesz, jak było. Kiedy pierwszy raz wzięłam ją w ramiona, sama powiedziałaś, że od razu widać, jak bardzo ją kocham. I tak było naprawdę.

Claudia odgarnęła z płyty nagrobnej suchy liść. Przez chwilę milczała, potem zaczęła mówić dalej:

- Tara jest najcenniejszym klejnotem, jaki ofiarowało mi życie. Pokochanie jej było dla mnie najłatwiejszą, najbardziej naturalną rzeczą w świecie. Wszystkie te lata, kiedy się nad nią trzęsłam i się o nią martwiłam... wiesz, o czym mówię, wtedy, kiedy myślałam, że ma zapalenie płuc, i kiedy trzeba jej było usunąć migdałki... Och, ty na pewno wyśmiałybyś mnie wtedy. Tak jak wyśmiałybyś mnie, kiedy denerwowałam się, gdy zrodził się w niej typowy dla nastolatki bunt i potrzeba niezależności. Pamiętasz nasze poprzednie rozmowy? Powtarzałaś mi, żebym pozwoliła jej wydorosnąć, że Tara potrzebuje swobody. Przez wszystkie te lata starałam się ją chronić, a teraz okazało się, że ją zdruzgotałam i zraniłam.

W jej oczach znów pojawiły się łzy. Pohamowała je jednak szybko, zupełnie jakby bała się usłyszeć kpinę czy złośliwe słowo z ust Katriony. Choć minęło tyle lat, wciąż widziała twarz okoloną kruczoczarnymi włosami i przenikliwie, bystre zielone oczy.

- Powinnam była jej wcześniej powiedzieć - westchnęła. - Wiem o tym, a skoro tego nie zrobiłam, oszukałam was obie. Przepraszam. Ona ma rację, Kat. Ma prawo wiedzieć o tobie wszystko, uczynić cię częścią swojego życia, a ja jej tego odmówiłam. Odmówiłam z zazdrości o ciebie i z obawy, że może pokochać cię bardziej niż mnie. Wiem, nie musisz zaczynać... Dobrze słyszę, jak kpisz ze mnie, jak mówisz: „Bo to ja jestem jej matką”.

- Nie jest. Ty nią jesteś.

Claudia niezdarnie podniosła się z klęczek. Na jej twarzy pojawił się rumieniec, a w oczach zakłopotanie.

- Tara? Nie wiedziałam... Jak...?

- Zobaczyłam cię, gdy szłam z kościoła. Słuchałam. Claudia odwróciła wzrok.

- Masz wszelkie powody, by się na mnie wściekać.

- Owszem - zgodziła się Tara. - I rzeczywiście jestem wściekła, ale... - teraz ona odwróciła wzrok - ale ja wszystko zrozumiałam... Przepraszam za swoje słowa, że nie kochasz mnie naprawdę, bo jestem tylko namiastką.

- Kochanie - drżącym głosem odezwała się Claudia. - Gdybyś tylko wiedziała...

- Chcę wiedzieć, chcę - odparła Tara. - Co jeszcze jej o mnie opowiadałaś? - spytała, spoglądając na nagrobek.

- Wszystko. Opowiadałam, jak stawiałaś pierwsze kroki i że pierwszym twoim słowem było „miło”, a mnie wcale nie martwiło, że to nie „mama”, gdyż powiedziałaś jej, dotykając mojej dłoni. Mówiłam jej, że ona jedna zasługuje na słowo „mamo”. Jesteś, Taro... jesteś do niej... bardzo podobna - oświadczyła wzruszona. - Masz jednak inny charakter. Katriona przypominała diament, nieoszlifowany, błyszczący...

- Twardy - skrzywiła się dziewczyna.

- Tak, twardy. Ty zaś przypominasz szmaragd - soczysty, oszlifowany, pełen ciepła i światła.

- A ty przypominasz perłę - odwzajemniła się Tara. - Łagodną, nieskazitelną, błyszczącą wewnętrznym blaskiem. Powiedz, czy ona z rozmysłem próbowała poróżnić cię z tatą? - spytała raptownie, patrząc matce wprost w oczy.

Claudią wzięła głęboki oddech. Tym razem nie zamierzała kłamać.

- Nie jestem pewna. Była taka zmienna, taka... nieźrównoważona. Wątpię, czy o to jej chodziło, kiedy włamała się do mieszkania, jednak gdy natknęła się na Gartha...

- Czy na pewno chcesz mi o tym opowiedzieć?

- Tak. Ale nie teraz... nie tutaj. W każdym razie kiedy myślę, że Garth zdradził mnie z nią, właśnie z nią, to tak, owszem, przejmuję się tym. Stąd się wziął nasz rozwód. Jak ty, nie potrafiłam znieść myśli, że ktoś, kto był mi najbliższy, mnie... oszukał.

- Dlaczego musiałam przejść przez to wszystko?

- Była twoją matką. Prędzej czy później musiałaś się dowiedzieć. Katriona była twoją matką, a ja jedynie... namiastką.

- Zawsze tłumaczyłaś mi, że miłość nie zależy wyłącznie od genów - przypomniawszy jej Tara. - Mówiłaś, że kiedy na siebie patrzymy, ty i ja, kobieta i dziecko, jesteśmy ze sobą związane, kochamy się.

- Owszem, tak było - zgodziła się Claudia. - Wtedy, u niej w mieszkaniu... Patrzyłaś na mnie tak, jakbyś o wszystkim już dawno wiedziała. Do dzisiaj czuję dreszcz na wspomnienie tamtego spojrzenia i zdaje mi się, że tamto dzieciątko, nie wiem naprawdę jak, wiedziało, że dojdzie do tej naszej dzisiejszej rozmowy. Wtedy zaś... wtedy zdawało mi się, że pragniesz, bym ciebie wzięła, chwyciła w ramiona i... zabrała.

- Może instynktownie wiedziałam, że będziesz dla mnie matką, jakiej potrzebowałam.

- Zawsze chciałam tak myśleć - westchnęła Claudia.

- Nie zmienia to jednak faktu, że to, co uczyniłam, było szalone. Naprawdę chciałam przekazać cię władzom. Tylko że byłaś taka... po prostu nie potrafiłam się opanować. Natychmiast zabrałam cię do domu i uczyniłam własną córką, nie pytając nikogo o zgodę, nawet Gartha.

- Wiesz, że chyba cię rozumiem?

- Och, nie proszę cię, Taro, o zrozumienie. Nie spodziewam się, byś mi przebaczyła. Błagam tylko o jedno - byś szczerze, naprawdę szczerze spróbowała przyznać, że kochałam cię z całego serca jak rodzone, najdroższe dziecko. Nie wierzę, bym mocniej kochała dziecko zrodzone z mojego łona, to po prostu niemożliwe.

- Uznaję to - zapewniła z powagą Tara, a wypowiedziawszy te słowa, pojęła, że naprawdę tak myśli.

Kiedy słuchała, jak Claudia przemawia do Katriony, doznała olśnienia. Zrozumiała, jak wielka jest miłość, dzięki której jest teraz tym, kim jest.

- Przyjechałaś tu samochodem? - spytała Claudię.

- Tak. Dlaczego pytasz?

- Czy możesz więc podrzucić mnie do Londynu?

- Och, oczywiście!

- A po drodze opowiesz mi, co przez ostatnie dni wyczyniałaś w sypialni z pewnym mężczyzną.

Claudia uśmiechnęła się i postąpiła nieśmiało naprzód. Po chwili zatrzymała się, jakby zwlekając. Tara popatrzyła na nią poważnie, po czym podeszła do niej i

przytuliła ją serdecznie. Czuła się teraz tak, jak gdyby to Claudia była dzieckiem, ona zaś jej matką.

- Już dobrze - powtarzała cicho - już dobrze. Teraz wszystko się ułoży.

Rozdział 22

- Muszę już iść, zapowiadają mój lot - powiedział Ryland, uściskawszy wpierv matkę, a potem ojca. - Wróć, jak tylko porozmawiam z Tarą.

Kiedy wsiadł do samolotu i usadowił się w fotelu, przyznał się sam przed sobą, że wcale nie myśli o tym, co pozostawia, lecz o tej, do której wraca. Piekielnie brakowało mu Tary przez ostatnie dni. Brakowało mu tym dotkliwiej, że nie mógł skontaktować się z nią przez telefon. Kiedy dowiedział się od sekretarki Claudii, że szefowa wyjechała do Londynu, zaczął przypuszczać, że korzystając z jego nieobecności, Tara postanowiła spędzić kilka dni z matką.

Szczerze mówiąc, bywał zazdrosny o bliską więź, jaka łączyła Tarę z Claudią. Nie dlatego że nic nie wiązało go z własnymi rodzicami - miał z nimi dobry kontakt. Tyle tylko że nie był ich jedynym dzieckiem i po prostu trudno mu było traktować ich jak jedynych, niezawodnych, najlepszych na świecie przyjaciół.

Taka właśnie dla Tary była Claudia. Nie przypominała przy tym w niczym zaborczej matki uwielbianej jedyńaczki. Widać było wyraźnie, że spodziewa się po Tarze niezależności, że zachęca ją wręcz do samodzielności.

Lubił ją i ona go lubiła. Miał nadzieję, że po ślubie z Tarą będą mogli często przyjeżdżać do Anglii, a Claudia w każdej chwili będzie mogła ich odwiedzać.

Ech, ta Claudia. Nieposkromiona, niezależna dama, prowadząca z powodzeniem własną firmę. Jego matka polubiłaby ją z pewnością, mimo iż pod wieloma względami bardzo się różniły.

A jej córką... Ryland przymknął oczy i usadowił się wygodnie, aby przeczekać te kilka dzielących go od niej godzin. Oby tylko spokojnie przyjęła to, co miał jej do powiedzenia.

Gdy Tara kładła się do łóżka, dochodziła dwunasta. Rodzice zabrali ją na kolację, gdyż ojciec nalegał, by to właśnie ona była świadkiem jego ponownych oświadczeń. Oczywiście cieszyła się, że sprawy przyjęły taki obrót, jednak w głębi duszy było jej ciężko. Patrzyła na rodziców i zastanawiała się, kim zapełni pustkę we własnym życiu. Kto pojawi się w miejscu, w którym powinien być Ryland.

Pojeła już, jak bardzo kochała ją Claudia, i zrozumiała, dlaczego uczyniła to, co uczyniła. Ze swej strony Claudia podsunęła jej delikatnie, że może powinna nawiązać kontakt z grupami innych dorosłych adoptowanych dzieci, gdzie opowiedziałaby o tym, jak bardzo czuła się zraniona i zdradzona. Takie grupy istniały i przynosiły pomoc tym, którzy podobnie jak ona ciężko przeżyli narodziny swojej nowej tożsamości.

Tara jednak odmówiła, mówiąc, że dała już sobie radę ze sobą. Nie chciała, by Claudia wciąż zadreżczała się z powodu dawnych spraw, zwłaszcza że wkrótce miała zmierzyć się z kolejnym ciosem, kolejnym bólem, który mógł zranić jej serce.

Była przekonana, że za rozstanie córki z Rylandem Claudia obwini siebie. A przecież Tara musiała z nim zerwać. Nie mogła dopuścić, by za jej sprawą wytworzyła się przepaść między Ryem a jego rodziną. Jego ciotka, tak jak i sam Ryland, dbali i pielęgowali rodzinne tradycje, byli członkami bostońskiej elity i przywiązywali wielką wagę do pochodzenia. Jakby zareagowali, gdyby Ry wziął ją sobie za żonę? Tara ani przez chwilę nie wątpiła, że Ryland ją kocha, i że mając do wyboru ją bądź rodzinę, wybrałby ją.

I właśnie dlatego musiała zrezygnować z tej miłości.

Nie odważyła się zatelefonować do niego do Bostonu. Bała się, że odgadnie z tonu jej głosu, co czuje, i zacznie domagać się wyjaśnień. Pragnęła powiedzieć mu o tym w cztery oczy. Chciała objąć go po raz ostatni, nim wyjawি mu prawdę. Poczuc go przy sobie, a potem wytłumaczyć mu wszystko.

A potem powiedzieć: „Żegnaj, Ry, zawsze będę cię kochać.”

Była trzecia nad ranem, kiedy Ryland znalazł się w mieszkaniu Tary. Na lotnisku Heathrow wylądował z opóźnieniem, potem musiał czekać dłużej niż zwykle na bagaż, ale wreszcie dotarł tutaj - do domu.

Rzucił walizkę i marynarkę na kanapę, w ciemnościach przeszedł do drzwi sypialni i otworzył je po cichu.

Tara leżała niczym gwiazda z rozrzuconymi na łóżku kończynami. Jej rzęsy słały dziwnie długi cień na zaróżowione od snu policzki, kręcone włosy burzą otaczały głowę. Zsunięte prześcieradło odsłaniało jedną, cudownie krągłą pierś.

Ryland poczuł suchość w gardle. Ogarnęło go straszliwe pożądanie. Już przy pierwszym spotkaniu zwrócił uwagę na jej bujny biust. Od początku pragnął dotykać go, całować, pieścić...

Zaczął się rozbierać, nie spuszczać oczu z ukochanej, jakby bał się, że może zniknąć niczym złudzenie spowodowane wielką tęsknotą. Spod kołdry wysunęła się różowa pięta, a wówczas Ry nachylił się ku niej z uśmiechem. Tara nie znosiła, kiedy ktoś dotykał jej stóp. Była przeczulona, tak wrażliwa na łaskotki, że nawet jego oddech wprawiał ją w niepohamowany chichot.

Ostrożnie ucałował różowy palec. Pograżona we śnie Tara rozchyliła usta, prawie bezgłośnie westchnęła, a on uśmiechnął się szerzej, zamknął w dłoni jej stopę i niespiesznie zaczął ssać najdroższy sercu paluszek.

Kiedy skuliła palec i naprężyła mięśnie nogi, odpowiadając mimowolnie na jego pieczytę, poczuł dreszcz rozkoszy.

- Mmm... - jęknął słodko, gotów kochać się z nią natychmiast, choćby i w tej chwili.

- Och! Co to... - Tara poderwała się na łóżku, szeroko otworzyła oczy i z niedowierzaniem wpatrzyła się w jego rozradowaną twarz. - Ry! Ry, och, kiedy wróciłeś? - Rzuciła się w jego ramiona, płacząc i śmiejąc się jednocześnie.

- Przed chwilą - wyjaśnił, a potem dodał z udawaną skargą: - Dlaczego musiałaś się obudzić? Byłem blisko szczytowania.

- Wcale nie, kłamczuchu! - zachichotała. - Próbowalesz mnie zadrzeć, załaskotać na śmierć.

- Hm... skoro mówimy o katuszach - mruknął Ryland między jednym a drugim namiętym pocałunkiem - to czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo mi ciebie brakowało?

- Jak bardzo?

- Mmm... Naprawdę chcesz wiedzieć?

Ich pocałunki stawały się coraz dłuższe, coraz gorętsze. Słowa padały coraz rzadziej, brakowało im tchu, aż wreszcie zupełnie umilkli i ciszę w sypialni przerywały jedynie oddechy, błogie westchnienia i rozkoszne pojękiwania.

Wreszcie Ryland zamknął w dłoniach jej twarz, by namiętniej ją ucałować, potem zaś znieruchomiał nad nią i popatrzyli sobie w oczy z niezwykłą intensywnością. Tara przymknęła powieki dopiero wtedy, kiedy poczuła w sobie pierwsze ruchy ukochanego.

- Tara...

- Ry... Ry... Tak bardzo chciałam... Tak strasznie mi cię brakowało... tak okropnie...

Ryland długo układał w głowie pierwsze zdanie. Leżąc w ciepłej pościeli, patrzył przez okno na wstający na niebie świt i wciąż nie mógł się zdecydować, od jakich słów powinien zacząć. Wreszcie wziął głęboki oddech i spojrzał na zamyśloną Tarę. Nie mógł tego dłużej odkładać.

Uprzedziła go. Nie pozwoliła się odezwać.

- Nie, Ry - poprosiła - ja powiem pierwsza. Jest coś, co muszę ci wyznać.

Zaniepokoiło go napięcie, jakie wyczuł w jej głosie. Rzadko mówiła do niego w ten sposób. Czyżby coś się stało? Czyżby Tara... odkryła prawdę?

Jakim cudem?

Ale przecież nie zadzwoniła do niego do Bostonu, a kiedy on próbował się z nią skontaktować, nigdzie nie mógł jej zastać. A choć przed chwilą kochali się i byli ze sobą blisko, to przecież nie mógł nie spostrzec, że Tara zachowuje się wobec niego z rezerwą. Nie fizycznie - wciąż leżała wtulona w jego ramiona - lecz emocjonalnie. Oczyma duszy widział, jak się od niego odsuwa.

- Tara... - zaczął, ona jednak stanowczo potrząsnęła głową.

- Nie, Ry, błagam cię, nic nie mów. Posłuchaj najpierw mnie. To najtrudniejsza próba, przez jaką muszę przebrnąć, najtrudniejsza rzecz, o jakiej muszę ci opowiedzieć... Chcę, byś mnie wysłuchał i... i zrozumiał.

Zamilkła na moment i westchnęła ciężko, nie patrząc już na niego. Ry czuł, że to, co za chwilę usłyszy, będzie straszne. Przygotował się na najgorsze. Na wszelki

wypadek odnalazł jej dłoń i ścisnął ją mocno, a wówczas Tara odwzajemniła uścisk i zaczęła mówić.

- Mój Boże, Taro! Powinienem być przy tobie! - wybuchnął Ryland, kiedy Tara zakończyła swą opowieść. - Błagam cię, nie odsuwaj się ode mnie za to, że ci nie pomogłem, że nie wsparłem, nie dodałem sił. Gdybym tylko wiedział...

- Nie mam do ciebie żalu, Ry - zapewniła łamiącym się głosem. Ale ciebie mi żal, dodała w myślach. - Owszem, z początku miałam żal do Claudii, ale teraz... teraz sądzę, że ją rozumiem. Kiedy jechałam do Dorchester, spotkałam w pociągu pewną kobietę. Dziwny przypadek, chyba prawdziwe zrzędzenie losu. Okazało się, że wychowuje ona adoptowaną dziewczynkę. Zaczęła o niej opowiadać, a ja słuchałam, słuchałam i...

Umilkła, zawahała się. Wiedziała, że nie o tym powinna mówić, że nie to jest teraz najważniejsze.

- Kiedy wyjechałeś, Ry, wiele o nas myślałam - podjęła innym tonem i odwróciła wzrok. - Ja... ja nie mogę wyjść za ciebie za żonę.

- Taro!

- Nie mogę. Nie po tym, czego się dowiedziałam. Nie byłabym wobec ciebie uczciwa. Och, wiem, co powiesz - że tobie nie robi to najmniejszej różnicy, że mnie kochasz i że nie ma znaczenia, kto mnie urodził. Wiem, Ry, i kocham cię za to. Gdyby jednak chodziło tylko o nas, sprawy przedstawiałyby się inaczej. Wiesz jednak, że tak nie jest. Masz rodzinę, masz firmę... Nie jestem kobietą, której oni by dla ciebie pragnęli... którą chcieliby powitać w rodzinie.

- Nie, Taro, nie wolno ci tak mówić. Czy nie wiesz, że ty... że ty liczysz się dla mnie bardziej niż ktokolwiek inny, niż cokolwiek innego? Jesteś mi najdroższa, najważniejsza... Tylko ciebie kocham!

- Teraz tak mówisz - ostudziła go Tara. - I wierzę, że mówisz szczerze. Ale wiem też, jak wiele znaczysz dla swojej rodziny. Nie potrafię pogodzić się z myślą, że pewnego dnia możesz żałować, że się ze mną ożeniłeś. Twoja ciotka...

- Moja ciotka nie żyje, Taro. Ciotka Martha nie żyje, a zabiła ją rodzona córka.

Tara znieruchomiała na te słowa. Krótki, niemal obcesowy komunikat wstrząsnął nią bardziej niż Ry się spodziewał.

Och, to cała Tara. Taka kochana, taka wrażliwa...

- To dlatego musiałem wyjechać do domu - dodał.

- Przykro mi. Nie powinnam była w takim momencie...

- Nie, nie przepraszaj. To bez sensu. To ja powinienem cię przeprosić. Jest coś, o czym już dawno powinien ci powiedzieć... Właściwie moja wina jest podobna do winy Claudii. Mam nadzieję, że i dla mnie będziesz łaskawa, że zrozumiesz...

Tara milczała. Wyobrażał sobie, co może myśleć - że może jej ukochany ma dziecko, o którym nie powiedział jej wcześniej, albo żonę, albo może jest chory...

- Widzisz - zaczął, aby czym prędzej uciąć jej domysły - gdy opowiedziałas mi o okolicznościach swojego urodzenia, odparłem naprawdę szczerze, że nie ma to najmniejszego znaczenia dla tego, co wobec ciebie czuję. Jesteś kimś, kogo kocham, i na zawsze pozostaniesz dla mnie taka sama. Kocham cię dla ciebie samej, nie dla twojego pochodzenia, Taro. Mogłabyś mi powiedzieć, że twoi rodzice są najgorszymi przestępcami, a to i tak nie zmieniłoby moich uczuć.

Tarze wystarczyło spojrzeć w oczy ukochanego, by wiedzieć, że mówi prawdę. Świadomość, że tak szczerze, tak głęboko ją kocha, koła rozdarte, bolesne rany. Wyciągnęła rękę, by dotknąć jego twarzy, jednak on chwycił ją i powstrzymał.

- Nie. Nie usłyszałaś jeszcze wszystkiego. Kiedy opowiadałaś o Katrionie, wyznałaś, że najbardziej dotknęło cię to, iż Claudia zataiła przed tobą być może najistotniejszy fakt dotyczący twojej osoby i twojego życia. - Odetchnął głęboko. - I ja mam swoją tajemnicę, którą przed tobą ukryłem. Nie dlatego że... - zamilkł i uniośł dłoń, jakby chciał wycofać rozpoczęte zdanie. - Tak, z dokładnie tych samych powodów, co Claudia. Pragnąłem ci powiedzieć, ale bałem się, że się ode mnie odwrócisz, że cię stracę.

- Boże, Ry, o czym ty mówisz?

- Rozmawialiśmy, że kiedy ciotka wycofa się z interesu, przejmę rodzinną firmę, pamiętasz?

- Owszem - przytaknęła Tara. - Opowiadałeś, że przyjechałeś tu, by poznać brytyjski rynek wydawniczy, ale nie rozumiem...

- Nie powiedziałem ci jednak, że dziedziczę prawie cały majątek ciotki.

- Cały majątek? - Tara zmarszczyła ze zdumieniem czoło.

- Tak, a moja ciotka była bardzo zamożna. Otrzymała w spadku większość rodzinnej fortuny, lekko licząc... - ponownie wziął głęboki oddech - lekko licząc, paręnaście milionów dolarów.

- Milionów dolarów? - Tara spojrzała na niego z niedowierzaniem, a potem powtórzyła drżącym głosem: - Miliony dolarów. To znaczy... To dlatego ciotka tak bardzo pilnowała, kogo poślubisz?

- Uczyniła mnie jedynym spadkobiercą. Martwiła się o Margot, o jej miłość do Lloyda. Problemy córki bardzo ją dotknęły i zraniły. Zdaje się, że ja, moje małżeństwo, dzieci, miały jej to wynagrodzić...

- W takim razie ona nigdy by mnie nie zaakceptowała, Rylandzie.

- Mylisz się! - zaprzeczył gorąco. - Pokochałaby cię. Ona nie była taka. Tu nie chodziło tylko o pieniądze.

Tara odwróciła od niego wzrok, oczy miała pełne łez.

- Nie, Ry - pokręciła głową - nie umiem w to uwierzyć. Przecież i ty musiałeś mieć co do mnie wątpliwości... Dlaczego wcześniej nie opowiedziałeś mi o tych pieniądzach? Sądziłeś, że mogłabym okazać się łowczynią posagów, tak? Że mogłabym...

- Przestań! - zaprotestował. - Było wręcz przeciwnie! Tyle mówiłaś o swoim szczęśliwym dzieciństwie, o tym, jak pragnęłabyś wychować dzieci, nasze dzieci, Taro. Wiedziałem, jak wyglądało twoje dzieciństwo, więc...

- Na miły Bóg, jaki to wszystko ma związek z pieniędzmi?

- Ma, Taro, i to duży. Żyjemy w niebezpiecznym świecie. Czasami, by chronić swoje dzieci, musimy ograniczać ich wolność. Ja sam miałem szczęście. Moi rodzice byli zamożni, ale żyliśmy normalnie. Natomiast nasza sytuacja, Taro, twoja, moja, naszych dzieci, byłaby inna. Ciotka była naprawdę wyjątkowo bogatą kobietą.

- Ty zaś stałeś się wyjątkowo bogatym mężczyzną.

- Tak - przyznał. - Chciałem ci o tym powiedzieć, lecz jednocześnie pragnąłem cię ochronić, ochronić naszą miłość, nim będzie miała szansę okrzepnąć.

- Nie rozumiem tego. Co sprawia, że ludzie - ty, moi rodzice - sądzą, że potrzebuje ochrony? Czy rzeczywiście uważacie mnie za tak słabą, tak naiwną, tak głupią, że nie potrafię polegać na własnych sądach i własnych decyzjach, że nie

potrafię sama się obronić? Czy myślicie, że wystarczy byle powód, a obrażę się i ucieknę?

- Baliśmy się, że cię utracimy. Kochamy cię, Taro. Kochamy, a zarazem jest w nas lęk, że możemy okazać się niegodni twojej miłości, że to my ci nie dorównujemy, a nie na odwrót.

Dziwne, myślała Tara, Ry niemal dokładnie powtórzył słowa Claudii. „Bałam się wyznać ci prawdę, gdyż lękałam się, że mogę cię stracić, że mogę przegrać twoją wielką miłość” - mówiła matka i teraz Tara pojęła, że dla nich obojga ma taką samą odpowiedź.

- Jak mogłeś? - odezwała się cicho. - Jak ośmieliłeś się nawet pomyśleć, że moja miłość jest słabsza, mniej trwała, mniej bezgraniczna i bezinteresowna od twojej? Kocham cię, Ry... zawsze cię kochałam. Nie dbam o pieniądze, nie dbam o problemy, jakie mogą nam stworzyć w przyszłości, nie dbam o nic. Chcę tylko kochać - to wszystko. Oczywiście, wcale nie pragnę tego, by nasze dzieci dorastały pod kloszem odgradzającym je od reszty świata, lecz jednocześnie nie chcę, aby ich ojcem został ktokolwiek prócz ciebie. Jakoś znajdziemy sposób, by zapewnić im odrobinę wolności, pozwolimy, by poznały inne wartości niż pieniądze, które mają pewnego dnia odziedziczyć. Skończ naszą znajomość, jeśli twoja rodzina nie może zaakceptować mojego pochodzenia, ale nie oskarżaj mnie o małostkowość.

- Skończyć? Och, najdroższa, to ostatnia rzecz, jaką chciałbym uczynić - odparł Ryland, po czym wziął ją w ramiona i przytulił tak mocno, że zabrakło jej tchu. Tara uniosła głowę, zamierzała zaprotestować, on jednak nie pozwolił jej dokończyć. - Tak bardzo cię kocham - wyznał, całując jej usta. - Teraz jeszcze bardziej niż przedtem.

- A spróbuj mi teraz powiedzieć, że mnie nie kochasz - zakpił Ryland, tuląc w ramionach Tarę zmęczoną po miłosnych uniesieniach.

- To ty zwątpiłeś w moją miłość - przypomniała.

- To wszystko przez te cholerne pieniądze, jak zawsze. Prędzej bym się ich pozbył, niż się z tobą rozstał.

- Aha, akurat - zażartowała.

- No dobrze, powiedzmy, że mam pewne obowiązki wobec firmy, rodzeństwa, no i naszej przyszłej rodziny. Muszę mieć trochę grosza.

- To może kupilibyśmy kawałek ziemi, na przykład jakąś farmę? - zaproponowała sennie Tara, mocniej wtulając się w ramiona ukochanego.

- Właśnie farmę?

- Mhm. Moglibyśmy tam zamieszkać z naszymi dziećmi. Miałyby trochę swobody. - Uniosła głowę i popatrzyła na niego poważnie. - I skoro mamy mieć tyle tych pieniędzy, to może wspomogliśmy jakieś szlachetne organizacje.

- Oczywiście - szybko przytaknął Ryland. - Myślisz o czym konkretnym?

- Narkotyki, prostytutka. Jest tyle kobiet, dziewcząt... Historia Katriony wciąż się powtarza, a od mamy wiem, że wciąż brak środków na uświadamianie i terapię.

- Ciotka by cię poparła, Taro. Sama zasiadała w radach podobnych fundacji. Ja też popieram. Ale najpierw musimy załatwić inną sprawę.

- Jaką?

- Pobrać się. I to jak najszybciej.

- Moja mama chce tradycyjnego ślubu - zastrzegła Tara.

- Podobnie jak moja - zgodził się Ryland.

- To może... - zaczęła nieśmiało.

- Tak?

- Kościółek w Dorset jest bardzo piękny. Nie potrafię myśleć o Katrionie, jak o mojej matce, tą zawsze będzie Claudia... ale Katriona jest częścią mnie, moją przeszłością, moją historią, więc...

- Pobierzemy się, gdziekolwiek zechcesz - zapewnił ją Ryland, a potem znowu pochwycił w ramiona i zaczął całować.

Godzinę później, kiedy zjedli naprędce zaimprovizowany posiłek, przejrzeni korespondencję, jaka nagromadziła się podczas ich nieobecności.

- Ho, ho, zdaje się, że to do ciebie - powiedział Ryland, wręczając Tarze kopertę ze stemplem amerykańskiej ambasady.

- Moja wiza! - odgadła i parsknęła śmiechem. - Podejrzewam, że teraz, kiedy mamy się pobrać, musimy ponownie o nią wystąpić, prawda? Pomyśl, gdyby się nie opóźniła, mama najprawdopodobniej nigdy nie opowiedziałaby mi o Katrionie.

Rozpaczliwie się bała, że ktoś odkrył jakieś nieprawidłowości w mojej metryce, że wezwą mnie na przesłuchanie i wtedy dowiem się prawdy. Z początku myślałam, że

lepiej było jej nie poznać, ale teraz jestem szczęśliwa. Możesz nie wierzyć, ale to jeszcze bardziej nas do siebie zbliżyło, mnie i mamę. Stałyśmy się sobie równe, jak dojrzałe kobiety... Lecz błagam, nigdy więcej tajemnic! Ani jednej!

Epilog

Tara opuściła gabinet lekarski i skierowała się w stronę samochodu. Była wiosna, pierwsze liście zdobiły gałęzie drzew, ptaki wygrzewały się w porannym słońcu. Brzuch pod jej sukienką był płaski, lecz ona poklepała go czule i pogłaskała, tak jak robią to kobiety, które liczą ostatnie dni do urodzenia dziecka. W oczach Tary była radość, na jej wargach igrał figlarny uśmiech małej dziewczynki.

Ostrożnie jechała do domu, uważna na nowe życie, które od niedawna rosło w jej łonie. Oczywiście już wcześniej wiedziała, że to prawdopodobne, ale potwierdzenie ginekologa upewniło ją ostatecznie - była w ciąży.

Gdy zmierzała do domu w Nowej Anglii, który kupili z Rylandem w tym samym niewielkim miasteczku, w którym od pokoleń żyła jego rodzina, myślała tylko o jednym, o jednej osobie, z którą powinna czym prędzej się skontaktować.

W domu energicznie chwyciła słuchawkę, wciąż roześmiana od ucha do ucha, potem wystukała numer i czekała niecierpliwie na połączenie. Kiedy usłyszała znajomy głos po drugiej stronie linii, podekscytowana wybuchła potokiem słów:

- Zgadnij... Jestem w ciąży! Chciałam, byś pierwsza się o tym dowiedziała. Nie mogłam powstrzymać się, by ci nie powiedzieć... babciu! Nawet Ry jeszcze nic nie wie, tylko się domyśla. Pragnęłam... pragnęłam, abyś ty najpierw usłyszała tę nowinę - powtórzyła czule, a jej oczy napełniły się łzami, gdy usłyszała niekłamane wzruszenie w głosie Claudii. - I chciałabym, abyś przyjechała tutaj na czas porodu - poprosiła gorąco.

Słyszała, jak w tle jej ojciec domaga się wyjaśnień, jak pyta, kto dzwoni i dlaczego Claudia płacze. Potem zaś i on pospieszył z gratulacjami. Kiedy przypomniał, że zgodnie z umową mieli z Claudią przyjechać za kilka dni do Bostonu, odparła:

- Wiem, ale nie mogłam czekać tak długo. Później, kiedy odłożyła już słuchawkę, usiadła w fotelu i rozkoszowała się własnym szczęściem.

Wszystko układało się po jej myśli. Kompleks z powodu pochodzenia przestał ją dręczyć. Rana w jej sercu zasklepiła się i obecnie Tara czuła się związana z matką tak blisko, jak nigdy przedtem. Praca na rzecz trudnej młodzieży, w fundacji imienia ciotki Marthy, pozwoliła jej głębiej wejrzeć w problemy dzieci pozbawionych rodzicielskiej miłości. Sama się teraz przekonała, jak to jest, kiedy uzależnione od narkotyków matki, nawet najbardziej kochające swoje pociechy, nade wszystko przedkładają nałóg.

W małym miasteczku w Nowej Anglii zadomowiła się bez trudu.

- Jakżeby mogło być inaczej? - spytała czule Rylanda, kiedy to skomentował. Jej dom istniał w niej samej, wzmocniony ich miłością. Tęskniła za rodziną i przyjaciółmi, zwłaszcza za Claudią, lecz w ciągu osiemnastu miesięcy po ślubie wielokrotnie odwiedzali z Rylandem Zjednoczone Królestwo i często zapraszali z wizytą jej rodziców.

Garth i Claudia wzięli ponownie ślub trzy dni przed Gwiazdką. Gdy zaś Tara wspominała dzień własnego wesela, wciąż do oczu napływały jej łzy wzruszenia.

Owszem, uroczystość była podniosła, emocje wielkie. Jednak poza słowami przysięgi, które wypowiedali z Ryem przed ołtarzem, najbardziej chyba utkwiła jej w pamięci rozmowa z Claudią.

Rzecz miała miejsce w jej sypialni. Ona była już w sukni ślubnej, Claudia nerwowo krzątała się wokół.

- Mamusiu, wciąż nie wiem, jak za to dziękować. - Wskazała gestem nie tylko suknię, ale i całą organizację szybkiego wesela, na które nalegał Ryland. - I... - zawahała się - i wciąż nie powiedziałam ci, jak bardzo... jak bardzo cię kocham. Jaka jestem szczęśliwa, mając taką matkę.

Claudia potrząsnęła głową, zaczęła szukać słów, którymi mogłaby odpowiedzieć, lecz Tara po prostu objęła ją i uściskała gorąco, nie bacząc na protesty, że może zrujnować sobie suknię.

- Nic nie mów. Jesteś moją matką, najlepszą pod słońcem i jedyną, jaką chciałabym mieć. Ty jesteś moją mamą, a ja twoim dzieckiem. To ty mnie karmiłaś, kochałaś, uczyłaś, wprowadzałaś w świat. Jesteś moją matką. Jesteś...

Później, kiedy wyszła z kościoła, usłyszała, jak jakaś gosposia mówi do przyjaciółki:

- Spójrz, to jej matka. Podobne do siebie, prawda? Od razu widać, że to ta sama krew.



RS